

De II. 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 142.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Czerwiec.

TOM II. — ZESZYT VI.

WARSZAWA.

Skład i Fksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

*Ukończono druk dnia 2 czerwca 1876 r.*

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Komedye Aleksandra hr. Fredry. (Odczyt publiczny Stanisława hr. Tarnowskiego, dnia 2 kwietnia r. b. w wielkiej sali Ratuszowej w Warszawie). . . . .	437
II. O zjazdach czyli kongresach naukowych i ich działaniu w ostatnich kilku latach. Przez Edmunda Stawiskiego. . . . .	455
III. Przegląd literatury Hiszpańskiej. Przez Sewerynę z Żóch. Duchińską. . . . .	477
IV. Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Prawa i obowiązki podróżujących. Przez Antoniego Wrotnowskiego. . . . .	509
V. Przegląd teatralny. (Od 1 marca 1875, do 1 marca 1876 r.). Przez D. Henkiel'a. . . . .	543
VI. Psyche Andrzeja Morsztyna. Przez Wł. Nehringa. . . . .	558
VII. Dawna ziemia Łomżyńska. Przez Zygmunta Glogera. . . . .	579
VIII. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. . . . .	596
<b>PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
IX. Synteza dwóch światów, szkic filozoficzny, napisał Henryk Struve. Z dodaniem dwóch urywków: I. Poezya, Religia i Filozofia. II. Przeszłość, Przyszłość i Teraźniejszość. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1876. Przez X. . . . .	615
X. Monumenta Medii Aevi Historica Res Gestas Poloniae Illustrantia. (Cracoviae 1874). Przez J—d. . . . .	627
XI. Biblioteka Ordynacyi Krasieńskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom 2. Warszawa. Nakładem Świdzińskich, 1876 r. (w 8-ce wielkiej str. 424). Materyały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku, poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Jana Ostroroga wojewody poznańskiego, zebrał i opracował Wł. Chomętowski. Przez R. . . . .	642
XII. Nekrologia. . . . .	646
XIII. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie i artystyczne. . . . .	651

# ALEKSANDRA HR. FREDRY.

(ODCZYT PUBLICZNY STANISŁAWA HR. JARNOWSKIEGO, DNIA 2 KWIETNIA  
R. B. W WIELKIEJ SALI RATUSZOWEJ W WARSZAWIE).

## II.

Zjawiała się wreszcie jego komedia, a zjawiała nie w typowej postaci *Raptusiewicza*, nie w sympatycznej postaci trzpiota *Gustawa*, ale pod śmieszną nieco karykaturalną maską *Geldhaba*. Początek był obiecujący zapewne, ale nie obiecywał tyle, ile ciąg dalszy dotrzymał. *Geldhab* był zabawny, ale jako typ ogólny był już cokolwiek spowszedniały; tyle razy od czasów Moliera powtórzone, że i zużyć się musiał i nie potrzebował nowego nakładu obserwacji czy wyobraźni, dał się skreślić temi samemi rysami, któremi już nieraz był kreślony; nie był typem specyficznym polskim i nie dawał jeszcze poznać tego szczególnego daru, jaki ma Fredro do tworzenia figur, które w żadnym innym kraju i świecie powstaćby i żyć nie mogły, tylko w naszym. To co do typu: a jako całość grzeszy komedia pewnym zbytkiem figur, pewnym zbyt łatwym i użytym rozwiązaniem, czasem pewną przesadą w charakterystyce, czasem naiwnie wyraźnym morałem. Sam brak wprawy początkującego pisarza tłumaczy dostatecznie te usterki, a tłumaczy je także ta pewna niedbałość, niechęć do przejrzenia i poprawienia pomysłu już rzuconego na papier, która jest autorowi wrodzoną i odzywa się nieraz w najlepszych jego komediach. Naprzykład, trudno nie widzieć, że ciotka, która tak w sam czas umiera, żeby zadłużonego synowca sukcesją uratować od smutnej konieczności ożenienia się dla pieniędzy ze śmieszną córką śmieszniejszego ojca, jest wprawdzie bardzo dobrą i nadzwyczaj dobrze wychowaną ciotką, ale jest w komedii rozwiązaniem akcji przez przypadek, jest *Deus ex machina* i jest użytą: wiele to już ciotek i wujaszków umierało tak grzecznie w komediach i powieściach przed ciotką księcia Rodosława. Dalej, możnaby powiedzieć, że przebiegły Lisiewicz jest figurą zbyt częstą, bo książe choć może za pośrednictwem tego faktora dostał się do domu *Geldhaba*, to go zapewne zawsze przy sobie nie trzymał. Że zaś Lisiewicz nie jest ani zabawnym i komicznym ani głębokim i niebezpiecznym lisem, więc mógł być śmiało nakręciwszy księcia i *Geldhaba* za kulisami, tam w swojej jamie pozostać. Książę znowu ma w niektórych chwilach sposób mówienia protekcyjonalny i sposób obejścia się z góry poufały, któryby kazał myśleć że to jakiś książę przebrany i udający, nie prawdziwy; kiedy Rodosław jest nie tylko najprawdziwszym księciem i do-



brze wychowanym człowiekiem, ale nawet dobrym chłopcem, skoro umiał ocenić Majora i Lubomira, jak się to w zakończeniu pokazuje. Geldhab, ten jest niezaprzeczenie zabawny, ale czasem zaudato. Ze nie umiał historii nic dziwnego, całe życie miał co innego do roboty; ależ znowu takim ignorantem być nie mógł żeby aż powiedział, że

„gdy Krakus świętego zabił Stanisława,  
Wraz z nim Geldhabów rzymskie wypędziły prawa.”

I tu zaraz na wstępie chwyta się na uczynku jedną z właściwości Fredry, która czasem figurom jego przynosi małe szkody. Oto, że jak mu przyjdzie do głowy koncept zabawny lub wyraz śmieszny, a takie przychodzą mu co chwila, nie może wytrzymać, żeby go nie napisał. Jest w swoim prawie zapewne, bo im więcej słów zabawnych i dobrych konceptów w komedyi, tém lepiej. Jednak uważać trzeba, żeby ten koncept nie obrócił się na szkodę figury, nie zrobił jęj przesadzoną a przeto mniej prawdopodobną. Tu w Geldhabie, który stoi na granicy pomiędzy komedją wyższą i wykwintną a niższą, która sobie wiele pozwalać może, jest to złe małe; ale trafia się ono i w takich, gdzie każdy ton przesadzony, każde słowo fałszywe, już może zepsuć figurę zkądinąd doskonałą. Wreszcie ten portret Geldhaba, jaki robi książkę w swojej rozmowie z Lisiewiczem, jest trafny i dobry prawda, ale nie w komedyi, gdzie charakter powinien być przez autora przedstawionym, przez czytelnika odgadniętym, a nie przez drugą osobę opowiedzianym. Tutaj było to nawet zupełnie zbytecznym, bo Geldhab sam siebie dawał poznać dość wyraźnie. Naiwność, brak wprawy pisarza poczynającego.

Ale choć nie doskonały miał już Geldhab wiele z właściwych autorowi przymiotów, miał wszystkie prawie charakterystyczne cechy jego talentu. Najprzód jest zabawny, ma ten szczęśliwy humor żywy i wesoły nawet kiedy nie błyska żadnym konceptem, żadnym dowcipnym słowem, a te zjawiają się tak niespodzianie, przyprowadzone są tak zręcznym zwrotem, tak zawsze przychodzą w miejscu, gdzie muszą wydać się najlepší, że już w tych początkach widać szpon tego lwa komedyi, który kiedyś wymyśli „Papkina” i „Katkę.” Skarga biednego pana Konto, że wierzyciele zelżyli „całą intendurę z tą osobą razem:” mowa pochwalna Majora na cześć Lisiewicza, monolog, w którym Flora robi próbę swojej przyszłej roli, a zwłaszcza ta rozmowa, w której Geldhab tłumaczy Lubomirowi, że „znaczenie jest znaczenie, i znaczenie znaczy” nie są w swojej komiczności tak klasyczne, jak niektóre dowcipy komedyi późniejszych, nie przeszły w przysłowie jak tamte, ale poprzedzają je godnie i dają je przeczuć. Powtórę jest to nie znajomość jeszcze może, ale wrodzony instykt sceny, który autora ostrzega zawsze, jaka chwila w obranej przez niego sytuacji i w jaki sposób uchwycona wyda się najlepší w graniu. Są w Geldhabie sceny, które w czytaniu nie robią wielkiego efektu, a grane, są bardzo śmieszne. Jest już także skłonność do pewnych komicznych sytuacji,



które autor powtarzać będzie nieraz: lubi np. tchórza przestraszonego pojedynkiem, którego tu po raz pierwszy wprowadza. Jest także i ta mieszanina żartu wykwintnego z grubszym, tonu wysokiej i niższej komedyi, która łączy czasem w jednej i téj saméj sztuce sytuacye lub figury odmiennego stylu.

U Moliera naprzykład charaktery komiczne w różnym stylu trzymane, nie znajdują się razem i żadna z figur „Mizantropa” np. nie jest zabawną tym sposobem co figury z *George Dandin* lub z *Malade Imaginaire*. Fredro pod tym względem daje sobie więcej swobody, postawi Papkina między Cześnikiem a Rejentem, Albina przy Gustawie, nie pyta o to, że jedni z nich są pojęci i przedstawieni w najwyższym stylu komicznym, a drudzy mogliby figurować w *Damach i Huzarach*. Jego komiczna muza nie tylko ma dwie twarze, ale w jednej i téj saméj chwili patrzy się najdowcipniej i uśmiecha najfiglarniej, a drugą połową twarzy wykrzywia się i wydrzeźnia. Ten pierwiastek nieco rubaszny, ten gust do głośnego śmiechu, a zwłaszcza do zabawnego (czasem niezupełnie przywoitego) głupstwa, ten rodzaj wesołości podobny trochę do francuzkiego *esprit gaulois*, jest nam wrodzony, jest jeżeli nie najwyraźniejszą, to najtrwalszą cechą polskiego humoru. Lubili go nasi starzy w wieku XVI i w XVII pan Pasek i w XVIII książę biskup warmiński; przepada za nim zawsze i wszędzie lud wiejski. Nic dziwnego, że ten pierwiastek musiał się znaleźć i w dowcipie najświetniejszego zapewne ale bardzo wiernego reprezentanta polskiego humoru: że żart rubaszny lub figura utrzymana w tonie prostej krotchwilii zdarzy się u niego w najwykwintniejszej komedyi. Nie jest to wytknięciem błędu, ale tylko wskazaniem właściwości Fredry, z której wynika to, że jego komedia jest najczęściej z tych dwóch swoich rodzajów, zmieszana. A w téj pierwszej, w *Geldhabie*, jest to już widoczném. Widoczném także jest to jego zamikowanie w bohaterze-żołnierzu, tak charakterystyczne i tak sympatyczne. Panny i młode wdowy z jego komedyi najczęściej kochają się w oficerach, i to tém bardziej, im więcej się ten oficer narażał, im niebezpieczniej był rannym. Wreszcie jest tu i jeden z jego częstych błędów: rozwiązanie intrygi łatwym, nieco zbyt łatwym sposobem. Choć tu oddać mu trzeba sprawiedliwość, rozwiązanie to nie jest wcale oklepaném i zużytém. Jest taką śmierć ciotki i sukcesyja księcia, ale sam koniec: Flora wzgardzona przez Lubomira i zostająca sama z ojcem na gruzach swojej marzonej wielkości, to jest nieprzewidziane i zręczne. Zwykły pisarz byłby z pewnością zrobił z Flory dobrą dziewczynę i w zakończeniu jęć miłość i wierność byłby uwieńczył hymen. Fredro wołał nadać jęć indywidualność mniej sympatyczną może, ale wyraźniejszą.

Są więc w téj pierwszej próbie jego talentu, prawie wszystkie jego cechy. Ale to kwiat w pączku dopiero, to pierwszy szczebel; a o ileż wyżj stanął, jak się znacznie rozwinął ten talent zaraz w téj sztuce, która najbliżej co do czasu sąsiaduje z *Geldhabem*. *Zrzęda i Przekora* to mała jednoaktowa komedyjka, ale kto wie czy nie jedna

z najlepszych, najlepiej zbudowanych, najpiękniej rozwiązanych: z małych z pewnością największa. Co za pomysł głęboko komiczny i co za wykonanie, co za wyborna charakterystyka tych dwóch braci wiecznie z sobą w wojnie, z których każdy robi w końcu to, czego sam najbardziej nie chce, na to tylko żeby drugiemu dokuczyć. To dopiero rozwiązanie sztuki efektowne, nie przewidziane, w najwyższym stopniu zabawne, a wyprowadzone logicznie i psychologicznie z samej głębi tych natur. Od początku do końca, od pierwszej kłótni aż do ostatniej zgryźliwej perory, którą Zręda mści się na biednej Zosi za jej szczęście; te dwie figury zmarszczone, zadąsane, żółciowe i kwaśne, są i bardzo komiczne i bardzo prawdziwe. A nawet Zosia, która biegnie po księdza proboszcza i oświadcza stanowczo, że „męża mieć musi,” nawet ta ma wyraźną swoją własną fizygnomią i pewną naiwną gracyą. Postęp od Geldhaba jest już bardzo znaczny.

Trzecia z rzędu była już bardzo świetna. Czy dużo napisał Fredro komedyi tak ładnych jak *Mąż i żona*? Nie napisał żadnej tak mało budującej, to pewna; ale tak doskonale zbudowanych, tak głęboko i tak wykwintnie komicznych, znajdzie się nie wiele między jego najwyższymi nawet. *Słuby* są również dobrze zbudowane i są miłsze, mają więcej wdzięku; nie są tak głęboko komiczne w swoich sytuacjach i charakterach. *Zemsta* jest świetniejsza i na większą skalę, *Jowialski* jest bardziej oryginalny, ale jedno i drugie ma w układzie błędy, których ten niegodziwy *Mąż* i ta wcale nieprzykładna *żona* jakoś szczęśliwie uniknąć umieli. Z wyjątkiem pierwszej sceny, czułych protestacyj Alfreda i narzekań Elwiry, które ciągną się może cokolwiek zadługo, i jednego nieprawdopodobnego szczegółu w ostatnim akcie, nie wiedzieć, co by tam wytknąć. Niektórzy mówią, że główna sytuacja: mąż pomiędzy żoną a jej służącą, jest wzięta z *Wesela Figara*; uwaga może prawdziwa, ale niesłuszna. Sytuacja ta sama znajdzie się w wielu zapewne komedjach, np. *Louison*, Musseta, ale te same elementa dopuszczają nieskończoną liczbę kombinacji i permutacji, z których każda jest inną sytuacją, prowadzi do innych wypadków. Elementa tylko są te same: mąż, żona i służąca, ale ich wzajemny stosunek, ich charakter, wreszcie cały przebieg ich romansu, wszystko jest tak odmienne, że nie można tu słusznie upatrzeć wpływu jednej komedyi na drugą. A co za pewność i śmiałość prawie aż zbyt duża w postawieniu tych figur i w nakreśleniu ich stosunku; co za sztuka napisać długą trzech aktową komedią o czterech osobach tylko, a tak żywą, tak coraz bardziej zajmującą, tak pełną ruchu w akcji napozór zupełnie spokojnej i pozbawionej ewenementów! co za prześliczny wiersz i dialog naturalny, łatwy i żywy, co za dowcip i komizm czy w sytuacjach czy w słowach? Pierwsza scena jest trochę zadługa, ale jak śmiało i od razu rysuje charakter i sytuację, jak przez długie słowa i protestacje Alfreda przebija chłód i przymus, jak widać, że ta Elwira już go zaczyna nudzić. A ona ze swojemi żalami i wyrzutami sumienia, ze swoją wzniosłością, uczuć, jak się doskonale daje poznać w swojej może nawet bezwiednej hypo-



kryzi, kiedy na pierwszą wzmiankę o mężu czepia się skwapliwie tego pozoru i na męża zwała całą odpowiedzialność, a w końcu zapominając o skrupułach i wysokich sentymentach śmieje się z niego dowcipnie; rzadko zdarza się na scenie sytuacja tak drażliwa, rozmowa takich kochanków o sobie, swoim stosunku, i o mężu, poufała, otwarta, niezostawiająca nic do myślenia. Trzeba było wielkiej śmiałości, żeby fakt dokonany tego rodzaju przedstawić bez ogródek, bez wymówek, po prostu jako fakt. Zwykle autorowie powieści czy komedyi starają się poetyzować swoich bohaterów, którzy znowu mówią z sobą i o sobie pod figurami i alluzyjami. Śmiałość Fredry posunięta bardzo daleko, miała w sobie wiele taktu, wiele miary w słowach. Ale poezyi i wdzięku figurom nadać nie mogła, może nie chciała, i we frazesach Alfreda, w których tak wyraźnie przesyła się na udawanie czułości, i w skrupułach Elwiry równie jak w jej skargach na męża i żartach, widać tylko całą pospolitą, prozaiczną i brutalną stronę sytuacji. Ale prawda, trafność obserwacji, znajomość życia, charakteru, jaki stosunki takie najczęściej po jakimś czasie przybierają; kobieta usprawiedliwia się jak może w swoich własnych oczach sofizmatami i trzyma się wszelkimi siłami swojej miłości, wierzy w tę miłość, bo czuje instynktem, że inaczej jej upadek byłby czémś bardzo pospolitým i nieszlachetnym; a mężczyzna już się znudził i ogląda się nieznacznie na wszystkie strony, któremi drzwiami mógłby się zręcznie wynieść:—to wszystko jest znakomite, a nawet dla opuszczonych i przez męża niezrozumianych Elwir dobre do rozważenia.

Albo druga scena, ta znowu jedna z najświetniejszych w całym teatrze Fredry. Mąż znudzony wraca do domu z klubu i „za to, że się nudzi, na żonę się gniewa” pan w jednym kącie pokoju, pani w drugim; rozmowa idzie jak z kamienia, co parę minut ona z obowiązku rzuci jakieś słowo, on odpowie pół słowem, którego prawdziwe znaczenie jest: „daj mi pokój.” Siedzi sama, to źle; czyta, za to dostaje ironiczną uwagę; weźmie robotę, jeszcze gorzej. Położy ją, nie mówiąc słowa, spokojnie i cierpliwie, to najgorzej. Siedzie do fortepianu, drażni panu nerwy i rozdziera uszy. Co za paradny i komiczny typ tego stworzenia, jednego z nieznośniejszych w rzędzie boskich stworzeń, które się nazywa mężem w złym humorze! A jak żona mądrze umie z tego położenia skorzystać, żeby całą winę zwalić na niego, jaka jest słodka, dobra, powolna. Pewną przebiegłość potrzebną, ale i właściwą kobietom w jej położeniu ma Elwira, np. kiedy nie chce przyjąć Alfreda, kiedy przed mężem mówi o nim z tak doskonale udanym akcentem niechęci i antypatii. Rozmowa we troje jest znowu prawdziwym i misternym klejnotem dowcipu i wykwintnój komiki. Początek jej, obmowa, wesoła i zabawna, wszystkich bliższych i dalszych znajomych, przypomina sławną scenę z trzeciego aktu Mizantropa. Ale w końcu, kiedy ta obmowa schodzi na barona, kiedy Wacław śmieje się z niego, że nie może się obejść bez pułkownika, kochanka swój żony, że żyje z nim w najczulszej przyjaźni, „żyje jak z tobą” i dochodzi do konkluzyi, że baron



jest „gap' prawdziwy;” kiedy Alfred tknięty wyrzutem sumienia próbuje dowodzić że biedny zwiedziony mąż nie jest takim wielkim „gapiem” a Waclaw obstaje przy swoim zdaniu z największym zapałem: wtedy komiczna sytuacja (a bardzo delikatna i subtelna) dochodzi do takiego stopnia, że wszyscy wielcy komicy całego świata, od Arystofanesa aż do Beaumarchaise'go mogliby Fredrze tego pomysłu zazdrościć.

A dopieroż akt drugi! Elwira przerywająca mężowi miłą rozmowę z Justysią swoim nagłym powrotem z kościoła; mąż poważny moralista, który ją łąje za brak pobożności; ona, która krótkie nabożeństwo usprawiedliwia miłosierdziem i dobrą sercem, (nie chciała służących długo trzymać na mrozie), a naprawdę wróciła żeby oddać zapomniany list do Alfreda; Alfred nie mogący zrozumieć wybuchu jej gniewu i zdradzający się niebacznie, że ma intrygę nietylko z Justysią ale i z jakąś Aliną jeszcze:—wszystko jedno w drugie tak zabawne, tak żywe, takie naturalne, tak pełne dowcipu i prawdy, że z temi scenami tylko już ten akt byłby bardzo świetny. Cóż dopiero, kiedy przybędzie najpiękniejsza ze wszystkich scena klassyczna, w której mąż zwiedziony uczy kochanka swojej żony sztuki zdobywania serc; Waclaw ze swoją pogardą dla dzisiejszej młodzieży, której mężowie obawiać się nie potrzebują, ze swoim doświadczeniem i znajomością rzeczywiście niepospolitą zwykłej taktyki zdobywców, z tą przenikliwością, na którą tak rachuje, i ze swoim zaślepieniem, przy tém wszystkim, jest ze wszystkich zwiedzionych mężów w komedyi, najwyżej komicznym. George Dandin wywoła zapewne więcej głośniego śmiechu, ale wykwintniej a głębszą ironii, ale soli attyckiej w najlepszym gatunku, tutaj jest nierównie więcej.

W trzecim akcie znowu jest chwila wielkiego komicznego efektu, to kiedy Elwira zastawszy Waclawa na bardzo poufnej rozmowie z Justysią, silna swoją cnotą i reputacją, mówi mężowi wszystko, co tylko obrażona godność i moralność najwymowniejszego powiedzieć może, wpada w kaznodziejski zapał, a w tej samej chwili upuszcza schowane w szalu listy Alfreda. Tylko, scena ta niezmiernie komiczna, przeprowadzona jest w sposób nienaturalny. Elwira listy upuszcza dlatego, że je wiezie do siostry i tam chce spalić. Czy jest nieostrożność większa i mniej do prawdy podobna? Czy takie listy nie palą się czémprędzej, przy zamkniętych drzwiach, w swoim pokoju i w zupełnej samotności? Czy jakakolwiek kobieta w tém położeniu, a dopieroż Elwira tak bardzo dbała o swoją reputację i grająca *con amore* swoją rolę cnotliwej ofiary obojętnego męża, bez ostatecznej konieczności zrobi komukolwiek zwierzenie tego rodzaju, choćby siostrze, a może zwłaszcza siostrze? Oczywiście, nie. I gdyby to były jej listy jeszcze! ale to listy Alfreda! Pocóż je wywozić i oddawać? Kobiety w takich razach mogą słusznie żądać zwrotu swoich korespondencyj, ale mężczyzna go nie potrzebuje. I Fredro dla zabawnej sceny, dla komicznego efektu, który mógłby być sprowadzić innym jakim naturalniejszym sposobem, gdyby sobie był zadał pracę i poszukał, kazał

Elwirze zrobić krok nielogiczny, nieprawdopodobny, niezgodny ani z jej położeniem ani z jej ostrożnym i wyrachowanym sposobem postępowania. Błąd to największy w całej sztuce: błąd, który u autora nie raz jeszcze zobaczymy. Wymyślić sytuację komiczną to dla niego rzecz bardzo łatwa, ale często sytuacja taka opiera się na rusztowaniu innych, dla niej tylko wymyślonych, a nie zawsze prawdopodobnych.

W zakończeniu wszyscy niby się podnoszą i wyglądają poważnie. Elwira z płaczem wypowiadała się przed mężem, który nie chcąc jej gubić a czując, że sam przebaczenia potrzebuje, przebacza, i oboje obiecują poprawę. Alfred czuje, że nadal może być ich przyjacielem tylko zdaleka i usuwa się. Najgorzej wychodzi na całej sprawie, najmniej winna ze wszystkich Justysia. Ona nie zdradzała ani przyjaźni, ani ufności; nie złamała przysięgi: ona była wolną. Zwodziła wprawdzie dwóch kochanków, ale wiedziała dobrze, że jeden i drugi kocha ją lekko; na krótko i zdrady jej bardzo do serca nie weźmie. I ona ma iść do klasztoru, kiedy Elwira w mniemaniu świata a nawet męża i swoim własnym zostanie tak dobrą jak była, kiedy Wacław teraz dopiero naprawdę zacznie być szczęśliwym w domu? Co za niesprawiedliwość! Szczęście, że nikt nikogo gwałtem do klasztoru oddać nie może i że od bezprawnego samowolnego wyroku Wacława obroni biedną Justysię przełożona klasztoru i sędzia. A szkodaby było tej perły subretek, gdyby miała uschnąć za kratą. Typ to w dawnej komedyi ulubiony, może nadużyty trochę; w nowszej już zaniebdany, i Justysia jest ostatnią z tego rodzaju subretek, którego matką jest wielka Doryna Moliera, a najpiękniejszą ozdobą ta Zuzanna, której wesele stało się treścią najpiękniejszej komedyi na świecie.

Justysia nie zaprzecza swojej krwi, ma familijne podobieństwo do swoich sławnych babek i prababek, ale jest godną ich następczynią: dowcip subretek przeszedł na nią dziedzicznie jak *l'esprit des Mortemart*; ma wszystkie przymioty i tradycje rodu, który się na niej kończy tak godnie i świetnie, że mógłby służyć za wzór wszystkim arystokracjom świata: wygasa ale nie upada.

A teraz, trzeba powiedzieć, że ta komedya pod względem artystycznym prawie doskonała, jest zkądną brzydka, jest wstrętne i oburzająca przez ten jakiś stępiony zmysł moralny swoich figur, które złe robią nie bez świadomości złego i dobrego, bo każda z nich ma trochę skrupułów, ale uważają złe za rzecz codzienną, powszednią, konieczną. Ta cała mieszanina brzydkich oszukaństw, nie ma nawet wymówki namiętności: to nie jest smutny dramat rodzinny; nikt tam z sobą nie walczy, nikt się nawet w nikim nie kocha. Ani uczuć silniejszych od sumienia i woli, ani występku wytłumaczonego choć trochę namiętnością i walką, ani nawet wyobraźni rozmarzonych i egzaltowanych. Nic, tylko natóg złego życia, tylko kaprys, który się praktykuje wygodnie, swobodnie, *ganz gemüthlich*, jak rzecz najprostsza w świecie: oni się zwodzą i kochają tak naturalnie i spokojnie, jak że-



by we czwórkę grali w wista albo tańcowali kadryla. Wacław ma intrygę z Justysią, bo ją ma zawsze w domu, bo mu to wygodnie; Alfred z Justysią i z Elwirą, bo to jego kawalerskie rzemiosło i prawo; Elwira sama żeby choć tego Alfreda kochała, ale nie: zapomni o nim i wróci do męża tak łatwo, jak mu się oddała; a dlaczego to zrobiła, ona sama nie wie: może z nudów, może dlatego, że młodej mężatce wypada mieć adoratora, może przez niedołęztwo głowy i charakteru, niezdolność zastanowienia się nad tém co robi. Gdyby Alfred był złym ale niepospolitym Don-Juanem, gdyby Wacław miał przynajmniej ten jakiś wielki styl, jaki zachowuje Almawiwa w swoich kapryśkach; gdyby Elwira w swoim upadku czy w swoich skrupułach objawiała choć trochę uczucia, wyobraźni, duszy; gdyby się kochali i zdradzali z jakąś energią, z jakąś walką: byłiby i więcej zajmujący i nawet nie tak gorszący. Ale ten występek powszedni i płaski z nałogu i z nudów, ta rozpusta leniwa, powolna, nieożywiona nawet żadnym silniejszym biciem pulsów; ta miłość flegmatyczna, która swojej zdrożności nie okupuje nawet silniejszym popędem—to jest, nie mówiąc już o stronie moralnej, ale estetycznie tylko obrzydliwe: bo nic mniej powabnego na świecie jak miłość występna w pantoflach i w szlafmocy, nie umiejąca ani chcąca nawet ratować się choćby jakiemiś pozorami poezji. To też ci wszyscy państwo, to figury dość brzydkie, których jedyną zasługą jest, że nikogo swoim przykładem do złego nie pociągną, żadnej głowy nie zbałamucą, bo nie mają na to dość uroku. Ale kiedy przytem prawią wiele o prawidłach honoru i nawzajem od siebie żądają szacunku, dobrze robią, bo poza swoim kółkiem trudno, żeby go gdzie znaleźć mogli.

Ale że są prawdziwi, że w życiu często stosunki tego rodzaju wyglądają tak jak w tej komedyi, to znowu prawda: i jako dokładna fotografia, jako satyra na podobne niby miłosne stosunki, komedya ta ma swoją wielką cenę. Tylko, rzecz dziwna a bardzo ciekawa, autor niezupełnie tak ją był pomyślał. On wierzył i w pewien seduktorski wdzięk Alfreda, i w wysokie uczucie honoru Wacława, i nawet w szlachetność i wrodzoną godność Elwiry, która wprawdzie raz upadła ale podniesie się łatwo; on widzi, że ci ludzie robią złe, ale tego nie czuje: że złe jak oni je robią jest płaskie i brzydkie, bez żadnych wymówek moralnych i żadnych estetycznych złudzeń i pozorów. Oni robią to samo co większość ludzi w życiu; są tacy, jak ta większość, w której przecież honorowych i uczciwych ludzi jest dosyć! Nie chwali ich, ale się na nich nie oburza, nie widzi tego, że są gorzej jak gorszący, bo obrzydliwi. Cóż więc? czy autor jest przewrotnym, pozbawionym zmysłu moralnego? bynajmniej. Zabrakło mu go w tym jednym razie i w tej jednej kwestyi, a dlaczego, to zrozumieć łatwo. Autor podówczas sam jeszcze bardzo młody, żył wśród towarzystwa, które, zaprzeczyc nie można zepsutém było, w którym Elwira i Alfred i Wacław byli codziennymi zjawiskami, i tak się z nimi oswoił, tak się przyzwyczaił do tego widoku, że nie czuł już co w nim było rażącego i wstręt-



nego. Owszem, w porównaniu z tém co widział w życiu, miał jeszcze prawo, bohaterów swojej komedyi mieć za bardzo szlachetnych i godnych. Wacław, który przebacza, ale przyjaciela z domu oddał; Alfred, który czuje, że w tym domu zostać niepowinien, zyskują jeszcze na porównaniu z wieloma, którzy w życiu przypadki takie biorą filozoficznie i zostają obok siebie w miłej harmonii i doskonałej przyjaźni. W każdym razie jako ślad i świadectwo osłabienia pojęć i związków moralnych w pierwszej ćwierci naszego wieku, komedia ta jest bardzo ciekawa, zwłaszcza przez to, że napisana przez człowieka z sercem prawém i szlachetném. A kto wie czy mamy prawo bardzo się gorszyć i rzucać kamieniem na komedię i na jęj autora, że w czasie wielkiego, jak zwykle mówimy zepsucia, przedstawił swoich Alfredów i Wacławów, jako nie bardzo winnych. Nasza najnowsza komedia, kiedy przedstawia ludzi w sytuacji podobnej wiarołomstwa i nieprawych związków, tłumaczy nam przez różne filozoficzne argumenta i fizyologiczne konieczności, że oni są *Niewinni*.

„*Cudzoziemczyzna*” przedmiot do komedyi wyborny i potrzebna satyra na jeden z bardzo zakorzenionych złych zwyczajów polskich, nie jest tak doskonale wykonana jak *Mąż i Zona*. Zaszkożdziła jęj intryga, fabuła nieszczęśliwie wymyślona, umyślnie szukana a nieznależona, niepodobna do prawdy. Kiedy Marivaux przebiera młodego panicza za służącego i odwrotnie, kiedy po drugiej stronie przemienia rolę służącej i pani (*Jeux de l'amour et du hasard*), wyprowadza z tego zawikłanie bardzo zajmujące i ładne, to że panicz zakochuje się szalenie w tój, którą ma za służącą, panienska wstydzi się okropnie, że jęj się podobał ten, którego ma za lokaja: lokaj i subretka oboje błogostawią swoje gwiazdę, przekonani, on że podbił serce bogatęj dziedziczki, ona że zostanie markizą. Przebranie samo jest naturalne, prawdopodobne, ci młodzi ludzie sobie przeznaczeni a nieznanani chcą się wzajemnie poznać i wypróbować i wpadają oboje na ten sam pomysł. W *Cudzoziemczyźnie*, Zdzisław i Adolf, kiedy udają: jeden zatwardziałego domatora i hreczkosieja, drugi sfrancuziałego eleganta, trudno uwierzyć, żeby ten dowcipnie wymyślony plan strategiczny mógł się im powieść. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, i u nas gdzie wszyscy znają się jak złe szelągi, wszyscy o wszystkich wiedzą: ukryć tak swoją przeszłość, żeby przybraną rolę drugich złudzić można, byłoby fenomenem dziwnym. To jedno: drugie, że Zdzisław w swojej roli jest tylko nie zabawny, kiedy kaznodziejskim tonem prawi bajeczki i pedantyczne morały, ale Astolf, który schlebia, mami starego dziwaka idzie do celu drogą ani ładną ani rozumną. Nie zastanowił się nad tém, że jeżeli pod maską otrzyma rękę Zofii, to po ślubie będzie musiał albo tę maskę nosić do śmierci, albo serce tęj żony od siebie odstąpić wyznaniem, że zdrwił z jęj ojca, że do pozyskania jęj ręki czy serca nie umiał wynaleźć lepszego sposobu, jak wystrychnąć papę na dudka. Czy ona mu ten dowcipny żart łatwo przebaczy? Jedno z dwojga: albo Astolf był głupi, a za takiego go Fredro nie podaje,

albo nie mógł tak postąpić jak postąpił. Jest więc sama podstawa komedyi źle założona. Nadto, obaj młodzi panowie nie są zabawni, ani zajmujący: Zdzisław mógłby w swojej roli być sympatycznym, gdyby nie był takim pedantem i moralistą; Astolf swoje tak przesadza, że mógłby złudzić chyba pokojówkę panny Zofii, ale nie ją samą: a kobiety obie mniej jeszcze od tych mężczyzn zajmujące, nie mają ani wyraźnej indywidualności, ani dowcipu, ani wdzięku: są konwencyjonalne, są poprostu nudne. Dramatyczna niby kolizya Zdzisława, który szanując ufność Astolfa broni przeciwnika od podejrzeń, które na niego spadają, wymyślona dla ożywienia akcji dość ubogiej i jednostajnej, nie robi ich wszystkich bardziej zajmującymi. Stary Jakób, także... już dosyć tych starych służących, którzy mają więcej lat i rozumu od swoich panów i przywilej gderania. Końcowy morał, obrok duchowny zawarty w ostatnich słowach Zdzisława, lepiej było czytelnikowi zostawić do domysłu, niż mu tak wyraźnie kłaść jak łopatą w głowę. Wreszcie rzecz i figura najważniejsza, Radost czy mógł być takim jak jest w komedyi? Tak śmiesznym jak on może być tylko człowiek zupełnie głupi: inny może być zbałamuconym swoją manią i przez nią śmiesznym, ale nie może wierzyć np. że:

„Francuz na takie mrozy, że aż w mózgu świeci,  
W koszuli i w sabotach, jak na sankach leci”

i na mocy tego przykładu swoje czeladź ubierać w saboty; nie może przy ludziach recytować jak papuga frazesów, wyuczonych z jakiejś gramatyki *Sie kommen aus Lütthauen und sprechen so gut deutsch* i t. p.... A w zamiarze autora, jak tego dowodzi koniec, Radost miał być rozsądnym, porządnym, nawet poważnym człowiekiem, który tylko na jednym punkcie zgłupiał. Otóż, do tego stopnia zgłupieć nie można; kto się takim nie urodził, ten do tej doskonałości nie dojdzie, i trzeba było albo przedstawić Radosta zupełnie głupim, głupim prawie jak szambelan Jowialski, albo mu darować te śmieszności i głupstwa, które z jakąkolwiek, choćby małą szczyptą rozumu w parze iść nie mogą.

A więc cóż z tego wynika? że komedia zła, że autor z dobrego tematu nie skorzystał jak był mógł? Tak jest. Tylko w tej komedyi, która dobrą nazwać się nie może, są takie polyski humoru, koncepta tak nieprzewidziane i tak zabawne, taka energia dowcipu zbierającego się w pewnych słowach, jak elektryczność w śpiczastym końcu drutu; że słowa te powtarzane przez wszystkich stały się klassycznymi i poszły w przysłowie, a komedia, choć zła przez nic, ma w literaturze polskiej zapewnioną nieśmiertelność. Czy w latach kiedy cudzoziemczyzna była pisaną, anglomania już grasowała? Zdawałoby się, że moda francuzka raczej była panującą, że kursa dżokejów, turfy, steeple-chasy, handicapy i wszelkie tego rodzaju sporty są ozdobą czasów późniejszych, że Fredro był nie prostym obserwatorem ale wieszczem i prze-



czuwał nasze dzisiejsze pokolenie, kiedy stwarzał Radosta. Bo czy można nie rozrzewnić się nad jego uderzającym podobieństwem do naszych sąsiadów, przyjaciół, do nas samych; czy można bez rozczulenia myśleć o tych kursach „od bramy do arendy” którym podobne każdy choć raz w życiu widzieć musiał, ze wszystkimi ich szczegółami, z mostkami, z żydami, z podtrenomowaną i anglezowaną na tę uroczystość szkapą ekonomą, ze wszystkim! Co za obraz paradny, co za plastyczność w tém opowiadaniu; widzi się i Radosta na tarancie, i ekonomą jak spada z kobyły, i obu pisarzów, i leśniczego, i żyda zwłaszcza jak w strachu umyka z drogi, gdzie bezpieczniej, pod mostek, i kłania się pokornie nie wiedząc jakie sprowadzi nieszczęście; słyszy się dyszkant starego Jakóba, możnaby wyrysować nieboszkę ciotkę, jak daje hasło głosem potężnym jak tuba. Takie kilkanaście wierszy nie mogą sprawić tego, żeby cała komedia była zabawna i dobra, ale kilkanaście wierszy, które każdy umie na pamięć, każdy powtarza, cytuje, a za każdym razem tak samo się śmieje, takie kilkanaście wierszy same wystarczyłyby za dowód ogromnego talentu autora. Wielu u nas po nim pisało komedye, w tych komedjach było mniej może błędów, niż w *Cudzoziemczyźnie*, a który wymyślił kiedy coś tak zabawnego, jak to opowiadanie Radosta? Który znalazł kiedy jedno z tych słów danych tylko genialnym ludziom, słów które najkrócej, najzwięźleją, a najwymowniej charakteryzują, reasumują i formułują jakąś ogólną prawdę, jakąś stronę życia, lub skłonność ludzkiej natury? Słowa takie czasem piszą się złotem na marmurze, na posągach i gmachach, czasem na sztandarach wojsk, czasem przechodzą w usta wszystkich i stają się wspólnym dobrem, wspólnym dowcipem całego narodu. *Tu l'as voulu George Dandin, Vous êtes orfevre Monsieur Josse, il'ya avec le ciel des accomodements, chacun a un pere*, wiele to dowcipów Moliera, Beaumarchais'go, Szekspira, przeszło już w przysłowie. Wiersz Fredry:

„Przecież zimą, czy latem, czy polem, czy lasem  
Miło angielską miłą przejechać się czasem”

godzien stać obok tego wszystkiego, jest najdowcipniejszą i najogólniejszą satyryczną formułą na cały jeden odwieczny kierunek polskiej natury i rodzaj polskiej śmieszności, na naśladownictwo, na *cudzoziemczyznę*.

Jakim sposobem jeden i ten sam człowiek mógł napisać *Męź i Żonę* a potem *Nowego Donkiszota*? A jakim sposobem mógł Göthe napisać *Stellę*, Szekspir *Peryklesa*, jakim sposobem może czasem bonus zasypiać Homerus? Nie trzeba pytać, trzeba z rezygnacją przyjąć fakt, że człowiek najzdolniejszy jest podległym ogólnym prawom ludzkiej natury, a talent, największy nawet, nie zawsze sobie równy. Krotochwilna, rubaszna komedia, farsa, może być bardzo zabawną, a młodzieniec chciwy wrażeń i szukający romantycznych przygód w życiu, może być bardzo zabawnym w komedyi lub w poezyi nawet, i to nietylko w czasach kiedy w życiu trafiają się podobni: hrabia z pana Tadeusza nie stracił nic na wartości, choć dziś nie spotka się już młodych ludzi marzących o wyprawie na Birbante Rocca. Ale ten Don-



Kiszot jest tak śmieszny, że śmiesznym być przestaje. Że ktoś „bawiąc w Sycylii u pewnego księcia” z zapałem robi wyprawy na rozbójników, to się da pojąć i pogodzić ze zwykłymi prawidłami ludzkiego umysłu. Ale kto wyjeżdża z Warszawy, żeby na gościńcu szukać awantur takich, jakie się trafiają w poematach Aryosta i Tassa, ten nie ma rozumu pomieszanego jak Don-Kiszot, ten po prostu ma rozumu niepełna. Możliwe zresztą znieść tę figurę jakakolwiekby była, gdyby z jej zbyt śmiesznego pomysłu wynikały rzeczywiście śmieszne zawikłania i sceny. Ale komiczność polegająca na środku tak już zużytym jak *qui pro quo*, albo na głuchocie (defekt fizyczny nigdy nie jest zabawnym w powieści ani w komedyi, dla tego zapewne, że jest przypadkiem przywiązany do jednego indywiduum, a jako taki nie może służyć do charakterystyki typu) jest komicznością bądź płytką, bądź szukaną, naciąganą, zatem nie prawdziwą. A kiedy jeszcze autor każe nam wierzyć, że jest jakaś panna, nie waryatka, ani idyotka, której się takie stworzenie ograniczone i śmieszne jak ten Don-Kiszot podobą, która go kocha i śpiewa do niego kilka czy kilkanaście strof czułej ballady, wtedy wieńczy dzieło końcem godnym jego, nieprawdopodobieństwem największym ze wszystkich nieprawdopodobieństw tej niezabawnej i niesmacznej farsy.

Z farsą także graniczą dwie trzechaktowe komedye, z których jedna *Ciotunia* byłaby bardzo zabawną, gdyby szczerze farsą być chciała, gdyby nie wspięła się czasem niezgrabnie na szczudła, żeby udawać wyższą komedye. Stara panna przekonana, że cały ród mężki w nią zakochany, jest wprawdzie nie nową w komedyi figurą, a ile razy się powtarza zawsze choć o tém nie myśli, musi przypomnieć Belizę Molięra. Ale nie można się dziwić autorom, że powtarzają w komedyi śmieszność, która w życiu powtarzać się nie przestała, a panna Małgorzata ze swoim szambelanem, to dobra para karykatur, zwłaszcza kiedy się kłócą, kiedy z sobą zrywają, kiedy sobie zwracają różne drobne zakłady gorących affektów: tasiemeczkę, guziki, siarniczki, świderki; kiedy oddają z listami beczkę i kuferek, są nawet bardzo zabawni. Ale czyż trzeba było takiego nakładu wyobraźni, takiego trudu w szukaniu jakiegoś tła, jakiejś akcji, w której te karykatury miały wystąpić. Czy warto było tyle rzeczy wymyślać: pojedynek, pułkownik śmiertelnie ranny, rotmistrz uciekający przed sądem wojennym, przybrane nazwisko, tajne małżeństwo. Oto zawikłane perypetye, które autor wymyślił na to, żeby biedna Małgorzata mogła mieć Edmunda za nieżonatego, a szambelan łudził się nadzieją otrzymania ręki Aliny. Czy nie było prościej i łatwiej opuścić te wszystkie antecedenecye, przez które akcja doprawdy nie staje się żywszą ani bardziej zajmującą? Takie ostatnie illuzycy jak szambelana i ciotuni nie potrzebują troskliwego starania ani wymówek, kwitną wszędzie, na każdym gruncie, schodzą gdzie ich nie posiać, a żeby je zniszczyć nie trzeba było tak ciężkiej maszyny jak sekretne małżeństwo. Do tego dwa czarne charaktery, ale to czarne jak w najczarniejszej melodramie, namiętna Flora i chytry Zdzisław,

którzy intrygują okropnie żeby żyć kosztem Aliny, i w jej domu, charaktery ani komiczne ani dramatyczne, a w wielkiej dysharmonii z tonem całej komedyi. Z całej ich intrygi dobry jest tylko list siostry szambelana, jej przyjaciółka pani asesorowa, która się zatrudnia tém co do którego munduru należy. Ze przesadzony mniejsza o to, skoro *Ciotunia* do farsy się zbliża; szkoda tylko że w przedstawieniu stracona jest dla widza ortografia, która śnać musiała bardzo bawić autora, skoro nawet tym drobnymi środkami komiczności nie wzgardził.

Pani Orgonowa, pani Dyndalska, panna Aniela, nierozdzielne jak trzy mitologiczne Gracye, a straszne jak trzy Parki, to karykatury, przez które cała historia *Dam i Huzarów* przechodzi w ton prosty nieco rubasznej krotchwili. Ale co za różnica i co za wesoła, miła komedyjka pełna humoru, śmieszna od początku do końca, ożywiona doskonałymi typowymi figurami, połykająca dowcipnymi słowami, zajmująca akcją ciekawą i dobrze prowadzoną a nawet nie pozbawioną prawdy głębszej, choć głęboko pod dowcipem ukrytej, bo historia poczciwego Majora i jego przyjaciela Rotmistrza jest historią wszystkich mężczyzn na świecie począwszy od ojca Adama i wychodzi na stwierdzenie mądrego adagium księcia biskupa warmińskiego: „my rządźmy światem, a nami”... czasem nawet takie jak pani Orgonowa i panna Aniela.

Z wyjątkiem czulej Zofii trochę konwencyonalnej, z wyjątkiem słodkiego porucznika, który z uśmiechem pyta „jakim rozkazem zaszczyliły go damy” i z wyjątkiem przydługiego opowiadania téjże Zofii o heroicznym dziełach tegoż porucznika, nie ma w całej komedyi jednej chwili któraby nie była zabawna, jednej sceny, któraby się wlokła, jednej figury, któraby nie była doskonała. Od pani Orgonowej aż do jej kota, od pani Dyndalskiej aż do wywiezionej klucznicy, którą Kutasiński ma przywieźć na Łysym jak upiór Lenorę, od „nie uchodzi” kapelana aż do ciasta, które Grześ ma upiec na komendę, wszystkie Damy i wszystkie Huzary są pełne życia, prawdy a nadewszystko humoru. Niektórzy bezbożni śmiają bluźnić na panią Dyndalską i twierdzić, że ona traci na porównaniu z wielkim charakterem pani Orgonowej i naiwną nieświadomością panny Anieli; to potwarz: pani Dyndalska może mniej mówi, ale nie gorzej; owszem mówi tak porządnie, tak systematycznie, tak gruntownie, ma taki swój odrębny a wcale nie rzadki w świecie rodzaj nudnego gadulstwa, że bynajmniej swoim siostrom nie ustępuje: owszem jest konieczna do uzupełnienia tego bukietu wdzięków. A biedny Major jak od nich ucieka zrazu, jak potem daje się im zawojować, jak wreszcie wpada w furję na kolegów; Major taki komiczny a taki sympatyczny przytém, taki poczciwy, serdeczny stary żołnierz do szpiku kości, to już figura nie zabawna tylko, ale i ładna. Jedno tylko może za śmiałe, może do prawdy nie podobne, że mężczyznę powab niewieści łatwo podbije, zwłaszcza kiedy jak mówi Klara: „znajdzie wtór do jego piosneczki,” a dopiero mężczyznę już podstarzałego, a który przez całe życie nigdy celem kokieterii nie był,



zbytecznie mówić, cała historia świata nie dowodzi niczego innego. Ale czy jest taki, choćby stary jak Matuzalem a naiwny jak nowonarodzone dziecko, któryby się dał złapać pannie Anieli? Kwestya psychologiczna jest wątpliwa, ale ta scena stariej kokieteryi z naiwną dobrodusnością jest niewątpliwie zabawna. A co najzabawniejsze i najładniejsze, to wszystkie Huzary razem, to te typy wojskowe przedstawione z takim życiem, z taką prawdą, z takim humorem i z taką serdeczną sympatją; owoc żywych studyów, obozowych wspomnień i spostrzeżeń autora. Przez nie sztuka przestaje być tylko wesołą komedią, a nabiera prawie powagi i wartości wiernego wizerunku miłych a coraz bardziej znikających postaci.

*Gwaltu! co się dzieje?* jest także komedią w trzech aktach, jak *Ciotunia* i *Huzary* i już szczerą i zupełną farsą, ale na równej liczbie aktów kończy się podobieństwo. Trudna to rzecz z jakiegoś używanego sposobu mówienia wysnuć komedią, wymyślić zdarzenie, które mogło dać początek przysłowiu, a ta „Sprawa w Osieku,” którą Fredro ilustruje znaną lokucją, możeby mogła być zabawna. Świat przewrócony do góry nogami, lub może prosto na nogi postawiony, podług niektórych doktryn nowoczesnych: mężczyźni w spódnicach i czépkach przedą i kołyszają dzieci, kobiety rządzą: jedna jest burmistrzem, druga sędzią, trzecia naczelnikiem siły zbrojnej. Sytuacya tak szalenie nie podobna do prawdy, na scenie mogła być uratowana tylko przez szaloną wesołość, przez sytuacye coraz nowe, coraz niedorzeczniejsze i coraz śmieszniejsze. Niestety, komiczna sytuacya jest jedna tylko w trzech niby odmianach: żołnierz wzięty w niewolę a podbijający po kolei wszystkie trzy serca trzech tryumwerek Osieckich. One same w swoich pretensjach i niedorzecznościach są jednostajne, tak samo ich zawojowani mężowie w swoim strachu: a to że jeden z nich szepleni, mówi *l* zamiast *r* i *s* zamiast *sz*, to podobnie jak głuchota Kmotra w *Nowym Don-Kiszocie*, ani jemu, ani komedyi wartości i zajęcia nie dodaje.

*List*, jest drobnostką wesołą i napisaną ładnym wierszem; starsza od niego o lat kilka *Pierwsza Lepsza* jest może ciekawém świadectwem czasu właśnie dlatego, że osnuta na założeniu tak mało prawdopodobném. Zeby się człowiek przy zdrowych zmysłach założył z klubowymi przyjaciółmi, że się ożeni z pierwszą kobietą, która przejdzie pewną oznaczoną ulicą publicznego ogrodu, w to uwierzyć trudno. Taki pomysł szalony zrodzić się mógł tylko w głowie czechój i próżnej, a zwłaszcza rozpróżnionój, do tego, próżnej w obu znaczeniach tego wyrazu, bo zakład ten jest oczywiście chęcią zwrócenia na siebie uwagi, zrobienia efektu i hałasu fanfaronadą. Młody chłopiec wtedy tylko do téj śmieszności i zdrożności dojść może, kiedy nie ma zajęcia żadnego, a pieniędzy dużo. Życie wygodne i łatwe, życie z dnia na dzień a co dzień takie same znudziło go okropnie, przyjemności i emocye klubowe, karty, konie, sukcessa salonowe i zakulisowe, wszystko mu się już sprzykrzyło, a jednak on jest młody jeszcze i chce żyć, czuć że żyje. Gdyby służył w wojsku czy w urzędzie, gdyby coś robił ustrzegł-



by się i nudów i tych ekscentrycznych wymysłów, które go jeszcze jako tako bawią i zajmują. Ale może służyć nie mógł, może istotnie nie było dla niego możliwego zatrudnienia; ztąd to skrzywienie fantazyi, ten zwrot energii i młodości, jaka w nim być mogła do zabaw ekscentrycznych i szalonych. Tego co zrobił Alfred w *Pierwszej Lepszej*, nie zrobił nigdy nikt, ale usposobienie podobne było w wielu i dlatego może on być uważanym za ślad tego rodzaju życia, jaki w skutek okoliczności powstał i panował dość długo między bogatszą młodzieżą w Galicyi. Szalona gra, liczne pojedynki, junactwa i tężyzny, w których młody człowiek pokazywał swoją energią i odwagę, i otwierał im kłapę bezpieczeństwa, wszystkie te rzeczy częste i powszednie wyływały z tych samych przyczyn co szaleństwo Alfreda, a on jak drugi Alfred (Mąż i Zona), jak Wacław, jak Leon Birbancki, wszystko to dzieci jednego czasu i kraju, produkta tych samych wpływów i okoliczności.

Ale *Odludki i Poeta*? z kąd się ci wzięli, i po co? co znaczy ten pomysł, to połączenie mizantropii z poezją, które komedyi nie stwarza wcale? Że w rozmowie Astolfa z poetą Edwinem są ładne myśli i wiersze, zwłaszcza w ironicznej przemowie odludka, to prawda; ale na komedya jest poważnego, wzniesłego tonu za wiele, na dramat za wiele komedyi, na jedno jak na drugie akcji za mało. Oberżysta nie chce dać córki biednemu poecie; milczący odludek, który przez cały akt nic prawie nie powiedział, rozczulony lirycznym zapałem młodzieńca, daje mu majątek i służy za swata. Oto treść cała, której główną myślą i celem jest oczywiście różnica mizantropii dwóch odludków, z których jeden ma serce czułe, a drugi już tak stwardniałe, że nie ma nic prócz goryczy, a na szczęście drugich nawet patrzeć nie może. Kontrast tych dwóch charakterów i ich połączenie, mogłyby złożyć bardzo ładny obrazek komiczny, nakształt *Zrzedły i Przekory*; ale naradzało rozwinąć te dwa charaktery na tle jakiejś akcji, wymyślić taką, któraby im działać pozwoliła. Tu i *Odludki i Poeta* zostają w ciągłej i koniecznej bierności, z sobą nie mają nic do czynienia, schodzą się i przypadkiem w kawiarni i rozpowiadają sobie nawzajem swój sposób patrzenia na świat i życie: oto wszystko. Rozmowa jest ładna, ale komedya niedostateczna, niedokształcona, wyszła jak żeby z niedojrzałego pomysłu.

A *Nikt mnie nie zna*, ostatnia, najzabawniejsza z tych małych komedyj? Ta łączy w sobie i daje poznać bardzo wyraźnie właściwe autorowi przymioty i wady. Przymioty humoru, efektu, instynktu dramatycznego, sceniczności, pomysłów tak komicznych, że konając jeszczeby można śmiać się z Kaspra, jak płacze słuchając opowiadania o swoim własnym powieszeniu, a wady, pewne lenistwo, które nie chce zadać sobie pracy nad wymyśleniem fabuły prostej i prawdopodobnej, tylko ją składa z trafów, z antecedeny i sztucznych i przypadkowych, które trudno mogły się zdarzyć, trudniej w takiej liczbie i tak na zawołanie z sobą spotkać. Co on rzeczy musiał wymyślić zanim doszedł do swojej akcji! Mąż zazdrosny i szpiegujący żonę, to nic

dziwnego. Ale trzeba, żeby ten mąż trafem na noclegu spotkał nieznanego oszusta, żeby się przed nim wygadał, żeby ten oszust bojący się aresztowania, jego ubrał w swoje nazwisko i suknie, żeby trafem w tój samój karczinie znalazł się szwagier Marka Zięby, żeby podsłuchał zmowy, żeby dalej, znowu trafem, ci dwaj szwagrowie nigdy w życiu nie byli się widzieli, i dopiero żeby w głowie jednego powstał plan śmiały i także nie bardzo do prawdy podobny, przebrania się za drugiego jak tamten, za rotmistrza Rembosza i grania jego roli w jego własnym domu. Autor żąda od czytelnika wiele, kiedy mu każe wierzyć, że to tak wszystko było, i na tём rusztowaniu przypadków opiera treść swojej komedyi. Ale na tój kanwie dość słabój i podziurawionój jak haftuje! co za komplikacye, co za jaskrawe a komiczne sytuacye biednego Zięby złapanego w swój własny podstęp jak w samotrask! Najprzód ten straszny sobowtór w domu, który mu sad wycina i folwark sprzedaje; potem stary lichwiarz z wekslem podpisanym przez Rembosza; potem major, który grozi kulką za nieprawe noszenie munduru: wreszcie żona, która mu wmawia w żywe oczy, że Markiem Ziębą, jój mężem, jest ów drugi! A Kasper, wierny sługa „co pilnuje szkatułki, sypia na tłomoku,” jak za przykładem pana chce wypróbować wierność swojej żony, płacze nad swoim powieszeniem, potem pomiarkowawszy się że żyje, oświadcza jój się jako wdowie, i dowiaduje że ona już przyrzeczona innemu, którego kochała „jeszcze za życia męża nieboszczyka:”

I kochasz?—Kocham.—Kochałaś?—Kochałam.

— Zatem męża zwodziłaś?

— A cóż robić miałam?

Kasper, który się skarży, że jakiś rycerski obrońca żony „wybił mnie żywego za mnie nieboszczyka” niezrównany przez cały ciąg sztuki, przewyższa sam siebie i staje się absolutnym ideałem głupiego służącego, kiedy swany przez pana, żeby dał świadectwo o jego tożsamości z Markiem Ziębą, przypomina sobie jego dawne rozkazy i kontent z siebie i swego sprytu na zapytanie „kto ja jestem” dobija nie szczęśliwego Marka odpowiedzią, której się wyuczył jak pacierza: „Jan Rembosz, rotmistrz: jedziemy z Poznania.” A jego opowiadanie o walce ze złodziejem, który mu wyrwał skrzynkę z papierami Zięby, opowiadanie w swoim rodzaju tak klassyczne, jak sławne Teramena *à peine nous sortions des portes de Trezene!* Ile tam Fredro włożył dowcipu, komicznój inwencji, szalonej wesołości! Czy może być co śmieszniejszego jak Marek, kiedy chce rozczulić żonę o swojej tożsamości. dowieść wspomnieniami ich poznania i pierwszych wyznań: „nie pamiętasz, w Lublinie, w dzień świętój Justyny: poznałem cię na balu, miałem fraczek siny,” myśli że żona przypomni sobie po fraczku, ale zdradliwe serce i krótka pamięć niewiasty nie chcą wiedzieć o fraczku, trzeba szczegółów więcej i pamiętniejszych, wbijających się głębić i w pamięć i w serce. Ciągnie więc Marek dalej:



„upadłem z tobą w tańcu, stłukłem ci kolano; potem ci powiedziałem, że jesteś kochana.” Ou jest komiczny nie tylko teraz, ale i wtedy, przed laty, w swoim sinym fraku, w tym tańcu, przy którym stłukł jej kolano, w tym wyznaniu zapewne tak zgrabnym jak jego tańiec. Hojny autor raczy czytelnika podwójną dozą śmiechu, kosztem swego bohatera. Albo w zakończeniu kiedy zwołuje służących, Martę, którą już raz wypędził, Bartosza, którego kij często przemierza, Filipa, którego nie chce trzymać, który o to nie dba i t. d. i przypomniawszy te dobrodziejstwa, żeby tym pewniej trafić im do serca, rozpacza potem, że nikt go nie zna w domu. Zbieg okoliczności, które komedya poprzedziły był nienaturalny i ciągnięty za włosy, ale zbieg okoliczności w komedyi, jeżeli już tamte przyjmiemy za możliwe i dane, jest niezmiernie zabawny i obrobiony, zużytkowany, wyczerpany z humorem, z fantazyą komiczną, jakiej żaden Polak nigdy w tej mierze nie posiadał.

A teraz jedna jeszcze komedya większa i wyższa: *Przyjaciele*, do której autor sam bardzo ma być przywiązany, uważając ją za jedno ze swoich dzieł najlepszych. Niech nam wolno będzie być innego zdania, i uważać tę komedya za najslabszą właśnie ze wszystkich, z wyjątkiem *Don Kiszota* i *Nocelegu w Apeninach*. Młoda wdowa bogata i młody oficer ubogi, niegdyś wychowaniec jej rodziców i przyjaciel jej lat dzieciennych, kochają się wzajemnie i tajemnie. Nic słusniejszego. Wdowa młoda i bogata, a bezdzietna, nie może zrobić nic lepszego jak oddać serce, rękę i majątek porządnemu chłopcu, który dowiódł że jest coś wart. Oficer, dlatego że ubogi, przez delikatność i dumę może nieco zbyteczną, ale zawsze szanowną, tai się ze swoim uczuciem i heroicznie popiera przed Zofią sprawę swojego przyjaciela Czesława, również w niej rozkochanego. Zofia urażona obojętnością kochanego Zdzisława przyrzeka rękę tantemu. I byłoby nieszczęście gotowe, gdyby szlachetny Czesław nie był odgadł ukrytej tych dwóch serc tajemnicy i gdyby ich nie był, z poświęceniem własnych uczuć, wspaniałomyślnie połączył. Temat, z którego można było zrobić komedya nie wesoło śmieszna, ale ładną, gdyby wdzięk w osobach, subtelną dowcip lub delikatny odcień czułości w słowach, gdyby układ prostszy, a postęпки bohaterów lepiej były uzasadnione. Niestety, tego nie ma, a za to są zawikłania i figury wcale nie komiczne, żeby nie rzec wcale nie potrzebne. Najprzód jest stara francuzka Bobinć, niegdyś guwernantka Zofii, zakochana w Zdzisławie i przekonana, że on za nią szaleje. Że ona, to nic dziwnego, ale że Zofia może wierzyć w miłość młodego chłopca do tej śmiesznej, głupiej, brzydkiej i stariej karykatury, uwierzyć tak mocno, żeby dlatego przez zemstę oddawać rękę drugiemu, to doprawdy łatwowierności zawiele. Miłość może być ślepą, zazdrość jeszcze bardziej, ale do tego stopnia rozumu i oczów nas nie pozbawia. To zaś jest głównym momentem, przesileniem, chwilą dramatyczną całej sztuki. Rzecz tak się miała. Szalona francuzka w swoich nadziejach i pragnieniach dała Zdzisławowi swoją miniaturę; on przyjął z zapalem i wdzięcznością, bo na tej samej kości, po drugiej stronie wymalował



wany był portret Zofii. Ktoś go zeszedł zuienacka jak ten portret do ust przyciskał; rozgadał: ztąd rozpacz Zofii i tryumf panny Bobinc. Do tego jeszcze ta Zofia jest dziwna: że trochę zalotna, choćby zanadto, mniejsza oto; ale jakaż kobiéta dobrze wychowana, nie głupia, mająca choć trochę smaku i taktu w obejściu, znosiłaby koło siebie takich adoratorów? Jakiś stary baron, dumny ze swoich herbów nie do śmieszności ale do idyotyzmu, i jakiś Wtorkiewicz zbogacony, nieokrzesany gbur, który znowu o swoich pieniądzech tylko mówi i co słowo śmieje głośno i nie mądrze (śmiech ten oznaczony jest wszędzie w tekście), i ta kobiéta, którą nam daje za rozumną i wykwintną, znosi te stworzenia w swoim towarzystwie, dopuszcza do tego żeby jeden i drugi śmiał choćby przez sen uważać się za jój wielbiela, dopuszcza że się o nią kłóca, dopuszcza że Wtorkiewicz oświadcza jój się takim tonem: „no, moja pani, ze mną co się w sercu dzieje? Puka trochę, nieprawdaż? na mój honor, puka.” Zofia mogła być lekkomyślną, płochą, kokietką; ale jeżeli była tak pełną powabu, dowcipu i dystynkcyi, jak mówi Zdzisław i Czesław, to z takimi kokietką być nie mogła. Bohatérski i czuły Zdzisław jest zwierciadłem honoru niezawodnie, ale na bohatera komedyi jest nudny; jego przyjaciel Czesław mało od niego lepszy: interwencya starego służącego w sercowych sprawach państwa, żeby najbardziej uprawniona jego zasługami i wierną służbą, choćby stuletnią, jest już nadto zużyta. Słowem z całej komedyi zostaje tylko Smakosz zabawny, typ żarłoka; ale jeden sprawiedliwy nie wystarcza na okupienie wszystkich grzechów komedyi i innych jój figur.

Ostatnia z tych komedyi jest z roku 1828. Potém coś się stało, że późniejsze noszą już cechę zupełnie odmienną. Najprzód przez lat kilka nie pisze Fredro wcale: najbliższe są „Śluby Panieńskie,” a te datują z roku 1834. Potém zmieniają się niektóre zwyczaje jego fantazyi. Ulubiony naprzykład bohater jego komedyi, ten który jest i w Geldhabie, i w Ciotuni, i w Przyjaciółkach, i w Damach i Huzarach, młody wojskowy otoczony jakąś bodaj maleńką aureolą chwały i zasługi, z bliźną, krzyżem, z urodzenia, z bożej łaski bohater i zdobywca serc niewieścich, od tego czasu znika zupełnie. Na jego miejscu występują ludzie innego rodzaju życia i powołania: artyści jak w *Jowialskim*, albo jak w *Dożywociu* rozpróżniane fircyki, albo modny kawaler, światowy trzpiot jak Gustaw, albo wreszcie jak w *Zemście* figury z innego świata z czasów tak odległych, że ich nikt z żyjących nie widział. Tacy odtąd muszą się podobać pannom i paniom z komedyi Fredry, bo tamtych już im autor za kochanków i mężów nie daje. A ta zmiana w rodzaju jego ideałów dowodzi, że coś się zmieniło, czy w nim czy w społeczeństwie, które go otaczało. Zaszła nawet zmiana w jego talencie: nie na gorsze, owszem na lepsze. Talent ten nie stracił żadnego ze swoich świetnych przymiotów, wszystkie zachował, ale zachowując dawny humor i świeżość, spoważniał jakoś, spotężniał, dojrzał, stał się głębszym. Rzecz może przypadkowa, ale tak widoczna, że trudno na nią nie zwrócić uwagi: od tego czasu nie napisał już Fredro

ani jednej farsy. Komedy, które pisał były weselsze i zabawniejsze od wszystkich fars, ale były głębsze, miały szerszy zakres i większe zadanie; albo jakiś problem psychologiczny, jakiś fenomen zdarzający się w naturze ludzkiej, zbadany głębiej i przedstawiony świetniej jeszcze niż dotąd bywało, albo postacie, które już z powierzchni świata znikły, które przez to, zdaniem poety, należeć zaczęły do krain i zakresów poezyi, a które ten komik powoływał do życia tak dobrze, jak mało który poeta. Jakkolwiekby po tych kilku latach przerwy, kiedy talent Fredry zerwał się do tworzenia na nowo, ukazał się w nowój postaci, świetniejszy i silniejszy niż był kiedykolwiek i wszedł w swoje najpiękniejszą epokę, zupełnej dojrzałości i doskonałej prawie harmonii, w epokę *Zemsty* i *Ślubów Panięskich*.

---

## O ZJAZDACH,

CZYLI

# KONGRESACH NAUKOWYCH,

I ICH DZIAŁANIU W OSTATNICH KILKU LATACH.

### I.

Uwagi wstępne.—Miejsce kongresów w pośród przyrządów naukowych.—Akademie, Towarzystwa naukowe, kongresy.—Klasyfikacya kongresów: jednokrajowe, między-narodowe.—Kongresy przyrodnicze: mowy i zagajenia Tyn-dalla, Dubois-Reymonda, Virchowa, Wurtza, Schaffhausena, Carpentera.

Jakibądź sąd zechce ktoś wydać o naszym stuleciu, a sąd ten może być bardzo rozmaity, korzystny lub niekorzystny, według stanowiska jakie zajmie sądzący; na to jednak zgodzić się musi każdy, że wiek ten, ma jedną wybitną cechę, t. j. niezwykłą we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach działalność. Krząta się, próbuje, doświadcza: w naukach, przemyśle, sztukach, w wojnie i pokoju, w systematach i utopiach, w reformach i rewolucjach. W rzeczach wielu poszedł daleko naprzód i niepospolite zyskał powodzenie. Inne, po których wiele się bardzo spodziewano, nie zawiodły wprawdzie nadziei, ale przyniosły wypadki zupełnie niespodziewane. Koleje obok korzyści finansowych i ekonomicznych, zamiast ułatwień w zbliżeniu się i zjednaniu narodów, dały wojnom niezwykłe dotąd rozmiary i ułatwienia. Spekulacye i przedsiębiorstwa, mające posługiwać dobru ogólnemu i budować fortuny prywatne, stworzywszy niemało rzeczy prawdziwie wielkich i pożytecznych, zasiały także pole walki przemysłowej i finansowej ta-

ką liczbą ofiar, tak się naraziły moralności publicznej, że raczej nieufność jak uznanie dziś obudzają. Utopiści i reformatorowie, mający ludzkość uszczęśliwić, ruiny i przerażenie rozsiali w około. Pełno się spotyka zwykle niespodzianek, ile razy wchodzi się na nowe zupełnie drogi. Obok jednak tej przepaści szarej rzeczy nieznanych i niewiadomych, w którą się wchodzi świeżo otwartymi drogami, spotykamy jeszcze, rozpatrując rezultata tej niezmordowanej działalności wieku w życiu, obyczajach, prawodawstwie, polityce a mianowicie w systematach i teoryach, proste potknięcia, błędy i cofania. Systemata budują się dorywczo i to niekiedy na wątku jednej tylko myśli, jednego spostrzeżenia lub odkrycia. Prawodawstwa i konstytucye, robią się pod wpływem wrzącej jeszcze namietności gniewu lub zemsty i t. d.

Tkwi więc w tym wielkim przymocie wieku, w tym popędzie do niezmordowanej działalności, pewien zaród złego, jakiś robak który ten piękny kwiat podgrzyza. Znany myśliciel angielski W. Bagehot, upatruje tego robaka w zbytku ruchliwości i pośpiechu. Stawia tę ujemność jako przeszkodę do koniecznego w pracach umysłowych, przemysłowych i handlowych, a mianowicie prawodawczych, spokoju i równowagi myśli. Jako antydot przeciwko niéj, zaleca on parlamentaryzm, nawyknięcie i konieczność dyskusyi. Nie chcemy jednak wchodzić w to bliżej, ani czy zarzut jest trafny, ani czy lekarstwo właściwe: chcieliśmy zaznaczyć i tylko jako cechę wieku, jego niepospolitą działalność, mając mówić o jednym z nowych wytworów tej działalności na polu naukowym. Uważamy także tę działalność nietylko jako cechę, ale jako zaletę. Jeżeliśmy zwrócili zarazem uwagę na zarzut i radę Bagehota, to nie w tym celu, aby poniżyć samego ducha przedsiębiorczości i działalności, ale tylko aby mimochodem zwrócić uwagę na wielki przedział i różnicę, jaka istnieje pomiędzy działalnością natężoną, ale jednostajną, ciągłą, rozważną, stosującą tempo swego ruchu do istotnej potrzeby i natury rzeczy, a więc unikającą pomyłek, posuwającą się ciągle naprzód i osiągnającą cele które zamierzyła, a działalnością rwącą się gwałtownie, chwytającą rzeczy nowe bez rozważni, myślącą się w środkach i celach, a więc cofającą się, zamiast iść naprzód.

Popęd do działalności jest wielkim przymiotem. Sztuka spożytkowania tego popędu jest trudną sztuką; w bardzo nierównym stopniu posiadają ją ludzie i narody. Jak każda sztuka, doskonali się. Peryod w którym nam żyć dano, powtarzamy, mimo wszystkich zarzutów, które mu zrobić można, rozwijając wielki zasób rzutności i energii w pracy i przedsiębiorczości i wytwarzając sztukę pracowania pożytecznie i dobrze, oddaje niemałą usługę cywilizacyi.

W naukach, to krzątanie się, ta energia naszego czasu, nie jest wcale mniejszą jak na innych polach działalności. Plemiona i zakątki mało lub wcale dotąd na widownię naukową niewystępujące, czynniejsze zaczynają brać w niéj udział, lub przynajmniej żywić się tym ruchem ogólnym zajmować. Te narody, które szły na przódzie, starają się wyrabiać nowe narzędzia, nowe przyrządy, nowe formy, jużto do



zaszczepiania ducha naukowego w młodych, kształcących się pokoleniach; jużto do rozpowszechnienia i spopularyzowania zdobyczy naukowych pomiędzy ogółem czytających; jużto do wytwarzania nowych ognisk naukowych, scentralizowania środków i pomocy naukowych; jużto wreszcie do zbliżenia uczonych, wzajemnego porozumienia, dyskusji rzeczy wątpliwych i spornych, obmyślenia jednostajnych metod działania.

W wydawnictwie dzieł naukowych i ich tłumaczeniu, śmielęj w ogóle idą autorowie i nakładcy, nawet i u nas. Piśmiennictwo periodyczne wyspecjalizowało się i do wielkich przyszło rozmiarów. Zakłady wychowawcze urozmaiciły się, rozkategoryfikowały i do wszystkich potrzeb społecznych usiłują się naginać. Po miastach zakładają się muzea, urządzają się wystawy. Konferencye naukowe, odczyty, wykłady dla różnych warstw społecznych obmyślane, starają się zapełniać godziny wolne od pracy lub towarzyskiej rozrywki.

Dla samęj w sobie nauki, dla jęj postępu, służyły do początków obecnego stulecia, same wyłącznie akademie. W wieku bieżącym rozpowszechniły się różne stowarzyszenia naukowe. Ostatnie zaś czasy przyniosły nam nową formę: t. j. kongresy naukowe wędrowne.

Łatwo dojrzyć na pierwszy rzut oka, że każdy z tych działaczy, czyli raczej każda z tych form działania naukowego, ma odmienną naturę i zakres. Akademie, stowarzyszenia i kongresy, nie różnią się w celach, i dla wszystkich, postęp nauk, ich rozpowszechnienie i zamiłowanie są wspólnym hasłem. Z natury ich jednak i z genezy ich płyną znaczne różnice w środkach i zakresie działania. Najogólniejsza różnica jest ta: że stowarzyszenia specjalizują się i działać mogą w pewnych kierunkach i do pewnych wyłącznych celów; że mogą rozsiadać się gęściej po kraju, działać mniejszymi środkami i przyrządami naukowymi, wreszcie łączyć tylko specjalistów. Kongresy naukowe rozciągają swoje promienie szerzej, bo po za granice stowarzyszenia: ruchliwsze, przenoszą się z miejsca na miejsce; w wielu razach wciągają w siebie uczonych różnych krajów; w każdym razie z kolei różne elementa miejscowe, dają pole dyskusji i każdemu pozwalają brać w nięj udział, przyzywają na pomoc podniętę wspólnych wycieczek naukowych, urok przyjąć uroczystych, uczt wspólnych, improwizacyi toastowych, zmiany coraz nowych miejsc i ludzi.

Ten zarys różnic działania akademii, stowarzyszeń i kongresów, nie wyczerpuje wcale przedmiotu, jest on raczej powierzchownym i jedną tylko właściwie różnicę uwydatnia: większą elastyczność formy stowarzyszeń, większy blask, urok, większą że tak się wyrażim uniwersalność formy kongresów. Za temi przymiotami i zaletami nie idzie wcale, aby stowarzyszenia miały być pożyteczniejsze i skuteczniejsze jak akademie, a kongresy iżby kasowały swoim wpływem i znaczeniem tak akademie jak stowarzyszenia. Każdy z tych działaczy ma swoje pożytki i zalety, ale jedne drugich zastąpić nie potrafią. Wszystkie

razem stanowią całość, wcale sobie nie szkodząc, owszem jedne drugie dopełniają.

Akademie nie tylko wiekiem i tradycjami, górują nad stowarzyszeniami uspecjalizowanymi i kongresami. W trwałości i ciągłości ich prac, w rozległości planów i projektów, jakie mogą rozwijać i przeprowadzać; w trwałości źródeł i podstaw swego bytu i rozwijania, mają wyższość nad inszszą, meteoryczną naturą, kongresami. Nad stowarzyszeniami zaś, które zwykle tylko do specjalnej gałęzi nauk lub sztuki się odnoszą, mają w tym wyższość, że obejmując całość obszaru umiejętności, mogą utrzymać równowagę stałą, pomiędzy pojedynczymi jej gałęziami; że nie pozwalają jednej zbyt mocno wybujać nad drugie, że się nie łatwo dadzą porwać prądom czasowym, zwykle zbyt mocno biorącym pochylność ku jednej stronie: wreszcie że w swojej korporacyjnej różnorodnej naturze, znajdują siłę dostateczną do oparcia się genialnemu nawet awanturnictwu. Używając porównania z inną sferą wziętego, powiemy, że akademie są to sztaby główne armii naukowych; towarzystwa specjalne to sztaby i szkoły pojedynczych broni; kongresy, to popisy pospolitego ruszenia, w najdonośniejszym tego słowa znaczeniu, z ową epoki, kiedy każdy rycerz pojedynczo był doskonale wyćwiczony w swoim rzemiośle, przejęty poczuciem obowiązku i karności. To landwera dzisiejsza. Do zebrań ochotników angielskich nie chcę ich porównywać, bo ci nie dali jeszcze dowodów swej wartości na polu bitwy.

Robiono nieraz zarzuty akademiom, czy słuszne czy niesłuszne, nie chcemy w to wchodzić, bo zarzuty odnosiły się najczęściej, do pewnych tylko miejsc, do pewnych tylko czasów. Niedawno wystąpił z ogólniejszym zarzutem W. Bagehot, w piśmie bardzo upowszechnionem, bo umieszczonem w Bibliotece naukowej między-narodowej <sup>1)</sup>. Powiada on (s. 65) „że akademie są przytułkiem dla idei i skłonności czasu minionego, epoki upłynionej.” I dalej powiada jeszcze przytaczając i popierając słowa przez kogoś innego powiedziane: „Gdy człowiek nauki dochodzi do wyższości w jakiejś jej gałęzi, staje się przeskodą, bo przechowuje błędy, które popłacały w jego młodości, a które nowa generacja odrzuca.” Dziwną zaiste nielogiczności zarzut i tylko chyba do pojedynczych ludzi i charakterów można go zastosować. Dla ogółu ludzi pracujących w naukach, każda zdobycz, każda prawda odkryta, są szczeblem na drabinie postępu. Starają się sami iść ciągle wyżej i całą swoją epokę i jej prace za nic innego nie uważają, jak za jeden szczebel w ogólnym ruchu ludzkości. Zarzut powyższy, tym dziwniejszy jest w ustach pisarza, który upatruje w czasach naszych, różne złe pochodzące ze zbyt dużej ruchliwości i pośpiechu, i to właśnie na polu naukowym. Jeżeli tak jest, a zdaje się że rzeczywiście tak jest, to właśnie autor powinien był uznać pożyteczność instytucji, łączącej w sobie wszystkie warunki rzeczywistego, ale miarkowane-

<sup>1)</sup> Lois scientifiques du developpement des nations. Paris 1873.

go powagą, gruntownym rozbiorem, postępu i tradycjonalności rachującej się z czasem i z przeszłością.

Rozważając dalej różnice tych trzech odmiennych przyrządów naukowych t. j. akademii, stowarzyszeń specjalnych i kongresów, dojrzymy, że choć we wszystkich potrzeba ludzi istotnej i jaknajbardziej gruntownej nauki, to jednakże w łonie specjalnego stowarzyszenia, aby być członkiem jego zupełnie kompetentnym i użytecznym, wystarcza gruntowna specjalność w tym przedmiocie, który jest celem i zadaniem stowarzyszenia. Do akademickiego zadania, jeżeli ma być rzeczywiście w całej swj obszerności spełnionem, potrzeba obok właściwej specjalności, bliższej znajomości innych nauk jeszcze, stosunku ich wzajemnego; potrzeba ducha obejmującego całość dziejów, instytucyi, potrzeby zmienne czasu i ogólne, wieczne potrzeby ducha ludzkiego. Duch i kierunek instytucyi od tego zależy, aby te dary, częścią nabyte, częścią wrodzone, były udziałem jeżeli nie każdego z członków, to przynajmniej ich większości.

Nieco inaczej rzecz się ma na kongresach naukowych. I tu wprawdzie, te przymioty i nabytki, któreśmy zaznaczyli jako akademickie, są przydatne i pożądane, ale z natury prac kongresowych jako specjalnych i przechodnich nie wypływa, iżby były konieczne. Wprawdzie niektórzy przewodniczący w kongresach, przy ich zagajaniu, wypowiadali nieraz rzeczy takiego znaczenia i takiej doniosłości, jakie nie często odbijają się o mury posiedzeń stałych ciał naukowych. Był to jednak, ściśle rzecz biorąc, *luxus*, zbytek, bez wątpienia zbytek pożądany, który też nie mało się przyczynił do nadania tém większego blasku i znaczenia zebraniom kongresowym. Najświetniejsze jednak mowy i zagajenia tego rodzaju są wyrazem przekonań indywidualnych, nie obowiązują zbiorowo, i nie mają też wpływu ani na obrady kongresu, ani na jego postanowienia. Są niejako uwieńczeniem, ale nie duszą i zasadą działania kongresów. Co najwięcej, można je uważać za odgłos przeważających prądów opinii, za skazówkę kierunku tych prądów w daném miejscu i czasie <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W rzeczywistości te trzy odróżnienia akademii, towarzystw i kongresów, nie istnieją tak wybitnie, jak je tutaj określamy teoretycznie. Nasze np. niegdyś Towarzystwo Przyjaciół Nauk warszawskie, miało charakter i naturę akademii, choć nie nosiło téj nazwy. Towarzystwo królewskie w Anglii ma wszystkie cechy, cele i zalety akademii, choć odmiennie w swj organizacji. Wiele instytucyj specjalnych po świecie, nawet wyłącznie kształceniu się młodzieży poświęconych, lub sztuce a nie naukom oddanych, noszą nazwy akademii. Są akademie malarstwa, muzyki, akademie tak zwane rycerskie w Austrii i w. i. Natomiast Towarzystwa, jak to niebawem zobaczymy, odbywają wędrownie kongresy naukowe, ze zwolenników pewnej umiejętności złożone. Pomimo tych odskoków i pomieszania nazw, stałą różnicą pomiędzy akademiami, stowarzyszeniami i kongresami jest to: że pierwsze są stałymi korporacjami do pielęgnowania i wzrostu ogółu umiejętności przeznaczonemi; towarzy-



Jeżeli jednak kongresy naukowe biorąc każdy z osobna, ogólnego ruchu nauk i cywilizacji przedstawiać nie inogą, to za to wzięte zbiorowo, w całym rozgałęzieniu swém nowoczesném, w całej różnorodności i różnonarodowości, przedstawiają obraz tak bogaty i urozmaicony, tak odbijający w sobie wszystkie niemal tętna bijące w łonie dzisiejszych społeczeństw, że je, jeżeli nie za zwierciadło, obecnego wieku, to przynajmniej za jedną z ciekawszych kart jego dziejów współczesnych uważać należy. Główną oryginalność ich stanowi wprowadzenie wielu kwestyi naukowych na arenę spraw między-narodowych. Zjazdy naukowe wszech-narodowe, są rzeczywiście zjawiskiem zupełnie nowém, podnoszą znaczenie kongresów i stanowią piętno im właściwe. Że wszystkie są i mogą być między-narodowemi, to z natury samój przedmiotów traktowanych na kongresach wypływa. Jak to później zobaczymy nie zmniejsza się przez to doniosłość i znaczenie tak tych, które są krajowemi, jak tych które są między-narodowemi; daje tylko miarę i skazówkę, gdzie zetknięcie i wspólna praca jest możliwa, gdzie ustąpić musi podziałowi i umiejscowieniu.

Staraliśmy się w kilku powyższych uwagach określić ogół przyrzędów, użytych obecnie do pielegnowania i postępu nauk i najważniejszych gałęzi pracy społecznej. Staraliśmy się zaznaczyć miejsce w pośród nich dla kongresów będących wyłącznym przedmiotem naszej pracy; skreślić najogólniejszą charakterystykę tego nowego wytworu ducha czasu. Przypatrzmy się ich robocie, zobaczymy je działające, a widok ten pomoże nam do spostrzeżenia nie jednego ciekawego szczegółu a zarazem do objęcia całości i do wysnucia niektórych uwag i spostrzeżeń tak nad samém działaniem kongresów czyli ich mechaniką, jak nad ruchem wyobrażeń i kierunkami nauk, które się w nich odbijają.

Uprzedzić jednak winniśmy czytającego, że nie podjęliśmy zamiaru pisania historii właściwej kongresów. Pomijamy badanie początków powstania, ludzi którzy pierwsi myśl tę podali; nie pójdziemy od samego początku, kolejną, stawiając daty i fakta, nic nie opuszczając. Te szczegóły nie byłyby bez wątpienia bez interesu, ale rozrzrzyłyby zakres pisma, któremu nie chcemy dawać znacznych rozmiarów <sup>1)</sup>.

stwa gronami związanych statutami miłośników i propagatorów jednej grupy umiejętności; kongresy chwilowém zebraniem się, dla wzajemnej wymiany myśli, dyskusyi, uczonych jednego zawodu, lub kilku, spokrewnionych ze sobą. Akademie mogą jeszcze mieć i miewają stale prerogatywy, przywileje i nadania od państwa i nawzajem pewne obowiązki publiczne. Mogą podobnie przywileje mieć i towarzystwa specjalne, nie mają one jednak zwykle takiej jak tamte doniosłości.

<sup>1)</sup> Wspomnimy tutaj tylko mimochodem, że zjazdy przyrodnauwców i lekarzy, najdawniej podobno trwają w Niemczech. Zjazd we Wrocławiu w r. 1874 odbyty, był 47 z kolei. Początek tych zjazdów zawdzięczają Niemcy Okenowi; trwał też długo tam zwyczaj, aby podnosić pamięć tego męża, na każdym ze zjazdów. Zwyczaj ten upadł a w Wrocławiu jeden z członków

Zadanie jakie sobie postawiliśmy jest inne. Bierzemy kongresy jako fakt społeczny nowy i nowoczesny, odrazu w pełni tego rozwoju, w jakim nam się w ostatnich kilku latach przedstawiają. Zbierając w wydawniejsze ruchy, cechy i znamiona, będziemy starali się uwydatnić wartość nowo-wynalezionej narzędzia, jego zasługi i usługi; zarazem o ile się pokażą, jego słabe i ujemne strony. Będziemy starali się w działaniu tego najpopularniejszego i najwziętszego obecnie aparatu, wykryć działanie ducha czasu i sprężyny nowych idei i potrzeb; wreszcie wskazać pewne rysy charakterystyczne doktryn, plemion, ras, jakie się uwydatniają w pracach kongresowych. To zadanie jakieśmy sobie postawili jest również nie bez interesu a może większe przedstawia trudności. Jeżeli ich wszystkich nie zdołamy pokonać, zwrócimy przynajmniej uwagę na przedmiot ciekawy i pobudźmy może innych do zrobienia czegoś lepszego.

\* \* \*

Dla dojścia do pewnej metody w rozpatrywaniu szczegółów, zauważamy najprzód: że kongresy jedne wyszły z inicjatywy stałych towarzystw naukowych i są niczém więcej, jak ich peryodycznymi, zwykle corocznymi zebraniem, przenoszonymi do miejsc coraz innych a powiększanymi dowolną liczbą uczestników z całego zastępu miłośników nauki. Inne wyszły z inicjatywy jednego lub kilku ludzi, kończą swoje zadanie w jedném zebraniu lub powtarzają się w mniejszych lub większych odstępach czasu, w miarę celu jaki sobie założyły. Powtarzając się, najczęściej także przenoszą się z miejsca na miejsce. Natura przedmiotu jakim się kongres zajmuje, rozstrzyga zwykle o odległości terminów zebrań. Nauki np. przyrodnicze, z których pochodzą jest szybki a zastęp pracowników wielki, odkrycia i postępy ciągłe a zastosowania w praktyce życia, w przemyśle, sztukach i rzemiosłach nieustające, gromadzą się najczęściej corocznie i mają co robić. Miłośnicy statystyki zbierają się w odstępach kilkoletnich. Tak samo zwolennicy poszukiwań archeologicznych.

Pomiędzy dwoma temi kategorjami kongresów niema rzeczywistej różnicy; możnaby tylko przypuszczać, że te, które opierają się na trwalszej podstawie stale istniejących i funkcjonujących stowarzyszeń, lepiej mają być swój zapewniony, mniej ulegać będą w przyszłości podmuchom i kaprysom opinii, zwrotom kierunków czasu, wpływom wypadków politycznych. Rozróżniliśmy je więc, ale nie robimy z nich oddzielnych kategorji, posługiwać mających w dalszych uwagach. Dalej zauważymy: że kongresy z chwilą nieomal powstawania każde-

---

kongresu, wytknął zjazdowi to zapomnienie i uczczenie pamięci Okena podniósł na nowo. Towarzystwo angielskich naturalistów, blisko jednocześnie podjęło myśl zbierania się w wędrowne kongresy. Kongresy statystyczne międzynarodowe powtarzają się od 1853. Kongres archeologiczny w Stokholmie był siódmym z kolei.

go z nich, rozpadały się na trzy odmienne gatunki. Jedne urządzały się jako kongresy prowincjonalne; inne jako kongresy narodowe, lub właściwiej mówiąc państwowe; inne wreszcie jako kongresy między-narodowe.

Rozgatunkowanie to nie wypłynęło z prostego przypadku, ale do pewnego stopnia z natury rzeczy:

Kongresy prowincjonalne nie były i nie są zwykle kongresami właściwie naukowemi. Mają one za przedmiot pewne gałęzie pracy lub przemysłu, w których nauka pomocniczo się stosuje. Obejmują pewną grupę ludzi jednemi interesami połączonych, z powodu jednorodności zajęć. Gdzie z powodów klimatycznych albo geologicznych, podział zajęć jest wyraźny, tam rodzaj takich kongresów jest naturą rzeczy wskazany. Pewne gałęzie przemysłu osiedlają się często grupami. I tak np. uprawa wina, tytoniu, chmielu, bawełny, do pewnego stopnia cukrownictwo, stanowią pewne grupy w państwach, jakby osobne prowincye; okręgi fabryczne, górnicze, metalurgiczne, stanowią także oddzielne grupy interesów i zajęć. Takie grupy związane z krajem czyli państwem węzłami ogólnych praw, tradycyi, mają przeciw swoje specjalne interesa i fachowe zadania potrzebujące wspólnego opracowywania i porozumienia.

O téj kategorii kongresów umiejscowionych, uspecjalizowanych, wzmiankę tylko dla oznaczenia kategorii robimy; nie będziemy mieli nic o nich w szczególe do powiedzenia.

Jako jednopaństwowe czyli krajowe urządziły się takie kongresy, które mają za cel i przedmiot rzeczy lub umiejętności, nad którymi można samoistnie pracować, w których współdziałal obcych nie jest konieczny; takie kongresy, które załatwiają się z pytaniami umiejscowionemi, ale mającemi doniosłość państwową; takie wreszcie, które zajmują się umiejętnością wprawdzie ogólną, wszystkie państwa i wszystkich ludzi zarówno obchodzącą, ale której zastosowania muszą być odmienne odpowiednio do czasu i do miejsca. Do téj kategorii zaliczyć można kongresy przyrodników w Anglii, Niemczech, Szwajcaryi, Belgii, Rosyji; kongresy uczonych w Francyi i Włoszech; kongresy ekonomistów angielskich, niemieckich, włoskich i w. i.

Tego rodzaju kongresy, niejednokrotnie łączą się w grupy pokrewnych sobie nauk. W Niemczech widzimy stale gromadzących się razem naturalistów i lekarzy; podobnie w Rosyji: toż samo widzieliśmy w Krakowie i Lwowie. W Anglii naturaliści przystępują sami bez żadnej przymieszki; medycy również sami: w Ameryce przyrodniczy łączą się z archeologami. W zebraniach uczonych francuzkich spotykamy największe urozmaicenie; widzimy tam sekcye: medyczną, inżynierską, górniczą, archeologiczną, antropologiczną, agronomiczną. Uczeni włoscy zbierają się także w mieszane kongresy. U Anglików nauki społeczne stanowią osobną grupę kongresową.

Nie sądzimy, mówiąc mimochodem o grupowaniu się nauk na kongresach, iżby połączenie wyłączone medycyny z naukami przyrodni-



czemi, było pomysłem loicznie usprawiedliwionym. Medycyna tak samo opiera się na naukach przyrodniczych, jak wiele innych obecnie nauk. Jeżeli się ma na oku samą czystą naukę, to żadna z nauk stosowanych nie powinna zabierać jej miejsca. Jeżeli się ma na oku i jej zastosowania, to wszystkie ważniejsze zastosowania powinny znaleźć równe uznanie i przystęp. W połączeniu medycyny samej z naukami przyrodniczymi nadaje się jej przywilej wyłącznego powinowactwa, którego wcale niema. Takie ugrupowanie dowolne na naturze rzeczy nieoparte, mąci pojęcia ogółu; tylko miejscowe, wyjątkowe względy mogą je usprawiedliwić.

Czy ugrupowanie się takie lub inne kongresów mieszanych może mieć znaczny wpływ na ich charakter i na kierunki, jakie mogą przybrać? Na to pytanie tylko doświadczenie odpowiedzieć może. Bliższe wpatwienie się w odbyte w takich lub innych ugrupowaniach kongresy, dać może nie jedną w tej mierze wskazówkę. Są nauki, które nawzajem się dopełniają i jedne bez drugich kuleją: ekonomia polityczna np., statystyka, prawo, są bardzo ze sobą ściśle połączone. Anglicy dalej poszli, bo do grupy nauk społecznych, włączyli higienę, wychowanie publiczne, prawodawstwo. Archeologia tak ściśle dziś łączy się z geologią, paleontologią i antropologią, że tych nauk rozerwać prawie nie można. Szczęściu zapewne przypisać należy, że pomiędzy geologami i paleontologami tak często spotyka się miłośników archeologii a pomiędzy archeologami znajomość historii lub nauk przyrodniczych, że łączność tych nauk na zjazdach archeologów, znalazła dostateczne potrzeby tej zadosyć uczynienie. Nauki przyrodnicze mają szersze nad inne zastosowanie i łączność i podobno najwłaściwiejby było, albo je jako czystą naukę oddzielnie traktować, albo w połączeniu z wszystkimi naukami, w których znajdują obszerniejsze zastosowania. Dłuższe trwanie świeżych stosunkowo kongresów francuzkich, da w tym przedmiocie nauczające wskazówki.

Zatrzymaliśmy się nieco nad grupowaniem nauk przedmiotem zjazdów naukowych będących, niechcąc już później do tego przedmiotu powracać; przechodzimy do kongresów międzynarodowych.

Przedmiotem tych ostatnich są takie umiejętności, lub takie pytania z pewnych umiejętności wzięte, które mają międzynarodowe znaczenie; w których wspólność prac i zestawienie jak najróżnorodniejszych faktów, jest rzeczą nie tylko pożądaną, ale konieczną; w których idzie o ułożenie wspólnych metod, lub środków prawodawczych i administracyjnych, aby dojść do celu; w których wreszcie idzie o to, aby różnostronność poglądów szarmonizować i do jednego sprowadzić mianownika.

Niemozna w ogólności powiedzieć, że dla tego że kongresy międzynarodowe są ogólniejszego, bardziej humanitarnego znaczenia, ważniejszemi są przezto z natury swój, od kongresów poprzednich, mających odmienny charakter. Ważność jednych i drugich może być jednaka, chociaż zasada i zakres działania odmienne. Niemozna powiedzieć,

aby kongresy statystyczne albo archeologiczne przynosiły doniosłością istoty swój, kongresy np. przyrodnicze i nauk społecznych; jednakże pierwsze uznane są ogólnie i słusznie za przedmioty międzynarodowego rozpatrywania, drugie uniejscowiono i również słusznie. Ogólniej więc zasady, powtarzamy postawić nie można, że kongresy międzynarodowe są coś więcej od innych; ale prawdą jest że niektóre z nich, mają wielką uniwersalną doniosłość.

Odbiegają też niekiedy uczeni od tych naturalnych zasad podziału, jakieśmy wyżej wskazali. Przedmioty właściwie kwalifikujące się do pracy naukowej międzynarodowej, podejmują się załatwiać sami u siebie. Tak widzieliśmy kongres antropologów i etnografów niemieckich w Dreźnie 1874 r.; archeologów rosyjskich w Kijowie w r. z. Mogą być ważne i rzeczywiste względy, które zjazdy takie usprawiedliwiają, mianowicie: obudzenie zajęcia, przygotowanie materyałów, wyrobienie zasad, dla pewnej mniej dojrzałej w pewnym kraju nauki.

Jak inne tak i międzynarodowe kongresy, różny mają początek. Jedne wyszły z inicjatywy prywatnej, jak np. prawa międzynarodowego, pojednania wyznaniowego, ogrodniczo-botaniczny Florencki, higieniczny Brukselski. Inne w rozmaity powstawały sposób. Biuro statystyczne belgijskie wywołało zebrania statystyczne międzynarodowe. Z okazji wystawy wiedeńskiej, zebrał się niemieckich rozmiarów i doniosłości kongres międzynarodowy rolniczy. Wystawa również geograficzna w Paryżu dała początek rodzajowi kongresu geograficznego. Rządy brały niekiedy czynny udział w obsyłaniu i popieraniu niektórych, jak np. kongresów statystycznych, sanitarnych. Niekiedy składały same rodzaj kongresów, ściślej mówiąc, konferencyi naukowo-praktycznych, jak np. w kwestjach monety, miar, wag, poczt, telegrafów etc.

Z powyższych uwag widzimy, że dwie właściwie są kategorie kongresów naukowych, miejscowe jużto prowincjonalne, jużto całości państwowe i międzynarodowe. Widzieliśmy również, że nauki i zajęcia grupują się w nich rozmaicie, zawsze jednak według pokrewieństwa jednych z drugimi.

Dodać jeszcze winniśmy do tych wstępnych uwag, że pomimo różnaitości natury i pochodzenia swego, formy w jakich się odbywają kongresy, są nieomal te same; niestworzone dla nich umyślnie a wzięte po prostu ze zwykłych form parlamentarnych. Najczęściej prezydujący naznaczany jest z góry zawsze, zresztą biuro, sekcye, zebrania ogólne. Pytania, któremi kongres ma się zajmować, są często postawione naprzód i rozdzielają się pomiędzy sekcye. Sekcyi naturalnie jest zawsze tyle, ile głównych działów lub pytań, na jakie kongres rozpada.

Czy może ich być więcej? Prosta bardzo odpowiedź a zarazem zapytanie, po co? Coby robiła i z kogoby się składała sekcya niebędąca punktem zbornym dla téj frakcyi uczonych, która przedstawia pewną specjalność lub specjalne zadanie? Nikomu też na lądzie europejskim nie przyszło na myśl, aby taką sekcją *in partibus infidelium*, na

którymbądź kongresie utworzyć. Pomysł ten powstał i urzeczywistnił się w Ameryce.

Oto co czytamy w sprawozdaniu o kogresie w Portland:

„Po oznajmieniu przez prezydującego, że następny kongres odbędzie się w Hartford w Connecticut 12 sierpnia 1874 r. pod prezydencją doktora Le Comte z Filadelfii, kongres się rozwiązał z wyjątkiem sekcji, oznaczonej literą Q, która odbyła posiedzenie wieczorne.

„Sekcja Q. Ta szczególna sekcja składała się z najdowcipniejszych członków zebrania; wytworzyła ona zabawną parodią odbytych poprzednich posiedzeń. W Ameryce gdzie obyczaje i zwyczaje są tak odmienne od naszych, uczoney może być wesołym i dowcipnym. Zgadają się tam na to wszyscy, że dobrze, aby ten co życie poświęca mżolnej pracy badania, rozerwał się czasami i nabył przez to sił nowych, do dalszego ciężkiego mozołu w walce z upartą naturą. Niektórzy więc uczeni pod formą komiczną dali krytykę kwestyj naukowych, co żywo zajęło licznie zebraną publikę. Jak mówią Amerykanie, tylko na posiedzeniach sekcji Q <sup>1)</sup> darwinista i antidarwinista mogą patrzeć na siebie niewarcząc i niepokazując sobie zębów.

„I tak jeden z matematyków wystąpił z zadaniem, które doprowadzało do absurdu. Inny professor dał komiczny obraz złudzeń i pomyłek, jakie zdarzają się w paleontologii, z różnych okruchów świeżych odtwarzając zwierzę przedpotopowe. Inny jeszcze uczoney z resztek uczyty zebranych na wczorajszej wycieczce uczoneych a przedstawionych jako wykopalisko, złożył obraz ludu przedhistorycznego, jego obyczajów, stanu moralnego. Znakomity mikrograf i zoolog, mówił o mowie zwierząt i opisał mikroskop, za pomocą którego można studyować szereg myśli brzęczącego komara i t. d. i t. d..

„Wymienienie powyższych próbek przedmiotów traktowanych komicznie na posiedzeniu sekcji Q, jest tylko szkieletem. Aby mieć wyobrażenie o dowcipie tam rozwiniętym, trzeba było być uczestnikiem całej poprzedniej sessji kongresu, znać postaci uczoneych ją składających i charakter ich prac. Niepodobna w obcym języku uchwycić mnóstwa aluzyj odnoszących się do języka samego, do obyczajów miejscowych, do osób, do polityki.“

\* \* \*

Pomiędzy kongresami trzymającymi się w granicach jednopaństwowości, o których najprzód mówić zamierzamy, pierwsze miejsce zajmują kongresy przyrodnicze w różnych ugrupowaniach z naukami w związku z niemi będącymi lub samoistnie występujące. Najbardziej one się upowszechniły, najwięcej uczęszczane, najperyodyczniej się zbierają, najwięcej téż może są rozgłośne i wpływowe. Jest to naturalnym i koniecznym wynikiem znaczenia, jakiego nauki przyrodnicze nabrały, w skutek ważnych i rozległych w następstwa odkryć, porobio-

<sup>1)</sup> Tak w Anglii jak w Ameryce na kongresach naukowych, sekcye oznaczano są literami. Nie spotkałem tego zwyczaju gdzieindziej.



nych w ostatnich czasach. Nietylko młode umysły ku nim się chętnie zwracają; wytworzyły w opinii publicznej takie szerokie koryto i taki nurt silny, iż można powiedzieć że stanowią potęgę. Uważane są obecnie przez wiele osób za główne źródło, a przez niektórych za wyłączne źródło, z którego człowiek pojedynczy czerpać może istotny pokarm dla rozumu; państwo, materiały bogactwa i siły; ludzkość, nowe drogowskazy w dziejowym swym ruchu. Jest w tém zapatrywaniu się część prawdy i część przesady i jednostronności; wytwarzają się też w skutek tego prądy reakcyjne, jużto ze strony władz kierujących oświeceniem publicznem, jużto ze strony pojedynczych ludzi i ciał zbiorowych, aby niektóre, zagrożone w swym byciu, umiejętności osłonić i chwiejącą się w umysłach równowagę utrzymać. Z pomiędzy najwyższych powag naukowych odezwały się również głosy upominające. Her. Helmholtz w mowie swój: „O stosunku nauk przyrodzonych do ogółu wiedzy“ tłumaczonej na język polski, zwraca uwagę na związek wszystkich nauk, zależność jednych od drugich i na ważność nauk moralnych i społecznych. Podnosi zarazem znaczenie pedagogiczne nauk ścisłych i przyrodniczych, czego im we właściwej mierze, w żaden sposób odmówić nie można. Zdrowy sąd zbiorowy sprostuje w niedalekiej zapewne przyszłości, zбочenia i zbyteczne chylenia się umysłów na jedną przeważnie stronę; wpływ jednak i znaczenie nauk badających przyrodę, pozostaną, jeżeli nie wyłącznemi, co nie byłoby rzeczywistością do życzenia, to bardzo znakomitemi i oddawać będą nauki te, jak już je oddały, niemałe usługi ogółowi.

Obecnie żyjemy w chwili tryumfów nauk ścisłych, przyrodniczych i ich zastosowań. Patrzymy jak pod ich wpływem rozszerzyły się komunikacje, powiększyły siły przemysłu, rozkrzewiły nowe gałęzie wiedzy, wzrosła sztuka wojenna. Podziwiamy wydarte tajemnice naturze, nowo zdobyte prawa naukowe, których następstw przewidzieć nawet dziś niepodobna. Widzimy jednocześnie pomiędzy wielu uczonymi tego szeregu, pewne upojenie, zwykły skutek świeżych zdobyczy i tryumfów, u ambitniejszych zaś, objawiające się dążenie do systematyzowania, reformy nauk filozoficznych i władzy nad umysłami niepodzielnej.

Czasem swego powstania, liczbą, uczęszczaniem, peryodyczną krótkością zwrotów — jak już poprzednio nadmieniliśmy — kongresy przyrodnicze wyprzedziły wszystkie inne. Rozeszły się po wszystkich cywilizowanych krajach i zajęły poważne bardzo stanowisko. Najznakomitsi przedstawiciele nauki brali w nich udział; najważniejsze pytania były na nich rozbiegane. W ogromie materiału zgromadzonego przez prace kongresów, spotkać więc można dzieje niejako nowoczesnej nauki, odbicie płynących i przekształcających się wyobrażeń naukowych. Odbiły się tam więc i spory jakie wśród samych naturalistów wywołały nowe hipotezy i spory jakie niektórzy naturaliści wytoczyli, jużto pewnym umiejętnościami, jużto pewnym pojęciami i teoryom filozoficznym. Ciekawe są pod tym względem niektóre zagajenia kongre-

sowe, jako ogólniejszy pogląd na najważniejsze kwestye w sobie mieszczące.

Bierzemy na uwagę tylko ostatnie kilka lat ubiegłych, w których istotnie działalność kongresów najszerzej się rozwinęła; niepodobna cofać się w tył dalej dla zbyt obfitego materiału a coraz słabnącego interesu dla kwestyi dawno przebrzmiały; pomijamy więc lata dawniejsze a i w ostatnich nieliczny tylko zrobimy wybór.

Z pomiędzy zagajeń i mów na kongresach przyrodniczych, uogólniających pojęcia naukowe i formułujących je w pewne całości filozoficzne, niewątpliwie najgłośniejszą była mowa Tyudalla zagajająca posiedzenia w Belfast w roku 1874. Jest to cały program filozoficzny, któremu za punkt wyjścia służą z pośród starożytnych, Demokryt, Epikur i Lukrecyusz. Z nowszych adoptuje pojęcia Gior. Bruno i Gas-sendego. Podnosi zasługi Daltona dla teoryi atomistycznej w chemii. Zresztą dla zaokraglenia i uzupełnienia swego poglądu wciela teorye Darwina i niektóre zasady H. Spencera. Jest to jak powiedzieliśmy program adoptujący przedewszystkiem zasady atomizmu, odrzucający *jarzmo*, jak się autor wyraża, Sokratesa, Platona, Arystotelesa; pomijający milczeniem Dekarta i Leibnica, niemówiąc już o Kancie i Heglu. Lista powag, któremi się popiera i lista tych, których odrzuca lub przemilcza, rzuca już pewne światło na głębi myśli autora. Rzeczywiście widzimy tu, wskrzeszony atomizm przedewszystkiem. Zanim pójdziemy dalej za autorem zagajenia, słowo wyjaśnienia co do teoryj atomistycznych. Teorye atomistyczne polegają na hipotezie, że materya nie może ulegać podzielności w nieskończoność. Wprawdzie tej hipotezy nie przyjmują niektórzy poważni uczeni tegocześni, pomimo tego przeważa ona pomiędzy przyrodnawcami i tej właśnie hołduje Tyndall. Teoryą atomistyczną posługują się jedni, tylko jako podporą w poszukiwaniach naukowych, nietroszcząc się o zastosowanie jakie mieć może w objaśnieniu budowy świata i w zbudowaniu całości pojęć filozoficznych o naturze. Inni budują na nich pojęcia ogólne ale tak-że w sposób niejednakowy. Clerk Maxwell np. przechodzi z badania atomów do ogólnych pojęć, jak: że przez żaden z fenomenów znanych naturalnych nie może być wytłumaczone powstanie atomów; że zmieniać układ mogą ale trwanie ich jest wiekuiste i t. d.; nie przekracza jednak granicy rozdzielającej sferę pojęć o materyi do sfery pojęć o życiu, myśli, duchu. Inni jak zobaczymy niebawem idą dalej.

Najnowsze badania w kierunku atomistycznym doprowadziły niewątpliwie do bardzo nowych i uderzających poglądów na całą tę kwestyą, grunt jej się przez to nie zmienił. Jeżeli się hipotezę atomistyczną uogólnia i przyjmuje się ją za zasadę budowy świata, jeżeli się w ogóle materyą uważa jako złożoną z atomów albo substancyj niepodzielnych, wirujących w przestrzeni i w próżni, niemających początku i nieulegających nigdy zniszczeniu, a nie przypuszcza przytem innego źródła dla fenomenów życia i myśli, pogląd ten pozostaje jak był za Lukrecyusza: materyalistycznym. Że z takiego pojmowania



atomów przejście do świata myśli, do moralnego i społecznego szeregu pojęć, jest niepodobnym, to już dawno uważano. To téż zwolennicy atomizmu chcący uniknąć materializmu jak G. Bruno, Leibnic, wprowadzili monady jako pierwiastek duchowy. Gassendi jeszcze sobie inaczej poradził. Tyndall wprowadzie także źródło życia i myśli uważa za tajemnicę a jednakże w ostatecznym swoim wyznaniu wiary powiada: „cofam wzrok mój w przeszłość, przekraczam granice poznania jakie mi środki doświadczenia nakreślają, i spostrzegam że materya, owa materya, którą w niewiadomości naszej i wbrew czci dla której przyznajemy się względem jęj stwórcy, pogardzamy, jest jutrzenką życia, jest potęgą tworzącą i formy, w jakich życie się objawia i jakość istot żyjących.”

W uznaniu tém potęgi twórczj materyi i nie nad nią lub obok nięj, leży poniekąd zaprzeczenie powyżj wzmiankowanego uznania tajemniczości źródła życia i myśli. Nie jest już więcj zagadką zkąd pochodzi życie i myśl; bo źródło w powyższych słowach autora jest wskazane i podrzędne: już tylko pytanie stoi nierozwiązane, jak powstaje jedno i drugie. Gdybyśmy już nawet koniecznie chcieli osłaniać myśl zasadniczą autora i nienazywać filozofii jego właściwem nazwiskiem, to nie byłoby podobnym; on sam z otwartością przyznaje się do materializmu; tylko że ten jego materializm nie jest znowu tak strasznym.

Rzeczywiście Tyndall, jak gdyby oddzielając swój pogląd na życie od poglądu na naturę, teorią od praktyki, twierdzi że: hipoteza ewolucyjna nie objaśnia, ani o początku życia, ani o sprężynach postępu, ani o celach ostatecznych i że hipoteza ta nie nas rzeczywiście nie uczy, ale że zgadza się z harmonią ogólną świata. Zarzut robi Bucklowi, że popełnił wielki błąd odłączając działanie rozumu od działania siły moralnej i pierwszemu przyznając tylko znaczenie. Dodaje zarazem: „bez siły moralnej pobudzającej do działania, dzieła intelligencyi byłyby zaprawdę bardzo ubogimi.” Równouprawnia uczucie z rozumem, choć obojgu za H. Spencerem daje dziwny tytuł bytu; przenosząc do filozofii fikcyę, bardzo na swoim miejscu w prawie cywilnym, uważa że im przysługuje przywilej przedawnienia. Religii naznacza niezaprzeczone miejsce w rzędzie głównych naturalnych potrzeb. Mówi o ważnym zadaniu terażniejszości pogodzenia uczucia religijnego z potrzebami rozumu i stopniem wiedzy. Mówi o obowiązku i o poświęceniu nawet z istotnym zapałem. Wierzyny jaknajmocnięj w prawdę jego wyrazów i intencyj; wyznajem przecię, że przejścia, pomostu z szeregu jego pojęć humanitarnych, odnaleźć nie zdołaliśmy. Owszem uważamy, pilnie się wpatrując w jego filozofię natury, że prosta od nięj droga gdzieindziejby prowadzić powinna <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W podobną niezgodność pomiędzy pojęciami o naturze a pojęciami o moralnej i religijnej stronie człowieka wpadali, oprócz Tyndalla i inni filozofowie przyjmujący te same co on premissa. Sprzeczności w jakie wpadł



Ten mimowolny zwrot Tyndalla do pojęć i poczuć ogólnych ludzkich, niewypływających z premissów w badaniu naukowym zdobytych i prawie że im przeciwnych, wydaje nam się albo pewnym rodzajem tryumfu sumienia ludzkiego, nad ścisłością logiczną badań naukowych, albo objawem zdradzającym wadliwość pewnych konkluzyj naukowych. Czy wszystkie metody użyte lub przyjęte przez Tyndalla i przez tych którymi się posiłkuje, były dobre? Czy wszystkie hipotezy którymi się posługiwali, właściwe? Czy wszystkie wnioski jakie ze spostrzeżeń wyprowadzali, były słuszne? Na wszystkie te pytania, czas tylko i praca dalszych generacyj może odpowiedzieć.

Tu tylko zaznaczamy mimochodem, że nawet podług doktryny panteistycznej, odmienne jest pojęcie atomów; tu świat jest indywidualnością, w której atomy materyalne są objawami fenomenalnemi, czyli trybami bytu. Wielu zaś zwolenników ma obecnie kierunek filozoficzny zwany dynamizmem, polegający na odmiennem pojmowaniu siły w stosunku jej do materji. Gdy bowiem materyaliści, uważają siłę jako własność czyli przymiot materji, dynamiści nie uważają materji jako substancją, ale uważają ją jako fenomen, objawiający się na zewnątrz działaniem na istoty czujące jako siła i ruch tylko. Według dynamistów więc, siła i ruch tylko byłyby rzeczywistością.

Mowa Tyndalla nie jest jedynie programem filozoficznym, nakreślającym głównie linie pewnej zamkniętej w sobie i ściśle przeprowadzonej doktryny. Ma ona jeszcze ustępy poświęcone polemice. Polemika zaś w niej, nie przeciw systemom filozoficznym jest zwrócona. Tyndall jak sam to powiada, wychodzi z rodziny irlandzkich protestantów, z rodziny rozmiłowanej w sporach teologicznych; sam w młodości książki tego rodzaju wertował. Do zagajenia posiedzenia naturalistów, wiedziony osobistemi skłonnościami, wmieszał polemikę innéj natury. Wprowadzając biskupa Buttlera i ucznie Lukrecjusza w dyskusję, chciał zdaje się przeciwstawić, dwa szeregi pojęć o duszy, pojęć téj filozofii którą przedstawia i pojęć teologicznych. W ogóle powstaje przeciw dogmatyzmowi teologicznemu, mianowicie w rzeczach dotyczących kosmogonii, to jest początku i budowy świata. Domaga się, aby sama nauka wyłączne miała prawo wyrzekania w tych kwestiach, bez kontroli z jakiegobądź strony; teologów od głosu w niej oddala, wzywa wreszcie do walki o niepodległość nauki.

Gassendi przyjmując fizykę Epikura sam Tyndall wytknął. Hobbes zaprzeczywszy pojęcia i poczucia Bóstwa, robi potem ustępstwa i uznaje potrzebę religii. Holbach wpada w deklamacje o enocie, które już współczesnym wydały się śmieszne, bo w jego systemie niekonsekwentne; ktoś nazwał je żartobliwie Kapucynadami ateizmu. Broussais nie przypuszcza aby coś mogło być stworzonym, ale uznaje w swoim testamencie filozoficznym najwyższą intelligencją wszystko urządzającą. Władza administracyjna bez władzy prawodawczej. Dziwny pogląd.

Czy w kilkaset lat po Koperniku, windykacja wolności dla badań nad przyrodą i światem jest potrzebną? Sam uroczysty, prawie tryumfalny sposób, w jaki odbywają się zjazdy przyrodnawców, coraz w nowych miejscowościach, przyrodnawców podejmowanych z owacyami i współudziałem wszystkich klass, w sposób przypominający blask turnieji średniowiecznych, jest dostateczną na to pytanie odpowiedzią.

Znakomite imię naukowe Tyndalla, talent jego niezaprzeszony, miejsce i okoliczności w których słynną swoje wypowiedział mowę, złożyły się na to, aby mowie téj nadać niezwykły rozgłos. Posypały się protesta, rozbiory i odpowiedzi. Wytrawna i rozmiłowana w filozoficznój i teologicznój polemice Anglia, nie opuściła téj sposobności, aby dać ujście wynurzeniom przeciwnych przekonani. Dwa razy replikował napastowany zewsząd autor, nic nie cofając ze zdań swoich, a legion nieprzyjaciół i przeciwników jaki poruszył przeciw sobie, jak sam o tém mówi, nie zdaje się zapowiadać blizkiego końca walki.

Na kongresie naturalistów i lekarzy niemieckich w Lipsku 1873 roku, znany badacz Dubois-Reymond miał mowę, również generalizującą poglądy w ostatniej fazie nauk przyrodniczych zebrane w rodzaj systemu. Można tém śmieliej powiedzieć, że Tyndall i Dubois-Reymond to poniekąd pokrewne umysły, gdy wiemy, że Tyndall do tego pokrewieństwa myśli sam się przyznaje. Mowa Dubois-Reymond'a lubo nie obejmuje tak szerokiego zakresu jak poprzednia, niemniejszą jednak ma doniosłość pod pewnemi względami. Prezydent posiedzeń lipskich zakreśla w swéj mowie granice filozofii natury. Nie chcąc zbyt rozszerzać rozmiarów tego pisma, w krótkości tylko zaznaczmy, iż autor istotę materji i istotę siły, uważa za niedostępne dla umysłu ludzkiego; co więcéj, oświadcza, że nie tylko według dzisiejszego stanu umiejętności, myśl ludzka nie da się wytłumaczyć za pomocą narzędzi materialnych, ale że nigdy w przyszłości nie dojdzie się do tego, aby z pomocą wiadomości materialnych dojść do rozwiązania téj zagadki. Tém filozoficzném umiarkowaniem, tą wstrzemięźliwością w ocenianiu istoty zdobyczy naukowych i nadziei, jakie przyszłe zdobycze obiecywać mogą, korzystnie wyróżnia się Dubois-Reymond od wielu filozofów współczesnych i od Tyndalla. Ten ostatni o wiele więcéj, zawiśle bezwątpienia, spodziewa się po pracach przyszłych, chociaż i on przypuszcza pewne wieczne tajemnice dla badacza przyrody. Dubois-Reymond kończy swą mowę pełnym doniosłości wyrazem: *ignorabimus*, który jak wiemy, bardzo odbił się w umysłach tych uczonych niemieckich i nie-niemieckich, którzy z pewną nienaukową zarozumiałością sądzili, że w ostatnich zdobyczach naukowych, posiadli już klucz do wytłumaczenia natury, siły i myśli i że jeżeli nie jedno jeszcze w ich *teoryach* jest ciemne i sprzeczne, przyszłe prace to uzupełnią.

Głośnie imię naukowe Virchova nadało doniosłość mowie jego zagajającej kongres naturalistów i lekarzy niemieckich zebranych we

Wrocławiu w roku 1874. Nie spotykamy jednak w niej ani téj doniosłości zagadnień, jakimi zajmuje się Tyndall, ani jego talentu i precyzyi, ani tego spokoju i miarkowania, jakie znamionują mowę Dubois-Reymond'a. Jest owszem w niej echo téj namiętności, jaka porusza Niemcy w kwestyi religijnej. Pomijamy sam główny przedmiot mowy jako obracający się około faktu pojedynczego, mało u nas znanego a dla samego mówcy nieznanego z naocznego sprawdzenia <sup>1)</sup>). Powiemy tylko, że zbieg okoliczności zdarzył, że wkrótce po wypowiedzeniu mowy Virchova, komisya akademii Brukselskiej sprawdziła takie fakta, na które największe podejrzenie rzucił ten uczony. Nowe zaś badania D-ra Charbonier dały powód do nowéj teoryi chorób u mistyków, która to teorya, staje pod pewnemi względami w sprzeczności z dotychczasowemi zapatrywaniem naukowemi.

Tylko ta część mowy Virchova, która mówi w ogóle o cudzie i cudowności, mogłaby być zajmującą i nauczającą dla szerszego koła publiczności, gdyby była napisaną z tą gruntownością i bezstronnością, jakich się od prac naukowych wymaga. Tego jéj właśnie zbywa; jest to robota dorywcza, powierzchowna, niezupełna i stronnicza. Jużto w ogólności odwołanie się na prawa natury, na ich niezmiennosc i konieczność, kwestyi cudu i cudowności niezdaje się ostatecznie załatwiać. Prawa natury leżą w nieznanéj nam istocie rzeczy; prawa naukowe są wydartą częścią tajemnic natury, są przeważnie utworem rozumu ludzkiego i podlegają wszystkim niedostatom dzieł człowieka. Co więcj, nie są wyłącznie utworem rozumu opartego na saméj obserwacyi i doświadczeniu; dopełniają, uzupełniają się działaniem wyobraźni, intuicyi, które sięgając sfery niedostępnej tak dla doświadczenia jak i dla obserwacyi, dają pracom naukowym tę rozciągłość idealną, bez której nie może być nic nowego i wyższego w nauce.

Powyższa uwaga jest zaczerpnięta z zeznań zrobionych przez najznakomitszych badaczy współczesnych, jak Klaudyusz Bernard, Tyndall. Znany uczony angielski W. B. Carpenter w mowie swéj kongresowej „Przyroda w umyśle człowieka”—mówi:—„Fenomen wyjątkowy tak pospolity, że nie zwraca uwagi na którąby zasługiwał, powinien nas uczyć aby zawsze pamiętać o nieznanym wyjątkach, jakie może nastęrczyć i nastęrcza natura;” dalej zaś mówi: „Nasze badanie sposobu w jaki przychodzimy do pojęć o prawidłowości w fenomenach przyrody a której to prawidłowości dajemy nazwę praw natury, doprowadza nas do wniosku, że to są pojęcia ludzkie, podległe błędom ludzkim, że może wyrażają, może nie wyrażają myśli wielkiego twórcy przyrody. Powiedzieć że te prawa działają same przez się i że wyłączają albo ubezpożyteczniają potęgę, bez której istnieć i działaćby jednak nie mogły, jest rzeczą również nie filozoficzną, jak cechującą zarozumiałość.”

<sup>1)</sup> Ludwika Lateau w Belgii, której stygmata badane były przez Akademią Bruxelską.



Taka genealogia praw natury i praw naukowych wskazuje, że te ostatnie mogą być niekiedy niezupełnie dokładnym odbiciem pierwszych. O ile więc śmiało można się powoływać na prawo naukowe według istniejącego stanu umiejętności, o tyle z ostrożnością zachowywaćby się należało w takich wypadkach, gdzie się prawa natury stawia jako zapórę przeciw możliwości faktów wyjątkowych, faktów, które nauka niedostatecznie objaśnia.

Te uwagi zrobione były ani w myśli zaprzeczenia praw natury, ani zmniejszenia znaczenia praw naukowych, ale jedynie dla zwrócenia uwagi na ostrożność konieczną w posługiwaniu się jednymi i drugimi <sup>1)</sup>).

Do rozbioru jednak wyczerpującego kwestyi cudowności wyłącznie ze stanowiska czysto racjonalnego, koniecznymby było wzięcie na uwagę nietylko zdań, któremi nauki przyrodnicze się zajmują, ale zarówno świata moralnego, jak pewnych faktów historycznych. Nietylko koniecznym wniknięcie w te głębsze tajniki umysłu, w których doświadczenie i obserwacja uważa za konieczne zapuszczać swoje korzenie, aby się uzupełniać, ale jeszcze zbadanie znaczenia tych pojęć, które są ogólną własnością wszystkich czasów i miejsc, a które rozmaitemi nazwami oznaczano.

Wspomnimy tutaj tylko: historyczne posłannictwa; geniusz, jego zjawienie się i wpływ jaki wywiera na bieg myśli i rzeczy; ducha czasu; zjawianie się pewnych prądów idei i czynów porywających społeczeństwa i narody we właściwych kierunkach; w ogóle tajemnicę intuicji i początkowania. Dalej wspomnimy wielką rolę niegdyś w świecie pogańskim odgrywające pojęcie fatalizmu, które wskrzeszonym zostało obecnie pod nazwą determinizmu. Wspomnimy jeszcze wyraz nader popularny: przeznaczenie. Pojęcie wyrazem tym objęte, wyka-

<sup>1)</sup> Jedno z najbardziej upowszechnionych pism niemieckich zamieściło świeżo wiadomość o odbytym 25 września r. z. kongresie spirytystów w Brukselli. Na samym kongresie nie mogło być nic takiego, coby miało jakiś naukowy interes, ale godna uwagi jest wiadomość podana przez sprawozdawcę, że znany chemik angielski Wiliam Crookes wynalazca *thallium*, R. Wallace głośny naturalista, współzawodnik Darwina w odkryciu hipotezy noszącej nazwę tego ostatniego, Varlej zaantlantyki fizyk Towarzystwa telegrafów podmorskich, są zwolennikami spirytyzmu i naukowo chcą objaśniać: usunięcie prawa ciężkości, unoszenie się ludzi w powietrze, powstawanie rozlicznych tonów bez widomych narzędzi i instrumentów, przenoszenie się przedmiotów z jednego miejsca na drugie, zjawianie się duchów w dotykalmnej postaci, istnienie pisma ich, bez współudziału kogoś z żyjących i t. p. R. Wallace miał być obecny przy zdjęciu fotografii przez Crookesa ze zjawiska, z którym w spirytystycznym zostaje stosunku a obaj wierzyć mają w rzeczywistość tego faktu. Sprawozdawca uważa tych panów za uległych chorobie: *manomania spiritistica*. Jeżeli to wszystko prawda, to w każdym razie ciekawą będzie nowa wersja praw natury zrobiona na usługę spirytyzmu.

zuje poczucie bardzo rozpowszechnione pewnej nieprawidłowości w losach pojedynczego człowieka, a mianowicie że wypadki jego życia zależą jużto od przyczyn, od jego woli niezawisłych, jużto zbadać się nie dających. Wspomniemy jeszcze pojęcie historycznej nemezis jako sprawiedliwości dziejowej, pojęcie przez bardzo poważnych myślicieli reprezentowane. Wspomniemy dalej pojęcie nie wyłącznie chrześcijańskie o łasce, bo już Plato prawdziwą cnotę uważał jako dar łaski. Wspomniemy jeszcze pojęcie kierującej wszystkim Opatrzności. Uznanie téj kierowniczej Opatrzności nie wyłącza wcale prawidłowości w następstwie przyczyn i skutków, ale uznanie saméj tylko prawidłowości w dziejach, doprowadza zawsze do przyczyn, których już objaśnić poprzednimi przyczynami nie można. Łatwo jest np. znaleźć przyczynę odkrycia Ameryki w geniuszu Kolumba, ale przyczynowość geniuszu Kolumba zdeterminować się nie da; tak jak wojna o wyswobodzenie Francji od Anglików nie determinuje postania takiej wyjątkowej istoty, jaką była Joanna d'Arc. Wspomniemy jeszcze, że sam przewodni fakt, który pospolicie nazywają zbiegiem okoliczności, grający tak ważną rolę w życiu pojedynczych ludzi i narodów, już sam w sobie godzienby był rozpatrzenia filozofa, któryby chciał przedmiot o którym mówimy, wszechstronnie i nie tendencyjnie traktować.

Zwracamy jeszcze uwagę na to, że ci nawet z myślicieli, którzy odrzucają cudowność w sferze religijnej, uznawać ją nieraz są zmuszeni w obec nie dających się prawami natury i prawami przyczynowości wytłumaczyć fenomenów. Sam Virchov *intuicyą geniuszu* ma za istotny cud. Wallace siłę życia *uczucia sprawiedliwości* w człowieku uważa za niedającą się objaśnić prawami naturalnemi. Ed. Quinet *miłość* w świecie ducha pod względem początku tego pierwiastku, jego działania i wpływów, uważa za cud. Wiele innych tego rodzaju zdań dałoby się przytoczyć; nie chcemy się jednak rozszerzać, uważaliśmy tylko za stosowne zwrócić uwagę i na tę stronę przedmiotu. Virchov w ogólnych swych uwagach o cudzie i cudowności, przesliznął się po pewnej tylko części przedmiotu, zaczepił zaś głównie tendecyjność cudowności, przedmiot dawno osądzony i wcale naukowego znaczenia nie mający.

Spotkaliśmy się nadszpodziewanie na tymże samym kongresie wrocławskim, który zagajał Virchov, z inną mową, określającą źródła i znaczenie pojęć moralnych. Nie wspomnielibyśmy o tym więcej jak miernym wywodzie, gdyby nie zawierał w sobie pewnych cech czasu i miejsca i nie kwalifikował się przez to do rzędu utworów będących odgłosem téj walki idei, o której na początku niniejszego ustępu wspomnieliśmy. Psycho-fizyka moralności, jak autor zatytułował swój wywód, przypomina najstarsze produkta materyalistów XVIII wieku, a ton całej mowy odrzmiwia echem tych namiętności religijno-politycznych, które owaładnęły umysłami w Niemczech i przedarły się nawet do sfer naukowych.

Przechodzimy do zagajenia, jakim znakomity chemik francuzki Wurtz otworzył posiedzenia kongresu naukowego w Lille, z tém uczuciem z jakim ze sfery chmur zstępuje się w sferę ożywioną promieniami słońca. Spokojna indywidualność uczonego odbiła się w naukowej mowie jego, obejmującej te nowe odkrycia, które rozciągnęły się zarówno do chemii, fizyki i astronomii. Rozpoczyna Wurtz swą mowę przypomnieniem w jaki sposób Fran. Bacon w swojej Atlantydzie nakreślił idealny program prac naukowych i jak program ten urzeczywistnił się w czasach obecnych, obfite wydając skutki. „Mamy przed sobą wspaniały widok;—mówi dalej—od stu lat umysł ludzki skierował wielkie wysilenia na badanie fenomenów i praw świata fizycznego. Poszedł za tém rozkwit umiejętności opartych na doświadczeniu i obserwacyi. Nowe idee jakie powstały o związku i konserwacyi się, stały się jakby nową gwiazdą przewodnią dla niektórych nauk: mechanika, fizyka, chemia, fizjologia nawet znalazły w nich punkt oparcia i węzeł wspólny. Nowym ideom przyszły w pomoc nowe metody. Oto sprężyny tego ruchu, który posuwa obecnie nauki i którego jesteśmy zdumionymi świadkami. Aby go rozpowszechnić w naszym kraju, zbieramy się corocznie i zapraszamy do udziału tych, którzy pracują naukowo i tych którzy się tą walką z nieświadomem i nieznanem interesują. Walka przeciw temu co nieznanie, niewiadome: oto nauka.”

Kończy Wurtz swą mowę pełną naukowych spostrzeżeń temi słowy: „Taki jest porządek przyrody i w miarę, jak rozum wnika w niego, widzi jednocześnie prostotę środków i nieskończoność skutków. Przez ten uchylony brzeg zastony, który dozwolono nam podnieść, spostrzegamy harmonią i głęboką mądrość planu świata. Pierwsze przyczyny rzeczy są nie zbadane, nie dostępne. Tam zaczyna się inny zakres, do którego umysł ludzki nigdy nie przestanie dążyć. Taka jest jego właściwość i nic jej zmienić nie zdoła. Napróżno nauka usiłuje wykazać mu budowę świata i ład fenomenów; pragnie iść wyżej koniecznie i w instynktowem przekonaniu że to co istnieje, nie istnieje samo przez się, dąży do porządkowania wszystkiego pod przyczynę pierwszą, jedyłą, ogólną, jaką jest Bóg.”

Pokrótkie wspomnimy zagajenie Schaffhausena na kongresie naturalistów i lekarzy w Lipsku w r. 1872, jako zawierające pewne uogólnienia, bezstronnie wypowiedziane. Autor wprawdzie tego zagajenia, jest może do zbytku upojony wielkością zdobyczy nowoczesnej nauki; zdaje się nieuznawać dla niej tych granic koniecznych jakie jej Dubois-Reymond naznacza. Nie przeszkadza mu to jednak, aby windykując materią z pogardy i poniżenia z jaką dotąd była traktowana, utrzymać się w granicach właściwych. Nie pada przed nią na kolana, nie ubóstwia jej, nie zapomina o duchu ludzkim i mówi o Twórcy wszechrzeczy. Inaczéj wprawdzie pojmuje stworzenie, ale dodaje: „Przecież świat wskazuje rękę Opatrzności. Jeżeli od początku swego istnienia, człowiek objawiał instynkta religijne, to i najwyższa kultura obejść się bez religii nie potrafi. Niektórzy z uczonych w podejrzenie podali



nauki przyrodnicze, twierdząc że Bóg w naturze a dusza w człowieku są pojęciami przestarzałemi i zbytecznemi. Wiara, że jest Bóg i boski porządek w świecie i że człowiek ma duszę, jest naukową, bo jest owocem badania metodycznego. Przyjmują ją, bo mogą ją oprzeć na gruntownych powodach. Pomieszanie pojęć religijnych z przesadami i zabobonami, stało się przyczyną, że niektórzy uczeni wszystkiemu zaprzeczyli. Nauki zadaniem, oczyszczają uczucie religijne i odsuwają od niego to, co kazi jego czystość i siłę. Ludzie ucząc się poznawania natury są po części jak dzieci. Nie trzeba więc ich wychowywać tak, aby w nich rosła duma, bo staną się zły mi."

Kilka słów jeszcze dodamy o zagajeniu Carpentera na kongresie w Brighton. Jest to umysł tej samej kategorii co dwaj poprzedni uczeni, o których dopiero co mówiliśmy; jasny, bez namiętności choć śmiało patrzący na wszystko. Tak on zaznacza stosunek wzajemny nauki do teologii: „Zwracając swoją uwagę wyłącznie na tryb, układ natury, nauka odłączyła się od teologii, której zadaniem jest odnosić się do przyczyn. To zachowanie się nauki jest usprawiedliwione, raz przez odrębność przedmiotu, powtórę przez fakt historyczny, że nieraz była wstrzymywana w swoich poszukiwaniach przez restrykcyjne teologiczne. Ale jeżeli nauka wychodząc ze swoich granic, chce zająć miejsce teologii i swoje pojęcia o trybie i układzie natury, daje jako zupełne wytłumaczenie przyczyn i początku, robi to, do czego nie ma prawa i wywołuje słuszne przeciwnictwo tych, którychby mogła mieć przyjaciółmi."

Pomijamy inne zagajenia i mowy miane na kongresach przyrodniczych, aby zbytecznej piśmie temu nie dawać rozciągłości. Są między nimi takie, które zawierają ciekawe i nauczające monografie naukowe; ale zatrzymaliśmy się tylko na takich, które zdawały nam się przedstawiać ogólniejsze znaczenie i nosić pewne filozoficzne piętno. Pominęliśmy również kwestye sporne pomiędzy samymi naturalistami, o ile te odbiły się w głosach zabieranych na kongresach. Sama hipoteza Darwina bardzo odmiennym i wprost przeciwnym uległa w nich sądom. Schaffhausen np. uderzył na tę jej część, która najmniej dotąd zaprzeczana, bo na prawo selekcyi, czyli doboru naturalnego. Pominęliśmy jednak (powtarzamy) ten przedmiot, bo on nie do poglądu na kongresy, ale do poglądu specjalnego na bieg i walkę pojęć naukowych należy. Pominąć także musimy nie tylko rozbiór, ale nawet sumaryczne przedstawienie właściwych robót kongresowych a więc choć z zalem i bliższe wiadomości o zjazdach lekarzy i przyrodników w Krakowie 1869 r. i Lwowie 1875 r. Nauki tego szeregu i te które z niemi ściśle są połączone, stanowią tak obszerną rodzinę, rozrastają się w taką nieskończoność gałęzi, zapuszczają korzenie tak na wszystkie strony i tak głęboko, że objąć tę niezmierną różnorodność w jednym i to małym obrazku, jest zupełnym niepodobieństwem. W ocenieniu i wykazywaniu większej ważności pojedynczych prac, byłibyśmy zbyt często niekompetentnymi, a specjaliści mogliby być z nas słusznie niezadowo-

leni. Wszystko zresztą, co ważniejsze zjawi się na kongresach, wchodzi do historii każdej pojedynczej nauki. Do tego przyłączają się trudności zebrania wszystkich sprawozdań specjalnych i brak obrobienia tych sprawozdań historycznie i krytycznie. Dla kongresów międzynarodowych statystycznych podjął tę pożyteczną pracę Quetelet i była to ostatnia publikacja tego znakomitego męża. Nie spotkaliśmy dotąd innych w tym rodzaju.

Ogrom materiału będącego w sprawozdaniach samych kongresów przyrodniczych, przedstawi się nam łatwo, gdy zwrócimy uwagę, że w latach ostatnich w Ameryce, Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech, Belgii, Szwajcaryi, Rossyi, Austrii, zbierały się kongresy, najczęściej corocznie, w różnych jak to już wyżej wspomnieliśmy ugrupowaniach. Oprócz peryodycznych zjazdów urządzano jeszcze zjazdy osobne, i tak w Niemczech dla antropologii, etnografii i archeologii. We Florencyi w r. 1874 zebrał się kongres botaniczny. W tymże roku kongres geologiczny francuzki w Mons i Avesnes. Kongres przemysłu metalurgicznego odbył się w Saint Etienne w roku 1875, w tymże roku zjazd astronomów. Najświeższe wystawy, geologiczna w Paryżu i sanitarna w Brukselli, dały powód do narad, o których przecież jako międzynarodowych oddzielnie mówić będziemy.

Pomimo przecież takiej rozciągłości nadanej zjazdom naukowym przenośnym albo wędrownym, sami główni koryfeusze nauki nie uważają rozwijania szczegółowego, a tém mniej posuwania nauki naprzód za zadanie tychże zjazdów. Oto co wyrzekł w tym przedmiocie Williamson na kongresie stowarzyszenia W. Brytańskiego w Brodford: „Nie zbieramy się tutaj aby studyować chemią (mówił właśnie o chemii); zbieramy się dlatego aby rozpatrywać działalność tej nauki i doniosłość tej działalności a wierni zamiarom wyrażonym w nazwie samej naszego stowarzyszenia, zbieramy się jeszcze, aby się przyłożyć do obmyślenia środków posuwania naprzód nauki.”

Myśl tę samą powtarzali innemi wyrazami i inni uczeni. Ścisłe więc rzecz biorąc nie sam materiał naukowy jest rzeczą główną w rozważaniu prac kongresowych. Są kongresy przedewszystkiem propagatorami, roznosicielami zdobyczy naukowych i ich zastosowań; są krzewicielami zamiłowania naukowego. Ale co ważniejsza na tych zebraniach summują się prace naukowe, porównywiają kierunki, kontrolują poszukiwania jednoczesne. Starcia zdań przeciwnych skracają drogę poszukiwań, chronią nieraz od pomyłek i wskazują nam drogi.

Nie dziwim się rozmaitości połączeń różnych nauk na zjazdach takich, znajdujem ją owszem z wielu względów usprawiedliwioną, pod pewnemi względami pożyteczną. Względy praktyczne, potrzeby miejscowe, chęć podniesienia mniej pielęgnowanych nauk, przysposobienie miejscowego materiału dla ogólnej umiejętności, dostatecznie różnice odmiennego grupowania nauk na zjazdach naukowych, tłumacza. Teoretycznie rzecz uważając i ze stanowiska ogólnej nauki i jej pożytku, byłoby właściwszém, ścisłe, logiczne ugrupowanie nauk pokrewnych,

połączonych ze sobą naturalnemi węzłami, oraz rozdzielanie ich na dwie główne grupy, to jest takie: które przypadają dla kongresów międzynarodowych i takie, które nie mając nic do zyskania w kongresach międzynarodowych, dostatecznie przez pracowników jednokrajowych mogą być załatwiane.

Opuszczamy więc już grupę kongresów przyrodniczych i przecho-  
dzimy do kongresów również jednokrajowych, w których nauki społeczne się grupują.

---

## PRZEGLĄD LITERATURY HISZPAŃSKIEJ.

PRZEZ

*Sewerynę z Żoch. Duchnińską.*

(D o k o Ź c z e n i e).

### VI.

Przewrót romantyczny, jak każdy w świecie przewrót, obok dodatniej miał i ujemną stronę. Sceptycyzm dwóch przewodzców nowej szkoły, Larry i Espronceda, oddziałł silnie na naród przywiązany gorąco do wiary ojców, i odwiecznych swych tradycyj. Słowa Ludwika XIV, który posadziwszy wnuka na tronie hiszpańskim, zawołał tryumfalnie: „Nie ma już Pireneów!” są dalekie od doniosłości, jaką niektórym nadają! Pirenee wznosiły zawsze groźne czoło; przez ten karmienyny wał, nie przedarły się idee Woltera i encyklopedystów francuzkich; idee, które w końcu XVIII wieku przebiegły do nas przez Niemcy z tak zadziwiającą szybkością i zagnieździły się na dworze Stanisława Augusta, a ztąd napłynęły w literaturę. Jednostki w Hiszpanii uległy zapewne tym wpływom; nowatorowie jednak nie śmieli podnieść głosu, w przekonaniu, że ogół narodu odtrąci go ze zgrozą. Nie widzimy też pomiędzy poetami XVIII wieku, żadnego, któryby jak nasz Węgierski, śmiał nastroić *organy* swoje na nową i wstrę-



tną narodowi nutę. Hiszpańscy poeci tego czasu, ekliwie opiewali miłośki Dafnisów i Korydonów, ale żaden nie znieważył pieśnią bohaterów narodowych, jak Wolter dziewicę Orleańską. To też wpływ dwóch zagorzalców, przesiąkniętych na wskroś bajronowskim sceptycyzmem, Larry i Espronceda, tém mocniej wstrząsnął umysłami, im mniej były do niego przygotowane.

Po gwałtownej burzy nastąpiła wkrótce reakcja. Duch religijny ożywił znowu społeczeństwo, i odbił się potężnie we wszystkich gałęziach literatury, tak w powieści jak i poezyi, w teatrze a nawet w dziennikarstwie. Stanowi on główne piętno, cechujące nowy okres, rozpoczęty po roku 1840, a ciągnący się do dni naszych.

Cechę tę zaznacza p. Hubbart, zwolennik przeciwnych idei, ubolewający nad Hiszpanią, że nie wydała Woltera ani Diderota.

„Massa ludności, mówi on, nie zrozumiała ruchu wieku XVIII: w niektórych prowincjach, niechętna poniekąd duchowieństwu, najwyższe ma jednak poszanowanie, dla religii katolickiej. Nie zapomniano tam, że uczucia narodowe szły zawsze w parze z ideą kościoła. Naród nienawidzi wszelkich sporów religijnych: pozwala cudzoziemcom żyć jak chcą, patrzy przez szpary na ich wolnomysłne idee, ale niechże który z nich poważy się dotknąć dogmatu, lub ośmieszyć jakiś obrządek, wszyscy okazują mu najwyższą nienawiść, obchodzą się z nim jakby z wrogiem.

„Na scenie hiszpańskiej, mówi dalej autor, pokazują niekiedy występnych mnichów; ogół nie oburza się na to; ale niechże teatr przedstawi *Drogę krzyżową* Kalderona, dreszcz zachwycenia przebiega widzów: znać serce narodu poruszone do głębi. Czuć, że Hiszpania przesiąknęła na wskroś katolicyzmem, że on stał się szpikiem jęj kości,”

Druga jeszcze cecha piętnuje dzisiejszą literaturę, wykwitła z romantyzmu, a wytrzeźwioną z jego pierwotnych szaków: tą cechą—myśl prawdziwie demokratyczna. Tak poeci jak powieściopisarze, przyłożyli rękę do piersi wieśniaczego ludu, w tętnie jęj żywotném czerpią poetyczne natchnienia. Ten to zwrot czysto narodowy, połączony z uczuciem religijném, spopularyzował tak powieści Trueby i Fernan Caballero.

Głównym przedstawicielem owego zwrotu w poezyi, jest Don Jose Zorilla. Przed laty z górą trzydziestu, zachwycił on Madryt, wierszem u grobu Larry. Miał wtedy lat dwadzieścia. Odtąd sława Zorilli wzrastała z każdym rokiem, w miarę coraz to nowych pieśni, epei, dramatów, któremi zasilał literaturę ojczystą. Ogólny zbiór jego prac poetycznych, obejmuje tomów piętnaście.

W każdym utworze Zorilla prawdziwie jest narodowym. Czerpie on zawsze natchnienie w bogatym źródle dziejów, podań i legend hiszpańskich, to też pieśń jego wnika do serca narodu. Z pomniejszych utworów odznaczają się wielkiém życiem i oryginalnością, maleńkie obrazki, bądź historyczne, bądź osnute na tradycyi, wydane pod tytułem *Cantos del Trovador*, (pieśni Trubadura). Z pomiędzy więk-

szych prac uderza jaskrawą barwą wschodnią piękna epopea *krzyż i półksiężyc*. Obraz to wspaniałe ostatnich walk Hiszpanów z Maurami, zakończony tryumfem chrześcijaństwa, kiedy po ośmiowiekowych zapasach, krzyż połyska z wieżyc Alhambry, a ostatni emir Boabdil ubiega za morze do Maroko. Poeta w pełnym dramatyczności obrazie, pokazuje z jednej strony zapał Hiszpanów, i potęgę idei jaka ich ożywiała; z drugiej znów, maluje w całym blasku cywilizacją Arabów, tak cudnie rozkwitłą pod słońcem iberyjskim. Oto maleńki ustęp z opisu Andaluzji pod rządami Maurów.

Niech barwny obraz przed wami roztoczę  
Ziemi, wydartej nam mieczem Arabów:  
Pyszne ogrody, pałace urocze,  
Ileż cudownych ukryły powabów!  
Wspaniałe rodzi tam drzewa i kwiaty  
Ziemia, potokiem łez i krwi żyzniona,  
I wątek podań, jakże tam bogaty,  
Z macierzystego wyrasta jój łona!

Ogrody wiszą tam jak w Babilonie,  
Podparte łuki alabastrowemi;  
Podnosi czoło cedr w pysznej koronie,  
Wiotkiami sploty palma sięga ziemi;  
Sosna rozsiewa balsamy krzepiące,  
Powój kielichy po murze rozpina,  
Wśród aloesów kwitnie róż tysiące:  
W pośród nepalów połyska cytryna.

Tam lud łan orze i wypasa trzody,  
A gdy pobudka bojowa uderza,  
Pasterz i oracz spieszą jak na gody,  
Kto żyw, w bitnego zmienia się rycerza.  
Z pancernym Maurem Numidyjczyk dziki,  
Walczy w turnieju wśród grzmiących okrzyków,  
I z krwi nie ściekłe, pędzą zapaśniki  
Patrzeć na walki rozszalałych byków.

Tam się leciuchno w powietrzne lazury  
Z czoła pałaców wieżyce unoszą;  
Barwne kobaltem, konchą tkane mury,  
Wszystko do zmysłów przemawia rozkoszą.  
Imię Ałłaha zaplotła tu sztuka  
Z imieniem cudnej haremu bogini;  
Żyje świadectwo, kędy wiecznie szuka  
Zdroju natchnienia skwarnej syn pustyni!

Tam gniazda wiosną ścielą ptaszka chmury,  
 I kwiat z zielonych rozpeka osłonek,  
 Orzeł w słoneczne wzbija się obszary,  
 Z pod miedzy śpiewny ulata skowronek;  
 Woń pomarańczy wiatr na skrzydłach niesie,  
 Słodki winograd dojrzewa w winnicy,  
 Pokłady kruszców leżą w ciemnym lesie,  
 Złotemi kłosa dzwoni łan pszenicy.

Tam kędy Arab miał rokoszny Eden,  
 Ciepłemi słońca uzłocon połyski,  
 I dziś tam jeszcze wzrasta kwiat nie jeden.  
 Na hożem licu powiewnej huryski,  
 Któż tym niebiańskim oprze się powabom?  
 Ach! taki urok na świecie nieznanym,  
 Chyba w tej ziemi, którą z paszcz Arabom  
 Wydarły niegdyś waleczne Hiszpany!

Ze wszystkich utworów Zorilli, największą zyskał popularność, wielki, fantastyczno religijny dramat *Don Juan Tenorio*. Nie jest to bynajmniej naśladownictwo bajronowskiego poematu, mimo że obaj mistrze jeden podjęli przedmiot. Zorilla czerpał natchnienia prosto ze źródła, z podań ojczyźnej ziemi; nie też dziwnego, że lepiej niż wieszcz Albionu, potrafił wniknąć w ducha tradycyi narodowej, i zaprawić swój utwór wonią i barwą miejscową.

Oto w kilku słowach, treść Don Juana Zorilli.

Don Juan Tenorio, awanturniczy bohater, słynny z miłosnych i zawadyackich przygód, uczynił zakład z innym równym jak on szaleńcem, don Luizem Mehia, który z nich w ciągu roku więcej uwieździe kobiet, więcej odbędzie pojedynków, słowem, który bardziej zakłóci społeczeństwo. Zeszli się obaj w gospodzie. Don Juan piérwszy opowiada swoje całoroczną Odyseę.

„Pospieszylem do Włoch. Tam rozkosz zbudowała sobie pałace, tam szerszy widnokrag roztaczał się przedemną. To starożytna ziemia zapasów i miłości. Cesarz przebywał tam... toczył wojnę z Francją. Obóz właściwem dla mnie polem. Gdzie żołnierze, tam gra, tam swawola, tam bezustanne bójki. W Rzymie przybiłem napis na drzwiach moich: „Tu mieszka don Juan Tenorio, kto go szuka, niechaj wie o tém!” Wkrótce imię moje przebiegało z ust do ust; Rzymianki powtarzały je chórem: nie zliczę moich przygód.

„Opusciłem Rzym w zebraczym łachmanie, aby uniknąć stryczka. Neapol pociągał mnie... Neapol rozkoszny ogród, istne targowisko miłości! I znów wypisałem na drzwiach wyzwanie: „Tu mieszka don Juan Tenorio, żaden rycerz nie pokona go w boju, żadna kobieta nie ujdzie jego sideł, od dumnej księżnej, do ubogiej rybaczki. Kto chce stanąć z nim do zawodu?” Wypisałem to na drzwiach! Przez



pół roku nie zaszła w Neapolu żadna głośna przygoda, do której nie byłbym wplątany. Pijany szalem, znieważałem cnotę, sztydziłem z prawa i ludzkiej sprawiedliwości. Od chat wieśniaczych przebiegałem do złocistych pałaców, wylamywałem klasztorne kraty; zostawiałem wszędzie bolesne ślady stopy mojej. Nic mi nie było świętém!"

Luiz Mehia opowiada nawzajem własne sprawy. Zuchwałą pychą, pogardą wszelkich praw moralnych, nie ustępuje on na krok przed don Juanem. Obaj wreszcie obliczają zwiedzione kobiety, zwalczonych w pojedynku zapaśników. Mehia zabił dwódziesięciu trzech, zdonych był pięćdziesiąt sześć serc niewieścich. Tenoria wylicza trzydziestu sześciu trupów i siedmdziesiąt dwie ofiary; on zatem wygrał zakład. Luiz powątpiewa; aby go przekonać o prawdzie, don Juan obowiązuje się tejże nocy porwać mu narzeczoną, jak niemniej uprowadzić z zakraty klasztornej swoją własną oblubienicę, piękną Inez, z którą oddawna zaręczony; ojciec jej surowy komandor zamknął córkę w klasztorze, aby ją uchronić od nieszczęśliwych związków.

W drugim i trzecim akcie, Juan Tenorio spełnia podwójny zamiar. Sypie garściami złoto, ohydny podstępem zwodzi narzeczoną Luiza, zniewala potem tkliwe serce Inezy, uprowadza ją z po za klasztornych murów. Ścigany pogonią Mehii i komandora zabija obu dwóch. Inez umiera ze wstydu i bólesci.

Druga część dramatu, złożona także z trzech aktów, pokazuje miecz kary Bożej ścigający przestępcę.

Don Juan odwiedza panteon rodziny Tenorio. Tu pobożny ojciec, aby przebłagać niebo za sprawy syna, wzniosł grobowe pomniki, dla trzech jego ostatnich ofiar: Komandora, Mehii i Donny Inezy. Ale skrucha daleką jeszcze od serca don Juana: szydarczy uśmiech przebiega mu po ustach.

„Mój dobry ojciec—rzecz—utopił tu cały majątek; miał słuszność! jutro stawilibym go na kartę. Co wam się skarżyć... prawda, wytoczyłem krew waszą, ale macie za to piękny grobowiec!"

Wkrótce jednak nowe myśli rodzą się w jego głowie. Przystępuje do posągu Inezy, wyznaje że dla niej tylko przybył. Obraz jej nigdy go nie opuszcza. Wtedy ukazuje się cień ukochanej. Inez oznajmia mu, iż oddała Bogu przeczystą duszę swoją, w zamian za jego duszę. Bóg przebłagany jej prośbą, pozwolił aby ocalała go, lub zginęła z nim razem. Chwila szczerzego żalu, tej nocy, która będzie dlań ostatnią, wyblaga mu łaskę, i dusze ich połączą się na wieczność.

Don Juan pozostaje chwilę pod dobroczynnym wpływem, tak drogiego mu głosu: ale pycha przemaga w nim, gdy groźny cień Komandora występuje z ziemi, i spogląda mu oko w oko.

— Wzywam cię do domu mego—rzecz don Juan z urąganiem— wyprawiam dziś ucztę powitalną dla przyjaciół.

Komandor przyrzeka: stawi się niewątpliwie.

Następuje uczta. Biesiadnicy posnęli pijani... Sam Juan czuwa tylko u stołu. Nagle ukazuje się widmo Komandora, oznajmia

uroczyście, iż po za grobem jest inny żywot wiekuisty, nieskończony! Dzień jeden pozostaje mu tylko do opłakania strasznych przestępstw. Zaprasza go wzajem na biesiadę.

Don-Juan daje słowo; musi spełnić co przyrzekł. Powala trupem dwóch przyjaciół, którzy go zatrzymują szydząc z grobowego widziadła. Idzie do panteonu. Już to nie ten jak dawniej śmiałek. Idąc mówi do siebie:

Czar niepojęty porywa mi duszę,  
Dążę do kresu, straszną siłą gnany!  
Jak on liść suchy strącon w zawierusze,  
Na skrzydłach wiatru pędzi w świat nieznany!  
Trwożę się, waham... drzę... wkoło noc głucha,  
Płomień wulkanu z głowy mój wybucha!  
Stąпам bez woli, ukorzony w dumie,  
W myśli mój odmęt, i bezład w rozumie....  
Dzielność umysłu, ramienia potęga  
Nie jestże wszystkim? gdy śmiercią zwalczony  
Z cielesnych tkanek duch się nasz rozprzęga,  
Acz nie utonie w nocy nieskończonój?  
W grobie nicestwa?... chwieję się i trwożę!

Komandor czeka. I on przygotował ucztę. W około stołu zasiadły kościotrupy. Na misach zastawione popioły. Płomień otacza wkoło półmartwego już Don-Juana.

Ten płomień go nie przstrasza; drży raczej w obec nieprzebląganój sprawiedliwości Bożej!

— Jestże więc inny żywot, inny świat nieznany, tajemniczy? Biada mi!—woła z rozpaczą—jam na wieki zgubiony!

Ale skamieniałe serce nie czuje żalu. W mniemaniu świata on umarły. Jednego z poległych na uczcie towarzyszków, wzięto przez omyłkę za niego, poniesiono do rodzinnego grobu. Don-Juan patrzy na własny swój pogrzeb. Widzi długi szereg zbrodni wlokący się za trumną, wraz z żałobnym orszakiem. Gdy zakończył się obrzęd, komandor porywa go za rękę, ukazuje mu otchłań piekielną.

— Ach, jeśli jedna łza skruchy, zbawi duszę na wieczność, woła grzesznik z głębokim żalem, przebacz mi Boże! Wielkie zaprawdę moje winy, lecz miłosierdzie Twoje niema granic!... Boże ulituj się nademną!

Wszystko się zmienia. Donna Inez spływa w blasku promieni, na znak jej duchy powracają do grobów. Cudna dziewica ujmuje rękę Don-Juana, pociąga go za sobą ku niebieskim wyżynom. Miłość jej ocaliła grzeszną duszę od zguby!

Kalderon i Tirso de Molina, podejmowali już ten przedmiot. Zorrilla nie naśladował poprzedników; utwór jego prawdziwie samodzielny.

Don Ramon de Campeamor, stoi obok Zorrilli, urodzony jak on w 1817 roku. Pomijamy ulotne poezycy, któremi najprzód zasłynął

w kraju, pomijamy nawet, epopeę Krysztof Kolumb, a przystępujemy odrazu do najoryginalniejszego poematu jaki stworzył. Tytuł jego: *Dramat powszechny*. Utwór ten pełen fantazyi, owiany tchnieniem mistycznym, przypomina cokolwiek „Boską komedią” Dantego; ale wyobraźnia hiszpańskiego poety nierównie bardziej rozhukana, obrazy jego dziwniejsze; wątek nadzwyczaj szarpany: trudno go pochwycić i rozwikłać.

Dramat podzielony na ośm aktów czyli dni. Rzecz rozpoczyna się w ogrodzie starego klasztoru. Młoda Soledad krąży w pośród drzew w towarzystwie zakochanego w niej Honoryusza. Oboje zadumani. Nagle staje przed nimi tajemniczy mag, ten sam który według ewangelii Ś-go Marka, szedł za Chrystusem aż do chwili, kiedy oprawcy pochwycili mistrza z pośród uczniów. Mag opowiada jak po ukrzyżowaniu Chrystusa, aniołowie zbudowali most olbrzymi, po tym moście żal, przebaczenie zstępują dla śmiertelnych.

Honoryusz wyznaje przy zdroju zwanym krynicą zapomnienia, że aby otrzymać piękną Soledad, wtrącił do więzienia brata swego Palacyanusa. Miłość panuje wyłącznie w jego sercu, zatłumia nawet wszelki wyrzut. Błaga czarodzieja, aby w razie śmierci ukochanej, przemienił go w grobową kolumnę. Mag przyrzeka zadosyć uczynić jego woli, ostrzega jednak o niesłychanych torturach jakie spotkać go muszą.

Zmienia się scena. Poeta ukazuje cmentarz. Soledad spoczywa w cichym grobie. Palacyanus uwolniony z więzienia oplakuje oblubienicę. Honoryusz zaklęty w marmur, cierpi najsrozsze męki. Mag ulitował się nad nim, rozwiązuje zaklęcie.

W drugim dniu, Honoryusz przemieniony w cyprys, roztacza cień po nad grobowcem. Soledad patrzy z nieba na stałe poświęcenie ukochanego. Zniewolona tak silną miłością, błaga by jój pozwolono zstąpić na ziemię. Myśl zuchwała oburza niebiosą, aniołowie wyganiają przestępną z dziedziny błogosławionych. Mag przychodzi jój w pomoc; nagromadza chmury ponad ziemią. Soledad zaklęta w błyskawicę, uderza w swój grobowiec, wyrzuca z ziemi prochy własnego ciała. Uderza potem w cyprys, Honoryusz wybiega przerażony.

Następuje dzień trzeci. Honoryusz stał się istotą żywą, orłem. Szybuje wśród obłoków, opiewa miłość, potrząsa kwiatem miejsce gdzie niegdyś spoczywały zwłoki Soledad. Z wyżyn powietrznych zanurza w świat bystre źrenice; widzi kłamstwo rozpostarte na ziemi, wnika w najskrytsze tajniki serc ludzkich. Tu rozwija się szereg scen pełnych życia i dramatu. Dzień kończy się w świątyni. Wizerunek Soledad, którą lud czei jako błogosławioną, błyszczy w pośród jarzących światła. Orzeł znęcony tym widokiem włata przez okno, powiewem skrzydeł sprowadza nagle pożar. Obraz płonie, lud chwytą sprawcę kłęski, wymierza doraźną sprawiedliwość, rzuca go wśród płomieni. Podczas gdy ogień pożera orła, dusza Honoryusza wybiega nietknięta z przybytku.

W czwartym dniu Honoryusz przeszedłszy przez stan kamienia, drzewa i ptaka, powraca do ludzkiej postaci. Widzimy go w młodym



zakonnika. Biskup Palacyanus sam namaścił mu czoło; przez pamięć zmarłego brata, nazwał go Honoryuszem. Zakonnik siedzi w konfesyonale, kobieta przykleka... to Soledad a raczej duch jej wcielony w inną. Widzenie powtarza się kilkakrotnie i znika. Honoryusz w rozpacz, przepomina że obłąkał habit, śpiewa pieśni zaprawione duchem światowym. Skazany na karę, wyrokiem surowego biskupa, umiera z żalu i wstydu. Biskup umiera wkrótce po nim. W świecie duchów spotykają się bracia; jeden drugiemu czyni gorzkie wyrzuty. Nagle mag staje pomiędzy nimi. Z rozkazu jego Palacyanus nawracać ma przestępców; Honoryusz pójdzie na jedną z planet, gdzie próznicy pokutują za winy. Tam spotka matkę swoją Paz. Skazana za niedbałe wychowanie syna, oprowadzać go będzie po różnych planetach i pokazywać okropne skutki ludzkich grzechów. Obaj bracia idą spełnić wyrok, Soledad modli się za nich.

W ciągu piątego, szóstego i siódmego dnia, Honoryusz z matką przebiega wszystkie miejsca, gdzie cierpią smutne ofiary błędów własnych. Znajdują tam osobistości znane w dziejach Hiszpanii. Tu utwór zbliża się najwięcej do poematu Dantego, lecz niebawem wpada znów na tor samodzielny. W końcu wędrówki Honoryusz spostrzega nową, tylko co zrodzoną planetę. Świetnemi barwy maluje poeta, ów świat w pierwszym zawiązku.

W ósmym dniu jesteśmy w Palestynie, w ogrodzie Józefa z Arymatei, na chwilę przed Zmartwychwstaniem Chrystusa. Piłat tknięty wyrzutem za sąd nazbyt pośpieszny, siada na grobie i duma. Sen wreszcie padł mu na powieki. Widzi we śnie, jak wszystkie bożyszcza, wszystkie geniusze religii starożytnych, pochylają głowę przed magiem; błagają o chrzest. Mag czyni im zadosyć. Dogmata ich oczyszczone z dawnych skaz, zlewają się w dogmat nowy; kłękają wszyscy u grobu Zbawiciela. Piłat budzi się przerażony, z rozpaczą w sercu wraca do Jeruzalem.

Wtedy Chrystus wychodzi z grobu. Otoczony gronem apostołów i uczniów, zstępuje do piekieł. Mag jest z nim także. Na widok potępieńców szamoczących się w mękach, Chrystus chwyta za krzyż, do którego niedawno był przybity, w najwyższej boleści modli się do Ojca Przedwiecznego, przedstawia Mu iż żywot człowieka jest sam przez się ciężką ofiarą. Zbliża się chwila Zmartwychwstania. Zagrzmiały nakoniec trąby sądu ostatecznego. Mag, Honoryusz i wszystkie osoby dramatu, idą za Chrystusem na dolinę Jozafatową. Śmiertelni ociągają się, nikt nie śmie stanąć przed Najwyższym sędzią. Trwoga ogarnia serca.

Honoryusz wchodzi na dolinę, spostrzega nagle ducha Soledad. Duch to bezcielesny; ciało jej spłonęło ugodzone piorunem. Żal przeżywa mu serce. Wybiega co tchu, zmordowany, pada w ogrodzie Getsemani. Ziemia pożarła prochy ukochanej, Honoryusz przykłada usta do ziemi, ona droższą mu nad niebo. Wtém piekło straszna otwiera paszczę. Mag staje u boku nieszczęśliwego.

— Podnieś, woła, oczy do góry! Patrz na boleść twój matki!... ona płacze!

Soledad zbiera te łzy, biegnie do Honoryusza, rozlewa je na płonące jego czoło.

Łzy matki stały się żywą rosą... obłany niemi syn, czuje w sercu gorącą skruczę. Zapłakał... i w tejże chwili zwały się szczelnie wrota piekieł. Łzy przeważiły szalę win, odkupiony łzami, wstępuje do nieba razem z matką.

Forma wiersza niekiedy surowa i szarpana, to znów rzewna, pełna słodyczy, odpowiada bogatej fantazyi, jaką poeta rozwinął w swoim dziwnym dramacie. Obok tych dwóch mistrzów słowa, widzimy całą pleadę młodszych, wstępujących w ich ślady. W liryzmie zasłynął szczególnie José Segas. Zbiór jego pieśni p. t.: *Wiosna i Lato*, pełnych życia, barwy i woni, ściągnął nań powszechną uwagę. Do ulubieńców madryckiej publiczności, należy także Manuel Palacio. Obrazki jego, zaprawne szczyptą soli attyckiej, ożywione gorącym patryotyzmem, wywierają nie mały wpływ na ziomków. W lekkim wierszu ukryta nieraz gorzka prawda. Dajemy w przekładzie jeden z nich p. t. *Czego szukam na jarmarku?*

Niech się próżno świat nie łudzi!  
Ojciec Adam, raju blisko  
Pierwszy niegdyś wezwał ludzi  
Na jarmarczne targowisko.  
Na tę ucztę raz do roku  
Kto żyw dąży, panny, słudzy,  
I ja śpieszę w tym natłoku.  
Idę, skoro idą drudzy.

Próżno wodzę w różne strony  
Żrenicami wciąż obiema,  
Wszelki towar wystawiony:  
Czego szukam, tego nie ma!  
Może z was kto nie uwierzy,  
„Prawisz duby!” wbrew powiecie;  
Otóż wyznam jak najszczerzej  
Czego nie ma na tandecie.

Czy z wieczora, czyli z rana,  
Konno, wozem czy piechotą,  
Wyszukuję tu młodziana  
Z czystym sercem, z myślą złotą;  
Starca, w którym, acz zna ludzi,  
Podejrzenia świat nie budzi.  
Szukam świekry nieswarliwej,  
I żebraka z duszą cichą;  
Szukam męża czci prawdziwej,

Niewzdętego prózną pychę;  
 I miłości bez rachuby,  
 I piękności bez zalotów,  
 I lichwiarza coby gotów  
 Ubogiego strzedz od zguby.  
 Szukam czci zdobytej pracą,  
 I otuchy co nie zdradzi;  
 Wierzyieli, którzy radzi  
 Zaciągnięte długi płacą;  
 Szukam zdroju, co w posusze  
 Zaspokoi ludzką duszę.

Ach! znać o to trudno w świecie,  
 Za czém gonię w dni żywota;  
 Jest gdzieś może strzępka złota,  
 Lecz jój nie ma na tandecie!

Gratów znaleźć tu do syta!  
 Muszę zliczyć te towary:  
 Ot, bez szkiełek okulary,  
 Książki, których nikt nie czyta;  
 Klucz, do zamku nie przypada,  
 Wyszczerpiona jakaś szpada;  
 Miecz bez pochwy, lub przeciwnie,  
 Pochwa cała, miecza brakło!

Tu się wszystko płacze dziwnie:  
 Jakaś suknia z barwą zblakłą,  
 Jakiś portret... cudne lica!  
 Czarne oczy blaskiem płoną,  
 Cień znikomy ta dziewica!  
 Już ją dawno pogrzebiono!

Co krok tuman z oczu spada,  
 Gorączkowo myśl majaczy,  
 W oku staje zmora blada,  
 Zkąd? na Boga! co to znaczy?  
 Próżno szukam, pytam w trwodze,  
 Nicze oczy nie dostrzegą?  
 Czego szukam: nie znachodzę;  
 Czego nie chcę: pełno tego!

O dziewczeczki! cudne kwiaty,  
 W iberyjskich wzrosłe sadach,  
 Chcecież uczyć wasz bogaty  
 Skarb pamiętek po naddziadach?  
 Próżno, próżno! nie znajdziecie  
 Tego skarbu na tandecie!



A wy męże doświadczenia,  
 Chodźcie za mną, ja wam wskażę  
 Te znikome złud cmentarze;  
 Srom oblicza wam zrumieni,  
 Gorzki wyrzut pierś przebodzie:  
 Oto naszych dziejów karty!

Kupa śmieci, tam na spodzie,  
 Jakiś łachman w kęsy zdarty,  
 Z dawnych bluszczów barków lichy,  
 Miasto złota, nędzne szychy.  
 Czas rozgrzebać te rupiecie,  
 Może złoto leży na dnie;  
 Lub nie zwiędłe jeszcze kwiecie:  
 Wasze serce je odgadnie;  
 Może odkryć tu wam dano,  
 Jakaś perłę zagrzebaną;  
 Wzrok mój znaleźć jój nie może:  
 Ha! szukajcie! szczęś wam Boże!

## VII.

Rzućmy teraz okiem na scenę dzisiejszą w Hiszpanii. Jeżeli porównamy stan jój obecny, z epoką wielkiego rozkwitu za Lopeza de Vega i Kalderona, ubóstwo jój razić nas będzie w przykry sposób; jeżeli jednak usuniemy na bok cięń padający od tych olbrzymów, musimy przyznać, że teatr hiszpański ma w sobie nie mały zasób życia. Kilka lat normalnego stanu po gwałtownych wstrząśnieniach politycznych, pozwoli rozwinąć się nowym talentom, i rozbudzi dawne z chwilowego uśpienia. Hiszpanie posiadają wrodzony zmysł dramatyczny, każdy téż rodzaj sztuki, czy to poważny dramat, czy wyższa komedia, czy prosta krotchwila, ma swoich przedstawicieli w dzisiejszych autorach.

Zmarły niedawno Breton de los Herrerros, zasłynął w rodzaju komicznym; zostawił przeszło sześćdziesiąt komedyj. W każdej z nich obrzuca śmiesznością wady swojego czasu: to wyszydza dyletantyzm muzyczny w tych, którzy rozprawiają o sztuce, nie mając o niej najmniejszego pojęcia; to znów gromi surowo grę giełdową: słowem wyszydza wszelką przesadę; zamiętowanie w cudacznych modach, naśladownictwo cudzoziemczyzny. Przypomina Scribe'go, mimo to ściśle jest narodowym.

W ślady Bretona poszedł Rodriges Rubi, najulubieńszy z dzisiejszych komedyopisarzy. Andaluzyjczyk, urodzony w Maladze, obdarzony twórczością właściwą południowcom, wzbogacił on repertuar mnóstwem mniejszych i większych utworów. Rubi, najpierwszy wprowadził lud wieśniaczy na scenę madrycką; na tém polega głównie jego zasługa. Sztuki wysnute z życia i obyczajów ludu, wyższą nie-

równie mają wartość, niż inne oparte na intrygach dworskich i politycznych; te ostatnie lubo jednały mu liczne oklaski, ze zmianą rzeczy poszły już w zapomnienie.

W wyższej komedyi zarówno jak w dramacie, chlubne zajmuje miejsce Egilas urodzony w Biskai. O pocie tym, mówiliśmy obszernie przed czterema laty, przy rozbiorze jego utworów: *Grzałemy, Klucza złotego, Przygody Tirso de Molina*. Dziś dodamy tylko, że ten znakomity dramaturg umarł niedawno, przeżywszy lat czterdzieści kilka, w pełnym rozkwicie poetycznego talentu. Nieodżałowana to strata dla Hiszpanii!

Inny młody poeta Tamayo y Baus, zarówno jak Ponsard we Francyi, wziął sobie za cel utworzyć nową szkołę; stopić w niej nicjako klassycyzm z romantyzmem. Myśl ta ma niewątpliwie przyszłość, ale ani Tamayo ani Ponsard nie mieli dosyć siły, aby sprostać wielkiemu założeniu. W tym duchu wysnuł poeta z dziejów starożytnego Rzymu, dramat a raczej tragedya p. t. *Wirginia*. Przedmiot to bardzo dramatyczny. Setnik Wirginiusz zadaje śmierć własnej córce, uwiedzionej przez Klaudyusza. Fakt ten dziejowy spowodził w Rzymie upadek decemwirów. Krytycy wysoko podnieśli utwór, publiczność jednak nie mogła w nim zasmakować. Toż samo było w Paryżu z Lukrecyą Ponsarda.

Inny, mniej klassyczny dramat Tamaya, *La Ricca Hembra*, (Magnatka), zjednał mu za to powszechnie uznanie. Rzecz wzięta z dziejów hiszpańskich, za czasów Piotra okrutnego.

Donna Juanna de Mendoza (la ricca hembra) mieszka w warownym zamku, otoczona licznemi wazalami. Sąsiedzi zawistném okiem patrzą na jęj ogromny majątek; najeżdżają zewsząd jęj posiadłości. Magnatka wyprawia przeciw nim zbrojny oddział: na czele stawia młodego pazia, gorąco w niej zakochanego. Donna Juanna tajemnie téż sprzyja młodzieńcowi, pragnie oddać mu rękę, ale nim to nastąpi, chce aby zasłużył na ten zaszczyt. Król tymczasem przyrzeka bogatą dziedziczkę jednemu z potężnych popleczników swoich; rozkazuje Juannie poślubić admirała z Kastylii.

Młoda magnatka przyjmuje posła królewskiego; odbiera z rąk jego pismo, czyta... lica jęj zapalają się nagle. Niewiedząc kim jest on poseł przynoszący jęj rozkaz, wybucha gniewem, przeciw narzuconemu gwałtem małżonkowi, wyrzuca mu ród niewprawy, i znane zbrodnie ojca. Posłem był sam admirał. Dotknięty do żywego obelgą, wymierza policzek w twarz zuchwałej, potem wyznaje kto jest. Zbrojna straż przybiega na wezwanie Juanny, pochwytuje admirała. Jego życie w jęj ręku. Krew nizeczemnika pomści zniewagę wyrządzoną! Nowa myśl uderza piorunem serce nieszczęśliwej; w mgnieniu oka, postanawia co czynić. Rozkazuje przyprowadzić jeńca, rzecze doń z najwyższém wysileniem:

Choćbyś trupem leżał w tym domu  
 U nóg moich, w krwi starzany;  
 Krwią nie zmyję z lica sromu,  
 Nie zagoję w sercu rany!  
 Ja być muszę twoją żoną!  
 Nikt się wyrzec nie poważy,  
 Iż człek obcy dłoń szaloną  
 Śmiał położyć na méj twarzy!

Ślub odbywa się natychmiast w kaplicy zamkowej. Ledwie się skończył obrzęd, nadbiega paź tryumfujący: pokonał nieprzyjaciela, odparł od zamku obcy najazd. Widzi co zaszło: wykrzyk boleści wydziera się mimo woli z młodego serca. Zrozumiał ten wykrzyk admirał. Tu rozwija się dramat z całą potęgą; uczucia wszystkich wyteżone. Kobięta kocha, a przeciw postanawia dotrzymać godnie zaprzysiężonej wiary, zazdrośny mąż gotów zrazu ugodzić w pierś współzawodnika, przekonany jednak o niewinności żony, wypuszcza z ręku oręż; młody paź przed chwilą upojony tryumfem, pełen najśrodszych nadziei, opuszcza na zawsze Juannę.

Głos z tłumu, kreśli okropny obraz bezładu społecznego, w tych nieszczęśliwych czasach:

Wiecznież cierpieć te uciski?  
 Krzywd bezkarnych znosić brzemień?  
 Wciąż przed okiem łun połyski!  
 Krew przesiąkła na wskrós ziemię.  
 Wali topor, szabla szczęka,  
 W brata godzi bratnia ręka!  
 Woda cuchnie trupią wonią,  
 W noc grzmią bębny, trąby dzwonią,  
 Rozpasane pędzą hordy;  
 Myśl szaleje, duch się trwoży;  
 Klątwy, rzezie, gwałty, mordy  
 I pioruny pomsty Bożej!

W liczbie współczesnych dramaturgów wystąpiła także kobięta, Gertruda Avelaneda. Dramat jej wysnuty z dziejów ojczystych, *Alonso Munio*, przedstawiony w teatrze, poruszył do głębi serca. Poetka jest amerykanką z wyspy Kuby, zamieszkała w Madrycie. Po śmierci męża, usunęła się za kratę klasztorną, bez wykonania zakonnych śluby. Nie złożyła tu pióra; oprócz kilku sztuk teatralnych, wydała zbiór ulotnych poezyj. Dziś pracuje głównie na polu powieściowém.

### VIII.

Powieść Hiszpańska na szczególną zasługuje uwagę, ma bowiem charakter czysto narodowy, zupełnie oryginalny. W tym oddziale



literatury, zastąpiła szczególnież Cecylia de Arron, znana powszechnie pod pseudonimem Fernan Caballero. Imię to znane oddawna i u nas, to z obszernych sprawozdań, to z licznych przekładów, wykonanych na francuzki i polski język. Niektórzy krytycy porównywali autorkę z Georges Sand, inni jak Merimée, nazwali ją nowym Sternem, inni znów Chateaubriandem hiszpańskim. Porównania te niewłaściwe. Fernan Caballero jest sama sobą, czerpie natchnienie w rodzinnych krynicach, wyobraźnią zasila jaskrawym żarem słońca Andaluzji. Prawdziwa to Sewillanka, wierna hiszpańskiemu przysłowiu:

Każda Sewillanka nosi na mantyli  
Wypisane słowa: chwała mój Sewilli!

W każdym téż jój wyrazie, w sposobie pisania, w stylu, w obrazach, w dyalogach, odbija silnie koloryt miejscowy, pełen wdzięku, blasku i życia. Utwory Fernan Caballero, tak na wskroś przesiąknię barwą narodową, że przekład ich nasuwa niesłychane trudności. Jeśli tłumacz idzie wiernie za oryginałem, wyda się przesadny i napuszysty; jeśli zaś pominie rysy napozór drobiazgowo, odbierze połowę uroku owym ślicznym obrazkom, któremi autorka wzbogaciła ojczyzną literaturę. Ze szczególnym zamiłowaniem opisuje ona obyczaje ludu andaluzyjskiego, określa jego charakter, przemawia malowniczym jego językiem, powtarza znane w kraju przysłowia i dykteryjki, wydobywa na jaw liczne zabobony i przesady, ożywia opowieść solą dowcipu właściwą od wieków Kadyksanom, o których mówi przysłowie:

Sławny tytuń w Gibraltarze,  
Mazanilla <sup>1)</sup> w San Lukarze;  
Jeśli zdrowej szukasz soli,  
Kadyks wyda jój do woli!

Rzućmy pobieżnie okiem na szereg tych obrazków, niekiedy bardzo dramatycznych przy całej swój prostocie. *Biedna Dolores*, to historia młodej rybaczki z Rota, przy ujściu Gwadalkwiwiru do zatoki. Matka jój umarła ze zmartwienia i nędzy, gdy syn popłynął na dalekie gdzieś morza. Ubodzy sąsiedzi wychowali sierotę. Mieli oni dwóch synów: obu wzięto do wojska. Jeden z nich zaręczony był z Dolores. Kiedy wrócił do domu po wysłużeniu lat, podejrzywa dziewczynę o niewierność, dostrzegł ją na schadzce z nieznanym sobie człowiekiem. Krew zakipiała w żołnierzu, zabija nieznanomego. Był nim brat nieszczęśliwój! tenże sam majtek, którego długa nieobecność przyprawiła o śmierć biedną matkę. Żołnierz ścigany za morderstwo, ukrywa się w wąwozach. Na wieść, że skazano brata w jego miejsce, oddaje się dobrowolnie w ręce sądu. Biedna Dolores! pozostała sama, z sercem rozdartém, uczucie niewinności jedyną jój pociechą!

<sup>1)</sup> Mazanilla, rodzaj wina.

W obrazkach *Wigilia Bożego Narodzenia* i *Trzech Króli* odmalowane wiernie życie wieśniaków, ich tradycyjne zwyczaje i obrzędy.

*Lucas Garcya*, to znów wyborny typ nieskazitelnego żołnierza. Zapiera się rodzonej siostry, poznawszy ją w kochance generała swego. Z pogardą odrzuca jej protekcją; później podaje téjże siostrze bratnią rękę, gdy zalana łzami, z rumieńcem wstydu na czole wraca biedna pod dach rodzicielski. Powieść *Milczeć za życia, przebaczyć po śmierci*, pełna dramatu i psychicznych spostrzeżeń. Nieszczęśliwa żona, przeżywszy długie lata z mężem w dostatkach i pomyślności, odgaduje, że dostatki te są owocem najczarniejszej zbrodni. Mąż jej zamordował niegdyś własną matkę. Żona milczy, więdnije, usycha z dniem każdym, umiera wreszcie, strawiona tłumioną zgryzotą. Na łożu śmierci przebacza zbrodniarzowi, wzywa go do pokuty. W powieści: *Raczej honor niż honory*, opowiedziane wybornie przygody opuszczonego dziecka. Chłopiec wyrosł pod strzechą wieśniaczą, umiłował pracę. Po dwudziestu latach, kiedy milionowy ojciec przyznaje się do niego i wielkim obdarza go majątkiem, wieśniak odrzuca dary, woli pozostać przy roli i pługu. Tę samą myśl podjęła Georges Sand w jednym z ostatnich utworów: *Dwaj Bracia*.

W obszerniejszych powieściach szczególniej w *Gaviocie*, autorka z prawdziwie twórczą zdolnością maluje typ dziewczyny wiejskiej, prostą rybaczkę, którą szal artyzmu opętał i uniósł na bezdroża. Każdy rys w tym obrazie, głęboko obmyślany, kipi życiem, drga prawdą. Powieść ta znana u nas w przekładzie: nie będziemy powtarzać jej treści. Cudnie tu oddany charakter andaluzyjskiej pieśni, smętny, oryginalny, upajający słuchaczów, zgubny częstokroć dla nieszczęśliwych ofiar, które ta czarodziejka pochwycała w swe szpony.

Jeśli żaden z powieściopisarzy hiszpańskich, nie wniknął tak głęboko w serca, nie przemówił tak wiernie językiem ludu jak Fernan Caballero, zato pod względem bogactwa wyobraźni, dwaj współcześni pisarze Eschrich i Gonzales, godnie zajmują przy niej miejsce.

Eschrich, rodem z Katalonii, niezmordowany pracownik, napisał do trzydziestu powieści, pełnych życia i siły dramatycznej. Pod tym względem przypomina zmarłego Dumasa. Powieść *Cura de la Aldea*, (*Pleban wiejski*), zwróciła nań uwagę w kraju. Autor stworzył w niej idealny typ kapłana ożywionego duchem prawdziwie chrześcijańskim. Inna powieść *Calumnia* (*potwarz*), zaleca się wielką potęgą wyobraźni. Bohatérką jej młoda kreolka, cudnego oblicza, duszy czarnej jak piekło; bohaterem prosty niewolnik murzyn, zakochany w pani swojej. Kreolka nie odplaca mu wzajemnością, ale czyni go swém narzędziem, wsuwa mu w rękę sztylet, rozkazuje zamordować wstrętne jej pasierbka. Sztylet chybił; następuje straszliwa pomsta, przypominająca mękę Mazepy. Mściciel wypływa z portu, za jego statkiem wlecze się nędzna tratwa: na niej leży trup zamordowanej kreolki, do masztu przytroczony murzyn. Na pełném morzu nieprześlągany wróg podci-

na liny, powraca sam do brzegu: tratwa samopas kołysze się na fali. Słońce zwrotnikowe oświeca przerażający obraz.

„Minął dzień jeden, ubiegła noc; dzień drugi przybliżył się do kresu. Murzyn utkwiał oczy w kusicielkę.

„Straszne widma przesuwają się przed nim, szydą z jego boleści. Gorączka głodu rozpoczyna się wreszcie.

„Jak rozbitek, w chwili ostatniej, murzyn zamyka oczy, zasyła myśl ku Bogu. Modlitwa ukrzepiła w nim ducha.

„Morze tymczasem głuchy wydaje poryk. Tratwa szamocze się coraz silniej a silniej. Bałwan uderza w nią gwałtownie. Piana spryskała twarz kreolki.

„Głuchy grzmot zaryczał z daleka.

„Bóg wreszcie lituje się nademną, zawołał murzyn, pospiesza mi na pomoc! Ocean tak dotąd spokojny, zbudzi się naostatek; burza zdruzgotuje nędzną tratwę: wszystko dla mnie zakończy się na ziemi!

„Próżna nadzieja! bałwany nie wzdymają się, wiatr nie rozwija skrzydeł! grzmot zawsze cichy... daleki!

„Godziny mijają, brzask poranny wybiega z łona oceanu. Wiatr ustaje, fale uciszają się całkiem, rzekłbyś iż je ukołysał uśmiech wschodzącej zorzy!

„Słońce w pełnym majestacie wstępuje na widnokrąg. Murzyn spogląda ku niemu z rozpaczą. Przerażająca samotność! niedopatrzyć żagla ani skały... nic i nic!

„Nagle okrzyk wydziera się z piersi zbolałej. Oko jego zabłyśło.

„Coś plusnęło po wodzie, czarny cień przybliżył się do tratwy. Szum ostry, przeciągły, dał się słyszeć w powietrzu.

„O jakże piękny na pustyni, mastyk złotym błyszczący kwiatem. O! równie piękny dla rozbitek biały żagiel w dalekiej przestrzeni.

„Trawiony głodem, znużony samotnością, murzyn wykrzyknął radośnie, na widok ptaka zbliżającego się do tratwy.

„Ptak zapowiada bliski ląd, albo wyspę. Ta wyspa może zaludniona! może tam źródło wytryska gdzie ze skały, może skrzepi w nim pierś spaloną!

„Ptak nadlata coraz bliżej i bliżej, skrzydłem dotyka wód powierzchni: pióra szeleszczą głucho. Doleciał już do tratwy, rozpostarł nad nią czarne skrzydła, siadł na maszcie, do którego murzyn przytroczony.

„Murzyn poznaje ptaka. O! nie zwiastun to blizkich lądów! wielkie on przelata przestrzenie. I głuchy jęk wybiegł z piersi nieszczęśliwego.

„Ptak zatrzepotał w skrzydła. Jednym rzutem spadł na trupa kreolki, oba szpony utkwili w jej łonie, krzywy dziób zatopił w jej ustach, i oderwał kęs ciała: zęby jęj zaświeciły.

„Murzyn zaryknął wściekle. Przerażony ptak zrywa się z miejsca, krąży na okół tratwy, gotów znów ugodzić w ofiarę.

„O! boleść to stokroć straszliwsza nad śmierć samą!”



Nie zawsze Eschrich maluje tak przerażające sceny. W innej powieści *Las Angelles de la Tierra*, pokazuje dobroczynny wpływ ziemskich aniołów, na serca pogrążone w odmęcie zbrodni. Jest to śliczna postać wiejskiego lekarza, zamiłowanego w nauce, poświęcającego życie dla ludzkości.

Obok pełnej zapału Sewillanki i potężnego wyobrażenia Katalończyka, postawmy tu rzewnego syna Biskai, Antonia Truebę, który z życia wieśniaczego ludu umiał wysnuć szczerozłątą przędzę i pochwyć nią serca ziomków. W maleńkich jego obrazkach nie szukajmy zawikłanych intryg, ani przerażających zbrodni. Są to proste, domowe sceny, tłem ich uboga strzecha lub robotniczy warsztat, a przecież obrazki te głęboko poruszają Hiszpanów, tak samo jak porusza nas „Wiesław” Brodzińskiego lub „Odpust w Czerniakowie.” Dziwną też dopatrujemy analogią pomiędzy dwoma pisarzami. Taż sama w nich serdeczna religijność, toż samo zamiłowanie gniazda; ten sam niewysłowiony urok prostoty, czy to w pieśni, czy w prozie: taż sama szczerść i pełność uczuć. Nie utrzymujemy bynajmniej, aby Trueba zajmować miał w literaturze hiszpańskiej, tak wznioście miejsce jakie w naszej zajął śpiewak Wiesława. Poeta nasz przerasta Biskajczyka jako wytrawny estetyk, a szczególnie jako wieszcz porwany duchem w wyżyny dostępne zaledwie Bożym wybrańcom. Takim widzimy go w ostatniej pracy, sławném *Poselstwie*, kiedy jak nowy Ezechiel wyrzekł prorocze słowa, zostawiając w nich żywy źródło na ochłodę spragnionych braci! Porównanie Trueby z Brodzińskim ograniczamy tylko co do utworów wysnutych z życia ludu.

Trueba napisał mnóstwo drobnych powiastek. W zbiorze p. t.: *Cuentos populares* kreśli obyczaje robotników madryckich; w *Cuentos campesinos* pokazuje lud wieśniaczy na polach Kastylii; w *Cuentos color de la rosa* porusza, jak dowodzi sam tytuł, drogie wspomnienia młodości, ożywia poetyczne postacie górali biskajskich, wśród których urodził się i wyrósł. Wysoki idealista, ugania on bezprzestanku piękno, dobro i prawdę; nie szuka ich na niedościgłych gdzieś wyżynach, lecz spotyka je co krok: to w kwiatku polnym, to w rannej piosence skowronka, to w gwiazdce połyskującej na tle nocy. Kocha gorąco i dołinę rodzinną pod cieniem Pirenców, i słoneczko co go ogrzewa; nade wszystko zaś kocha Boga i ludzi. Z niewymowną miłością maluje ten lud Boży pełen wielkich cnót i poświęceń, obok drobnych wad nieodłącznych od ludzkiej natury. Żartuje dowcipnie z tych usterek, rozrzewnia i rozśmiesza zarazem. Miłość drgająca w każdym słowie oddziaływała na ziomków. Trueba stał się ulubieńcem narodu.

Inny powieściopisarz, Manuel Gonzales, porywa znowu serca, stawiając przed oczy Hiszpanom w niezliczonych obrazkach drogie wspomnienia chwały narodowej. Pięćdziesiąt lat temu urodził się w Sewilli, młode lata przeżył w Grenadzie. Równie jak Fernan Caballero, należy on do tój Andaluzji, na której geniusz arabski tak silnie wycisnął piętno. Po ukończeniu nauk, siedem lat służył w wojsku, co mu dało

sposobność przebiedz wzdłuż i w poprzek całą Hiszpanią, a tém samém zbadać obyczaje, wsłuchać się w tradycyę każdej miejscowości. W sześćdziesięciu historycznych powieściach wydanych dotąd, przyczynił się wielce do spopularyzowania tak dawnych jak i późniejszych dziejów. Prowadzi on czytelników swoich to w lesiste wąwozy Asturyi, gdzie mytyczny Pelajo król ostatni z plemienia Gotów, stacza ostatni bój przeciw zwyciężkim Maurom; to do Kastylii za epoki Piotra okrutnego; to do Grenady, w chwilach kiedy proporzec kastylski powiał na wyżynach Albaycynu; to do Segowii, gdy stany podniosły głowę przeciw Karolowi V; to do Saragossy, gdy Aragon pochwycił oręż za Filipa II w obronę pogwałconych swych *fueros*; to do Madrytu za krwawych zapasów o sukcesyą: to nareszcie na krwią zlane pobojuwiska z czasów Napoleońskiego najazdu. Gonzales poszedł śladem Walter-Skotta, nie można jednak nazwać go prostym naśladowcą; barwa miejscowa, którą zaprawił swoje utwory, daje im samodzielny charakter.

Wspomnimy tu jeszcze powieściopisarza zmarłego niedawno w początkach zawodu, mając zaledwie lat trzydzieści. Był nim Gustaw Becker urodzony w Sewilli. Pozostała po nim fantastyczna powieść *Organy ojea Perez*, zostało także ze trzydzieści legend z podań miejscowych, zbiorok ulotnych pieśni, listy z wędrowek po kraju, opisy kościołów hiszpańskich. W legendach zwłaszcza okazał prawdziwie twórczy talent. Zbierał je Becker z ust ludu wieśniaczego. Zwieżdżając stare kościoły i zamczyska wypytywał pilnie o tradycyę przysłę do ich omszałych murów. Powracał z każdej wycieczki, jak wraca pszczoła do ula, obciążona miodem z pól i kwietników ojczystych. Do tych poszukiwań przywiązywał niesłychaną wagę, trwożył się bowiem, ażali drogi żelazne nie zatrą wkrótce owych cech odrębnych, jakimi wieki nacechowały każdą miejscowość. Miłośnik tradycyi nie odtrącał jednakże idei postępu, w poetycznej duszy jego przeszłość spletała się harmonijnie z przyszłością; oto wyjątek z listu wędrowca:

„Wierzę głęboko w przyszłość! rad ścigam duchem ów potężny a nieuchronny przyptyw nowoczesnych idei. Działają one pomału na ludzkość, zmieniają jęj oblicze, sprowadzają zamianę myśli; dzięki coraz nowym odkryciom, łączą kraj z krajem, wyrabiają narodowość ze zlewu bratnich rodów: słowem obalają płoty, rozdzielające ludy między sobą. A jednak bądź skutkiem poetycznego usposobienia, bądź że instynkt ludzki garnie się z uczuciem ku temu co kona i zniknie za chwilę; czuję w sercu mojem głęboką cześć ku wszystkiemu, co przypomina przeszłość! Tradycyę poetyczną, zwalone grody, stare zwyczaje stariej Hiszpanii, mają dla mnie tajemniczy, niewysłowiony urok. Jest to niby wspaniały zachód słońca, roztańczający przed oczyma roje promienistych widziadeł, zaczm pomrok zapadnie!”

Wierszyk znaleziony w papierach poety, wiernie maluje boleść duszy, co przeczuwa w sobie iskrę twórczą:



W kącie sali milcząca  
 Harfa stoi nieśmiało,  
 Nikt w jój struny nie trąca:  
 Pył pokrywa ją całą!

Czarodziejskie w niój tony,  
 Ale o nich świat nie wie;  
 Drży jak słowik znużony  
 Pod gałązką na drzewie!

Tak duch ludzki się trwoży,  
 Bez polotu, bez siły,  
 Nim doń rzecze głos Boży:  
 „Wstań Łazarzu z mogiły!”

Becker nie doczekał tój chwili tryumfu. Geniusz jego nie miał rozwinać twórczych lotów: śmierć podcięła mu skrzydła!

## IX.

Pole historii nie zaległo także ugorem. W pośród tegoczesnych historyków hiszpańskich, pierwsze miejsce zajmuje don Modesto Lafuente, autor wielkiego dzieła w dwudziestu ósmiu tomach pod tytułem *Historja powszechna Hiszpanii*. Dwadzieścia lat życia poświęcił pracowity badacz na to olbrzymie dzieło.

Nie mieli dotąd Hiszpanie całkowitego obrazu dziejów swoich od czasu kartagińskich i rzymskich najazdów, aż do obecnej chwili. Dzieła dwóch jezuitów Mariany i Ferreras, pisane w XVI jeszcze wieku, obejmowały mnóstwo faktów nagromadzonych bez krytycznego poglądu. Trzy ostatnie wieki nie miały dotąd historyka.

Dowiedziano się w Madrycie, że erudyci francuzcy, a między nimi Karol Romey, Rossenu, Saint Hillaire, pracują nad tém czego Hiszpanie dotąd nie wykonali sami. Wiadomość ta dodała bodźca Lafuentemu. Był to znakomity publicysta, ceniony powszechnie w Hiszpanii. Poprzysiągł sobie bądź co bądź przełamać wszelkie trudności i napisać historję narodu swego. Prawy Kastyljczyk dotrzymał słowa. Umarł w roku 1866 obdarzywszy kraj dziełem prawdziwie powinowatym. Najgorętsza miłość ziemi ojczystej, która dała autorowi pochop do wielkiej pracy, ożywia też każdą stronicę dzieła; mimo to pogląd Lafuenta umiarkowany, wolny od namiętnych uniesień i uprzedzeń stronnicych. Z zapałem kreśli autor obraz dawniej chwały i pomysłności, z głębokim zrozumieniem potrzeb i ducha narodu, utrzymuje, że przyszłość Hiszpanii połączona ściśle z tryumfem katolicyzmu w świecie. Pod wielu względami, a szczególnie pod względem gorącego patryotyzmu, porównyując Lafuenta z historykiem francuzkim Henrykiem Martinem.



Przytaczamy mały ustęp z rozprawy wstępnej. Daje on poznać sposób traktowania rzeczy i samodzielny pogląd autora na dzieje swego narodu.

„Jakkolwiek—mówi historyk—przyroda sama ściśle oznaczyła granice Hiszpanii, żaden przecież naród nie był narażony na tyle obcych najazdów, jak naród hiszpański. Wschód, Północ i Południe, Europa jak i Afryka sprzysięgły się przeciw téj ziemi. Z drugiej znów strony, któryż lud opierał się kiedykolwiek dzielniej i wytrwałej obcym zdobywcom? Powolném a stałem działaniem zużył on ich siły i odnosił zawsze ostateczne zwycięstwo. Odwaga, ta pierwsza cnota Hiszpanów, dążność do odosobnienia, instynkt zachowawczy, przywiązanie do przeszłości, ufność w Bogu, miłość religii, wytrwałość wpośród klęsk, rezygnacja w nieszczęściu, śmiałość w rzucaniu się na przygody: oto główne cechy narodowego charakteru. Dodajmy do tego samowolę, ten owoc pychy i poczucia godności osobistej, pożyteczną niekiedy, bo zapewnia zbiorową niepodległość, często szkodliwą, gdyż pociąga za daleko wyrób niepodległości indywidualnej, ale bądź co bądź pobudzającą zawsze do bohaterских czynów i ofiar. Owa to samowola wydała nam tylu walecznych rycerzy, a zarazem tylu niesfornych generałów! Dodajmy tu jeszcze umiarkowanie w wszelkich potrzebach życia, posunięte aż do pogardy pracą, a zobaczymy, iż, aby sądzić naród hiszpański, potrzeba na to osobnego kryterium.

„Przywiązanie do przeszłości nie przeszkadza jednak Hiszpanii podążać, acz zwolna, drogą postępu. Spełniając to prawo, nakazane wolą Opatrzności, umiała ona z każdej epoki dziejowej, z każdego obcego panowania, zbierać obfite plony przechowane w języku, w religii, w zwyczajach i prawodawstwie.

„Zobaczymy, jak lud hiszpański staje się w kolei wieków pół-lacińskim, pół-gockim, pół-arabskim; zobaczymy jak zrazu barbarzyński i niepodległy przeistacza się zwolna, przejmując to język, prawa i obyczaje Rzymian, to znów tradycje i prawo kanoniczne Gotów, to nakoniec szkoły Arabów, ich wytworną poezją: zobaczymy udział ludu w walkach różnych żywiołów, które w średnich wiekach wpłynęły na urządzenie społeczeństw.

„Zobaczymy, jak ten lud zrzuca obce jarzmo, a poddaje się dobrowolnie pod samodzierżczą władzę wybranego przez siebie monarchy; zobaczymy jak zdobywa centralizacyą, a traci swobody polityczne, jak rozszerza po świecie tryumf wiary, a pozwala fanatyzmowi zagnieździć się na tronie! Zobaczymy później, jak wywieszony w szkole nieszczęść czyni ważny krok w postępie społecznym, stapiając niejako w sobie najsprzeczniejsze żywioły: interwencyą ludu z monarchią, jedność wiary z tolerancyą religijną, czystość chrześcijaństwa z polityczną i cywilną swobodą: słowem nadaje sobie organizacyą, uwzględniającą wszelkie godziwe domagania, wszelkie prawa słuszności. Organizacya to nader ważna, gdy patrzymy na nią ze stanowiska przeszłych czasów, ale bardzo niedostateczna, gdy ogarniemy wzrokiem przyszłość i rozwój przeznaczony wielkim ludom prawem nicomylném Tego, który nimi kieruje.”

Takim jest pogląd na dzieje Lafuenta. Hiszpania chlubi się słusznie wspaniałem jego dziełem. Naród który takich wydaje pisarzy, musi mieć w sobie potężny zasób sił żywotnych!

Inni erudyci zachęcani tym przykładem, zabrali się pilnie do prac na polu historii, to rozbiierając krytycznie różne epoki dziejowe, to wydając bogate materiały. Don Pedro Pidal, uczeń Guizota, napisał historią Aragonu; margrabia Miraflores w kilku drobnych publikacyach dał obraz przewrotów społecznych w Hiszpanii w ciągu bieżącego wieku; Don Evaristo San Miguel,—jeden z głównych przewodzców ruchu narodowego za czasu wojen Napoleońskich, którego pamięć czczona w Hiszpanii, jak we Francyi pamięć Lafayette'a,—usunąwszy się w późnym wieku z widowni politycznej, napisał *Historią Filipa II*, jak niemniej zarys współczesnych zdarzeń, w których brał czynny udział. Ferrer del Rio wypracował kilka ciekawych monografii: *Panowanie Piotra Kastylskiego*, *Panowanie Karola III* i t. d. Ostatnia praca pomieściła go w rzędzie niepospolitych historyków. Rodzina Alcantara nie małe też położyła zasługi: jeden z braci don Miguel napisał *Historią Grenady*, obraz pełen poezyi i młodzieńczego zapału; drugi Emilio przełożył sławny zbiór tradycyi arabskich *Aybar-Machmud*, oraz wydał genealogią wszystkich władców maurytańskich, którzy panowali w Hiszpanii; trzeci don Jose wydaje od lat wielu krytyczny rozbiór starych kronik.

W tém liczнім gronie historyków, jeden tylko ogromem i ważnością pracy stanąć może obok Lafuenta: jest nim professor uniwersytetu madryckiego, żyjący dotąd Amador de los Rios. Od młodości uczony ten pracuje wytrwale nad historią literatury hiszpańskiej. Dotąd wydał sześć wielkich tomów, ostatni obejmuje wiek XV, następny rozpocznie obraz złotego wieku. Dzieło to przypomina z wielu względów Historią literatury polskiej Michała Wiszniewskiego. Zbytek nagromadzonych materiałów nie pozwolił naszemu historykowi dociągnąć do końca pracy swojej; Hiszpanie lękają się aby podobny los nie spotkał olbrzymiej pracy ich uczonego badacza.

Dzieje cywilizacyi hiszpańskiej zajęły nie jednego z dzisiejszych erudytów. Przedmiot to nadzwyczaj bogaty. Była jak widzieliśmy chwila, że Hiszpania trzymała w ręku pochodnię przyświecającą ludom, nim ta przeszła w ręce Francyi. Eugeniusz Tapio wypracował w obszerném czterotomowém dziele *Historią cywilizacyi hiszpańskiej, od najazdu Arabów do dni naszych*. Inny uczony żyjący podziś dzień sławny Emilio Castellar, podjął znów inną dobę dziejową, a tém samym uzupełnił pracę Tapii, sięgając głębiej w przeszłość. Pod tytułem: *Cywilizacya w pierwszych wiekach chrześcijaństwa*, ogłosił on w czterech tomach trzyletni kurs swój w Atheneum madryckiem od 1858—1861 r. Pogląd jego wysoko idealny.

Castellar rozpoczął zawód pisarski na polu powieściowém. Jego *Ernesto* i *Siostra miłosierdzia*, przypominają Lamartinowskiego Jocelina. W życiu Lorda Byrona okazał się wytrawnym krytykiem:



Jego *Wspomnienia z Włoch*, wysoką mają wartość artystyczną. Otoczony cudami sztuki i całym bogactwem tradycji chrześcijańskich, opisuje z zachwytem pyszne bazyliki i drogocenne zabytki cywilizacji różnych wieków, jakie napotykał pod pięknym niebem włoskim. Praca ta przypomina zupełnie *Podróż do Włoch*, zmarłego estetyka naszego Józefa Kremera.

W zapasach politycznych, Castellar zasłynął jako jeden z najznakomitszych oratorów tego wieku. Był on jak wiadomo, żarliwym zwolennikiem idei republikańskich. Dziś przebywa po za obrębem kraju.

Dar wymowy, właściwy wszystkim ludom romańskiej cywilizacji, u Hiszpanów stał się rzeczywistą potęgą. Dostę tu przypomnieć szereg trybunów, których słowo zachwiało nieraz tronem w ciągu tego stulecia; dość wymienić także imiona jak Olozaga, Rios Rozas, Gonzalez Bravo, don Maria Lopeza. Quinet <sup>1)</sup> w dziwnie malowniczy sposób, określa ostatniego z tych mówców. Określenie to można do wszystkich zastosować.

„Brzmiący głos Lopeza, mówi Quinet, to się podnosi, to spada na przemiany; rzekłbyś iż słowo wybiega z rozdartego serca, które odkrywa żywą ranę. W głosie jego tętni jakiś szorstki ton afrykański, przenikając na wskrós duszę i wgnętrności słuchaczy. Słońce Murcy iskrzy się w tém słowie, przesywa cię jak miecz! W to słowo zestrześli się wszystkie uczucia, wszystkie namiętności ludzi, w których imię przemawia trybun. Kipiąca lawa rozlewa się na całe audytorium. Kiedy patrzę nań jak wpół zgięty, wyciąga naprzód obie ręce, chcąc niby pochwycić w garść przeciwników; zda się jakbym widział byka walczącego w arenie!“

## X.

Na zakończenie powiedzmy słówko o dziennikarstwie hiszpańskim, ograniczymy się głównie na liczbach statystycznych. Madryt według ostatniego spisu dokonanego przed samą rewolucją w 1868 r. liczył ludności 272,000, w liczbę tę wchodziło około 15,000 cudzoziemców, i tyleż załogi wojskowej. W owym czasie drukowano w Madrycie 134 pism peryodycznych: szosta ich część wychodziła codziennie, reszta tygodniowo lub dwa razy na tydzień. Pomędzy temi było 17 dzienników poświęconych polityce, 10 rzeczom religijnym, 32 literaturze, 17 wewnętrznój administracji i t. d. Same te cyfry mogą zaświadczyć o rozbudzonem ruchu umysłowym.

Z rewolucją 1868 roku, do tych pism i dzienników, przybyło wiele innych; liczne dynastye roszczące prawa do tronu: Burboni różnych gałęzi, Hohenzollerny, dom Sabaudzki, Habsburgowie, mieli własne organa, popierające ich kandydatury. W miarę zmian politycznych,

<sup>1)</sup> Edgar Quinet: *Mes vacances en Espagne*.



jedne pisma upadały, inne wyrastały jak grzyby z ziemi. W każdym razie, prassa utrzymywana głównie przez finansistów, ważne zajmuje dziś stanowisko. *La Epoca* popiera silnie rząd Alfonsa XII; *El Pueblo*, *El Imparcial*, głoszą idee demokratyczne. *La Correspondencia de Espana*, dzięki zręcznej redakcyi liczy do 50,000 prenumeratorów.

W miastach prowincjonalnych, rozwój dziennikarstwa zasługuje niemniej na uwagę. Każde miasto na półwyspie ma własny organ, odpowiedni miejscowym potrzebom. Przemysłowa Barcellona rozbiera w pismach swoich najżywotniejsze pytania ekonomiczne: stosunek pracy do kapitału i t. p. Walencya podąża w ślad za Barcelloną. Słoneczna Andaluzya w pismach wydawanych w Kadyksie i Sewilli, daje polot twórczej wyobraźni poetów. Wykształceni tu publicyści, pośpieszają zazwyczaj do Madrytu, gdzie szerszy widnokrąg otwiera się przed nimi.

Oprócz dzienników i pism peryodycznych, istnieje w Madrycie drobna świsłkowa literatura, dla jakiej Leleweł stworzył niegdyś nazwę *lotniki*. Niemniej trafnie poeta hiszpański Yriarte nazwał ją *literaturą wiewiórczą*. Rodzaj ten określa jego bajeczka *Wiewiórka i koń*, którą dajemy tu w przekładzie.

„Co ty czynisz rosły koniu,  
I ja czynię w ślady twoje:  
Ty cwałujesz het po błoniu,  
I ja w miejscu nie dostoję:  
Biegam, krążę, w prawo, w lewo,  
Na dół, w górę: chlust na drzewo!“

Tak wiewiórka rzeczce mała,  
A koń na to: „milczec tobie!  
Cożes dotąd wyskakala?  
Ja przynajmniej wiem co robie:  
Niech mi z czoła pot się toczy,  
Gdy cel wielki nęci oczy!“

Iluz goni dziś za skawą!  
Wciąż wyprawia skoki grackie:  
W górę, na dół, w lewo, w prawo:  
To wiewiórki literackie!

Ta *wiewiórcza literatura* popłatna dziś w Madrycie; w skutek anormalnego stanu, a ztąd zgorączkowania umysłów, pochłania mnóstwo wyższych zdolności literackich. Słusznie ubolewa nad tém Hubbard. Wylicza on długi szereg tych świsłków, nakreślonych dorywczo, pod wrażeniem chwili, które wiatr roznosi bez wieści i pograża w otchłań zapomnienia. Za to marnotrawstwo czasu i talentu, krytyk chłoczsze surowo lekkomyślnych pisarzy, a bardziej jeszcze bezmyślną

publiczność, która w literaturze więcej ocenia, zręcznie rzucony sarkazm, lub czyzy połysk fajerwerkowy, niż to co karmi umysł i podnosi serce. Chętnie tu zakończymy słowami doświadczonego krytyka:

„Publiczność urabia zwykle pisarzy: niech więc, zamiast nieprzyzwoitych żartów, zamiast bawidełek lekkich bez znaczenia, zapragnie poważnych myśli, wzniosłych uczuć, gruntownych sądów: znajdują się niewątpliwie autorowie, gotowi uczynić zadosyć nowym jěj wymaganiom!“

## DROGI ŻELAZNE

# W KRÓLESTWIE POLSKIEM,

PRAWA I OBOWIĄZKI PODRÓŻUJĄCYCH.

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

Stanowiska i ważności dróg żelaznych w życiu tegoczesnych społeczeństw, podnosić nie ma potrzeby; dziwić się téż nie można, że pytania odnoszące się do kierunku projektowanych linii, kosztów i dobroci ich budowy, sposobu w jakim społeczność bierze w niěj udział, utrzymania zresztą dróg i ich zarządu, budzą w publiczności żywy interes. Wszakże pytania te, o ile wkraczają w dziedzinę nauk matematycznych lub mechanicznych, nie są dla szerszego koła czytelników dostępnymi, i muszą pozostać przedmiotem wyłącznych studyów dla tych, którzy się téj gałęzi nauk specjalnie poświęcają. Pytania te znowu o ile zaczepiają o politykę lub o naukę finansów i ekonomią polityczną, mogą być pożytecznie i skutecznie rozbiernymi w druku, w tych jedynie społecznościach, które bądź w decydowaniu tych przedmiotów same biorą udział, bądź wywierają wpływ na sferę do wydawania decyzji powołane.

Dla naszych przeto dzienników i czasopism pozostają do rozbiornu jedynie pytania, ogarniające stosunki dróg żelaznych z publicznością. Drogi te bowiem służyć mają do publicznego użytku, każdy więc ma prawo żądać, by zadaniu swemu czyniły zadosyć. Każdy pod tym względem głos, każda podana w druku wiadomość lub

krytyka, nie pozostaje bez pewnego dwoistego wpływu: na zarządy dróg żelaznych, objaśniając je, co jest od nich oczekiwaniem, i na samą publiczność, zwracając jęj uwagę na to, jakie są granice jęj żądań, poza któremi stawałyby się one niesprawiedliwými lub do urzeczywistnienia niemożliwými.

Stosunki te zresztą nie zależą bynajmnięj od dowolności zarządów dróg żelaznych; obowiązki bowiem tych zarządów określone zostały z całą ścisłością w aktach koncessyi, umowami nadawczemi zwanych i w specjalnych przepisach, wydanych przez rząd. Szereg tych przepisów, rozpoczynają dwie umowy przedugodne, w dniach 22 sierpnia i 5 października 1857 r., pomiędzy głównym dyrektorem skarbu i kompanią kapitalistów zawarte, o ustąpienie jęj, poprzednio kosztem rządu zbudowanęj drogi żelaznęj od Warszawy do stacyi Granica, i odnogi od Skierniewic do Łowicza, tudzież o zbudowanie przez tęż kompanią nowych dróg żelaznych z Łowicza ku Bydgoszczy i z Żąbkowic ku Kattowitz. Ukaz Najwyższy z dnia 10 października 1857 r. zatwierdzając obie umowy, dozwolił rzeczonęj kompanii utworzyć dwa stowarzyszenia na akcyach: Warszawsko-Wiedeńskie i Warszawsko-Bydgoskie i przepisał dla nich ustawy. Oddanie zarządu tych dróg w ręce prywatne, wywołało potrzebę specjalnych przepisów, mających na celu uczynienie bezpieczną jazdy po tych drogach i oznaczenie kar za naruszenie tych przepisów. Czyniąc tęj potrzebie zadosyć, Rada Administracyjna Królestwa, w d. 9 maja 1857 r. wydała odpowiednie postanowienie; w dniu zaś 14 października 1859 zatwierdziła ustawę pod nazwą: *Urządzenia dla dróg żelaznych w Królestwie*, zastrzegając zarazem, iż każde towarzystwo drogi żelaznęj, ułoży i przedstawi do zatwierdzenia naczelnikowi komunikacyi, *Przepisy porządkowe* (Betriebs-reglement), dotyczące przyjmowania i przewozu osób, ekspedycyi, ubezpieczenia i przewozu towarów lub innych przedmiotów, szczegółowe wreszcie instrukcye dla wszystkich gałęzi służby drogi (§ 82).

Obadwa te postanowienia Rady Administracyjnęj są obowiązującemi i dla dróg żelaznych Warszawsko-Terespolskięj tudzież Fabryczno-Łódzkięj. Umowa nadawcza o zbudowanie pierwszęj z nich, zawartą była w dniu 21 października 1864 r. pomiędzy naczelnikiem zarządu komunikacyi i koncesyonaryuszem, uzyskała zaś zatwierdzenie, przez ukaz Najwyższy z d. 21 października t. r., który zarazem dozwolił na utworzenie towarzystwa akcyjnego, na zasadzie ustawy dla tegoż towarzystwa jednocześnię zatwierdzonej. Na budowę znowu drogi Fabryczno-Łódzkięj i na utworzenie towarzystwa akcyjnego, zezwolił Najwyższy ukaz z d. 30 lipca 1865, zatwierdzając zarazem ustawę tegoż towarzystwa i pozostawiając Namiestnikowi Królestwa zatwierdzenie umowy nadawczęj.

Każde wreszcie z tych czterech towarzystw, w zastósowaniu się do § 82 urzędzeń z d. 14 października 1859 r., wyjednało od naczelnika komunikacyi, zatwierdzenie *przepisów porządkowych*, tudzież



szczegółowych instrukcyi dla wszystkich gałęzi służby. Wszystkie przeto wymienione umowy nadawcze, ustawy towarzystw, urządzenia i przepisy porządkowe, złożyły się na wytworzenie wyjątkowego dla dróg żelaznych prawodawstwa, i są specjalnym kodeksem, modyfikującym w wielu razach ogólne prawo. Wyjątkowość ta nie jest wytworem naszemu krajowi wyłącznym; specjalne prawodawstwo dla dróg żelaznych zaprowadzono wszędzie, w miarę budowania tych dróg, jako wynik nowych i nowej natury stosunków, nieurządzonych dotychczasowymi kodeksami, lub nieznajdujących właściwej dla siebie zasady w przepisach ogólnego prawa, które zachowało pełną i niewzruszoną siłę w tych jedynie przypadkach, w których przez te specjalne przepisy, zmienioném nie jest.

Publiczność przeto, posługująca się co chwila drogami żelaznymi, powinna by przepisy tego specjalnego prawodawstwa dokładnie poznać, i w żądaniach swych mieć je na pamięci, gdyż nieznanomością ogłoszonego prawa, nikt zasłaniać się nie jest mocen. W Dzienniku praw czytać można Najwyższe ukazy z r. 1857, 1864, 1865, tudzież postanowienie Rady Administracyjnej z d. 9 maja 1857; w zbiorze tym jednak nie są pomieszczone ani umowy nadawcze, ani ustawy czterech towarzystw, ani urządzenia przez Radę Administracyjną d. 14 października 1859 r. zatwierdzone, ani przepisy porządkowe, będące dopełnieniem tych urządzeń. Wprawdzie Rada Administracyjna w § 86 tychże urzędzeń zastrzegła, by one, wraz z przepisami porządkowymi i szczegółowymi instrukcyami, znajdowały się w porządnym zbiorze, na wszystkich stacyach drogi, dla okazania na każde przez kogobądź zanesione żądanie; ażeby nadto wydrukowane były oddzielnie i zamieszczone na wszystkich stacyach drogi, w miejscach dla publiczności widocznych, przepisy policyjne przez Radę Administracyjną d. 9 maja 1857 r. wydane i przepisy dla podróżnych i dla osób nienależących do służby drogi, tudzież przepisy o karach, zawarte w rzeczonych urządzeniach: pragnęła więc taż Rada, ażeby wszystkie te przepisy były przez publiczność poznane i dla każdego dostępne. Ten jednak sposób rozpowszechnienia przepisów ogarniających jedną z ważnych gałęzi działalności społecznej, połączony z nieuzyciem przez Radę Administracyjną formy prawnej, przy zatwierdzaniu wzmiankowanych *urzędzeń* i z niedość wyraźnym odróżnianiem dziedziny prawodawczej od przedmiotów wchodzących w zakres administracji krajowej, zrodził wątpliwość, czy całość w mowie będącego prawodawstwem dróg żelaznych, obowiązuje jednocześnie ogół mieszkańców kraju; czy więc wszystkie części tegoż prawodawstwa, są bez różnicy prawem w pełném znaczeniu tego wyrazu.

Ponieważ do tego przedmiotu przyjdzie nam jeszcze powrócić, poprzestajemy tu więc na zaznaczeniu, iż nikt wątpić nie może i nie wątpi bynajmniej, iżby jakakolwiek część rzeczzonego prawodawstwa nie miała bezwarunkowo obowiązywać towarzystw dróg żelaznych; każdy bowiem na podstawie aktów nadawczych czyli umów, zawartych

przez rząd w interesie i dla dobra ogółu, władnym jest uzasadniać osnową każdego z tych przepisów, żądania jakieby przeciwko zarządowi drogi żelaznej podnosić miał potrzebę. Nie możemy tu jednak pominąć dwóch uwag: 1) iż niezamieszczenie w Dzienniku praw, umów nadawczych, ustaw czterech towarzystw dróg żelaznych, urzędzenia z r. 1859 i przepisów porządkowych, wkładających na zarządy tych dróg ważne obowiązki i mających urządzać przedmiot niewątpliwego ogólnego interesu i ogarnąć rozliczne a ważne stosunki cywilne, handlowe a nawet karne, jest rzeczywiście do wytłumaczenia trudnym, gdy w tymże zbiorze pomieszczano każdy list przyznawego wynalazku, każdą taryfę opłaty mostowego, w najmniejszej nawet i odległej gminie. Dopóki zatem wydawnictwo Dziennika praw nie zostało zaniechanem, karty tego zbioru stały otworem nawet dla przedmiotów obchodzących co najwyżej jedną miejscowość lub jedną okolice kraju; pod względem przeto swęj ważności i doniosłości nie mogących się mierzyć z przepisami a nawet z taryfami dróg żelaznych interesującymi ogół; 2) że sposób rozpowszechnienia przepisów przez Radę Administracyjną przyjęty, nie okazał się praktycznym; któż bowiem w obec pośpiechu podróży lub ekspedycyi towaru drogami żelaznymi, znajdzie dość czasu na zażądanie okazania zbioru przepisów, wydanych dla tychże dróg, tém mniej zaś na dokładne zbadanie tych przepisów? Pragnący je poznać, musiałyby raczej przybyć umyślnie w tym celu na stacyę drogi i studjom nad nimi poświęcić dni kilka. O ile też wiadomo, ogół publiczności o przepisach tych cokolwiek zaledwie zasłyszał i bardzo niewielka liczba osób ma o nich bliższe pojęcie.

Zestawienie przeto zasad urządzających wzajemne stosunki rządów dróg żelaznych z publicznością, nie będzie może bez pożytku.

## I.

Publiczność ma przedewszystkiem niewątpliwe prawo żądania najzupełniejszego *bezpieczeństwa jazdy* drogami żelaznymi; stopień zaś tego bezpieczeństwa jest zawisłym od następujących warunków:

1. Od dobrego zbudowania drogi i zaopatrzenia jęj w dobry tabor.
2. Od zabezpieczenia zbudowanej drogi od uszkodzeń będących czynem osób należących do służby drogi.
3. Od utrzymywania drogi i jęj taboru w stanie dobrym.
4. Od ostrożności zachowywanych przy wyprawianiu pociągów i w czasie samęj jazdy.

Wszystkie te warunki określone są wyczerpująco i z należytą ścisłością w przepisach na wstępie wymienionych.

1. Droga Warszawsko-Wiedeńska zbudowaną była kosztem rządu, administracyjnie, przez miejscowych inżynierów i techników; w aktach zaś nadawczych innych dróg żelaznych zastrzeżono: iż wszystkie roboty wykonanemi być winny, odpowiednio do kierunków sta-



nowczo rysunkami wskazaných i do planów zatwierdzonych przez rząd; iż tenże rząd zachowuje sobie prawo, sprawdzenia, czy wykonanie robót odpowiada wymaganiom mocy i bezpieczeństwa, i czy użyte materiały były wymaganej dobroci; zastrzeżono także, iż przed otwarciem drogi dopełnioną być miała rewizya, dla przekonania się, czy eksploatacyja drogi może mieć miejsce bez niebezpieczeństwa dla publiczności. Przepisano wreszcie, iż największa pochyłość spadków nie może przenosić ośm tysięcznych, a promień krzywizn liniję proste łączących, będzie miał najmniej 300 sażeni. Czuwanie nad wykonaniem tych zastrzeżeń, włożonóm zostało na inspektora głównego dróg żelaznych (§ 63 *urządzeń z października 1859 r.*), który w czasie budowy dróg spełniał ścisły nadzór nad każdą częścią dzieła.

Roboty ziemne a zwłaszcza nasypy, rewidowane były przed udzieleniem pozwolenia na układanie szyn; mosty, niezależnie od technicznego nadzoru w ciągu ich budowy, poddawano próbom w celu przekonania się o sile ich wytrzymałości, pod ciężarem o wiele wyższym od tego jaki przedstawia najdłuższy pociąg towarowy w pełni swego ładunku. Szyny i ich akcesorya musiały być odpowiednie typom i wytrzymać także próby, w skutek których udzielano dopiero upoważnienie do ułożenia ich na przygotowanej drodze. Parochody zresztą, tendry, powozy i wagony, musiały być zbudowane odpowiednio do typów zatwierdzonych przez rząd i ulegały szczególnej rewizyi, mającej przekonać, czy tabor drogi jest w takim stanie, iżby przy użyciu do jazdy z dozwoloną szybkością, nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa i zapewniał należytą regularność tejże jazdy (§ 9 *tychże urządzeń*). Kocioł każdego parochodu musiał wytrzymać próbę, pompą hydrauliczną, ciśnieniem wyrównyującym najmniej 1½ ustanowionej wysokości ciśnienia pary w kotle. Próby te miały miejsce w samej fabryce, i kocioł który podczas takiej próby uległ jakiegobądź zmianie formy, był bezwarunkowo odrzucony i zastąpiony innym toż ciśnienie wytrzymującym. Każdy zbudowany parochód poddawany był próbie jazdy w obecności inspektora głównego; jednocześnie z tą próbą, dopełnianą była szczegółowa rewizya wszystkich części parochodu i jego tendra.

Przy tych rewizyach przekonywano się jeszcze, czy każdy parochód zaopatrzoným jest manometrem dla oznaczania zmian ciśnienia pary, iskrochronami i właściwemi przyrządami przy popielniku, w celu zapobieżenia, o ile się da, wylotowi isker i wypadaniu węgla; czy tender parochodu jest zaopatrzoným w hamulec, w sposób uznany za najlepszy; czy powozy i wagony są zbudowane dobrze i z dobrego materiału; czy wszystkie bez różnicy koła mają obręcze z żelaza walcowanego w najlepszym gatunku, grubości najmniej trzy czwarte cala w kołach parochodów, a dwie trzecie części cala w kołach powozów i wagonów. Przed otwarciem zaś ruchu dopełnioną była ogólna rewizya całej drogi, przez specjalną komisją, obowiązującą zbadać stan i ułożenie podkładów i szyn, sposób połączenia tych szyn, ich



zgodność z typami zatwierdzonemi przez rząd, dostateczność rur przepływowych w zabudowaniach wodnych i stan tych zabudowań i t. p.

Zadna przeto częśćka tego skomplikowanego ustroju, jaki przedstawia zbudowana droga żelazna otwierająca ruch, nie została użyta przed odbyciem ścisłych protokularnych prób i rewizyi i przed udzieleniem ze strony inspektora dróg, piśmiennego upoważnienia. Tęj właśnie ścisłości zawdzięcza nasza społeczność zastosowanie przy budowie, wszystkich zdobyczy nauki i spożytkowanie doświadczenia innych krajów w rzeczy budowania dróg żelaznych. Jest też publiczność nasza przeświadczoną o dobrem zbudowaniu dróg żelaznych w Królestwie, i pod tym względem każdy wsiada do wagonu z zupełnym bezpieczeństwem.

2. Drogi żelazne, słusznie poczytane za dzieła użyteczności publicznej, (Art. I post. Rady Admin. z maja 1857 r.) nie mogły się obejść bez specjalnych przepisów, zapobiegających niszczeniu tego, co z takim kosztem i nie bez obciążenia budżetu krajowego zostało wytworzonem. Ogólne prawodawstwo nie byłoby zdolne zapewnić, względem zabezpieczenia, już dla tej uwagi, iż zwykłe czyny uszkodzeń cudzej własności, spełniane z winą lub bez winy, z samęj nawet nieostrożności, nie mogą pod względem swych następstw iść w porównanie z takimiż czynami na drodze żelaznej, zawsze budzącemi obawę wypadków pociągających kalectwo lub śmierć. Jedyne więc czyny noszące cechę zbrodniczą, jako to: wszelkie uszkodzenia drogi lub przygotowania na nią przeszkód, dokonane z celem spowodowania spadnięcia pociągu z szyn lub jego wywrotu, ulegają surowości ogólnego prawa karnego; wszystkie zaś inne pociągają za sobą odpowiedzialność wedle specjalnego dla dróg żelaznych prawodawstwa.

Najsukuteczniejszém zapobieżeniem wypadkom i uszkodzeniom drogi, jest bez wątpienia bezwarunkowe wzbronienie przystępu (bez upoważnienia), do całej jęj przestrzeni, osobom nienależącym do służby drogi. Zakaz ten zamieściło w mowie będące postanowienie Rady Administracyjnej, w wyrazach jasnych (Art. 4), stanowiąc na przekraczających karę od 10—50 rubli, przy zachowaniu obowiązku wynagrodzenia szkody, o ile takowa wyniknęła. Zakaz ten rozwinęty został (w §§ 53 i 54 urzędzeń z października 1859), zabraniających: chodzenia po drodze żelaznej, tak jęj plantem jak i po rowach, skarpach, groblach i przekopach, niemniej na stacyach po zachębie dla publiczności przeznaczonym, wreszcie, samowolnego otwierania zapór zamykających przejazdy poprzeczne na drodze żelaznej. Postanowienie z maja 1857 r. zabroniło także: utrzymywania w odległości mniejszej nad 90 stóp od osi drogi, stogów, snopów i przedmiotów łatwo zapalnych, sadzenia i utrzymywania w odległości mniejszej nad 72 stóp od granicy drogi, drzew i krzewów, tudzież zaprowadzania kopalni piasku, gliny, kamieni i t. p.; odległość zaś dla budowli oznaczoną została na 60 stóp od osi drogi dla krytych

materyałem niepalnym, a na 120 stóp dla krytych materyałem palnym. Przekroczenie każdego z tych zabronień, pociąga za sobą wzmiankowane wyżej następstwa prawne; celem zaś tych przepisów było znowu zapobieżenie, iżby bezpieczeństwo jazdy nie było zmniejszonym z przyczyn zewnętrznych. W dziedzinie prawodawczej jest ono więc zupełnie utrwalonem; rzeczą zaś jest zarządu drogi, służbę swą w taki urządzić sposób, by przystępu rzeczywiście niedopuszczyć nikomu i wszelkie niebezpieczne sąsiedztwo wcześniej usunąć.

3. Najdokładniejsze zbudowanie drogi żelaznej i zaopatrzenie jej najlepszym taborom, nie zapewniałoby jeszcze bezpieczeństwa jazdy, gdyby też droga i tenże tabor nie będąc przedmiotem ciągłej troskliwości, znalazł się mogły kiedykolwiek w stanie mniej odpowiednim swemu zadaniu. Troskliwość ta podniesioną została przez umowy nadawcze do stopnia obowiązku ciężącego towarzystwo dróg żelaznych; w tych bowiem aktach władzy prawodawczej, zastrzeżono najwyraźniej, iż towarzystwa te obowiązane są utrzymywać ciągle drogę i tabor w stanie odpowiednim warunkom bezpieczeństwa ruchu, i że do tego mogą być zagnonemi, nawet w drodze administracyjnej. Określając bliżej ten obowiązek, urzędnicy z października 1859 r. przepisały: że droga żelazna we wszystkich swoich częściach i z wszelkimi należącemi do niej przyborami, powinna być ciągle utrzymywana w dobrym stanie, tak iżby pociągi jadące z szybkością oznaczoną w przepisach, mogły ją przebiegać z zupełnem bezpieczeństwem i należytą regularnością. Przeszkody z uszkodzenia drogi lub z innych przyczyn wynikłe, usunięte być powinny w czasie jak najkrótszym (§ 1).

Utrzymanie tego dobrego stanu, pochłaniające znaczną część dochodów każdej drogi, jest jednem z najtrudniejszych zadań jej zarządu. Odnośnie do natury właściwej każdemu z dwóch działów budowy drogi: *robót dolnych*, ogarniających przygotowanie równego plantu pod szyny, wzniesienie mostów, urządzenie przejazdów, ułożenie podkładów i szyn z ich akcesoryami, i *robót górnych*, do których zalicza się cały tabor drogi, musiał być wydany szereg przepisów i przyjęty przez zarządy dróg szereg środków, tę ważną część gospodarstwa regulujących. Urządzenie odpowiedniego nadzoru stawiało się tu przeto na pierwszym planie. Każda droga podzieloną została na oddziały, oddane pod straż specjalnego inżyniera, który odpowiedzialnym jest przede wszystkim za dobry stan oddziału powierzonego jego pieczy. Każdy znowu oddział podzielony jest na sekcye, długie mniej więcej wiorst 10, oddane pod bezpośredni zarząd dozorców; każda wreszcie sekcya na tyle części ile ich potrzeba ze względu na zakrzywienia drogi i wzrok człowieka. Części te pozostają pod specjalną strażą dróżników, z których każdy jest w obowiązku dokładnie swą część zrewidować po przejściu po niej każdego pociągu, dla przekonania się, czy nie zaszła natychmiastowa potrzeba, jakiegokolwiek bądź naprawy drogi przed nadejściem po-



ciągu następnego. Dróżnicy ci są przeto bardzo ważnym acz najniższym ogniwem licznego zastępu służby każdej drogi, pilnują bowiem jęj stanu ciągle i w każdej chwili; odpowiedni przeto przepis prawodawstw dróg żelaznych, zastrzegł, iżby drogi te obsadzone były dostateczną liczbą dróżników, potrzebnych do ciągłego utrzymywania w należywym porządku samęj drogi i wszelkich jęj przynależności i strzeżenia takowęj dniem i nocą, do pilnowania zwrotnic na ustęпах i rozjazdach drogi, do otwierania i zamykania przejazdów urządzonych dla dróg zwyczajnych (§ 2 urzędzeń). Każdy z tych dróżników zaopatrzonym jest w odpowiednie zapasy tego wszystkiego, co może być potrzebnęm do bezwłocznęj wymiany przedmiotu uległęgo uszkodzeniu na drodze (§ 3); każdy zaś dozorca winien być dokładnie obeznanym z robotami dotyczącemi utrzymania drogi, z przepisami jakie pod tym względem istnieją i z przepisami dotyczącemi ruchu na drodze. Z uwagi na ważność stanowiska dozorców, na których sumiennęm i pilnęm działaniu polega głównie bezpieczeństwo drogi, na posady te dobierani być winni ludzie zasługujący na zaufanie. Dróżnicy i dozorczy drogi mieszkać muszą przy samęj drodze, każdy na powierzonęj sobie jęj części (§ 4). W obec tak urzędzonego nadzoru, każdemu mniejszemu uszkodzeniu drogi, jak np. pęknięciu lub skrzywieniu się szyny, nadsuciu plantu drogi i t. p. zapobiega się natychmiast, pod okiem dozorczy, przez właściwego dróżnika, z pomocą robotników stałych a w miarę potrzeby i najętych.

Niezależnie od tych codziennych drobnych napraw, uskutecznianę są w miarę potrzeby naprawy i roboty większe. W celu zbadania tęj potrzeby, inżynier odziału jest w obowiązku dopełniać częste rewizye; niezależnie zaś od nich, dyrektor drogi kilkakrotnie na rok odbywa superrewizyą tęjże drogi. W obec przeto ciągłęj czynności o utrzymanie dróg żelaznych w dobrym stanie, publiczność nie może mieć obawy co do tego, iżby dzisiejszy ich stan uległ pogorszeniu.

Nie należy jednak mniemać, iżby roboty w celu utrzymania drogi w dobrym stanie, przypadały rzadko i bez wielkiego kosztu. Wprawdzie mosty raz dobrze zbudowane nie wymagają wielkiego zachodu, a plant drogi codziennie wyrównywany, rzadko i w wyjątkowych jedynie zdarzeniach potrzebuje napraw dłuższych i kosztowniejszych. Z podkładami przecięż i z szynami dzieje się wprost przeciwnię: pierwsze mogą u nas służyć najwyżęj lat 5, drugie 15, zkad wynika potrzeba corocznego wymieniania znacznej części jednych i drugich i zastępowania ich nowemi; w ciągu przeto lat 5 od chwili otwarcia ruchu na drodze, cała ilość pięrwotnie ułożonych na nięj podkładów a w ciągu lat 15 cała ilość szyn musi być wyjętą z użycia i zastąpioną nowemi. Konieczność wymiany przedmiotów ták kosz-



townych jak podkłady i szyny, daje wyobrażenie o wysokości wydatku na utrzymanie stanu dróg <sup>1)</sup>).

Utrzymanie taboru drogi jeszcze większej wymaga czujności i troskliwości. W celu zapewnienia należytej nad tą częścią kontroli, prawodawstwo dróg żelaznych następujące wskazało zasady: ka-

<sup>1)</sup> Na każdej wiorście drogi jest położonych podkładów zwyczajnych 1,200 sztuk, a na każde 6 sztuk takichże podkładów, idzie jeden stosowy przy łączeniu szyny z szyną. Podkład sosnowy kosztuje od 40 do 50 kop., dębowy od rubla 1 do rubla 1 kop. 20. Dębowe trwają lat 9. Każda szyna zwyczajna ma 21 stóp długości, na każdą wiorstę drogi wychodzi takich szyn stóp 7,000, czyli sztuk 334, wagi od 4,350 do 4,440 pudów, (po pudów 13,1 każda). Każda stopa szyny waży od 25 do 26 funtów. Pud zaś szyny kosztuje około rub. 1 kop. 20.

Zużywanie się szyn jest zależnym od czasu przez który szyna na drodze leży, od dobroci materyału z którego jest zrobiona i saméjże fabrykacyi, głównie zaś od summy ciężaru jaki w danym czasie po drodze przeszedł. Są drogi, na których odbywa się tak wielki przewóz, iż zaszła potrzeba zastąpienia wszystkich szyn nowemi, w ciągu daleko krótszego czasu. Do takich zaliczyć wypada drogę Mikołajewską (od Petersburga do Moskwy); obserwacye i obliczenia na téj drodze wykazały, iż przeprowadzenie każdych 10 milionów ton, zużywało szyny i powodowało ich odmianę na nowe. Że zaś przewóz jest bardzo wielki, musiano dawać wszystkie szyny nowe co lat 4. Na drogach niemieckich w ciągu pierwszych 20 lat ich istnienia, szyny przetrwały lat 15 i technicy na podstawie obserwacyi i rachunku ułożyli następującą proporcją wymiany szyn:

w ciągu	1	roku po otwarciu ruchu	potrzeba zmienić szyn	0,12 <sup>0</sup> / <sub>100</sub>
„	2	„	„	2,85 „
„	3	„	„	0 — „
„	4	„	„	2,29 „
„	5	„	„	2,82 „
„	6	„	„	6,26 „
„	7	„	„	8, — „
„	8	„	„	10, — „
„	9	„	„	12, — „
„	10	„	„	14, — „
„	11	„	„	14, — „
„	12	„	„	12, — „
„	13	„	„	9, — „
„	14	„	„	5, — „
„	15	„	„	1.66 „
r a z e m				100 <sup>0</sup> / <sub>100</sub>

Reguła ta jak widzimy nie jest i nie może być absolutną, doświadczenie jednak okazuje, że w obec dotychczasowego ruchu na naszych drogach, powyższa proporcya corocznego zużywania się szyn, jest blizką rzeczywistości.

żdego oddzielnie parochodu, tendra, powozu i wagonu, utrzymywanym być winien stan służby, wykazujący dzień od którego zaczął być czynnym, liczbę ubiegłych mil, uskutecznione reparacye lub częściowe zmiany, odbyte rewizye i wynikię z tych rewizyi skutki. Po ubieżeniu przez parochód 40,000 wiorst drogi, odbytą być powinna w obecności inspektora drogi, próba kotła w taki sam sposób i z takimi następstwami jak przy jego budowie (pompą hydrauliczną). Jednocześnie z próbą kotła dopełnioną być winna szczegółowa rewizya wszystkich części parochodu i jego tendra. Szczegóły téj rewizyi i wypadki prób spisane być mają protokółarnie. Po przekonaniu się, że parochód zdatnym jest do dalszego użytku, winna być na nim wypisaną data odbycia rewizyi i wysokość ciśnienia pary, jaka przez próbę została uznana za najwyżej dopuszczalną. Gdy rewizya bądź peryodyczna (po ubieżeniu każdych 40,000 wiorst), bądź dopełniona po przypadkowém uszkodzeniu parochodu, wykaże potrzebę odbudowania go w głównych składowych częściach, jak np. zmiany komory ogniskowej, cylindrów parowych, kół, albo większych reparacyi kotła i t. p.; w takim razie taki parochód winien być protokółarnie z ruchu usunięty i oddany warsztatowi mechanicznym dla uskutecznienia napraw, wedle protokołu rewizyjnego za potrzebne uznanych. Po dokonaniu tych napraw, odbyte być winny w sposób wyżej wskazany, rewizya i próba odbudowanego parochodu. Inspektor zaś drogi udziela jęj zarządowi upoważnienie do oddania tego parochodu do czynnej służby, nieinaczęj jak po nabraniu przeświadczenia, iż tenże parochód doprowadzonym został do stanu dobrego i odpowiada prawidłom sztuki, tudzież warunkom publicznego bezpieczeństwa. Parochód w głównych częściach odbudowany, nie może być użytym do jazdy bez piśmiennego upoważnienia inspektora drogi. Niezależnie od rewizyi każdego powozu i wagonu po każdym jego powrocie z drogi, odbywane być powinny peryodyczne, szczegółowe i troskliwe rewizye powozów i wagonów, przy rozebraniu wszystkich tych części, które wymagają rozebrania, dla przekonania się o stanie powozu lub wagonu. Rewizye dopełniane być winny protokółarnie po przebieżeniu przez powóz lub wagon każdych 18,000 wiorst. Data ostatniej rewizyi wypisaną być winna zewnątrz powozu lub wagonu (§§ 10, 11, 12 i 22 urzędzeń). Zarządy dróg żelaznych nietylko stosują się ściśle do tych wszystkich rozporządzeń, ale nadto czyniąc zadość zastrzeżeniom aktów nadawczych, rozporządzeniom komitetu techniczno-inspektorskiego przy ministeryum komunikacyi i wymaganiom opinii publicznej, usiłują zaprowadzać wszelkie odkrycia i ulepszenia, których użyteczność została uznana na drogach zagranicznych. Pod względem przeto utrzymania taboru w stanie dobrym, żadna sprawiedliwa nie mogłaby ze strony publiczności podnieść się skarga.

4). Bezpieczeństwo jazdy po drogach żelaznych dobrze zbudowanych i ciągle utrzymywanych w stanie dobrym, zależném téż jest

głównie od ostrożności saméjże jazdy, a więc od pilności zarządu i służby drogi. Wpływ inspektora dróg żelaznych może być tylko pośrednim, chociaż służy mu prawo wglądania w porządek zaprowadzony i wykonywany przez zarząd i służbę drogi, a nawet żądania, by niezdolni i nieprzedstawiający odpowiednich rękojmi, byli ze służby wydalenii, z takich mianowicie posad, od których zależy bezpieczeństwo jazdy, by każda wina lub zaniedbanie znajdowały surową karę, by zresztą maszyniści, ich pomocnicy i starsi konduktorowie pociągów, posiadali odpowiednie usposobienie i doświadczenie, i z tego powodu nieinaczej byli na te miejsca przyjmowanemi, jak po odbyciu praktycznego egzaminu (§§ 63 i 65). Zachowanie ostrożności jazdy zawistém jest przeto od pilności i sumiennosci służby ruchu, od bacznego nad nią dozoru dyrektora drogi i wyższych urzędników jéj zarządu, których wpływ powinien być bezpośrednim, ciągle widzialnym i rzeczywistym.

Korzystając z nadarzonej sposobności, kreślimy treściwy obraz działań, jakie wyprawieniu każdego pociągu ze stacyi głównej i jego podróży towarzyszą. Godzi się bowiem mniemać, iż mając ten rys przed oczami, czytająca publiczność nie odmówi uznania tym wszystkim, którzy tworząc liczny zastęp pracowników na każdej drodze, a nie rzadko szczupłe pobierając za to wynagrodzenie, mają zadanie pilnować dniem i nocą, by każdy z nas mógł odbyć podróż bez obawy nieszczęśliwego wypadku i zadanie to spełniają gorliwie.

Zadanie to rozpoczyna się przed odejściem w podróż każdego pociągu. Parochód i wszystkie powozy i wagony zrewidowane przez służbę mechaniczną, ustawiane są w pociąg. Pod tym względem istnieje przepis, iż w jednym pociągu liczba osi wagonowych nie powinna przenosić 45 osi w pociągach osobowych, 60 osi w pociągach osobowo-towarowych, a 150 osi w pociągach towarowych. Parochód z tendrem powinien przodować pociągowi; zaprzęganie drugiego parochodu dopuszczalném jest tylko wyjątkowo, a w takim razie obadwa mają być na przodzie pociągu. Na parochodzie stojącym na stacyi i przyspasabiającym się do wyjazdu, powinien się ciągle znajdować maszynista ze swoją służbą. Parochód ten ma zamkniętą przepustnicę pary (regulateur), kierownik (levier de changement de marche) nastawiony pionowo i hamulce naciśnięte na koła tendra. W pociągach osobowych, powozy osobowe powinny być oddzielone od tendra jednym przynajmniej wagonem nie zajęтым przez osoby; w pociągach osobowo-towarowych, powozy osobowe powinny być zawsze umieszczane za wagonami towarowemi. Pociąg zaopatrzony być winien w taką liczbę silnych hamulców, iżby przynajmniej każda co dwudziesta ós mogła być hamowaną, w razie potrzeby i ażeby każdy powóz i wagon miał z obu końców łącznik i główny łańcuch do zaczepiania, tudzież dwa łańcuchy zapasowe odpowiedniej długości; wszystkie bowiem powozy i wagony w pociągach osobowych, powinny być spięte łącznikami śrubowemi, pasującemi dokładnie aż do ze-



tknięcia się buforów. Powozy i wagony ustawione w pociągu mającym odejść ze stacyi głównej, zrewidowane są starannie przez służbę konduktorską do tegoż pociągu przeznaczoną, poczem starszy konduktor, poczytywany za gospodarza pociągu, zapisuje w księdze sznurowej poświadczenie stanu, w jakim te powozy i wagony zostały mu oddane (§§ 18, 24, 26, 27, 28 30 i 31 urzędzeń). Ilekroć przeto tenże konduktor wskazuje, że stan powozu lub wagonu budzi obawę, powóz lub wagon jest z pociągu wycofanym. Przyczém przestrzegana jest ta jeszcze reguła, iżby w pociągach osobowych i osobowo-towarowych, nie były przewożone przedmioty łatwo zapalne, długie belki i wielkie maszyny (§ 29) i ażeby nikt nie wsiadł do pociągu z bronią nabitą. Przepis ten stosuje się nawet do wojskowych, razem z innymi podróżnymi jadących (§ 59). Podróżny pragnący mieć przy sobie broń palną, obowiązany jest przed wejściem do powozu okazać ją miejscowemu zawiadowcy stacyi, dla sprawdzenia że nie jest nabita. Ze swój strony maszynista poświadcza w księdze sznurowej przez naczelnika ruchu na ten cel utrzymywanej, że parochód swój szczegółowo zrewidował i znalazł go w stanie zupełnie dobrym i do jazdy bezpiecznym (§ 13).

Temi dwoma poświadczeniami: starszego konduktora i maszynisty uspokojony zawiadowca stacyi, udaje się osobiście do zwrotnicy w celu nabrania przeświadczenia o właściwém ich nastawieniu i pewności, że pociąg nie zmieni kierunku z linii szyn na jego przebieg naznaczonęj. Przy każdéj nastawionéj zwrotnicy zawiadowca zostawia zwrotniczego obowiązanego nieodstępnie pilnować, iżby jéj kierunek przed przejściem oczekiwanego pociągu nie uległ zmianie. Poczem dopiero zapytuje zawiadowcę stacyi następnéj, czy tenże pociąg może wyprawić w podróż. Po otrzymaniu odpowiedzi (telegramem), iż przeciwko wyprawieniu pociągu żadna nie zachodzi przeszkoda, zawiadowca stacyi, na której pociąg stoi, zarządza dianie sygnałów optycznych i dzwinkowych (przyrzędem telegraficznym).

Sygnały te budzą czujność dróżników i dozorców na całej linii drogi pomiędzy obudwoma stacyami i dają początek przygotowaniom do przejścia pociągu przez tęż linią i do przyjęcia go na stacyi, do której pójdzie. Mianowicie zaś, na całej linii w miejscach, gdzie z jakichbądź powodów okaże się potrzeba zwolnienia szybkości pociągu, ustawiane są właściwe znaki, łatwo dostrzegalne dla służby pociągowej (§ 1). Na stacyi zaś oczekującej przybycia pociągu, zawiadowca ogląda osobiście zwrotnice w celu przekonania się, iż pociąg nie spotka przeszkody w przejściu na właściwą linią szyn peronu i uniknie wejścia na linią, która go nie oczekuje, a na której spotykając inne wagony lub przeszkody mógłby uleść uszkodzeniu lub wypadkowi, i przy każdéj zwrotnicy zostawia zwrotniczego dla dopilnowania, by kierunku nie zmieniła. Wreszcie zarządza odpowiednie nastawienie tarczy czerwonej, dyską zwanęj, mającój objaśnić maszynistę prowa-

dzącego pociąg, o nieistnieniu przeszkód w przyjęciu tegoż pociągu<sup>1)</sup>. Nieprędź więc, jak po dopilnowaniu tych wszystkich przygotowań, zawiadowca stacyi, na której pociąg stoi, wręcza starszemu konduktorowi piśmienne upoważnienie do rozpoczęcia podróży i nieinaczaj jak na podstawie tegoż pisma, starszy konduktor daje maszyniście znak do wyjazdu; ten ostatni zaś, po odebraniu od niego rzeczonoego pisma puszcza pociąg w ruch. O wyjściu pociągu idzie zawsze telegram do stacyi następnj, która w odpowiedzi donosi znowu, iż tenże pociąg i w jakim czasie do niej doszedł. Wszystkie te ostrożności powtarzają się na każdj bez wyjątku stacyi, przy wyprawianiu z niej każdgo pociągu. Przyczym przestrzegane są te reguły: żaden pociąg nie może odejść ze stacyi przed czasem oznaczonym w rozkładzie jazdy, ani przed daniem znaku do wyjazdu; znak zaś ten nie powinien być danym, aż po zamknięciu wszystkich drzwi w powozach pociągu. Pociągi nie mogą być wysyłanemi ze stacyi w krótszych odstępach czasu jak minut 10, a nawet pociąg osobowy za towarowym nie prędź jak w minut 20. W czasie gęstj mgły, zamieci i burzy, tak w dzień jak w nocy, pociąg nie powinien być wysyłanym, dopóki zawiadowca stacyi nie nabierze przekonania o przybyciu poprzednio wyprawionego pociągu na stacyę sąsiednią (§§ 32 i 33). Ze względu na nieustającą potrzebę ścisłego rachowania się z czasem, cała służba ruchu zaopatrzoną jest w zegary; zegary dozorców i drózników regulowane są z zegarami najbliższych stacyi przynajmniej raz na tydzień, te zaś ostatnie regulowane są codziennie przez telegraf z zegarem stacyi głównej w Warszawie (§ 8). Podróż odbywa się na odpowiedzialność maszynisty i starszego konduktora prowadzących pociąg, obowiązanych mieć ciągle na pamięci przepisy odnoszące się do jazdy i ściśle stosować się do objętych niemi reguł.

Mianowicie zaś, pociąg nie powinien się zatrzymywać jak tylko na stacyach i przystankach rozkładem jazdy wskazanych, wyjąwszy gdy zatrzymanie to stanie się koniecznym dla przyczyn nadzwyczajnych. W takim razie, maszynista i starszy konduktor obowiązani są dopilnować, ażeby w odległości najmniejj 250 sażeni, natychmiast postawione były pomiędzy szynami znaki ostrzegające o wypadku, a widzialne w dzień i w nocy, tudzież założone na szynach trzy petardy, dwie po jednej a trzecia po drugiej stronie szyn, w odległości o 5 szyn jedna od drugiej; w czasie zaś niepogody, powinni nadto przy tych znakach postawić posługaczów, mających ostrzegać o za-

<sup>1)</sup> Wszystkie stacye mają z obudwu stron tarcze czerwone, nastawione prostopadle do linii drogi, oświetlane nocą światłem czerwonym. Tarcze te znaczą, iż stacya jest zamkniętą, że przeto żadnemu maszyniście nie wolno po taką tarczę wjechać. Nadanie jej kierunku równoległego względem linii drogi i oświetlenie w nocy światłem białym, znaczy że wszystko jest przygotowanym na przyjęcie pociągu i dozwala maszyniście wjechać na stacyę.

szłym wypadku (§ 34). Szybkość jazdy powinna być zastosowana do jęj rozkładu, nie może jednakże przenosić na godzinę: 50 wiorst pociągami osobowemi, 40 wiorst osobowo-towarowemi, a 30 wiorst pociągami towarowemi. Szybkość jazdy oznaczona rozkładem, powinna być zmniejszana w bliskości i w chwili przejścia pociągu przez stacje i rozjazdy kolei, przez dłuższe mosty, w razie śniegów lub gęstęj mgły niedozwalającęj rozeznac sygnalów; ilekroć wreszcie służba drogowa daje znaki na zwolnienie lub zatrzymanie jazdy. Czas prawny nie może być odzyskiwany przez śpieszniejszą nad przepis jazdę, w dalszym jęj biegu (§ 35). O bliskim położeniu każdęj stacyi, ostrzega maszynistę tarcza zielona, nieruchoma, stale ustawiona na plancie drogi, na 250 sażeni przed każdą stacyą, w położeniu prostopadłym do linii drogi, świecąca w porze nocnej światłem zielonym z za szkielec soczewkowych. Ilekroć parochód z tendrem pcha pociąg zamiast mu przodować, szybkość jazdy rozkładem oznaczona, zmniejszoną być winna o połowę (§ 25); zaprzęganie dwóch parochodów, dopuszczalnym jest wyjątkowo i w razie koniecznej potrzeby; trzech lub więcej nigdy. Obadwa parochody umieszczane są wówczas na przodzie pociągu; odstąpienie zaś od tęj reguły, dopuszczalnym jest w dwóch jedynie razach: uszkodzenia parochodu lub pociągu, który do najbliższej stacyi nie da się doprowadzić inaczej, jak popychając go z tyłu parochodem na pomoc przybyłym, i w razie gdy siła jednego parochodu ciągnącego pociąg, okazała się niedostateczną, parochód zaś z tylnej stacyi przysłany na pomoc, nie może być doprowadzonym na przód pociągu, a tenże pociąg nie da się podzielić na dwie części. W obu tych razach jazda nie powinna być szybszą nad wiorst 15 na godzinę, celem zaś zapobieżenia najechania pociągu przez inny pociąg, który z tyłu w tym samym postępować może kierunku, wystawiane są znaki ostrzegające ten ostatni pociąg, o potrzebie zmniejszenia szybkości jazdy (§ 26). Maszynista winien dawać znak świstawką parochodu o nadchodzącym pociągu w bliskości stacyi, przystanków, krzywizn i przekopów drogi, tudzież zawsze, gdy nie jest pewnym, czy kolęj jest wolną od wszelkich przeszkód (§ 36). Od chwili wyjazdu ze stacyi do chwili przyjazdu do stacyi następnęj, cała służba ruchu, (maszynista pociąg prowadzący, jego pomocnik, palacze, konduktorowie, zwrotniczowie i drożnicy), żadnymi innymi zatrudnieniami nie mogą być zajmowanymi (§ 41), cała ich uwaga skierowaną być powinna wyłącznie do zapewnienia bezpieczeństwa idącego pociągu i do zapobieżenia wypadkom. Konduktorowie siedzięć powinni zewnątrz powozów, w miejscach z których każdy ruch pociągu i stan drogi, może być przez nich łatwo dostrzeżonym, i mieć pod ręką znaki do wstrzymania jazdy w razie potrzeby. Pomędy maszynistą i służbą konduktorską, urządzoną być powinna komunikacya, wedle sposobu uznanego za najlepszy (§ 40); służy do nięj w każdym pociągu linka komunikacyjna.



Jakoż, przez cały ciąg jazdy, odbywa się ciągłe porozumiewanie pomiędzy idącym pociągiem a służbą drogi, którą tenże pociąg przechodzi. Przez okno powozu, każdy z podróżnych może się tej rozmowie przyjrzyć i zrozumieć ją z wielką łatwością. Spoglądając na dróżnika do którego zbliża się pociąg, trzymającego na prawém ramieniu, w dzień, chorągiewkę zieloną na drzewcu, w nocy zaś, latarkę ze światłem białem, zwróconą w kierunku nadchodzącego pociągu, podróżny może być pewnym, iż droga do następnego domku dróżniczego jest w dobrym stanie i nie grozi przeszkodą. Chorągiewka zielona rozwinięta, lub takiegoż koloru tarcza okrągła w porze dziennéj, a w nocy latarka ze światłem zieloném, zwróconém w kierunku nadejść mającego pociągu, wskazuje znowu maszyniście prowadzącemu pociąg, potrzebę zwolnienia szybkości jazdy. Część drogi świeżo naprawiona, lub będąca w naprawie, albo bardzo zły stan przedstawiająca, wkłada na dróżnika obowiązek, znajdowania się przy tych znakach osobiście; powinien on wtedy przed zbliżającym się pociągiem ruszać od góry do dołu, w dzień, chorągiewką zieloną, w nocy zaś ze światłem zieloném. Znaki te, umieszczone są na 300 sażeni przed i na tyleż za miejscem wymagającym wolnego przejechania. Na taką odległość stawa dróżnik, w dzień z rozwiniętą chorągiewką czerwoną, a w nocy z latarką ze światłem czerwonym, zwróconą w kierunku nadchodzącego pociągu, i macha temi znakami w lewo i w prawo dopóty, dopóki maszynista nie da znaku świstawką parochodu, że ten sygnał widzi. Sygnał zaś ten znaczy, iż potrzeba pociąg zatrzymać, o czém zresztą powinny już były maszyniście ostrzedz rozkrzyżowane oba ramiona sygnału optycznego, w nocy zaś dwie latarnie czerwone zawieszzone na tymże sygnale, nadto trzy petardy pękające z silnym hukiem pod kołami przechodzącego parochodu, zakładane w tym celu tak dniem jak nocą. Jeżeli wtedy dróżnik nie usłyszy świstawki parochodu, powinien zaraz gdy go pociąg minie, wrócić pomiędzy szyny i temi samemi znakami ostrzegać konduktora znajdującego się na ostatnim wagonie przy hamulcu i lince. Tak samo postępuje, gdy w czasie mijania go pociągu dostrzeże, że około tegoż pociągu, cokolwiekby nie jest w porządku. Gdy zaś każdy znak sygnału optycznego, dany przez jednego dróżnika, powtórzonym jest w ciągu kilku minut przez wszystkich dróżników na całej linii aż do stacyi w kierunku której pociąg postępuje, niepodobna zatem przypuścić iżby służba pociągowa nie zrozumiała wcześniej potrzeby zatrzymania pociągu. Użyteczność sygnałów optycznych, polega szczególniej na powtarzaniu się każdego znaku na całej linii. Nawzajem znowu, dawane znaki z pociągu przez maszyniście lub konduktora, w dzień chorągiewką zieloną, w nocy zaś latarką ze światłem białem, oznaczają dla dróżników potrzebę natychmiastowego zrewidowania drogi. Jedno gwiznięcie świstawki parochodu, przywołuje do bacności służbę przy hamulcach, trzy gwiznięcia następujące w równych po sobie odstępach, są dla niej rozkazem do natych-

miastowego zahamowania, dwa także gwiznięcia, do zwolnienia hamulca. Wreszcie konduktor znajdujący się na ostatnim wagonie pociągu, przy hamulcu i linie komunikacyjnej, pociąga za nią ilekroć potrzeba, by świstawka parochodu dała znak do zahamowania pociągu. Ilekroć świstawka parochodu, poruszona linką komunikacyjną gwiznie, maszynista wypuszcza téjże chwili parę i daje znak do hamowania pociągu. W czasie jazdy, maszynista stoi ciągle na prawej stronie parochodu, przy regulatorze, od strony kierownika zmiany ruchu, zaś jego pomocnik, po lewej, obok hamulca tendrowego, dla działania na każde skinienie maszynisty. Obadwaj zwracają baczną uwagę na stan drogi, na sygnały ostrzegające i na pociąg, czy takowy postępuje w całości i w należytem porządku. O wszelkich nieporządkach dostrzeżonych podczas jazdy, w drodze, w drutach telegraficznych, w działaniach służby drogowej i t. p., i maszynista i starszy konduktor za przybyciem do najpierwszej stacyi, oznajmują miejscowemu zawiadowcy, a po powrocie do stacyi głównej donoszą mechanikowi głównemu.

Powyższe przepisy i środki ostrożności zaprowadzone przez zarządy dróg żelaznych, uzupełnione są szczegółowemi instrukcjami wydanemi dla każdej gałęzi służby. Wglądać w nie bliżej nie widzimy potrzeby, z powodu ich drobiazgowości, stanowiącej właśnie ich zaletę i pożytek. Instrukcye te zresztą, zebrane razem, tworzyłyby obszerny tom, a tém samém nużyłyby czytających; mniemamy zaś, że to cośmy z nich podali, dostatecznym jest do przeświadczenia każdego, iż one usuwają wszelką obawę i przy ścisłym ich wykonaniu, dają zupełną rękojmię bezpieczeństwa podróżnych w czasie jazdy <sup>1)</sup>.

Rękojmią znowu ścisłego wykonywania powyższych przepisów, reguł i instrukcyi, są przepisy karne: urzędnik lub oficyalista drogi, dopuszczający się nieostrożności, niedbalstwa lub niezachowania szczególnych urządzeń, wskazanych przez władzę przy prowadzeniu pociągów na drodze żelaznej, któryby przez to stał się powodem wypadku na téjże drodze, narażającego pociąg na niebezpieczeństwo, karanym będzie więzją od 3-ch do 6-ciu miesięcy, a nadto wedle uznania władzy, czasowem lub na zawsze oddaleniem od służby, i niezawisłe od obowiązku wynagrodzenia szkód <sup>2)</sup>. Mowa tu o uszkodzeniach taboru lub drogi, a więc o szkodzie wyrządzonej Towarzystwu, i zarazem o zwrocie szkody zapłaconej przez Towarzystwo osobom trzecim. Zarząd każdej drogi żelaznej i cała jęj służba jest obowiąz-

<sup>1)</sup> Cytujemy tytuły: „Instrukcya dla zawiadowców stacyi; dla maszynistów i podmaszynistów; dla nadkonduktorów i konduktorów; dla smarowników; dla inżyniera oddziału; dla dozorców; dla zwrotniczego; dla dróżnika; o rodzaju, znaczeniu i użyciu sygnałów; dotycząca używania i obsługi sygnałów dyskowych przy stacyach; użycia petard jako sygnałów; dla naczelnika wydziału technicznego; ogólna dla rewidenta taboru; dla poborców i t. d.

<sup>2)</sup> Art. 14 post. Rady Adm. z maja 1857 r.

zaną używać wszelkich sposobów, wskazanych doświadczeniem i nauką, dla uniknienia wypadków nieszczęśliwych; w razie zaś nieszczęścia, wszyscy bez różnicy urzędnicy drogi, obowiązani są pod osobistą odpowiedzialnością udzielać wszelką pomoc ofiarom nieszczęścia i używać wszystkich środków będących w ich mocy, dla zmniejszenia lub złagodzenia skutków wypadku <sup>1)</sup>. Wymiar tych kar, ilekroć mogą znaleźć zastosowanie, zapewnia przepis § 72 tych urządzeń, stanowiąc, iż wszelkie opóźnienie pociągu przenoszące minut 20, wszelkie pęknięcia resorów, osi, obręczy, jak niemniej wszelki inny wypadek wydarzony na drodze żelaznej, jako to: spotkanie się pociągów, wyskoczenie z szyn, eksplozja, bez względu na to, czy wypadek pociągnął za sobą następstwa szkodliwe lub nie, winny być zapisane w księgę, przez naczelnika ruchu w tym celu utrzymywaną; dyrektor zaś drogi winien o wypadku bezwzględnie zawiadomić inspektora głównego, który ma obowiązek przystąpić do zbadania przyczyn i następstw tegoż wypadku; nadto o każdym wypadku zasłonym na drodze, najstarszy z urzędników znajdujących się na miejscu, przesyła natychmiast wiadomość do ministerjum komunikacyi. W razie ważności wypadku, mianowicie zaś przy wynikłych skaleczeniach lub śmierci osób, tenże inspektor wzywa właściwy sąd, o bezwzględne rozwinięcie dochodzenia sądowego.

## II.

Statystyka zmuszoną jest zapisywać smutne wypadki na drogach żelaznych, gdyż nie zapobiegają złemu najlepiej obmyślane środki bezpieczeństwa i najsurowsze przepisy. Wypadki te zawsze wynikają z odstąpienia od zestawionych wyżej zasad i przepisów, lub z niedość ścisłego ich wykonania; są przeto ostatecznie następstwem czynu lub zaniedbania służby drogi, a więc błędu nieodłącznego od natury ludzkiej. Jakoż tylko wywrócenie pociągu lub wyrzucenie go z szyn, spowodowane nagłym uraganem, trzęsieniem ziemi lub trąbą powietrzną, albo wreszcie, skutki uderzenia piorunu w idący pociąg, lub następstwa wojny, dałyby się podciągnąć pod działanie siły Wyższej, której wola i władza człowieka, zażegnać nie byłaby zdolną i tylko za szkody w tych przypadkach, służba drogi nie mogłaby być pociągana do żadnej odpowiedzialności. Wszystkie przecież wypadki, jakie statystyka zaznacza, nie są dziełem nadzwyczajnych przyczyn lub atmosferycznych rewolucyj; zawsze ich przyczyną jest albo zły stan drogi lub jój taboru, albo nieostrożność służby, a więc zawsze wina zarządu drogi.

Następstwa winy dopuszczonej czynem lub zaniedbaniem człowieka, określone są przez prawodawstwo ogólne; każdy czyn człowieka, rządzący drugiemu szkodę, wkłada obowiązek wynagrodzenia

<sup>1)</sup> § 46 urządzeń z paźdz. 1859 r.



jój, na tego, z którego winy ten czyn wyniknął. Każdy odpowiedzialnym jest za szkodę wynikłą, nie tylko z jego czynu, ale nawet z jego zaniedbania lub nieostrożności; odpowiedzialność ta ma miejsce, nie tylko za szkodę zrządzoną czynem własnym, ale także za szkodę zrządzoną czynem osób, za które jest się odpowiedzialnym, a nawet za szkodę zrządzoną przez rzecz, którą się ma pod swém zawiadywaniem lub władzą. W szczególności zaś panowie lub dający zlecenie, odpowiedzialnymi są za szkodę przez ich służących lub agentów zrządzoną przy wykonywaniu przez nich obowiązków do jakich są użyci. Nawet właściciel zwierzęcia, lub ten kto je używa, odpowiedzialnym jest za zrządzoną przez nie szkodę, chociażby ono przed zrządzeniem szkody zabłąkało się lub od niego uciekło, a tém samym w chwili jój rządzenia nie było już pod jego dozorem. Te przepisy kodeksu cywilnego (art. 1382 i nast.), mające, jak to jest wszędzie uznaném, pełne zastosowanie przeciwko każdej instytucji publicznej, działającej przez swych urzędników lub agentów, są wpływem następujących pojęć prawnych. Każdy czyn gwałcący cudze prawa lub wykraczający przeciwko memu obowiązkowi, a nie będący czynem wykonania prawa, jakie mnie samemu przysłuża, nie jest czynem godziwym, w tém znaczeniu, jakie kodeks cywilny do wyrazu *godziwy* przywiązuje. Wyraz ten bowiem inaczej pojmuje kodeks cywilny, a inaczej kodeks karny; brak lub istnienie złego zamiaru przy spełnianiu czynu, jest cechą różniącą te czyny jedne od drugich. Każdy taki czyn może na cudze prawo oddziałać szkodliwie, a chociaż właśnie dla braku złego zamiaru, w dziedzinę karną nie wkracza, nie mniej jednak pociąga za sobą obowiązek wynagrodzenia zrządzonej szkody. Zawsze bowiem wyobraża on *winę*, albo naruszenia cudzego prawa, albo zaniedbania obowiązku, lub chociażby nawet popełnienia samej nieostrożności. W ostatnich dwóch razach, wina acz negacyjna, jest przecież zarówno szkodliwą; zarówno więc pociąga za sobą odpowiedzialność za zrządzoną szkodę. Wina zarządu drogi żelaznej jest właśnie winą tego rodzaju, polega bowiem na domniemaniu, iż tenże zarząd nie spełnił należycie obowiązku pod względem utrzymania drogi i taboru w stanie zupełnie dobrym, albo nie dość był bacznym przy wyborze osób, i zaniedbał utworzyć służbę drogi dostatecznie zdolną i dostatecznie ostrożną.

Każda więc przyczyna wypadku na drodze, odnieść się daje do samego jój zarządu, skoro bez zaniedbania obowiązków jakie go ciąży lub bez dopuszczenia nieostrożności jazdy, żaden wypadek nie miałby miejsca, z wyjątkiem jedynie atmosferycznych rewolucyi, o jakich wczęj była już mowa. Wina zarządu drogi pojmowaną jest ściśle, polega bowiem na domniemaniu, płynącym z samego prawa i ustanowionem przez toż prawo *juris et de jure*, i dlatego właśnie, zarządowi drogi nie służy obrona, dozwolona np. ojcu nieletniego dziecka, które zrządziło szkodę a uzasadniana dowodem, iż danemu czynowi zapobiedz nie był w sile. Domniemanie kodeksowe, istniejące w takich

razach przeciwko zarządowi drogi, zastępuje wszelki dowód jego winy i wyłącza zarazem możność odpierania jęj dowodem przeciwnym. Skutki przeto winy, zaniedbania lub nieostrożności, chociażby najniższej służby drogi spadają na sam jęj zarząd, a więc na Towarzystwo tęgże drogi; w jego bowiem ręku zarząd ten jest zawsze złożonym, i od niego wybór osób służących na drodze zawsze zależy. Powyższe zasady znajdują jeszcze poparcie w pojęciu jakie kodeks do kontraktu o najem usług przywiązał; rękojmia bowiem bezpiecznego przewiezienia podróznego do kresu jego podróży, płynie z samej istoty zobowiązania, jakie zaciąga każdy przedsiębiorca przewozu osób ładem lub wodą, i od tęg rękojmi jedna tylko siła większa zdolną jest go uwolnić, o czém jeszcze przyjdzie nam bliżęj pomówić.

Zasady kodeksu cywilnego zostały całkowiec utrzymanemi przez prawodawstwo dróg żelaznych; jakoż § 46 urzędzeń z października 1859 r. wyraźnie stanowi, iż Towarzystwo drogi żelaznej jest cywilnie odpowiedzialném wedle obowiązujących praw, za wszelkie szkody zrządzone wypadkiem zasłym na drodze. Przepis ten jest rozwinięciem umów nadawczych, mieszczących zastrzeżenie i objaśnienie, iż odpowiedzialność cywilna, poszukiwaną być może tylko przeciwko Towarzystwu jako ciała zbiorowemu, nie zaś pojedynczo przeciwko lub z majątku posiadaczy akcji lub członków zarządu.

Ta odpowiedzialność zarządu drogi, za następstwa każdego wynikłego na nięj wypadku, zamyka i uzupełnia szereg przepisów prawodawczych, których nicią przewodnią jest właśnie bezpieczeństwo jazdy. Chcąc je zapewnić, do tego przynajmniej stopnia, jaki nie przewyższa sił i przewidywań umysłu ludzkiego, władza prawodawcza wyczerpała wszelkie wskazane doświadczeniem i nauką środki dobrej budowy i utrzymania w dobrym stanie drogi żelaznej i jęj taboru, tudzież umiejętnego a ostrożnego używania tego skomplikowanego przyrządu, za pomocą którego odbywa się ruch i jazda na każdej drodze. Ze względu zaś, iż w obec tych danych, bezpieczeństwo jazdy polega ostatecznie na służbie drogi, taż władza prawodawcza, uderzyła jeszcze w jednę z ważnych sprężyn każdej działalności, stanowiąc na jednych kary, na wszystkich zaś obowiązek wynagrodzenia szkody zrządzonej wypadkiem; uczyniła zaś to w celu, by z obawy następstw, służba drogi była ostrożniejszą i pilniejszą.

Tą sprężyną jest więc *interes osobisty* każdego ze służby i samegoż Towarzystwa drogi żelaznej.

Spotykając się z wyrazem różnie pojmowanym i ocenianym, zmuszeni jesteśmy zboczyć na chwilę od przedmiotu i wchodząc w dziedzinę ekonomii społecznej, znaczenie interesu osobistego bliżęj określić; nie chcemy bowiem by nas zaliczono do czcięcieli złotego cięciela.

Nauka ekonomii społecznej nie tworzy ani społeczeństwa, ani człowieka, wedle obmyślanego a priori planu; nie projektuje ani systematów ani praw rządzących dziedziną interesów: ale bada jedynie jakie to są owe prawa, które sformowawszy się same przez się, zdo-



były dla siebie często bezwiedne nawet posłuszeństwo w społeczeństwach, i codziennymi stosunkami kierują. Nie jest bowiem nauką inwencyjną, ale wyłącznie obserwacyjną. Z natury swój przeto, nauka ekonomii społecznej nie mogła zaprzeczyć i nie przeczy bynajmniej, iż jedną z ważnych dźwigni działalności człowieka, jest właśnie jego osobisty interes, nie spotkała się bowiem nigdzie ani z istotami nie ziemskimi, ani z utworami czystej fantazyi. Od czasów najodleglejszych opisywanych w historii, a nawet o ile z badań wnosić się daje, od epoki przedhistorycznej do dziś, człowiek przychodzi na świat z potrzebami, z przeznaczeniem do pracy którą je zaspakaja, z poczuciem więc konieczności dbania o siebie i z pojęciem interesu własnego. Takiego jedynie człowieka zna ekonomia społeczna, gdyż tylko takiego zna historia i rzeczywistość.

Z takich i takiej natury ludzi składa się każda społeczność, ani bowiem ekonomia społeczna, ani historia, nie zna i nie bada człowieka w odosobnieniu, ale jedynie żyjącego w społeczności, w skład której wchodzi. Każdy człowiek obdarzony jest poczuciem i pojęciem interesu owęj całości, owego społeczeństwa do którego należy; jednocześnie przeto ulega wpływowi dwoistemu: interesu osobistego i interesu *ogólnego*.

Nauka ekonomii społecznej, poświadczwszy istnienie i oddziaływanie obu tych interesów, obadwa zaliczyła pomiędzy pewniki prawdy i prawa ekonomiczne; nigdy przecież nie stawia pierwszego z nich oddzielnie, i wyłącznego nie przywiązuje doń znaczenia ani mu wyłącznego na człowieka nie przypisuje wpływu. Chociaż obadwa w jednym stawia rzędzie i ściśle je z sobą zespala, nauka ekonomii społecznej przyznaje interesowi ogólnemu wyższy wpływ i większą doniosłość, skoro mu naznacza posłannictwo miarkowania interesu osobistego na każdym niemal kroku. I pod tym więc względem jest ona znowu w zgodzie z rzeczywistością, istnieją bowiem w każdym społeczeństwie wyższe pojęcia i uczucia wyższego porządku, rządzące człowiekiem nawet w ekonomicznej sferze. Uczuciami temi są: religia, moralność, pojęcie obowiązków względem nas samych i względem społeczeństwa w którym żyjemy, wrodzona każdemu miłość kraju i jego tradycyji, pojęcie zresztą zasad honoru. Tylko w świecie pogańskim, siła stawiana jest po nad temi pojęciami i nie znajduje w nich hamulca; tylko świat pogański mógłby dać obraz interesu osobistego spotęgowanego w egoizm, podtrzymywanego siłą brutalną i oddziaływającego szkodliwie na interes ogólny. A jednak i społeczności pogańskie nie przedstawiały nigdy i nigdzie takiego stanu, w którym interes osobisty byłby wyłączną dźwignią działalności człowieka; i wśród nich bowiem istniały i istnieją pewne uczucia a przynajmniej instynkta, miarkujące brutalny egoizm, stawiając chociażby kiełkujące zaledwie pojęcia o interesie ogólnym. Nawet wśród pogan napotkać można litość ku biędnym, ambicyą pozyska-



nia rozgłosu lub wpływu za pomocą ofiary na rzecz społeczeństwa składanej, poczucie potrzeby wspólnej obrony domowych ognisk.

Cywilizacja chrześcijańska spotęgowała znaczenie i wpływ tych czynników, instynktową litość przyodziła w uroczą szatę cnoty miłosierdzia; uzacniła ambycją przeistaczając ją w pojęcie honoru; z przywiązania do domowych ognisk, wysnuła ideę nieograniczonego wpływu, nieobliczonej doniosłości, ideę przyświecającą owęj pociągającej cnotie, którą zwiemy poświęceniem a z zasad religijnych wysnuwając zasady moralności, wkładając na człowieka obowiązki obce społecznościom pogańskim, cywilizacja chrześcijańska stworzyła dla interesu ogólnego silne podstawy i uczyniła zeń skuteczną broń, uginając, miarkującą i pokonywającą egoizm na każdym kroku.

Ze zaś nauka ekonomii społecznej wzięła początek wtedy właśnie, gdy społeczeństwa przedstawiały już pełny rozwój na tle cywilizacji chrześcijańskiej, nie mogła już więc dostrzedz nigdzie interesu osobistego inaczej, jak w połączeniu z pojęciem o interesie ogólnym, a więc już w skromniejszych rozmiarach, i już niegrożącego społecznej harmonii. Pod zastrzeżeniem przeto, iż oba te czynniki nie będą tej harmonii burzyć, i każdy w sprawiedliwych zamknąć się musi granicach, nauka przyznaje każdemu z nich pożyteczny wpływ i niezaprzeczoną doniosłość. Uszanowanie tego wpływu jest rzeczywistą zasługą, pociąga bowiem człowieka do pilnej pracy i oszczędności, i stawia go na stanowisku pewnej zamożności, pewnej niezależności, ułatwiającej wykonanie wielu obowiązków, jakie go ciążą. Już przez wzgląd, iż zaniedbanie interesu osobistego jest błędem ze strony każdego ojca rodziny i stawia go w niemożności uczynienia zadosyć najbliższemu jego obowiązkowi, istnienia tego ekonomicznego prawa zapoznawać nienależy. Nauka ekonomii społecznej musiała więc przyznać mu przynależne stanowisko wśród wszystkich czynników działalności człowieka, i nie mogła zapomnieć, iż w tym właśnie czynniku spoczywa siła ożywcza wszelkiej ekonomicznej twórczości i oszczędności; gdy zaś owoc pracy, pojmowane zbiorowo są podstawą bytu całych społeczeństw, a ten znowu wchodzi w zakres interesu ogólnego, musiała przeto uznać, iż z tego punktu widzenia, interes osobisty przykłada się do dobra interesu ogólnego, że więc oddziaływanie obudwu jest ciągłe i wzajemne. Zasady ascetyzmu nie mogą być wprowadzanymi w grę czynników działalności ekonomicznej, asceta bowiem, już do społeczeństwa nie należy, jego życiem nie żyje, jego potrzeb i dążeń nie dzieli, i właśnie dlatego że umarł dla świata, mógł się wyzuć z interesu osobistego.

Z uznania przecież, iż interes osobisty istnieje, że jest koniecznością, że tworzy jedną z ważnych dźwigni działalności ludzkiej, a nawet postępu, że więc jest niewątpliwą prawdą i prawem ekonomicznym; wcale jeszcze nie wynika, iżby nauka ekonomii społecznej dostarczała argumenta na poparcie materializmu wszelkich odcieni. Taki bowiem wniosek byłby dopuszczalnym tylko wtedy, gdyby też

nauka nie stawiała jednocześnie drugiego czynnika i drugiej dźwigni działalności i postępu, mianowicie zaś, gdyby pomijając wpływ interesu ogólnego, zanegowała istnienia tych wszystkich uczuć wyższego rzędu: religii, moralności, miłości i honoru, jak je neguje właśnie materializm i wszyscy wyznawcy zasady walki o byt. To właśnie pragnęliśmy uwydatnić <sup>1)</sup>).

Ilekróć zaś nauka wskazuje ten lub ów czynnik działalności człowieka, rzeczą jest prawodawcy, wprowadzić ów czynnik w grę i dla swych spożytkować celów. Tak też uczynił kodeks cywilny a za nim prawodawstwo dróg żelaznych uderzając w osobisty interes towarzystwa każdej drogi żelaznej, to jest zobowiązując je do zapłaty. Temu, ktoby mniemał, że w obec kalectwa lub śmierci osób, spowodowanej wypadkiem na drodze, niemoralną jest rzeczą mówić o zapłacie i nieść pociechę pieniężną, musielibyśmy odpowiedzieć, że ta pociecha postawioną jest na ostatnim planie i przychodzi dopiero po wyczerpaniu wszystkich środków ratunku; że nie uwalnia rzeczywiście winnego od wyżej wzmiankowanych kar: że wreszcie, sama zapłata ma właśnie zapobiedz dalszemu szeregowi nieszczęść, które spadają na dotkniętych kalectwem lub na rodzinę zabitego. Jakoż każde towarzystwo obowiązane jest do utrzymywania oddzielnej służby zdrowia, przeznaczonej właśnie do niesienia natychmiastowej pomocy rannym przy wypadku; nie tylko zaś na stacyach utrzymujących pomocnicze parochody, znajduje się wagon z potrzebnymi w takich razach narzędziami i materyałami, ale i w każdym pociągu są zawsze najpotrzebniejsze narzędzia; w pociągach zaś osobowych są skrzynki z przedmiotami potrzebnymi w razie wypadku do niesienia pierwszej pomocy osobom rannym (§ 43 urzędzeń). Parochody po-

1) Ekonomia społeczna jest nauką oddzielną od ekonomii politycznej: pierwsza bada prawa i zasady, wedle których załatwiają się stosunki ekonomiczne mieszkańców jednego i tego samego kraju, gdzie każda działalność może znajdować jednakowe warunki ekonomiczne, z jednakowemi walczy lub z jednakowych korzysta sił przyrody i do jednakowych stosować się musi ustaw. Nauka więc ta może się zwać polityczną z tego jedynie względu, iż wkracza w dziedzinę sztuki rządzenia krajem i danem społeczeństwem, czyli w jego politykę wewnętrzną. Właściwem jej przecież zadaniem jest dane społeczeństwo, a więc właściwą nazwą: ekonomia społeczna. Przeciwnie zaś nauka ekonomii politycznej bada prawa i zasady, wedle których rządząją się stosunki ekonomiczne jednego kraju i jednego społeczeństwa z drugim; ogarnia przeto stosunki międzynarodowe i jest częścią polityki zagranicznej, którą przykliśmy zwać właśnie polityką. Odróżnianie to, niedość wyraźnie czynione przez ekonomistów, jest przecież koniecznym warunkiem jasności obu nauk, skoro bardzo wiele praw i zasad właściwej ekonomii społecznej, nie może mieć zastosowania w stosunkach międzynarodowych, gdyż musiałyby oddziaływać szkodliwie, właśnie dla różnicy warunków ekonomicznych, odmiennego stopnia sił przyrody i odmiennego prawodawstwa.



mocnicze są ciągle opalane i zawsze gotowe do jazdy tak, ażeby najdalej w ciągu 15 minut po otrzymaniu wezwania, wyruszyć mogły ze stacyi (§ 42). Pomoc ta wszakże nie zawsze może być skuteczną, a chociaż na szczęście statystyka wypadków na naszych drogach żelaznych jest uboższą od zagranicznój, nie obeszło się wszakże i u nas bez ciężkiego kalectwa a nawet śmierci spowodowanėj spadnięciem pociągu z szyn lub jego wywróceniem. Gdzie przywrócenie do zdrowia lub życia nie jest już w ludzkiej sile, tam więc poczyna się obowiązek zarządu drogi, wynagrodzenia straty przynajmniej materialnej.

Zwrot kosztów kuracyi, zapewnienie dotkniętemu kalectwem lub rodzinie zabitego utrzymania życia w takich warunkach, jakie pierwszemu lub drugiej dostarczała ich praca, już nadal uniemożliwiona: to są ramy do ustosunkowania i oznaczenia wysokości wynagrodzenia. Towarzystwa dróg żelaznych trzymają się w takich razach zasady, ustanawiania cyfry wynagrodzeń w drodze dobrowolnego porozumienia. O ileby ono nie nastąpiło, cyfrę tę musiałyby oznaczać sądy cywilne na zasadach ogólnych: a więc bacząc na to, by ona nie przewyższała tego, co ofiary wypadku, pod względem pieniężnych środków do życia, rzeczywiście utraciły, i ażeby przez przyjęcie wygórowanych żądań, nie dopomódz do spekulacyi lub osiągnięcia zysku, co w obec nieszczęścia stawałoby się nietylko wstrętem i oburzającym, ale nawet szkodliwem dla moralności publicznej. W tej zasadzie mieści się więc wzgląd na stopień kalectwa i utraty możności zarobkowania; kalectwo pozostawiające możność zarabiania trzeciej części tego co okaleczony zarabiał poprzednio, daje mu tytuł do żądania dwóch trzeciej części funduszu na utrzymanie życia, to jest, jedynie tego czego on zapracować nie będzie już w możności. Oznaczenie wysokości szkody, pozostawionem jest przeto sumieniu, światłu i roztropności sędziego.

Nie każda przecież śmierć i nie każde kalectwo daje tytuł do żądania wynagrodzenia szkód; ten jedynie może się o nie upomnieć, kto ani bezpośrednio ani pośrednio nie przyczynił się sam do nieszczęścia i żadnego udziału w jego winie nie ma. Jeżeli podróżny nie czekając na zatrzymanie pociągu otworzy sam drzwi i z powozu wyskoczy, lub po ruszeniu pociągu wsiadając, albo w ciągu jazdy chcąc przejść z powozu do powozu, wpadnie pod koła; jeżeli wszedłszy pomiędzy szyny, nie usunie się przed nadchodzącym pociągiem; jeżeli padnie ofiarą ognia który sam w powozie rozniecił, i w ogólności, jeżeli na drodze lub w pociągu sam nie zastosuje się do przepisów, jakie w widokach ostrożności są nań włożone lub jój zachować zaniedba: w tych wszystkich razach, sam jest sprawcą swego nieszczęścia i żadnej winy na zarząd drogi złożyć nie ma zasady. Można przeto tę przyjęć regułę, iż Towarzystwo drogi odpowiedzialnem jest względem podróżnych, jedynie w razach eksplozyi, uderzenia pociągu o pociąg, wywrócenia się lub spadnięcia pociągu z szyn.



Wszystkie zaś inne wypadki podróży mają zawsze przyczynę w ich własnym zaniedbaniu lub winie. Tenże tytuł służy każdemu ze służby drogi, padającemu ofiarą cudzej nieostrożności, zaniedbania lub winy nie tylko w czasie jazdy, ale i przy ustawianiu pociągów i przy wszelkich manewrach na samej stacyi. Towarzystwo bowiem, mając prawo żądania by każdy ze służby obowiązki swe spełniał z całą ścisłością, jest jednocześnie obowiązane do dania mu nawzajem rękojmi co do tego, iż taż sama ścisłość będzie zawsze wykonywana przez całą służbę. Jedyne więc ci, którym przypisać można winę zaszłego wypadku, na żadne nie zasługują uwzględnienie a nawet sami odpowiedzialnymi są za wszystkie szkody i następstwa tegoż wypadku; ciąży ich przeto i obowiązek zwrotu wynagrodzenia zapłaconego innym ofiarom przez zarząd drogi.

Idący pociąg drogi żelaznej, oprócz uszkodzenia na zdrowiu lub śmierci, może jeszcze spowodować materyalne szkody dwojakiego rodzaju: 1) przez uszkodzenie, zniszczenie lub zatracenie pakunków podróznego, 2) przez zniszczenie lub uszkodzenie cudzej własności istniejącej przy plancie drogi. Pierwsze należą raczej do ważnego dla handlu i przemysłu pytania, ogarniającego warunki przewozu wszystkich w ogólności towarów i pakunków, wejdą więc w treść drugiej części tych studyów. Odpowiedzialność zaś za szkodę 2-go rodzaju, za zniszczenie lub uszkodzenie cudzej własności, znajdującej się przy plancie drogi, polega na tych samych co wyżej pojęciach, zasadach i przepisach prawnych. Do rzędu tych uszkodzeń należą dość częste wypadki pożarów rozniecanych iskrami wypadającymi z parochodu w czasie jazdy, żywo obchodzące właścicieli łąnów a zwłaszcza lasów rosnących w pobliżu drogi. Widzieliśmy już, iż przy popielniku każdego parochodu, znajdują się iskrochrony i właściwe przyrządy w celu zapobieżenia, o ile można, wylotowi iskier i wypadaniu węgla (§ 14 urzędzeń). Wyrazy: *o ile można*, zamieszczone w przepisie są widoczną wskazówką, iż nauka nie zdołała dotąd wynaleźć takich środków lub przyrządów, któreby wypadaniu iskier lub węgla z idącego parochodu bezwarunkowo zapobiegały. Bez względu na to, włożoną została na zarząd drogi odpowiedzialność za szkody zrządzone pożarem roznieconym przez iskrę lub węgle wypadające z parochodu, by pobudzić umysł ludzki do ciągłych poszukiwań i badań w dziedzinie nauki i wynalazków. Godzi się też spodziewać, że zarządy dróg silnie w tej kwestyi zainteresowane, dojdą z czasem do skuteczniejszych środków i przyrządów; obecnie zaś nawet przy ich niedostateczności, towarzystwa dróg żelaznych są obowiązane do wynagrodzenia szkody, właśnie dla uszanowania owęj wielkiej zasady kodeksowej, niezostawiającej nikogo bez wynagrodzenia za szkodę zrządzoną cudzym czynem. Towarzystwa te, muszą zresztą przyjąć następstwa niedoskonałości owych przyrządów, skoro pomimo niéj, podjęły się utrzymywania ruchu i prowadzenia pociągów, z pełną świadomością owęj zasady, którą muszą w każdym uszanować razie. Pożary o jakich mowa, są niewątpliwie złą stroną

interesu eksploatacyi, przedstawiającej przecież inne dobre strony, skoro mogła się stać przedmiotem przedsiębiorstwa. Wchodzący zaś w każdy interes, ocenia i przyjąć musi zarówno złe jak i dobre jego strony. Pożary o których mowa można ograniczyć do niegroźnych rozmiarów, przez bacność dróżników i dozorców, którzy w istocie mają obowiązek zwracania na to uwagi i natychmiastowego gaszenia ognia powstałego w pobliżu drogi po przejściu każdego pociągu.

Z uwagi przecież, iż zarząd drogi nie jest w możności wypadaniu iskier lub węgla z idącego parochodu bezwarunkowo zapobiedz, odpowiedzialność za szkody zrządzone pożarem, jest warunkową i zależną od zachowania wszystkich środków ostrożności włożonych prawem na właścicieli rzeczy przyległych plancie drogi. Zarząd jej nie jest w obowiązku wynagradzania za spalone zboże lub drzewo, jeżeli właściciele tych rzeczy nie zastosowali się ściśle do przepisów art. 5, 6 i 7 postanowienia Rady Administracyjnej z maja 1857 r. Właściciele ci są przestrzeżeni przez literę samej ustawy o możliwości i poniekąd o konieczności wypadania iskier i węgla, a patrząc codziennie na idące pociągi, muszą to wypadanie uznać i przyjąć za fakt, w obec którego nauka pozostała dotąd bezsilną. Właśnie dlatego mają obowiązek oczyszczania przestrzeni przyległych drodze na odległość w tychże przepisach oznaczoną, i niepozostawiania na téjże przestrzeni materyałów łatwo zapalnych. Oczyszczanie to, w ich wyłącznym leży interesie, powinni przeto ściśle je wykonywać, inaczej bowiem, szkody zrządzone pożarem ich samych dotkną.

Tą przestrogą dla właścicieli przedmiotów będących w pobliżu drogi, w szczególności zaś dla właścicieli lasów, zamykamy rozbiór materyi o odpowiedzialności zarządu drogi żelaznej, za szkody zrządzone w czasie jazdy pociągów.

### III.

Prawodawstwo dróg żelaznych włożyło na ich zarządy obowiązek zapewnienia odpowiedniej dla podróżnych wygody; obowiązek ten tworzy po stronie publiczności, drugie z porządku prawo: *podróżowania wygodnie*.

Określając główne warunki wygody podróżnych, urządzenie z października 1859 r. przepisały: iż budynki, place i wszelkie przybory na stacyach powinny być utrzymywane czysto i w należytem porządku; stacje zaś mają być w porze nocnej oświetlone na godzinę przed przyjściem każdego pociągu i przez pół godziny po jego odejściu (§ 6). W żadnym przedziale powozu nie jest wolno pomieszczać większej liczby osób, nad tę, jaka na tenże przedział jest oznaczoną, wyjąwszy gdy to zażądaniem będzie przez rodzinę lub towarzystwo zajmujące oddzielny przedział (§ 58). Wzbronionem jest zabieranie do powozów psów, broni palnej nabitęj i przedmiotów, które swą naturą, objętością lub wonią sprawiałby przykrość innym podróżnym



(§ 59). Osoby ciężko chore lub uległe widocznym słabościom, sprawiającym niedogodność lub nieprzyjemność dla innych podróżnych, przyjęte być mogą do podróży nieinaczej, jak w oddzielnie wynajętym przedziale powozu; wreszcie jazda uzbrojona być winna pijanym lub zachowującym się nieprzyzwoicie, z obrazą i zgorzeniem innych podróżnych (§ 57).

W rozwinięciu powyższych zasad, przepisy porządkowe wzbraniają wstępu do sal pasażerskich, osobom nietrzeźwym, z bronią palną nabitą lub mającym przy sobie przedmioty sprawiające przykrość innym podróżnym. Psy wprowadzane być mogą do sal ekspedycyjnych nieinaczej jak w kagańcach i na uwięzi, do sal zaś pasażerskich wyłącznie tylko małe pieski pokojowe. Te ostatnie mogą być wprowadzane do powozu i pozostawiane przy właścicielu, o ile na to zezwoli inni podróżni. W każdym pociągu osobowym, wyznaczone są oddzielne przedziały dla kobiet i oddzielne dla niepalących.

Niezależnie od tych wszystkich przepisów i na skutek warunku umów nadawczych, zobowiązującego Towarzystwa dróg żelaznych do zaprowadzania ulepszeń, których użyteczność została uznana zagranicą, dopełnianiem jest oświetlanie powozów w porze nocnej, ogrzewanie ich w zimie i zaprowadzono wiele innych ulepszeń, czyniących podróż coraz więcej wygodną. Próby w tym czynione celu ponawiają się często; w przedmiocie np. ogrzewania powozów, dopiero doświadczenie nauczy, który z wielu probowanych systematów, okaże się najpraktyczniejszym. Nie ulega też zaprzeczeniu, iż pod względem wygody podróżnych, nasze drogi nie ustępują w niczem niemieckim, znacznie zaś przewyższają drogi belgijskie i francuzkie.

Każdy z podróżnych ma niewątpliwe prawo upomnieć się o wykonanie przepisów zawartych w urzędzeniach z r. 1859 i w przepisach porządkowych, o ileby służba drogi okazała w ich dopilnowaniu obojętność lub zaniedbanie. Żaden wszakże z podróżnych nie miałby tytułu uzalania się o to, iż nie korzysta z tego lub innego ulepszenia, już istniejącego na drogach zagranicznych, a dotąd nierozporządzonego przez rząd lub niewprowadzonego z inicjatywy zarządu drogi. Domaganie się takich ulepszeń, pozostawionem być musi oddziaływaniu opinii publicznej, i godzi się niewątpliwie, iż jej życzenia byłyby zawsze w granicach możliwości urzeczywistnionemi.

#### IV.

*Regularność jazdy*, czyli odchodzenie i przychodzenie wszystkich pociągów, w godzinach rozkładami jazdy oznaczonych, jest 3-ćm z kolei prawem publiczności przysługującym.

Jakoż umowy nadawcze zastrzegają, że Towarzystwa nie mają prawa zostawiać drogi żelaznej w nieczynności, wyjąwszy przy wypadkach siły większej, z których wyniknie czasowa w ruchu przerwa. Utrzymanie codziennego ruchu pociągów i zapewnienie publiczności



co do tego, iż nie będzie narażoną na przerwę stosunków z całym światem, należy do najgłówniejszych obowiązków zarządu każdej drogi. Określając bliżej ten obowiązek, zarządzenia z r. 1859 zaraz na czele zastrzegły należytą regularność jazdy i postanowiły, iż przeciwne temu porządkowi przeszkody z uszkodzenia drogi lub z innych przyczyn wynikłe, powinny być usunięte w czasie jak najkrótszym (§ 1). Rozkłady jazdy, ustanawiające na pewien przeciąg czasu, liczbę, rodzaj i bieg pociągów przeznaczonych do przewozu osób, zatwierdzane są przez naczelnika komunikacji, który władnym jest zaprowadzać w nich zmiany, jakie za potrzebne uzna. Dyrektor drogi żelaznej obowiązany jest stosować się jak najściślej do zatwierzonego rozkładu i nie dopuszczać pod żadnym względem jakichbądź przeciw temu wykroczeń. Każdy nowy rozkład jazdy, podany jest do wiadomości publicznej, przynajmniej na dni 7 przed wprowadzeniem go w wykonanie, a następnie przez cały czas aż do jego zmiany, wystawionym jest na wszystkich stacyach i przystankach drogi w miejscach dla publiczności dostępnych (§ 32). Zarząd drogi nie ma prawa przerywać komunikacji ani na całej linii, ani na jakiegobądź jęj części, bez poprzedniego upoważnienia ze strony rządu; w razie zaś przzerwiania komunikacji skutkiem jakiego wypadku, zarząd drogi jest w obowiązku natychmiast przedsięwziąć wszelkie możliwe i najenergiczniejsze środki do przywrócenia komunikacji w czasie jak najkrótszym i jednocześnie podać do wiadomości publicznej o zachodzącej przerwie w wysyłaniu pociągów. W razie nieusprawiedliwionęj zwłoki, środki przywrócenia komunikacji byłyby zarządzone przez naczelnika zarządu komunikacji na rachunek Towarzystwa drogi. Jeżeli przerwa komunikacji jest tego rodzaju, iż nie dozwala na przewóz podróżnych i poczty, tylko na części drogi, zarząd jęj jest w obowiązku natychmiast urządzić przewożenie poczty innemi środkami i dołożyć wszelkich starań, iżby na tęj przerwie przewóz podróżnych jak najprędzej był zaprowadzonym (§ 45). Wszelkie opóźnienie pociągu przenoszące 20 minut, jest zawsze przedmiotem szczegółowego śledztwa (§ 72). Wreszcie Towarzystwo drogi może być dotkniętęm karą 1000 rs. za wykroczenie przeciwko przepisom urządzeń z r. 1859, lub przeciwko rozporządzeniom wydanym na mocy tychże urządzeń, niezależnie od wszelkich innych rozporządzeń karnych, jakie mogą mieć zastosowanie, tak na mocy prawodawstwa ogólnego, jak i na zasadzie umowy nadawczęj, mianowicie zaś: skierowanie egzekucyi administracyjnęj, co do wykonania tego wszystkiego na częm polega nietylko bezpieczeństwo, ale i regularność ruchu na drodze żelaznej. Kary pieniężną idą na korzyść szpitali publicznych według wskazania naczelnika kraju (§ 80).

Nie przyszło dotychczas ani do zarządzenia na rachunek Towarzystw żadnego środka przywrócenia przzerwanej komunikacji, ani tęp mniej do wymierzenia kary; pociągi bowiem odchodzą i przychodzą na naszych drogach z należytą regularnością. Nie znaczy to

przecież, iżby opóźnienia a nawet przerwy w komunikacji zdarzać się nie miały; żadna z nich wszakże nie mogła być przypisana winie zarządu drogi, każda z nich bowiem była skutkiem siły większej, w rzadkich zaś razach pochodziła z uszkodzenia parochodu lub wagonu, albo z innego w czasie jazdy wypadku. Do rzędu najdotkliwszych, wynikłych z działania siły większej, zaliczyć należy opóźnienia pociągów w porze zimowej z powodu wielkich śniegów; zarządy dróg nie skąpią wydatków na spieszne uprzątnienie zasp śnieżnych i ze względu na pośpiech przywracania komunikacji, niewątpliwie zasługują na uznanie. Publiczność przeto powinna być w takich razach wyrozumiała; nawet wysoka zapłata nie zawsze zachęci dostateczną liczbę rąk do natychmiastowego uprzątnienia zasp, czasami ponawiających się co chwila; bezpieczniej zaś, bieg pociągu w razie jakiego uszkodzenia opóźnić, aniżeli bezpieczeństwo podróżnych na szwank narazić.

Czy w razie spóźnionego pociągu do miejsca przeznaczenia, podróżny ma zasadę do żądania od Towarzystwa drogi żelaznej zwrotu szkód lub strat, jakie go mogły dotknąć z powodu nie przybycia na termin wskazany rozkładem jazdy? Pytanie to przewidzianem było przez Towarzystwa dróg żelaznych, skoro projektując przepisy porządkowe przez inspektora głównego lub przez naczelnika zarządu komunikacji zatwierdzone, nie przepomniały zastrzedz, iż przypadkowe spóźnienie w odejściu lub przybyciu pociągu, nie daje podróżnym prawa do jakichkolwiek z tego tytułu pretensyi. Zastrzeżenie to zwraca nas do kwestyi już na wstępie poruszonej, czy ta część prawodawstwa dróg żelaznych, która formą prawną promulgacyi prawodawczej nie jest zaopatrzoną i w Dzienniku Praw zamieszczoną nie została, ma moc i siłę obowiązującego prawa, przeciwko wszystkim mieszkańcom kraju, a w szczególności przeciwko podróżnym? Tę to kwestyę wypada koniecznie bliżej rozjaśnić, zwłaszcza iż ona nie małego jest wpływu i na inne stosunki publiczności z drogami żelaznymi, które nam jeszcze opisywać przyjdzie.

Władza zatwierdzania ustaw, ich wydawania i ogłaszania, wchodzi zawsze i wszędzie w zakres atrybucyi najwyższej władzy państwowej; zawsze i wszędzie poczytywano za rzecz sprawiedliwą i konieczną, a nawet za jedną z rękojmi publicznych, by kraj mający ulegać wydawanemu prawu, dowiedział się o jego istnieniu w sposób uroczysty i dostępny zarazem. Czyniąc tym pojęciom zadosyć i określając sposób ogłaszania wydawanych przepisów, powszechnie przyjęto za zasadę, iż żadne prawo nie może nawet rozpocząć oddziaływania na stosunki społeczne, dopóki nie zostało zaopatrzonem w pełną formę promulgacyi i dopóki ważnie ogłoszonem nie jest. Art. I Kodeksu Napoleońskiego zaprowadzonego do Księstwa Warszawskiego w r. 1808, zawierał regułę tym pojęciom odpowiadającą, stanowiąc: iż prawa nabierają moc obowiązującą na zasadzie ich ogłoszenia uczynionego przez Panującego, że wykonywanie tych praw



rozpoczyna się od chwili, w której ta promulgacya może się stać krajowi wiadomą; za taką zaś chwilę poczytywanym być winien dzień następny po ogłoszeniu, określonym w tekście co do sposobu w jakim czynione być miało. W ustawie konstytucyjnej w wykonaniu art. 5 traktatu zawartego w Tyłży, nadanej Księztwu Warszawskiemu przez cesarza Napoleona I-go <sup>1)</sup>, zamieszczonym był specjalny przepis powyższą regułą upraszczający, że prawa i urzędy administracyi publicznej będą ogłaszane w Dzienniku Praw i do nadania im mocy obowiązującej, żadna inna forma ogłoszenia nie będzie potrzebną (art. 87).

W dopełnieniu tego przepisu i odpowiednio do art. 1 Kodeksu Napoleona postanowionem było, iż każde prawo i urządzenie administracyi publicznej, ma mieć odtąd oznaczoną datę pewną ogłoszenia <sup>2)</sup>. Przedmiot zaś dotyczący promulgacyi nowo tworzonego prawa, składającej się z jego zatwierdzenia przez Monarchę i ogłoszenia w Dzienniku Praw, poczynając od dekretu króla saskiego z d. 7 marca 1809 r., wywołał szereg ustaw przepisujących formę téj promulgacyi i sposób téj publikacyi; ta zaś troskliwość prawodawców różnych epok w dziejach naszego kraju, wykazuje iż tu niechodziło bynajmniej o czczą formalność, ale o jedną z tych rękojmi prawa publicznego, na których spoczywa porządek społeczny i które potęgują ideę saméjże sprawiedliwości.

Powyższą zasadę powtórzyła ustawa konstytucyjna z d. 15 (27) listopada 1815 r. stanowiąc, iż prawa, postanowienia i urzędy królewskie, będą drukowane w Dzienniku Praw, sposób zaś ich ogłaszania przepisany zostanie przez oddzielne postanowienie (a. 164). Sposób ten określony został przez Namiestnika królewskiego w Radzie Stanu <sup>3)</sup>, który „w zadosyć uczynieniu artykułowi 164 ustawy konstytucyjnej, chcąc oraz upowszechnić znajomość praw i urzędów krajowych, tak aby nikt ich niewiadomością wymówić się nie mógł;” postanowił: że przy każdym prawie wydrukowany będzie dzień jego ogłoszenia, że każde prawo staje się obowiązującym dla wszystkich mieszkańców kraju z dniem ogłoszenia, tym zaś dniem będzie dzień 25 po wydrukowaniu prawa.

W obec tych ustaw art. 1 księgi I kodeksu cywilnego polskiego, nie potrzebował mieścić w sobie wszystkich rozporządzeń artykułu 1 kodeksu Napoleona, i z tego ostatniego zaczerpnął jedynie zasadę główną: „wykonywanie praw zaczynać się będzie w całym Królestwie Polskiem z dniem następującym po dniu ich ogłoszenia.” Zasada ta ponowioną została w art. 33 Statutu organicznego z dnia 14 lutego 1832 r., przetrwała więc do niedawnego czasu i oddziaływała z całą

<sup>1)</sup> Drezno 22 lipca 1807 roku.

<sup>2)</sup> Dekret króla saskiego z d. 19 czerwca 1810 r.

<sup>3)</sup> Dnia 16 stycznia 1816 roku.



skutecznością i siłą w chwilach, w których różne części składające prawodawstwo dróg żelaznych były wydawanemi.

Z zestawienia tych wszystkich ustaw niezmiennie stojących przy zasadzie zaślaniającej sądzonych i rządzonych przed dowolnością pod każdym względem dla społeczeństwa szkodliwą, nauka wywodziła ten pewnik, iż projekt prawa nieinaczéj przeistacza się w samo prawo, ogół mieszkańców w kraju obowiązywać zdolne, jak przy zachowaniu warunków następujących:

*Po pierwsze:* ażeby projekt uzyskał zatwierdzenie władzy prawodawczej.

*Powtóre:* ażeby zatwierdzenie to poświadczoném zostało przez panującego, albo przez władzę upoważnioną działać w danym przedmiocie w jego imieniu i nieinaczéj jak w formie i w wyrazach wskazanych przepisami o promulgacyi praw, istniejącemi w chwili rzeczowego zatwierdzenia a więc z wyraźnym rozkazem ich wykonania i ogłoszenia.

*Po trzecie:* ażeby sama publikacya nastąpiła nieinaczéj jak przez wydrukowanie całego prawa w Dzienniku Praw z wyrażeniem dnia od którego poczytywaném być ma za ogłoszone.

Zaprzeczć więc nie można, iż te części prawodawstwa dróg żelaznych, które nie uczyniły zadosyć chociażby jednemu z tych trzech warunków, nosząc na sobie raczéj charakter urządzeń administracyjnych, nie sięgają w dziedzinę stosunków rządzonych prawem ogólném.

Ilekróć przeto przychodzi do sądów spór polegający na stosunkach tego rodzaju i znajduje odpowiedni przepis w kodeksie cywilnym odmienny od przepisu pomieszczonego w prawodawstwie dróg żelaznych, należy przedewszystkiém zbadać, czy ten ostatni przepis pochodzi od władzy prawodawczej i czy jest prawnie zapromulgowany i ogłoszony. W braku jednego z tych trzech warunków niepodobna uważać iż przepis zaprowadził modyfikacyę zasad prawodawstwa ogólnego i spór wedle nich powinien być rozstrzygniętym.

Akta nadawcze, czyli umowy zawarte przez rząd z Towarzystwami dróg żelaznych, nie ogłoszone w Dzienniku Praw, pozostały umowami o jeden ze szczegółów administracyi krajowej i nie zamienione w prawo, wytworzyły stosunek ściśle kontraktowy między rządem z jednój, a Towarzystwem drogi żelaznej z drugiej strony. Urządzenia znowu z r. 1859 nie zatwierdzone w sposób artykułem 11 ukazu z dnia 12 (24) grudnia 1832 r. wskazany i nie ogłoszone w Dzienniku Praw, nie wyszły po za granice spraw téjże administracyi, zwłaszcza że Rada Administracyjna nie miała atrybucyi ani zaprowadzać modyfikacyi w prawodawstwie ogólném, ani odmieniać zasad i warunków określonych aktami nadawczemi <sup>1)</sup>. Przepisy zaś porządkowe, były dziełem urzędnika nietylko niezaopatrzonego we władzę modyfiko-

<sup>1)</sup> Artykuł 1 tegoż ukazu.

wania praw ogólnych, ale nawet nie mającego żadnej atrybucyi prawodawczej.

Stosunki przeto publiczności z zarządami dróg żelaznych, czyli przedmiot przewozu osób i rzeczy, ulegają niezmiennie prawodawstwu ogólnemu. Poczytuje ono te zarządy za *wozących* i rozciąga na nie wszystkie przepisy artykułów 1782 do 1786 Kodeksu Napoleona, tudzież artykułów 96 do 108 Kodeksu handlowego. Ogólna nazwa wozących (*voituriers*) przyjętą została przez kodeks w znaczeniu bardzo rozległym, ogarnia bowiem nietylko tych, którzy wynajmują swe usługi w celu przewożenia osób i rzeczy lądem lub wodą, ale zarazem wszystkich przedsiębiorców tego przewozu powozami prywatnymi lub publicznymi, drogami żelaznymi lub wodą (*entrepreneurs de transport*), tudzież wszystkich komisjonerów transportowych (*commissioinaires de transport*). Prawodawstwo ogólne stawia ich wszystkich na jednej linii i jednakowym poddaje przepisom, wszyscy bowiem zarówno wynajmują swe usługi. Jedyną między nimi różnicę tworzy byt lub niebyt ogłoszeń zawiadamiających publiczność o urządzeniu przewozu, o jego cenie, o dniach i godzinach odjazdu i przyjazdu. Nie czyniąc tych ogłoszeń przewoźcy zachowuje całą swobodę pod względem wyboru osób lub rzeczy, ceny i warunków przewozu. Po wydaniu zaś tych ogłoszeń, już nie jest władnym ani usług swych komukolwiek odmawiać, ani żądać zapłaty wyższej nad tę, jaka została ogłoszoną, ani wyjazdu opóźnić, chociażby wyjeżdżać musiał bez podróжных lub bez ładunku. Podstawą przeciw tego stosunku jest w obu razach najem usług tworzący obowiązki przewoźcego określone w pomienionych artykułach.

Jedne z tych obowiązków, jako wynikające z samej natury tego stosunku, poczytywane są przez kodeks, za związane tak ściśle z istotą najmu usług, iż rzeczywiście tworzą samą jego treść i byt umowy o tenże najem. Do takich obowiązków należy rękojmia bezpieczeństwa podróжных w czasie przewozu. Obowiązków tego rodzaju, żaden warunek umowy zmienić lub osłabić nie jest zdolnym; zmianę głównej podstawy stosunku najmu usług, mógłby zaprowadzić nowy przepis, wydany w porządku prawodawczym, a bądź pozwalający umawiać się inaczej, bądź dający odmienne o tym najmie pojęcie, bądź sam określający inaczej skutki poniesionej przez podróжных szkody.

Kodeks określa zarazem drugorzędne obowiązki wozących, podając reguły do stosowania w braku odpowiedniej umowy stron; dopuszcza zatem zgodzenie się na warunki odmienne, i pod tym względem pozostaje znowu wiernym wielkiej zasadzie swobody umów, którą za przyrodzoną każdemu prawo i za dźwignią działalności społecznej poczytując, przyjął za ideę przewodnią wszystkich swych rozporządzeń.

Te przeto zasady, których ani złamać ani obejść nie może wola i zgodzenie się stron kontraktujących, nie uległy żadnej modyfikacyi



przez część prawodawstwa dróg żelaznych, nie będącą prawem obowiązującym ogółu mieszkańców kraju. Część ta jest właśnie owemi *urządzeniami szczegółowemi (reglements particuliers)*, o jakich mówiąc art. 1786 kodeksu Napoleona, dodaje zarazem, iż one tworzą prawo pomiędzy przedsiębiorcami przewozu a innymi mieszkańcami kraju. Jak to jednak najuczeńsi prawoznawcy zasadnie wykazują, przedmiotem tych urządzeń, wydawanych w celu bezpieczeństwa publicznego i utrzymania dróg, nie mogą być i nie są stosunki płynące z umowy o najem. Podróżni i wysyłający rzeczy, powinni się do tych urządzeń stosować i nie tamować ich wykonania, a nawet o ile mieliby w tém interes, władnymi są żądać, by się do nich przewożący ściśle stosował <sup>1)</sup>; urządzenia te przecież, na znaczenie, istotę i treść samejże umowy o najem usług, żadnego nie mają wpływu.

Z powyższego więc szkicu, acz tylko w ogólnych podanych ry-sach, wynika wniosek: iż *przepisy porządkowe* drogi żelaznej nie mają téj doniosłości, iżby stawione wyżej pytanie, do którego się właśnie zwracamy, rozstrzygać miały *w charakterze prawa krajowego*; tego bowiem znaczenia widocznie nie mają. Nie można im wszakże zaprzeczać znaczenia, jakie ma każdy warunek umowy zawartéj pomiędzy powożącym i podróżnym, nie naruszający ani natury ani istoty kontraktu o najem usług i właśnie dla tego należy od zgodzenia się stron kontraktujących. Oznaczenie dnia i godziny odwiezienia podróżnego do kresu podróży, zaliczoném być musi w poczet takich warunków drugorzędnych, pozostawionych przez kodeks temu porozumieniu. Zarządy dróg żelaznych, są przeto mocnymi wszystkie tego rodzaju warunki wprowadzać do umów z podróżnymi; że zaś niepodobna żądać by z każdym z nich oddzielny spisywały kontrakt, ani dopuszczać by pod tym względem dopuszczały różnic, władza administracyjna musiała przeto nie tylko zezwolić, ale nawet zażądać, iżby te warunki były raz na zawsze ustalonemi. Takim właśnie kontraktem są owe przepisy porządkowe w połączeniu z taryfą opłat pobieranych za przewóz; każdy przez zakupienie biletu jazdy, zawiera umowę na warunkach rzeczonych przepisami określonych i musi być poczytany za przyjmującego wszystkie te warunki. Wyjątkiem są takie tylko warunki, któreby istotę samego najmu zmieniały i z pojęciami kodeksu o tym stosunku były w sprzeczności; opóźnienia zaś podróży, do tych wyjątków zaliczać się nie dają.

Wolno więc zarządom dróg żelaznych zastrzedz, iż w razie przypadkowego opóźnienia w odejściu lub przybyciu pociągu, podróżni żadnej szkody lub straty doznać nie będą mieli tytułu, i zastrzeżenie to ma niewątpliwie pełną kontraktową skuteczność. Gdy zaś właściwa władza sama pilnuje regularnego biegu pociągów, i w razie opóźnień, sama odpowiednie zarządza środki przeciwko zarządowi drogi, publiczność przeto musi na téj rękojmi poprzestać, wie-

<sup>1)</sup> Troplong, Louage Nr. 958, Zachariae III 44 i 45.



dząc zresztą, iż oprócz wypadków siły większej, lub względów na bezpieczeństwo jazdy, żadnej dowolności ze strony zarządu drogi obawiać się nie należy. Względ zaś na bezpieczeństwo jazdy, jest zawsze tak dalece przeważnym, iż w obec niego umilknąć muszą niedogodności, wynikające z jęj opóźnienia.

Podróżny miałby więc zasadę do żądania zwrotu szkody spowodowanej opóźnieniem jazdy, w dwóch jedynie razach: gdyby niepoprzestając na kupnie biletu, zawarł z rżdem drogi specjalną umowę i w niej wysokość kary na każdy dzień lub godzinę spóźnienia oznaczył, lub gdyby tenże zarząd wstrzymał wyprawienie pociągu bez żadnego powodu, co jak widzimy, jest zupełnie niemożliwem.

## V.

Publiczność ma jeszcze *prawo* żądania, by służba drogi żelaznej zachowywała należytą *uprzejmość*; ustala to prawo artykuł 13 postanowienia Rady Administracyjnęj z maja 1857 r., determinuje je bliżej § 85 urzędzeń z października t. r. w słowach: „urzędnicy i oficyaliści drogi obowiązani są zachować się względem publiczności przyzwoicie, uprzejmie, z należytą dla osób względnością, i nie odmawiać żadnych od nich objaśnień, dotyczących jazdy na drodze żelaznej.” Ten obowiązek służby uwydatniają jeszcze przepisy porządkowe, zalecając jęj nadto, unikania wszelkich z podróznymi sporów, ograniczania się zaś w razie zajścia na objaśnieniu i stosowaniu przepisów, których spełnienia pilnować mają. Przepisy te zastrzegają jeszcze, iż usługi służby, wynikające z jęj obowiązków, powiuny być przez nią oddawanemi chętnie i bezinteresownie; wzbraniają więc przyjmowania od podrózných jakiegobądź datku. Zabraniają wreszcie służbie palić tytuń w czasie pełnienia przez nią obowiązków, mianowicie zaś na chodniku stacyi podczas postoju pociągu i w powozach podczas jazdy.

Tak wyraźne zastrzeżenia nie wymagają żadnych objaśnień.

## VI.

Niezależnie od prawa dochodzenia wymiaru sprawiedliwości przeciwko samemu Towarzystwu drogi żelaznej lub jego zarządowi, publiczność ma także *prawo do skargi* na każdego z osobna z wykonywających jakiegobądź obowiązkę na drodze. Prawo to ustala postanowienie Rady Administracyjnęj z maja 1857 r. wydane, zapromulgowane i ogłoszone w porządku prawodawczym, wchodzące więc w skład prawodawstwa krajowego. „Každy z podrózných któryby sądził że służba drogi nie wykonała ściśle przepisów ostrożności, jakich zachowanie wskazanem jest szczegółowemi przepisami, lub doznał niewłaściwego z jęj strony obejścia się, jest mocnym zanieść zażalenie, na piérwszję stacyi, do książki na ten cel postanowionęj, a zarząd drogi albo je sam załatwi, albo tóż do właściwęj władzy

sądowej po wymierzenie kary odeśle <sup>1)</sup>." W rozwinięciu tego przepisu, urządzenia z października 1859 r. zastrzegły, iż na każdej stacyi znajdować się będzie książka sznurowa, poświadczona przez inspektora głównego lub przez komisarza rządowego dróg żelaznych, w której podróżni zapisywać mogą skargi i zażalenia, bądź przeciwko służbie drogi, bądź przeciwko każdemu wchodzącemu w skład tejże służby (§ 61). Przepisy porządkowe objaśniają, iż w mowie będąca książka znajduje się u zawiadowcy każdej stacyi, i wymagają, iżby skargi opatrzone były podpisem skarżącego, wyrażając zarazem jego adres i wskazując, o ile można najdokładniej, osobę oskarżonego, bądź z nazwiska, bądź z numeru, bądź z innej oznaki mundurowej.

Publiczność wykonywa to prawo w bardzo obszernych rozmiarach; jéj skargi i zażalenia na służbę każdej drogi są częste i dają powód do surowych kar wymierzanych na winnych przez jéj zarząd. Zaprzeczyć wszakże nie można, iż publiczność jest często niewyrozumiałą, skoro pomimo surowości przyjmowanej za zasadę, ilekroć skarga przychodzi pod rozpoznanie zarządu drogi, znaczna część zażaleń okazuje się nieusprawiedliwioną lub być wypływem złego humoru skarżących.

Co zaś ważniejsza, publiczność nie przychodzi zarządom dróg z tą pomocą, jaka byłaby dla nich właśnie najpożądalszą; zanoszone bowiem skargi mają prawie wyłącznie za przedmiot naruszenie prawa, o jakim w poprzednim mówiliśmy rozdziale: brak uprzejmości lub niewłaściwe obejście się ze strony służby; nie zdarzyło zaś spotkać się z zażaleniem uderzającym w nieściśle wykonanie przepisów ostrożności, z natury swój żywszy budzące interes, skoro oddziaływa na bezpieczeństwo jazdy. Pomimo największej bacności zarządów, bezwątpienia zdarzyć się musiało, iż konduktor pociągu wsiadł do powozu zamiast siedzieć zewnątrz przy hamulcu lub lince, w miejscu, z którego każdy ruch pociągu i stan drogi dostrzegając z łatwością, mógłby dać odpowiedni znak w razie potrzeby. I to niejednokrotnie przytrafić się mogło, iż maszynista podnosząc się pary, szym jéj biegu albo wjechał lub wyjechał ze stacyi za gwałtownie, przy raptowném uderzeniu buforów o bufory i przy niezwykłym wstrząśnieniu powozów. Te i tym podobne odstąpienia od przepisów, nie skłoniły przecież żadnego z podróżnych do zwrócenia uwagi zarządu drogi i winny mógł niejednokrotnie ująć zasłużonej kary. Byłoby więc do życzenia, iżby przez wzgląd na pewien rodzaj solidarności w rzeczy bezpieczeństwa jazdy, takich właśnie zbroczeń służby podróżni nie pokrywali oziębłością.

<sup>1)</sup> Art. 13 tegoż postanowienia.

## VII.

Mówiliśmy dotąd o prawach przysługujących każdemu z podróżnych, bądź na podstawie prawodawstwa ogólnego, bądź na mocy przepisów wydanych dla dróg żelaznych, a więc o prawach pozytywnych, nadających tytuł do skargi, zażalenia, albo do żądania zapłaty w drodze sądowej. Po za temi wszakże prawami, publiczność ma jeszcze tytuł, do wywierania nacisku na zarządy dróg żelaznych o urzeczywistnienie ulepszeń istniejących za granicą a mających na celu potęgowanie tego środka komunikacji, tak pożytecznie oddziałującego na rozwój stosunków społecznych i tak skutecznie ułatwiającego wszelki postęp. Mamy tu głównie na widoku coraz większą *taniosć jazdy* i coraz większą *jěj prędkość*, czyli obniżanie opłaty za przewóz osób i zwiększanie szybkości biegu pociągów.

Żądaniom wszakże w tym kierunku stawianym, nie przychodzi w pomoc ani prawo pisane, ani tytuł do skargi, będący właśnie cechą każdego prawa pozytywnego. Zasada do podnoszenia tych żądań wysnuwać się daje jedynie z pojęcia o interesie ogólnym, któremu drogi żelazne mają zadanie czynić zawsze zadosyć. I w tém właśnie pojęciu tkwi niezaprzeczona siła i doniosłość wpływu opinii publicznej, ilekroć ona w imieniu lub dla dobra ogółu ulepszeń się dopomina.

Nienależy przecież wyprowadzać ztąd wniosku, iż byle głos lub zarzut podniesiony w druku albo rozpowszechniany mową, ma być zaraz poczytywanym za wyraz prawdziwej opinii publicznej i z przynależnego jej korzystać wpływu; taki bowiem wniosek byłby szkodliwym złudzeniem. Bez dokładnego obeznania się z przedmiotem, a więc bez poprzedniego uczynienia nad nim gruntownych studyów, bez objęcia myślą wszystkich różnorodnych interesów w grę wchodzących, a więc bez uwzględnienia każdego z nich i bez ich pogodzenia między sobą, niepodobna ocenić co w danej kwestyi jest prawdą a co fałszem, nie godzi się przeto wydawać sądu w rzeczach, których się dokładnie nie zna. Poznanie prawdy jest bez wątpienia najtrudniejszém z zadań życia; usiłowania całych pokoleń podejmowane w celu dojścia do niej, pozostają często bezowocnemi; nie można się więc dziwić temu, że ten lub ów danego przedmiotu dokładnie nie zna, ale godzi się przyganić, że mówi lub pisze o tém czego gruntownie zbadać się nie postarał. Uwagi téj nie odnosimy do jednego wyłączenie przedmiotu; jest ona ogólną, ogarniającą zarówno każdą gałąź wiedzy jak i każdą działalność człowieka, i uzasadnia zarzut przeciwko dziennikom i czasopismom we wszystkich prawie krajach, iż podnoszą zarzuty bez należytej znajomości rzeczy, a więc chociażby mimowolnie i zapewne bez złej wiary, wprowadzają w błąd opinią publiczną.

Nie taka téż obałamuciona opinia mogłaby wpłynąć na obniżenie opłaty za jazdę drogami żelaznemi lub na zwiększenie szybkości pociągów. Jedno i drugie zarówno warunkowaném być musi stanem finansowym towarzystwa, do którego droga należy. Przedewszy-



stkiem więc potrzeba rzecz dokładnie pod tym względem rozpoznać i odpowiednio do tego stanu podnosić przeciwko zarządom dróg żelaznych żądania, lub je do dalszego odraczać czasu.

Mianowicie zaś opinia publiczna byłaby upoważnioną czynić nacisk o zniżenie pobieranych za jazdę opłat, na te z towarzystw, które z eksploatacy drogi otrzymują czysty dochód, pokrywający więcej, niż odpowiedni procent od kapitału na jej budowę wydanego, czyli od akcyj wyobrażających tenże kapitał. W samych umowach nadawczych istnieje pod tym względem zastrzeżenie, iż rządowi przysłuży prawo zniżenia opłat przewozowych co lat 10, skoro w ciągu trzech, po sobie idących lat, posiadacze akcji otrzymali więcej nad 10% od tegoż kapitału. Z uwagi przecież, że stopa procentu jest ze swój natury zmienną, od ekonomicznego stanu kraju i od wielu innych warunków zależną, mogłaby w danym momencie i wśród danego stanu rzeczy stopa 10% wydawać się za wysoką. Dałby się więc wtedy wytłumaczyć nacisk opinii publicznej o zniżenie opłaty przewozowej, czyniony na towarzystwo wypłacające posiadaczom akcji procent nawet niższy od 10%; zawsze przecież, pewna stopa procentu, chociażby 7 lub 8% w naszym kraju, musi być dla nich pozostawioną. Dopóki więc czysty dochód drogi, takiego przynajmniej procentu nie pokrywa, dopóty o zniżeniu istniejących obecnie opłat przewozowych nie może być na seryo mowy.

Jakże często dają się u nas słyszeć głosy o wielkiej zamożności towarzystw dróg żelaznych i o wielkich przez też towarzystwa otrzymywanych zyskach. Głosy te dowodzą znowu, jak łatwo opinia publiczna obalamuwać się daje, przyjmując za pewniki to, co bez dokładnego zbadania rzeczy, zostało powiedzianem a zwłaszcza wydrukowanem. A jednak każdy kto zechce, może się z łatwością przekonać, że rezultaty eksploatacy naszych dróg żelaznych, od owęj mniemanęj świetności są bardzo dalekiemi.

Trzy z tych towarzystw korzystają z poręczenia danego im przez rząd, i dlatego ich akcje i obligacje zowią się *gwarantowanymi*; czwarte zaś (Warszawsko-Wiedeńskie) takiej rękojmi nie ma. Różnica ważna w skutkach, zwłaszcza przy ocenianiu rezultatów eksploatacy każdej z tych dróg; konieczną więc jest rzeczą, cel i znaczenie tej rękojmi dokładnie pojąć.

Budowa każdej drogi żelaznej pochłania tak wielki kapitał, a jej czyste dochody są z początku tak małe i tak powoli wzrastają, iż dopiero po kilku lub kilkunastu latach wystarczałyby mogły na pokrycie procentu od tegoż kapitału; upływu zaś jeszcze dłuższego szeregu lat potrzeba, by te czyste dochody przewyższyły ów procent i przynosiły korzyść dając naddwydendę. Łatwo przeto pojąć, iż budowa drogi żelaznej jest nietylko nad siły jednego lub kilku kapitalistów, ale nawet nie znalazłaby chętnych do tego przedsięwzięcia, niezabezpieczając godziwie należnego procentu od tak znacznego w nią wkładu. Gdzie zaś ten procent jest albo niepewnym albo bardzo odległym, tam i towarzystwo mające zebrać wielki kapitał za pośredni-

ctwem wypuszczenia akcji i obligacji, utworzyłby się nie dało. Jedynie rząd, rozporządzając funduszami budżetowymi całego kraju, posiada odpowiednie do tak olbrzymiego zadania środki, i sam jeden jest w stanie wykonać to dzieło użyteczności ogólnej, którego potrzebę z wielu uznaje względów. Jest to zasadą ogólną, wyjątki zaś od niej są bardzo nie liczne, tłumaczące się szczególnymi korzyściami, jakie przedstawiać może dana miejscowość i ruch handlowy, zapewniający natychmiastowe oprocentowanie kapitałowi na budowę wydatkowanemu. W jednej Anglii, mającej kolosalne kapitały, nieznaną łatwego umieszczenia i zmuszone na bardzo niskim przedstawiać procencie, a przytoczonej oddawna rozwój działalności społecznej pozostawiać prywatnej inicjatywie, drogi żelazne pobudowane zostały przez towarzystwa bez pomocy rządowej. I tam przecież, kapitał w budowę włożony, bardzo długo nie przynosił żadnego lub bardzo mały procent, i w ostatnich dopiero czasach (a więc po upływie kilkudziesięciu lat), doczekał się procentu od 3 do 4% rocznie. W całej zaś Europie, budowa dróg żelaznych była i jest dokonywana kosztem budżetów krajowych, albo przez same rządy, albo przez towarzystwa otrzymujące z tychże budżetów odpowiednią pomoc.

Pomoc ta udzielaną bywa w nie jednakowym zakresie i w nie jednakowym sposobie: albo przez jednorazowe bezzwrotne zasiłki, albo przez połączenie procentu od części lub całości potrzebnego na budowę drogi kapitału i funduszu na jego umorzenie. Rozbiór każdego z tych systematów, wychodząc po za ramy tego pisma, oddaliłby nas od przedmiotu; ograniczyć się przeto musimy na wskazaniu zasad, sposobu i rozciągłości udzielonej przez rząd pomocy trzem Towarzystwom dróg żelaznych w naszym kraju.

Uznając potrzebę zbudowania dróg żelaznych, a zarazem obowiązek dokonania tych dzieł groszem publicznym, rząd poczytał za rzecz dogodniejszą nie prowadzić budowy, ale ją powierzyć Towarzystwom prywatnym. Z uwagi znowu, iż dochody budżetowe jednego lub kilku lat, dostarczając kapitał potrzebny na budowę drogi, nie mogłyby załatwiać jak należy innych potrzeb krajowych, co by na administracją kraju musiało oddziaływać szkodliwie, rząd przyjął za zasadę, iż w mowie będące drogi żelazne, zbudowanymi być mają funduszem z pożyczki na ten cel zaciągniętej. Zasada ze wszech miar usprawiedliwiona; nie można bowiem tak wielkim wydatkiem obciążać jednego pokolenia i słusznym jest wydatek ten rozłożyć na szereg pokoleń, mających zarówno korzystać z budującej się drogi żelaznej. Dla innych znowu widoków, zamiast pożyczkę zaciągnąć bezpośrednio, rząd pozostawił Towarzystwom zebranie kapitału przez wypuszczenie akcji i obligacji, zapewniając temuż kapitałowi procent i umorzenie, czyli spłacenie akcji i obligacji corocznie wylosowanych. Poręczenie to przecież nie jest bezwarunkowym, takim jakle otrzymali posiadacze akcji drogi żelaznej nadwiślańskiej; oni bowiem udzielili pożyczkę wprost samemu rządowi, mającemu płacić im

procent i akcyje drogą losowania umarzać, bez względu na to, czy droga żelazna będzie zbudowaną lub nie i czy potrafi pokryć kosztą eksploatacyi. Poręczenie udzielone trzem naszym Towarzystwom znaczy:

*Po pierwsze:* że każde z tych Towarzystw upoważnionem zostało wypuścić daną liczbę akcyj i obligacyj po cenie jaką otrzymać potrafi, i zobowiązało się, za fundusz w ten sposób zebrany (choćby niższy od summy ryczałtowo obliczonej a równającej się imiennęj wartości wszystkich akcyj i obligacyj), wybudować drogę żelazną wedle planów i kierunków zatwierdzonych przez rząd i przy zastosowaniu się do wszelkich zastrzeżeń umowy nadawczęj.

*Powtóre:* że gdyby był tak zebrany fundusz nie wystarczył na zbudowanie drogi, Towarzystwo miało obowiązek zaciągnąć na swój wyłączny rachunek dodatkową na ten cel pożyczkę, a przeciwnie oszczędność na kosztach budowy stawała się wyłączną korzyścią Towarzystwa. Ono bowiem podjęło się budowy na zysk i niebezpieczeństwo (*à forfait*); rezultat przeto tego przedsięwzięcia już żadnego interesu dla rządu nie przedstawiał, byleby droga odpowiednio do warunków umowy nadawczęj była zbudowaną.

*Po trzecie:* że Towarzystwo przyjęło obowiązek otworzyć ruch na zbudowanej drodze i prowadzić na niej ciągły, regularny bieg pociągów w taki sposób nią zarządzając, iżby dochody pokrywały przynajmniej wszystkie kosztą eksploatacyi. Rząd bowiem nie wchodząc w to, czy rzeczony kosztą dochodami drogi będą pokryte lub nie, zobowiązał się jedynie dopłacać corocznie Towarzystwu, najwyżej tyle, ile wynosi procent i fundusz na umorzenie od kapitału ryczałtowo na budowę drogi oznaczonego, i to, o ile czysty dochód z eksploatacyi nie wystarczy na pokrycie tegoż procentu i tegoż funduszu. Gdyby więc w którym roku dochody drogi nie pokryły kosztów eksploatacyi, Towarzystwo musiałoby na owęj przez rząd poręczonęj summie poprzestając, zaspokoić z nięj brakującą część tych kosztów, następnie wypłacić procent i fundusz na umorzenie posiadaczom obligacyi, a dopiero resztę otrzymanęj od rządu summy, pomiędzy posiadaczy akcyj rozdzielić. Bardzo więc łatwo zdarzyćby się mogło, iżby posiadacze akcyj otrzymali procent mniejszy od tego, jakiego się spodziewają.

*Po czwarte:* że przeto poręczenie rządowe nie jest poręczeniem danem każdemu z osobna posiadaczowi obligacyi lub akcyi towarzystwa; pierwsi bowiem nie są bynajmniej wierzycielami rządu i w żadnym prawnym stosunku z tymże rządem nie stoją; ale są wierzycielami Towarzystwa mającymi zabezpieczenie na całym jego majątku, a więc i na wszystkich czystych dochodach drogi i na owém poręczeniu Towarzystwu przez rząd udzielonem, stanowiącém jego prawo nabyte i wielkięj wartości. Posiadacze zaś akcyj, są znowu współwłaścicielami drogi, dzielącymi dobre lub złe losy samegoż Towarzystwa, którego są uczestnikami.



Powszechnie przyjęta nazwa: *akcyj* lub *obligacyj gwarantowanych*, nie jest przeto ścisłą i do mylnych mogłaby doprowadzać pojęć. Papiery te nie są bynajmniej poręczonemi przez rząd, ale są jedynie akcjami i obligacjami Towarzystwa, któremu przysłuża poręczenie, od wielu jak widzimy warunków zależne. Gdyby Towarzystwo nawet przy corocznej pomocy ze strony rządu, z tytułu owego poręczenia czerpanej, nie było w możności zapłacić któregokolwiek kuponu od obligacyi, musiałyby w takim razie ogłosić się niewypłacalnem. Gdyby znowu po pokryciu kosztów eksploatacyi i zaspokojeniu procentu wierzycielom, tudzież po umorzeniu swych długów w odpowiedniej na każdy rok wysokości, nic z owej pomocy rządowej do rozdziału między posiadaczy akcyj nie pozostało, nie otrzymaliby oni żadnego procentu, tak samo jak uczestnicy każdego innego przedsiębiorstwa, w złym będącego stanie. Gotowizna dana za obligacje towarzystwa, jest pożyczką temuż Towarzystwu udzieloną a opartą na zaufaniu do interesu przedsiębiorstwa, mającego zapewnioną pomoc rządową, która toż zaufanie wywołuje i niewątpliwie wzmacnia. Gotowizna znowu dana za akcje, jest przystąpieniem do tegoż interesu, opartem na zaufaniu, że przy owej pomocy rezultata przedsiębiorstwa dadzą corocznie przynajmniej zwykły procent. Obligacje są papierem lokacyjnym; akcje, acz Towarzystwa posiadającego gwarancją rządową, mają cechę papieru spekulacyjnego, i dopiero dobre rezultata eksploatacyi, pozwalają papier ten zaliczyć do papierów lokacyjnych.

Akcyje Warszawsko-Bydgoskie, Warszawsko-Terespolskie i Fabryczno-Łódzkie, do chwili zbudowania tych dróg i otwarcia na nich ruchu, tudzież do czasu przeświadczenia się, iż dochody tychże dróg, niewątpliwie pokrywają koszta ich utrzymania i eksploatacyi, były papierami spekulacyjnemi, pomimo gwarancyi rządowej, jaka przysłuża każdemu z tych Towarzystw. Akcyje te przeistoczyły się w papier lokacyjny dopiero wtedy, gdy dla każdego stało się wiadomem, iż rzeczone drogi zostały zbudowanemi za fundusz z umieszczenia akcyi i obligacyi przez towarzystwo zebrany, i bez potrzeby zaciągania dodatkowych na dokończenie budowy pożyczek, i że dochody każdej z tych dróg wystarczają na jej utrzymanie i pokrywają wszelkie koszta eksploatacyi, a nawet pozostawiają przewyżkę na opłatę części procentów od kapitału wydanego na budowę. Przewyżka nie jest przecież tak znaczną, iżby którekolwiek z tych Towarzystw bez corocznej pomocy rządowej obejść się mogło. Od początku istnienia tych Towarzystw po koniec roku 1874 otrzymały one od rządu zaliczenia: Warszawsko-Bydgoskie rub. 1,929,423 k. 77  $\frac{1}{2}$ , Warszawsko-Terespolskie rub. 2,809,745 k. 79  $\frac{1}{2}$ , Fabryczno-Łódzkie rubli 399,907 k. 84  $\frac{1}{2}$ . Rachunki za rok ubiegły 1875 nie są dotąd zamknięte, dopiero więc w czerwcu r. b. będzie znana summa dopłat, jakie z tytułu w mowie będącej rękojmi, przypadną od rządu. O ile

nam wszakże wiadomo, rząd dopłaci 1-mu z tych Towarzystw około rub. 75,000; 2-mu około 107,000; 3-mu zaś, około rub. 36,000 1).

Pomoc ta jest pożyczką bezterminową udzielaną Towarzystwom przez rząd pod obowiązkiem zwrotu z procentami oznaczonemi w umowach nadawczych. Od chwili, w której czyste dochody drogi przewyższą fundusz potrzebny na opłacenie procentu od akcji i obligacyj To-

1) Znaczenie i doniosłość rękojmi rządowej, dadzą się najlepiej uwydatnić przez przykład liezbeny: przyjmując jako dane, iż koszt budowy drogi ocenionym został na 10 milionów, iż Towarzystwo w celu zebrania tego kapitału, wypuściło obligacyj za 6 milionów, akcji zaś za 4 miliony, i ma zapewnić rękojmię rządową 5% rocznie od tegoż kapitału, tudzież  $\frac{1}{10}$  % na umorzenie, a więc zasilek roczny najwyżej 510,000; w obec tych danych i odpowiednio do rezultatów przedsięwzięcia, możliwe będą następujące hipotezy:

a) w skutek przewidzianych trudności samej budowy lub konieczności ulokowania akcji i obligacyj z wielką stratą na różnicy kursu tych papierów, zebrany za nie fundusz okazał się być niewystarczającym, Towarzystwo przeto znalazło się w konieczności zaciągnąć milion pożyczki na dokończenie budowy. Przyuszczając, że na procent i umorzenie tej pożyczki, wypadnie płacić rocznie 70,000, że nadto dochody drogi brutto, czynią rocznie 400,000, koszta zaś jej eksploatacyi i utrzymania wynoszą 450,000, że Towarzystwo musi przeto dopłacać 50,000; w takim razie rachunek stawi się jak następuje:

Rząd z tytułu gwarancyi, dopłaci towarzystwu rocznie . . . . .	510,000
z funduszu przyjdzie przedewszystkiem pokryć resztę kosztów eksploatacyi i utrzymania drogi: . . . . .	50,000
następnie procent i umorzenie zaciągniętego długu. . . . .	70,000
i na procent tudzież umorzenie obligacyj Towarzystwa, wypuszczonych na summe 6 milionów. . . . .	306,000
razem . . . . .	426,000
pozostanie więc na procent i umorzenie dla posiadaczy akcji . . . . .	84,000

co od 4 milionów uczyni zaledwie  $2\frac{1}{10}$  % zamiast  $5\frac{1}{10}$ .

b) w 2-jej hipotezie, gdy kapitał z ulokowania akcji i obligacyj zebrany, wystarczył na zbudowanie drogi, bez zaciągania dodatkowej pożyczki, do kosztów jednakże eksploatacyi i utrzymania drogi potrzeba dopłacać rocznie 50,000; w takim razie, z funduszu zaliczonego Towarzystwu przez rząd z tytułu gwarancyi. . . . .

gwarancyi. . . . .	510,000
potrzeba przedewszystkiem stracić rzeczoną kwotę. . . . .	50,000
następnie pokryć procent i umorzenie od 6 milionów obligacyj. . . . .	306,000
	356,000
reszta zaś. . . . .	154,000

rozdzieli się pomiędzy posiadaczy akcji, co od 4 milionów uczyni tylko  $3\frac{3}{4}$  na procent i  $\frac{1}{10}$  % na umorzenie, zamiast 5% na procent i  $\frac{1}{10}$  % na umorzenie.

c) w razie zbudowania drogi za fundusz zebrany z ulokowania akcji i obligacyj, i pokrycia wszystkich kosztów eksploatacyi i utrzymania drogi, To-

warzystwa i na ich umorzenie, cała ta przewyżka ma być wnoszoną do kass rządowych, tytułem zwrotu najprzód procentu od owych pożyczek a następnie samychże pożyczek. W obec przeto tak znacznych summ Towarzystwom przez rząd zaliczonych, nie można mieć nadziei, by którekolwiek z nich w blizkiej przyszłości wyższy nad dziś uiszczany procent posiadaczom akcji wypłacać było w możności. Nadzieja zaś ta stała się jeszcze bardziej odległą, przez zbudowanie w kraju drogi nadwiślańskiej, która czyniąc silną konkurencyą drogom Warszawsko-Terespolskiej i Warszawsko-Bydgoskiej, z konieczności wpłynąć musi na zmniejszenie dochodów jakie też drogi obecnie otrzymują. Uwaga, ta odnosi się głównie do przewozu towarów, na którym dochody każdej drogi przeważnie się opierają. Pod tym zaś względem, dotychczasowa konkurencyja dróg Wschodnio-Pruskiej (Ostbahn) i Grajewskiej w kierunku z Rosyji do Prus, a drogi galicyjskiej Karola Ludwika w kierunku z południowych prowincyi Cesarstwa do Austryi, zostanie spotęgowaną przez konkurencyą drogi Nadwiślańskiej co do przewozu towarów na samym już obszarze naszego kraju.

Z powyższego rysu każdy nabierze przekonania, iż opinia publiczna nie tak prędko żądaćby mogła zniżenia opłat za przewóz osób na naszych drogach; że przeto obecne pokolenie poprzestać musi na tém co jest, nadzieję tańszej jazdy pozostawiając dla pokoleń następnych.

Towarzystwo Warszawsko-Wiedeńskie nie mając rękojmi rządowej, w odmienném jest położeniu: droga ta zbudowana przez rząd i jego kosztem, została oddaną w długoletnią dzierżawę, za czynsz odpowiadający procentowi zaledwie 2<sup>o</sup>/<sub>o</sub> od kapitału na budowę wydatkowanemu. Już ta stopa czynszu dzierżawnego musiała korzystnie oddziaływać na rezultat przedsiębiorstwa i na wysokość dywidend, jakie Towarzystwo posiadaczom akcji wypłacać było w możności. Do zwiększenia się dochodów przyczyniał się jeszcze znaczny przewóz węgla szlązkiego i ożywiony ruch handlowy; długi bowiem czas droga Warszawsko-Wiedeńska była jedyną linią komunikacyjną, łączącą najbliższą Austryą i Niemcy, z Moskwą i Kijowem, tudzież z południowemi prowincyami Cesarstwa. Dochody więc téj drogi dozwalały na płacenie posiadaczom akcji od 8 do 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Dywidenda ta za nadmierną poczytywać się nie daje, skoro akcyje Warszawsko-Wiedeńskie są papierem najzupełniej spekulacyjnym, wystawionym na niepowodzenia tak samo, jak

warzystwo otrzymując od rządu z tytułu gwarancyi 510,000, jest w możności opłacić posiadaczom akcji procent 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub> i dopełnić umorzenie wedle swéj ustawy.

d) dopiéro więc przy oszczędności na budowie np. 400,000 i gdy czysty dochód z eksploatacyi wynosi np. 200,000, rząd z tytułu gwarancyi dopłaci 310,000 zamiast 510,000, posiadacze zaś akcji, oprócz procentu 5<sup>o</sup>/<sub>o</sub> otrzymają jednorazowo tytułem rozdziału tego zysku na przedsiębiorstwie budowy, owe 400,000 czyli 10<sup>o</sup>/<sub>o</sub>.



każde inne przedsięwzięcia przemysłowe. Konkurencya drogi galicyjskiej Karola Ludwika, w kierunku z Austrii do Moskwy, Kijowa i Odessy, oddziałała już niekorzystnie na powodzenie drogi Warszawsko-Wiedeńskiej i czyste jej dochody znacznie zmniejszyła. Po zbudowaniu zaś projektowanej linii od Iwangrodu (Demblina) ku Krakowu, mającej przeciąć linią Warszawsko-Wiedeńską w bliskości stacyi Łazy, ta ostatnia droga napotka nową, groźniejszą jeszcze konkurencją na samym już obszarze naszego kraju; towary bowiem zamiast jak dotąd iść na Warszawę do Odessy, Kijowa i Moskwy, zwracać się będą na linią znacznie krótszą, na Iwangród, z punktu w którym nowa droga drogę Warszawsko-Wiedeńską przetnie. Nie można przeto żądać, by Towarzystwo nie spodziewające się większego czystego dochodu, nad ten jaki obecnie pomiędzy posiadaczy akcji rozdziela, a nawet zagrożone umniejszeniem tego dochodu, obniżyło opłaty obecnie za przejazd osób pobierane <sup>1)</sup>). Też same powody sprzeciwiają się żądaniom zwiększenia szybkości biegu pociągów, skoro w miarę prędszej jazdy, szyny i tabor drogi prędszemu ulegają zniszczeniu, a tém samém zwiększają się wydatki na utrzymanie stanu drogi i jej taboru, tudzież na zmianę szyn i odnawianie tegoż taboru. Nie oplacając procentów inaczey jak przy pomocy rządowej, Towarzystwa mające gwarancją nie są więc w możności zaprowadzać śpieszniejszej jazdy, pociągającej za sobą znaczne powiększenie kosztów eksploatacyi. Nie może również i dlatego samego powodu, zaprowadzić śpieszniejszej jazdy Towarzystwo Warszawsko-Wiedeńskie. Gdy zaś jest rzeczą przez rachunek i doświadczenie stwierdzoną, iż bezpieczeństwo jazdy po każdej drodze żelaznej, wzmaga się lub słabnie w miarę powolniejszego lub prędszego biegu pociągów, publiczność przeto więcej zyskuje niż traci na utrzymaniu dotychczasowej szybkości jazdy, przy której tak rzadkie zdarzają się wypadki. I w istocie bardzo właściwie zastosowaćby się tu dało znane przysłowie: *le mieux est l'ennemi du bien* <sup>2)</sup>).

## VIII.

*Obowiązki* podróżujących drogami żelaznymi polegają przede wszystkim na stosowaniu się do wskazań służby drogi, tak przy wsia-

<sup>1)</sup> O ile nam wiadomo, dywidenda od każdej akcji warszawsko-wiedeńskiej za rok 1875 wyniesie tylko rubli 4 kop. 50.

<sup>2)</sup> § 35 urzędzeń z r. 1859 r. oznaczył maximum szybkości jazdy pociągami osobowymi na 50 wiorst na godzinę, zastrzegając iż większa szybkość jazdy, może mieć miejsce tylko za upoważnieniem lub zarządzeniem naczelnika zarządu komunikacyi. Pociągi kuryerskie na drodze Warszawsko-Tereska polskiej, przebiegają jedynie 40 wiorst na godzinę. Szybkość zaś takichże pociągów na drogach Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej, jest już wyższą od owego maximum, wynosi bowiem minut 8 na milę, czyli wiorst 52 1/2 na godzinę, a nawet w razie stracenia czasu, szybkość jazdy może być zwiększona o minutę na mili i czyni wtedy minut 7 na milę, czyli wiorst 60 na godzinę.

daniu, jak w czasie jazdy i na stacyach. Streszczając je w ten sposób, artykuł 19 postanowienia Rady Administracyjnej z maja 1857 r. dodaje zarazem, iż każdy zasadę tę łamiący, lub zachowujący się nieprzyzwoicie, albo dostrzeżony *w stanie* opilstwa, nie będzie do pociągu dopuszczonym, a nawet w ciągu drogi może być przez miejscową władzę na stacyi od dalszej podróży usuniętym, bez zwrotu opłaty za jazdę uiszczoną.

W rozwinięciu powyższej zasady, urządzenia z października 1859 roku zabraniają podróżnym:

1. Chodzenia na stacyach po za obrębem dla publiczności przeznaczonym pod karą: za pierwszym razem od 30 kop. do rubla, za drugim do rub. 3, a za trzecim pod karą aresztu od 3 do 7 dni (§ 53).

2. Otwieranie zapór zamykających poprzeczne przejazdy na drodze żelaznej, pod karą: za pierwszym razem od 1—5 rubli, za drugim do 10 rubli, a za trzecim pod karą aresztu od 7 dni do 3 tygodni (§ 54).

3. Wchodzenia do powozów bez właściwego biletu, wchodzenia do powozów lub wychodzenia z nich nie z téj strony, którą wskazuje służba konduktorska, lecz ze strony przeciwnéj; wchodzenia do powozów po danym znaku do odjazdu, mianowicie zaś po ruszeniu pociągu, i przechodzenia w czasie jazdy z powozu do powozu; wychodzenia z powozu, zanim pociąg został zupełnie zatrzymanym, wreszcie nie przyzwoitego zachowania się z obrazą i ze zgorzeniem innych podróżnych; a to wszystko pod karą pozostawienia podróżnego na stacyi, bez zwrócenia mu opłaty uiszczonéj za bilet jazdy (§ 56 i 57).

4. Podróżowania bez biletu, pod karą podwójnéj opłaty za całą odległość od miejsca, z którego pociąg wychodzi do miejsca dostrzeżenia, stosownie do klasy powozu, w którym podróżny jechał (§ 77).

Wszystkie te zabronienia mają siłę prawa, które na skutek przepisu art. 1786 Kodeksu Napoleona, każdy z podróżnych szanować jest obowiązany, są one bowiem właśnie owemi urządzeniami szczegółowemi (*reglements particuliers*), przewidzianemi przez tenże artykuł, a wydanemi w celu utrzymania dobrego stanu drogi i zapewnienia bezpieczeństwa podróżującym. Każde wykroczenie przeciwko przepisom urządzeń z października 1859 r. o ile nie podlega karom ustanowionym bądź w kodeksie karnym, bądź w postanowieniu Rady Administracyjnej z maja 1857 r., sprowadza na siebie karę: za pierwszym razem od 30 kop. do 10 rub., za drugim razem wrazie spełnienia zabronionego czynu prze tęż samą osobę w ciągu roku, podwójną karę pieniężną a wedle okoliczności i karę aresztu od 7 dni do 3 tygodni (§ 76).

Na téj saméj zasadzie artykułu 1786 Kodeksu Napoleona, obowiązują podróżnych, wywieszane w salach pasażerskich na stacyach lub w wagonach, przepisy porządkowe każdéj drogi, wskazujące sposób zachowania się w czasie jazdy, lub oznaczające wysokość wynagrodzenia za szkodę w powozie przez podróżnego zrządzoną. Główniejsze z nich są: że kto na 5 minut przed czasem do ruszenia pociągu ze stacyi ozna-

czonym, biletu nie wykupił, ten nie ma już prawa żądać wydania mu tegoż biletu. Przy wydawaniu biletu, jest na nim kładziony stempel wskazujący numer jazdy, dzień i godzinę wyjścia pociągu ze stacyi. Bilety takim stemplem nie opatrzone, są nieważnemi; podróżny przeto odbierając bilet, winien zaraz zwrócić uwagę na stempel, późniejsze bowiem jego reklamacye nie byłyby uwzględnionemi. Po danym znaku na odjazd nikt już do pociągu dopuszczanym być nie ma, a wszelkie przeciwko temu usiłowania są surowo wzbronionemi. Podróżny, skutkiem opóźnienia się, pozostawiony, nie ma prawa żądać zwrotu opłaty za jazdę uiszczoną; jednakowoż zawiadowca stacyi może położenie uwzględnić i ważność biletu zaznaczyć na pociąg następny. Podróżny winien okazać bilet konduktorowi na każde żądanie; dla własnego bezpieczeństwa siedzieć powinien podczas jazdy na swoim miejscu, nie wychylając się przez okna i nie opierając się o drzwi powozu. Po zatrzymaniu się pociągu, podróżni wtedy dopiero i na tę stronę pociągu wysiadać mogą, gdzie służba konduktorska drzwi powozu otworzy i gdy o możliwości wysiadania uwiadomi. Samowolne otwieranie drzwi i wysiadanie z powozu jest wzbronioném.

Wszystkie te obowiązki nie są więc dla publiczności trudnemi.

## Przegląd teatralny.

(od 1 marca 1875, do 1 marca 1876 r.).

PRZEZ

*D. Henkiela.*

Obwiniono niegdyś Ludwika Börne, że zganił ostro dramat Houwalda *Das Bild*, naprzekór pochlebnym zdaniem wyrzeczonem przez innych recenzentów o tém dziele. Sławny krytyk niemiecki w odpowiedzi swój oświadczył, że domysł obrońców Houwalda był trafny. „Jeśli dzieło małej wartości nie jest chwalone, w takim razie, mówi Börne, byłoby szkaradnym i bezcelowym okrucieństwem poniżyć je publicznie, a têmesamém dręczyć autora, który chociażby się odznaczał największą skromnością, żywi przecież miłość rodzicielską dla swego utworu. Skoro jednak dzieło otrzymuje niezasłużone pochwały, natenczas krytyka powinna wystąpić z całą surowością. Nie sądzę, aby zły dramat mógł zepsuć smak czytelnika lub słuchacza, ale mniemam że hołd oddawany zepsutemu smakowi uprawnia go i utrwała. Przeciw tym właśnie szko-



dliwym wpływom silnie oddziaływać należy. Szczęściem, dodaje Börne, nie mam przyjaciół piszących złe książki; gdybym miał takich, naturalnie nie ganiłbym ich i wtedy, ale *zachowałbym milczenie*. Dalej pobłażliwość rozciągać się nie może. Wolno dla przyjaźni poświęcić się samemu, ale niewolno robić ofiary z praw cudzych; każdy zaś do *prawdy ma najświętsze prawo*."

W teorii, dopóki rzecz idzie o zasadę ogólną, bezwątpienia wszyscy jednomyślnie uznajemy słuszność uwag Börnego. Szkoda tylko, że ta jednomyślność rozbić się musi zawsze o mnóstwo względów i względników w zastosowaniu praktycznym. Czyn jest, niestety, ogniową próbą najpiękniejszego słowa i najzgodniej przyjętej myśli. Z próby tej mało wychodzi czystego kruszcu wszędzie—i u nas. Przekonany jestem najmocniej że prassa nasza kieruje się zacnemi chęciami nie tracąc z oczu, ani dróg, któremi ma podążać, ani celu wytkniętego przed sobą. Atoli, czém się to dzieje, że później tak się jakoś rozpraszamy, wyszedłszy z jednego punktu, i zmierzając do wspólnego celu, że wielu z nas w końcu, na manowcach szukać trzeba! Jakim sposobem tam zaszliśmy, w tej pewności że nie zbaczamy z właściwego toru? Ha! zawód życiowy niełatwy. Napotyka się w nim tysiąc uludnych wskazówek, tysiąc mylnych ścieżek, na które raz wstąpiwszy, kręcimy się już ciągle jak w zaczarowanym kole... Nie ma na to rady; kontrolując innych, musimy czuwać także nad sobą i wzajemnie prostować własne omyłki.

Przy świetle rzuconém przez Börnego na obowiązki krytyki, postarajmy się obejrzyć zeszłoroczną działalność naszego teatru. A najprzód postawmy pytanie, czy wiele dobrego dla literatury dramatycznej i dla sceny krajowej przyniósł rok ubiegły? Teraz już możemy wszystkie jego plony obrachować dokładnie. Przybyła nam pewna ilość sztuk oryginalnych; część ich przedstawioną w teatrze widzieliśmy i roztrząsaliśmy szczegółowo. Rezultat nie najgorszy, chociaż szczyć się nadzwyczajnie i wróżyć jak najlepiej o przyszłości nie mamy jeszcze powodu. Będę o tém mówił następnie, obecnie zaś przypuszczam, że bezstronni czytelnicy zgodzą się na moje zdanie i zapytują znowu: jakto? a gdzie są owe świetne arcydzieła, obudzające powszechny zachwyt, o których tyle pisano i mówiono? Wszak wierząc ustnemu i drukowanemu słowu, godziło się przypuszczać, że stanęliśmy nagle na takich wyżynach rozwoju sztuki dramatycznej, o jakich kilka lat temu marzyć nawet byłoby zuchwałstwem. Wszakże zapowiadano talenta niepraktykowanej dotąd u nas potęgi, i utwory nieistniejącej dotychczas doskonałości. Twierdzono, że Fredro znalazł wreszcie godnego, podobno nawet godniejszego od siebie następcę, że Sardou i cała falanga społecznych komedyopisarzy francuzkich ustąpić musi pierwszeństwa nowemu autorowi. Już nie pamiętam jak brzmiały dosłownie uwielbienia i porównania, dość że treść ich tchnęła niestęchającym zapałem i kazała spodziewać się wielkich rzeczy. Tymczasem przekonaliśmy się wkrótce, że hałas ten był poprostu fałszywym alar-

mem, i że ostatecznie ani zawstydziliśmy pana Sardou, ani doczekaliśmy się współzawodnika Fredry...

Bodajbyś wieszczu, był prawdziwym wieszczem!..

Ale nie byłeś nim, i bardzo niewiele „zostało z twojego akordu.” Ogół ma wszelką racją zrobić ten wyrzut prassie. Przesada w pochwałach stanowi najslabszą stronę naszej krytyki, i zdaje mi się że rokmioniony dostarczył sporo na to dowodów. Zacznę w porządku chronologicznym od *Wita Stwosza* dramatu p. Wincentego Rapackiego.

Nim jeszcze ukazał się w druku i na scenie, *Wit Stwosz* zdobył sobie sławę tém trudniejszą do udźwignięcia, że ciekawość publiczna do wysokiego stopnia była podniecona chlubnymi odezwaniami osób, które znały ten dramat z rękopismu. Nie porównywano go wprawdzie, o ile wiem, z dziełami słynnemi, ale twierdzono że będzie on pomnikiem przewyższającym to wszystko, co twórczość dramatyczna w piśmiennictwie polskiem wydała. Nakoniec *Wit Stwosz* miał być również bezwzględnie wspaniałym utworem. Dopiero od chwili gdy zaczęto go drukować w jednym z tygodników warszawskich, uniesienia wyrobione *a priori*, trochę ostygły. Zachwycono się jeszcze, ale już z rozpędu raczej, niż pod wpływem rzeczywistego wrażenia. Po niejakiem przeciągu czasu dramat został wystawiony w teatrze i pozyskał ogłuszające oklaski. Niepodobna było bez szczególniejszych zabiegów, dostać biletu na pierwsze, drugie, trzecie, dziesiąte przedstawienie. Ale zdarzył się przytém fakt dziwny. Prassa odezwała się o sztuce w niektórych organach dość chłodno, w innych nie szczędząc zarzutów, w innych jeszcze z pochwałami osłaniającemi grzecznie naganę. Szczupła tylko, nader szczupła liczba zwolenników, pozostała wierną wyrzeczonym poprzednio opiniom. Dziś nie wiadomo czy i oni zachowali choć cząstkę dawnego uwielbienia dla *Stwosza*...

Różnica między przyjęciem, jakiego doznał z razu dramat od publiczności i głosem prassy, jest tak niezmiernie wymowną skazówką dla krytyki, że warto się nad tém uważniej zastanowić. Publiczność nasza jest wrażliwą, i bądź co bądź, dość wierzy krytyce. Swoją drogą, nieraz utyskuje na jęj niegruntowność, na wzajemną admiracyą, na zapędy polemiki, na stronność i na tym podobne urojone lub istotne wady dziennikarstwa. Ale pomimo to, wie że nikt jęj umyślnie w błąd wprowadzać nie chce i dla tego skarżąc się a wzdragając napozór, solidaryzuje się z piśmiennictwem daleko więcej, niż się do tego przyznaje. Nastroić ją łatwo w kierunku odpowiednim jęj skłonnościom, a gdy się pokaże wreszcie, że zbyt silny zrobiono nacisk, ob staje już sama przy zdaniu na które wpłynęło działanie zewnętrzne. Naturalnie, gdyby ją zawiedziono w sposób oczywisty, zaprotestowałyaby z oburzeniem: z *Witem Stwoszem* inaczej jednak było. Miał on wady rażące, lecz posiadał przytęm zalety drugorzędne, i prócz tego dążność sympatyczną, za którą najwięcej podobno oklaskiwano dramat, nie badając co było wyraźnym objawem talentu, a co tylko ubocznie podnosiło wartość dzieła.



Ów mistrz będący ozdobą swego narodu, ów sławny *Wil Stwosz* prześladowany przez zawistnych cudzoziemców, nagrodzony czarną niewdzięcznością za skarby jakie im przynosił, ginący bez pomocy wśród obcych ludzi obdarzonych przez niego tępem, co się rodzinnemu społeczeństwu należało, z piętnem hańby na czole, miasto zasłużonego wawrzyńnu; a przy nim młoda córka, rzewna i cicha dziewczica, tęskniąca na obcej ziemi, do pol ojczystych, i kwiatków w swoim ogródku i sere bratnich; posłuszna woli ojca i nie sarkająca na to że pycha jego zaprowadziła oboje w przepaść niesławy; a jeszcze, obok nich skromny artysta, pełen poświęcenia uczeń *Stwosza*, zamordowany przez wściekłą tłuszcę, gdy stawał w obronie ukochanego nauczyciela: wszystkie te trzy postacie mogły przemówić do uczucia słuchaczy... gdyby więcej były podobne do istot żywych, niż do białych, z gruba naszkicowanych obrazków.

Nie mówiąc już o tępem że charakter ojca i córki nie są oryginalnym pomysłem p. Rapackiego, gdyż źródło swe wzięty w poemacie Pola, z kąd zresztą pochodzi i osnowa sztuki, przypatrzmy się tylko jak niekorzystnie wygląda *Wil Stwosz* w tępem nowém odtworzeniu. Daremnie pragnie autor uczynić go figurą interesującą; widzowie tyle mają współczucia dla bohatera dramatu, o ile nie tracą z pamięci, że jest on osobistością historyczną, znakomitym *Witem Stwoszem*, chlubą i filarem sztuki krajowej. P. Rapacki odświeżył te wspomnienia, i po za ich urokiem, skrył niedokładności własnego utworu. Pozbądźmy się na chwilę przyzmatu, przez który my jedni tylko zdolni jesteśmy patrzeć na dramat p. Rapackiego, a wtedy wszystkie te wady ujawnią się najniekorzystniej. Wyobraźmy sobie mianowicie, że *Wil Stwosz* nigdy nie istniał, że nie o nim nie słyszeliśmy, że jest on, dajmy na to, wymyślonym przez autora rzeźbiarzem włoskim czy hiszpańskim, mniejsza z tępem, jakiej narodowości, dość że nie naszym, i teraz dopiéro spójrzmy na scenę. Uwija się po niej jakiś zarozumialec skłonny do obrażania swoich towarzyszy fachowych, samolub zaprzątnięty jedynie myślą o rozgłosie, i o zdobyciu grosza; obojętny ojciec, kosmopolita, kłamca szukający wybiegów, aby usprawiedliwić swój pobyt w obcém mieście, i popospolity spekulant. Wyraża on się z lekceważeniem, niemal z pogardą, o rodakach; nie ma szacunku dla kraju w którym dobrowolnie przebywa, i zbiera pieniądze; co powiedział jednym, zaprzecza temu natychmiast mówiąc z drugimi; wdaje się w sprawy lichwiarskie i najlekkomyślniej wpada w zastawione przez łotrów sidła. Oto macie *Wita Stwosza*. Sami osądźcie czy jako człowiek, jako bohater sztuki zasługuje na waszą sympatyę.

Ktoś powiedział że bohater dramatu nie jest obowiązany posiadać wszystkich cnót teologicznych i kardynalnych, że może on nawet być artystycznie wybornym z wszystkimi grzechami śmiertelnymi. Zgadzam się na to zupełnie, i gdybym znał jedynie Francisza Moora, lady Macbeth, czy Balladynę, jużbym o tępem nie wątpił. Dziwi mnie to przecież jak można było użyć podobnego argumentu w obronie *Wita*



*Stwoza*. Franciszek Moor, lady Macbeth, Balladyna nie mają żadnej pretensji uchodzić za uciśnioną niewinność; nie usiłują rozczulić widza. Zadaniem ich jest przerażać, i przerażają w istocie. Autorowie dopięli zatem swego celu, stworzyli olbrzymie, imponujące postacie. Ale nie takie wrażenie pragnie zrobić *Wit-Stwoz*. On chce aby się nad nim litowano, aby jego zatargi z cechem norymberskim wzruszały, aby nieszczęściami swemi łzy wyciskał.. Jakże to osiągnąć potrafi, skoro publiczność widzi w nim ciągle lichą naturę, fałsz, chciwość, obłudę i egoizm! Ilekroć pokaże się na scenie, tyle razy coś zbroi, kogoś dotknie szorstko, coś powie niezgodnego z prawdą. Więc gdy później spiszek uknuty na jego zgubę tryumfuje, nie zaprzeczamy że skrzywdzono go niesprawiedliwie, lecz fakt ten zajmować nas mógłby wyłącznie z punktu humanitarnego, obchodzić ogólnie, jako występek który niepowinien być cierpianym, ale nie szczegółowo, jako wypadek, blisko nas obchodzący.

Próbowano ratować utwór p. Rapackiego w inny jeszcze sposób. Ponieważ trudno było ocalić samego *Stwoza*, twierdzono, że nie on jest główną osobą w dramacie, lecz przeciwnik jego: cechmistrz norymberski Steinbauer. Był to środek że tak powiem rozpaczliwy. Steinbauer dobrze się wydał na scenie, bo grał tę rolę znakomicie Leszczyński, ale sztuka nie opiera się na nim, i jedynie zewnętrzna, scenciczna charakterystyka mogła podnieść trochę znaczenie cechmistrza. Steinbauer, jak i wszelkie inne figury dramatu, prócz *Stwoza*, stoi na drugim zaledwie planie. Zemsta jego sprowadza katastrofę, on sam wszakże niewiele miejsca zajmuje w sztuce. Krótka scena palenia papierów w akcie piątym, stanowi najważniejszy ustęp roli; w innych scenach postać cechmistrza pozbawiona jest całkiem wybitnego charakteru. Jednostajna Beata i zamordowany już w drugim akcie Albert, za mało ożywiają także szare tło sztuki.

Brak w niej poezji (wyjąwszy pierwszą odsłonę aktu drugiego, w której występują figury epizodyczne Deichsler i Erdmuta), brak ruchu dramatycznego, brak porządnego obmyślenia charakterów. Język poprawny, lubo nie dość barwny; cały humor mieści się w kronikarzu, jedyny moment wyższego polotu objawia się w modlitwie i przekleństwach Erdmuty.

*Wit Stwoz* liczy dopiero kilkanaście miesięcy istnienia, a już zamieniła się szczęśliwa jego gwiazda. Spory umilkły, i zdania o nim coraz bardziej schodzą się do wspólnego mianownika. Czy choć kilka wierszy z niego zostało w czyjś pamięci, czy utkwiał na długo w czyjś wyobraźni choć jeden szczegół, nieśmiem ręczyć. Sztuczny nastrój przeminął, i dziś jasno już sobie zdajemy sprawę z ujemnych i dodatkowych stron *Wita Stwoza*. Można go widzieć raz w teatrze bez znużenia, przeczytać od początku do końca bez wysiłku; można wróżyć autorowi powodzenie na przyszłość i cenić jego dzieło jako udatną próbę, ale na tém uznaniu trzeba poprzestać. A jednak recenzje podobne przed rokiem, oburzyły parę pism i gromadkę opiekunów *Wita*

*Stwośza*. Podejrzowano sprawozdawców publicznie o „zgrymaszenie” o „zawiść cechową” i trzeba było rzeczywiście pewnego stopnia cywilnej odwagi, żeby sąd swój bez ogródki wypowiedzieć.

Dla zacnej dążności winniśmy mieć poszanowanie należne, ale nie wystarcza ona do stworzenia ani pięknego posągu, ani pięknego obrazu, ani pięknej opery, ani pięknego dramatu... Dążność jest jednym z warunków dzieła, jedną jego stroną i o tej stronie, jeśli na to zasługuje, mówmy z pochwałą. Nie rozciągajmy atoli pochlebnego sądu do innych stron niezastugujących na pochwały, bo odjelibyśmy publiczności owo wskazane przez Börnego „najświętsze prawo” służące wszystkim i zapewnialibyśmy trwałość złemu smakowi w rzeźbiarstwie, w sztuce malarskiej, w muzyce i w literaturze dramatycznej.

Błąd ten ostro nam wytknęła z okoliczności *Wita Stwośza* krytyka galicyjska. *Nostra culpa!* musimy jęj odrzec, i jeśli nas to pociesza, a pocieszać nie może i nie powinno, mamy sposobność odpłacić sąsiadce takąż samą monetą. Dwa utwory sceniczne, do których z kolei przejść mi wypada, przedstawione w teatrze krakowskim i lwowskim, wcześniej niż u nas, powitane były przez prasę galicyjską rozgłossem nieustępującym wcale hymnom warszawskim na cześć *Wita-Stwośza*. Mówię tu o *Niewinnych* p. Władysława Okońskiego i o komedyi p. Kazimierza Zalewskiego: *Przed ślubem*.

Z początku wartość dramatu p. Okońskiego podano w wątpliwosc. Komisya konkursowa krakowska odmówila udzielenia mu nagrody, z przyczyny wniosku wyrażonego na końcu sztuki i znaczenia jakie autor przywiązywał do jęj tytułu. Zawyroковано że tendencya *Niewinnych* zagraża moralności publicznej. Trochę inaczej zapewne sądziła o tém dyrekcyja teatru krakowskiego, bo wkrótce dramat został przedstawiony. Usunięto z niego kilka szczegółów drażliwych, przez co wymaganiom kodeksu obyczajowego miało zupełnie stać się zadość. Czarny duch zgorszenia goszczący w *Niewinnych* pozbywszy się kompromitującego ogonka (kilku czy kilkunastu wierszy końcowych) doznał wspaniałego przyjęcia. Widzowie sypali *Niewinnym* huczne brawa w teatrze, krytycy i korespondenci szerzyli na wsze strony sławę autora. Wprawdzie gwałtowne nawrócenie *Niewinnych* trochę jeszcze niepokoiło lękliwsze umysły; różki złęgo ducha wyglądały wciąż z tytułu sztuki, ów nieszczęśny ogonek mógł lada chwila wystąpić na widownię w druku, lub na innej scenie; ostrożność więc nakazywała trzymać w karchach entuzjazm. Gdyby to można było oswobodzić dramat pana Okońskiego od przyczynowości woli, gdyby udało się wmówić, że dążność autora wręcz przeciwnie tłumaczyć trzeba, że *Niewinni* najprawowierniej w świecie głoszą chrześcijańską zasadę miłosierdzia, ha, gdyby to!... Ale cóż począć z tytułem zanadto już znanym, jak go wytłumaczyć, i czy sam autor zgodziłby się na podobną obronę? W obec tej niepewności uznano za najlepsze chwalić talent z wszelkimi zastrzeżeniami co do tendencyi. Biorąc rzeczy praktycznie nie szkodzi-



to to bardzo utworowi p. Okońskiego; owszem, zastrzeżenia drażniły ciekawość i nadawały *Niewinnym* barwę jaskrawą. Inni znowu gorąco powstawali na dążność autora. W ich przekonaniu dramat byłby wyborny, gdyby go nie szpeciła myśl przewodnia.

Co do mnie pozwalam sobie najprzód odróżnić dwie rzeczy: zasadę filozoficzną przyczynowości woli, i wątek dramatyczny *Niewinnych*. Czy akt woli człowieka zależy od jego rozumu, uczucia, wychowania, organizmu, okoliczności zewnętrznych, jest to pytanie należące do specjalnej nauki. Chcąc dowieść że tak jest, lub że tak nie jest, a tego wciąż jeszcze, pomimo odwiecznych sporów, dowodzić trzeba, należałoby przytoczyć mnóstwo argumentów na poparcie własnego zdania i na zbicie zdań przeciwnych. Owóż wszelka kwestya wymagająca *koniecznie dziś jeszcze* ścisłego rozumowania, drobiazgowych objaśnień i szerokich wywodów może być rozwinięta gruntownie w książce wyłączenie temu przedmiotowi poświęconej, ale niema dla niej miejsca w dramacie. Hamuje ona ruch sceniczny, nuży lub nudzi publiczność, sama zaś nic na powierzchowném traktowaniu nie korzysta. Jest więc po pierwsze niewłaściwą.

Daléj zawiła kwestya przyczynowości woli zawarta w kilku luźnych uwagach i przyczepiona do faktów, z któremi się nie wiąże, drugim szeregiem komentarzy; przytem niezgodna choćby napozór tylko z podstawami moralnemi społeczeństwa, utrzymująca śmiało że każdy winowajca jest „niewinnym“ bez dokładnego wytłumaczenia w jaki sposób „niewinność“ ta ma być pojmowana i o ile nie zagraża moralności powszechnéj: kwestya taka, mówię, nie naucza niczego w dramacie, lecz przeciwnie wielu może w opłakany błąd wprowadzić. Jest więc powtóre, niebezpieczną.

Oba te względy, gdyby nawet innych nie było, świadczą najwymowniej przeciw stosowności *mniemanego* założenia dramatu p. Okońskiego. Bo że przyczynowość woli pozornie tylko stanowi założenie „Niewinnych“ o tém przedewszystkiém nie wątpiła dyrektora teatru krakowskiego. Parę modyfikacyi nie nadwężających osnowy sztuki, zatarło jéj dążność zupełnie. Co prawda w tym zmienionym kształcie odgadnąć moralny sens „Niewinnych“ trudno; ale nikomu téż nie przyjdzie na myśl szukać słowa tajemnicy w zależności woli. Naśladując p. Okońskiego możnaby w ten sam sposób przyklepić wniosek deterministyczny do każdej powieści, komedyi, historyi i t. p. Dość zamieścić na ostatniej stroncej wykrzyknik Kalchasa z „Pięknej Heleny:“ „Fatalizm!..“

Jakikolwiek jest zdanie czytelnika o determinizmie, przyzna on niezawodnie wraz ze mną, że bohaterowie sztuki p. Okońskiego nie są bynajmniej „niewinni“ w zwykłym znaczeniu wyrazu. Determinizm uwalnia ich od odpowiedzialności moralnej, ale tylko o tyle, o ile uwalnia od niej pijaka, szulera, rzezimieszka i zbrojce. Tak rozległe stanowisko filozoficzne przeszkadza rozpoznać bliżej znamiona szczególne osób i jeśli *Niewinni* p. Okońskiego zyskują na tém, że ogólna zasada



osłania poniekąd ich błędy, za to tracą niezmiernie na złém towarzysztwie. Z dramatu widzimy, że nie są ani gronem złodziejskiem, ani wzorami uczciwości nieskazitelnej. Według powszedniej a zdrowej logiki i utartego wyrażenia, są oni *winni*.

Temu nie zaprzecza p. Okoński, ale myli się na innym punkcie. W twierdzeniu filozoficzném może ma słuszność; w zapatrywaniu się na złe i dobre w zwyczajném życiu ludzkim, podlega szczególniejszym złudzeniom.

Jego Bolesław bałamucący świadomie młodą pannę, pomimo że jest żonaty, kocha żonę i posiada jęj wzajemność; następnie skłonny prowadzić dalej romans dla igraszki, dla popisania się zwycięstwem przed rozpustnym koleżką; później jeszcze szorstki i nielitościwy względem biędnej ofiary, wypierający się swego postępku wbrew oczywistości, byle zapewnić sobie spokój kosztem resztek honoru kochanki, której nie waha się skompromitować bezwstydnie przed żoną: ten Bolesław jest osobistością tak upadłą duchowo, że ledwie można mieć słabą nadzieję jego poprawy.

A przecież, o dziwne omamienie determinizmu!... Samolub, gbur, przენiewierca w pierwszym akcie, nagle w akcie trzecim staje się *niewinnie* cierpiącym męczennikiem, i surowym sędzią kobiety, której wyrządził krzywdę. Nie chce on darować żonie słusznego jęj gniewu, gdy przekonała się że był „*uwodzicielem i kłamcą*”; oburza się tém, że na czas jakiś odepchnęła go od siebie, i gdy po upływie półrocza gotowa jest mu podać rękę do zgody, odtrąca ją z kolei oświadczając, że teraz nie żona, lecz mąż ma prawo przebaczać. Zkąd mu się wziął taki pogląd? Widocznie z przewróconej głowy i sumienia, którego zdumiewającej twardości niejeden przestępca mógłby pozazdrościć.

Lecz co najzabawniejsza, Bolesław wygłasza swoje brednie z niezachwianą powagą, skłania Zofię do skruchy, rozczula mądrego teścia i pragnie o swęj niewinności przekonać publiczność. Nie koniec na tém, oprócz uznania niewinności Bolesława, publiczność nadto jeszcze powinna uznać winę Zofii. Że Bolesław zdradzał żonę i sponiewierał kochankę to mniejsza, ale że Zofia nie poglądziła go za to niezwłocznie po głowie, to ohydne! Wyrzuca jęj to cierpko własny ojciec, pseudo-filozof Maurycy; gromi ją kochanka męża, Julia; wymierza nakoniec karę małżonek wiarołomny Bolesław. No, chyba nigdy jeszcze ludzkie czyny nie były opaczniej sądzone przez *myśliciela*, a dramat gorzej osnuty przez *pisarza utalentowanego*.

Utrzymywano, że Julia jest postacią niemożliwą w realném życiu. Ona sama wyznaje, że ma inny umysł, inną krew, inne nerwy niż Zofia, i dodać można, niż zwyczajna kobieta. W słowach i postępowaniu tęj panny objawia się rodzaj szaleństwa. Julia narzuca się gwałtem Bolesławowi, wiedząc że jęj nie kocha, i niezadając nawet jego miłości, a gdy stała się powodem niezgody małżeńskiej, jedzie umyślnie za granicę do Zofii,—po co? Żeby upokorzyć rywalkę, czy żeby wyblagać jęj przebaczenie? Julia tego nie wie. Unosi się, moralizuje, to oskarża Zofię, to sama przyzuaje się do winy, byle zrobić

scenę najnielogiczniejszą w całym dramacie. Zastępuje na uwagę jeszcze jeden szczegół. W rozmowie z Zofią Julia z pogardą odpiera zarzut, że romans jej z Bolesławem, gdyby potrwał dłużej, mógłby zaprowadzić kochanków zadaleko. Dlaczego jednak tém się obraża? Co się zaczęło uszczerbkiem wiary małżeńskiej, to oczywiście skończyć się może wiarołomstwem. Niepodobna oznaczyć ani granic do jakich dojść Julii pozwolą różnica jej krwi i nerwów, ani kresu, którego taż krew i nerwy przekroczyć jej wzbraniają. Może pójdzie dalej, może się zatrzyma: będzie to zależało od jej wyjątkowego usposobienia. W Julii jak i w Bolesławie zamarło poczucie dobrego i złego. W tém błąd autora, że nie dostrzegłszy nicości dwojga kochanków, kazał im, aby prawili moralą Zofii. Taka Julia nie jest może nieprawdopodobną; zaniedbane wykształcenie, złe towarzystwo, czytanie bałamutnych książek, wytwarzają podobne istoty w rzeczywistości; ale téż nikt rozsądny nie słuchoa ich kaznodziejskiej deklamacyi. Ludzie trzeźwo myślący litują się tylko nad niemi.

Sprawa determinizmu, powtarzam, musi być oddzielona od *Niewinnych*, bo determinizm naukowy inaczej określa „niewinność” i zgoła nie popiera zastosowań uczynionych przez p. Okońskiego. Zresztą nawet i błędnie zrozumianego determinizmu, po doraźném załatwieniu się z nim dyrekcyi krakowskiej, nie pozostało w tym dramacie. Daremnie go tam szukano, daremnie srożono się na zgubny system filozoficzny; istniał on w zamiarze autora i w pojedynczych frazesach, ale nie w treści dzieła. Natomiast co innego należało uwydatnić, coś ukrywającego się bez żadnego na to prawa, poza tarczą filozofii, a mianowicie: własną etykę autora, jego oryginalne pojmowanie godziwości i występku. Krytyka zmieszawszy treść naukową i improwizacją autorską rzuciła się niepotrzebnie na przedmiot, którego recenzja teatralna, choćby najobszerniejsza wyczerpać nie zdoła. Dawniej już wykazywałem w inném piśmie brak istotnego związku między stanowiskiem determinizmu, a zapatrywaniem się p. Okońskiego; tu zaś nadmienię, że wkładając na filozofią odpowiedzialność za wady *Niewinnych*, oddano téj sztuce niepospolitą przysługę. Co kiedyś stanie się z zaletnością woli, o którą od wieków spór się toczy, o tém różne stronnictwa wróżą inaczej, a tymczasem dramat wyszedł poniekąd obronną ręką. Zaprzętnawszy uwagę kwestyą uboczną, uniknął on przez to na-paści bezpośredniej i najgroźniejszej.

W teatrze warszawskim grano *Niewinnych* najprzód bez żadnych opuszczeń, a następnie ze skróceniami, gdyż rozwlekłość w niektórych miejscach zmniejszyła efekt sceniczny. Dramat pomimo słabych stron swoich zrobił wrażenie korzystne dla talentu autora. Osoby działające w *Niewinnych* nienaturalne lub przedstawione w fałszywem świetle, za dużo rozprawiają, za mało żyją; wszystkie razem posługują się wyszukany stylem: czuć w nich wcielenie wyobrażeń oderwanych, a jednak zajmują. Otacza je świat imaginacyjny, sofistyczny, ale ciekawy, jak powieść z Tysiąca i jednej nocy. Tylko że bajka ta nie przynosi



nas w kraje cudownych zjawisk. Obszarem jój są sfery metafizyczne. Na obserwacyi i doświadczeniu, rzecz można na summie wrażeń osobistych zbywa jeszcze bardzo autorowi, a przynajmniej, jeśli je ma, nie zrobił z nich dostatecznego użytku w dramacie. Pisarz posiadający w znacznym stopniu powyższe warunki, nie dopuściłby się uchybień jakich pełno w *Niewinnych*, broniłby zrećniej Bolesława i Julii, ostrożniej przeprowadziłby swą dążność, chociażby w gruncie rzeczy równie była śmiałą. Dzieło jego miałoby tę wyższość nad *Niewinnymi*, że mniejby raziło w szczegółach, mniej *ilościowo* zawierało fałszu. Rozumie się byłoby zarazem utudniejsze, a więc szkodliwsze.

Od metafizyki do komedyi p. Zalewskiego *Przed Ślubem* nie przejść, ale chyba przeskoczyć potrzeba. Z metafizyką, z filozofią, z determinizmem, z oryginalnością tendencji i z oryginalnością artystyczną, nie ma nic ona wspólnego. Dramat p. Okońskiego buja w górnych przestworach myśli, pokazuje uruchomione abstrakcje; komedia p. Zalewskiego stąpa po ubitych ścieżkach padou i wyprowadza na scenę figury zbyt mało skłonne do oderwanego myślenia. Porównywać dzieła obu autorów nie mam wcale zamiaru, zwłaszcza że recenzje galicyjskie o komedyi *Przed Ślubem* służą mi w tym względzie za doskonałą przestrożę. Gdybym już koniecznie musiał wykazywać jakie podobieństwa w sztuce p. Zalewskiego, wolałbym zestawić ją np. z *Falszzywymi Poczciwcami*, ze *Starym Mężem* Korzeniowskiego i z *Garbatym* tegoż autora. Nie talent bowiem p. Zalewskiego przypomina Fredrę, Dumasa lub Sardou, ale komedia jego *Przed Ślubem* łączy się *powinowactwem z wyboru*, gatunkiem literackiej „Wahl-Verwandschaft,” ze sceną zdejmowania portretu w *Falszwyeh Poczciwcach*, z pomysłem oddania ukochanej kobiety komu innemu dla jój szczęścia; z wyszukaniem umyślnie w tym celu młodego i przystojnego chłopca, jak w *Starym Mężu*; z zaparciem się własnego uczucia, z sumiennością kochanków, z smutnym tryumfem poświęcającego się mężczyzny, z ofiarowaniem majątku ubogiemu rywalowi, co również ma miejsce w *Starym Mężu*; nareszcie z romanssem biédnego *Garbuska* w powieści Korzeniowskiego. Rzekłbyś iż jedno i to samo natchnienie krąży w przytoczonych utworach i w komedyi *Przed Ślubem*, co dowodzi tylko że p. Zalewski przejmując się żywo znanymi sobie wzorami. Takie odbicie wrażeń stanowi cechę właściwą pisarzom początkującym, oprócz pierwszorzędných potęg twórczych, które od razu „ścielą sobie tór, gdzie od wieków nie ma drogi.” Wyobraźnia p. Zalewskiego chwyta jeszcze i przerabia cudze materyały w sposób zdradzający niekiedy od pierwszego rzutu oka pierwotne ich pochodzenie; to zaś czego nie zaczerpnął z książek, bierze z najprostszých zjawisk życiowych, odtwarzaonych już wielokrotnie. W komedyi *Z postępem*, autor przedstawia uprzedzenia arystokratyczne i zasługę pracy w formie dyskusyi tak częstych i długich, że zapełniały prawie całe akta, w nowój zaś sztuce *Przed Ślubem* wystąpił przeciw kojarzeniu małżeństw w widokach materyalnych. Nowszých tematów znaleźć nie umiał, w traktowaniu jednak



przedmiotu zrobił bardzo stanowczy krok naprzód. Już w ostatniej swjej komedyi nie każe on staczać językowych utarczek dla przekonania o tém co nie potrzebowało żadnego dowodzenia. Sens sztuki rozwija się w czynie, w stosunkach osób, w ich usposobieniach, słowem w akcji. Idzie o to, że pewna zrujnowana dama, matka panny Heleny Łuckiej, chce zdobyć bogatego zięcia, aby z jego pomocą ocalić resztę majątku. Rzecz stara, strasznie oklepana, ale odświeża ją okoliczność uboczna. W gronie znajomych owjej damy znajduje się p. August Nowowiejski, człowiek bardzo zamożny i uchodzący w oczach pani Łuckiej za świetną partyę, pomimo że jest szpetny, nie młody i ułomny. W jej mniemaniu byłby to najpożądańszy mąż dla córki, która ze swjej strony oddałaby chętnie rękę bogatemu garbusowi. August nie poddał się jednak pokusie na ślepo. Oświadczywszy się o Helenę, wprowadził jednocześnie w dom Łuckich malarza Uszyńskiego, dla wypróbowania „przed ślubem” serca panny. Wrazie gdyby jego narzeczona pozostała obojętną dla młodego artysty, postanowił ją zaślubić, w przeciwnym zaś wypadku mógł cofnąć się w porę. Przeworność garbusa również sztuczna jak i jego późniejsza wspaniałomyślność, ochroniła go od katastrofy małżeńskiej, niszcząc w terażniejszości słodkie, lubo trwożliwe marzenia przyszłego szczęścia. Pokazało się, że panna Łucka niezdolną była wytrzymać próbę. Gdy Uszyński wzbudził ku sobie jej miłość, August według powziętego z góry planu, zwrócił Helenie dane słowo, obdarzył artystę krociami i z konkurenta zamienił się w swata.

W książkach spotykaliśmy Augustów; sam Korzeniowski zapoznał nas z dwiema odmianami tego fenomenu; na świecie zaś albo ich wcale nie ma, albo są to dziwacy lubiący chodzić na szczudłach sztucznego bogatérstwa lub sztucznej roztropności. Bo czémże jest uczucie Augusta w komedyi *Przed ślubem*? Małą namiętnostką lub kaprysem, dla którego inny jeszcze kaprys kazał mu ponosić ofiary. Nowowiejskiemu podobała się powierzchowność Heleny, lecz nie mógł on mieć szacunku dla kobiety błahój, zepsutej, przerzucającej się od narzeczonego do narzeczonego. Helena wykształcona w szkole swjej matki, pragnęła tylko złapać krezusa, nie troszcząc się o nic więcéj. Już miała zaślubić prostaka Klapkiewicza, gdy wtém stanął z nim do współzawodnictwa ułomny August, mający przedewszystkiém za sobą przewagę pieniężną; zerwała więc w dniu zaręczyn z głupim i gotowa była wydać się za kalekę, bez miłości, a raczój kochając kogo innego. Widział to przecież August i zapewne oceniał stosownie jej postępowanie, jeśli posiadał choć trochę rozwagi. Ale czyż na prawdę umiał się on zastanawiać? Że autor życzył sobie tego, nie ulega wątpliwości; że jednak August nie potrafił uczynić zadość jego woli, to także pewna. Człowiek rozumny i praktyczny, kocha się rozumnie i poświęca się praktycznie niż Nowowiejski.

P. Zalewski nie szczędził farb jaskrawych malując przymioty Garbusa; zrobił czy chciał go zrobić przebiegłym, bezinteresownym, energicznym, delikatnym, wspaniałomyślnym, ale tak nieszczęśliwie skom-

binował kolory, że rozum sprzeciwia się tam cnocie, a cnota rozumowi. Za to pani Łucka jest skończoną egoistką: żadna sprzeczność w niej nie razi, bo w takim czarnym charakterze, wszystkie zdrożności i występki śmiało pomieścić się mogą. Są matki, które pomyślność córek upatrują w bogatym ich zamążpójściu i dlatego szukają dla nich przedewszystkiem mężów z odpowiednim majątkiem. Oczywiście mylą się i częstokroć stają się przyczyną niedoli swych dzieci, ale błędzą one w dobrej wierze i z czystych pobudek macierzyńskiego uczucia. Przeciwnie w komedyi *Przed ślubem*, matka frymarczy córkę, chcąc wyciągnąć jak największy zysk dla siebie z tego targu. Los jedynaczki mało ją obchodzi; nie życzy ona Helenie ani źle, ani dobrze, stara się tylko przyzwoicie na niej zarobić. Obok obrzydłego samolubstwa, Łucka daje się poznać jeszcze z wyuzdaną beczelnością. Sprzedaje ona córkę na lewo i na prawo każdemu kto da więcej; i zrywa układy bez skrupułu, skoro zjawi się konkurent z pełniejszą kieszenią. Nie wystarcza jej to, że jest zepsuta; żeby w swoim rodzaju stać się doskonałą, Łucka musi być, najgrzeczniej mówiąc, naiwną. Żaden błysk rozsądku nie rozświeci przed nią szpetoty jej postępowania. Niedosć że nie broni jej serce i nie wyrzuca sumienie uczynków niegodziwych; Łucka zdaje się oprócz tego niewiedzieć, że jej postępowanie zasługuje na pogardę. Przypuszczam, że takie upośledzone istoty zdarzają się na obszarach ziemi, ale nie są one jednym z powszednich zjawisk, nie są znanym u nas *typem matki*, a przeto i komedya p. Żalowskiego nie może być obrazem stosunków normalnych. Mylnie więc sobie wytłumaczył korespondent gazety wiedeńskiej, obecny na przedstawieniu tej sztuki we Lwowie, że oklaski publiczności potwierdzały zapatrywanie się autora na obyczaje naszego społeczeństwa. Korespondent ów spodziewał się, że lada chwila nastąpi wybuch najwyższego oburzenia, że widzowie przerwą gwałtownie widowisko, że komedya będzie schłostaną w recenzjach i upadnie bez ratunku. Niebawem też, wybuch nastąpił rzeczywiście, ale o dziwy... wybuch ten był oznaką ogólnego uznania. *Si non è vero, è ben trovato*. W tej omyłce, czy ironii cudzoziemca zawiera się gorzka satyra naszych lekkomyślnych zachwyków i pobłażliwych sądów. Zaprawdę, Börne, którego słowa przytoczyłem wyżej, miał słusność, wielką słusność!.

Marnotrawstwo pochwał sprawia ten skutek, że gdy jedni obsypywani są niemi zanadto, drudzy, chociaż zasłużeńsi, spotykają się z obojętnością, lub dla równowagi, z surową naganą. A przytém trzebaż kiedykolwiek dać dowód, że szafowane uwielbienia nie pochodzą po prostu z nieznajomości rzeczy. Bądź co bądź krytyka wyczerpawszy zasób entuzjazmu dla *Wita Stwosza*, *Niewinnych* i *Przed ślubem*, powitała stosunkowo ozięble komedya p. Zygmunta Sarneckiego *Febris aurea*. Podług niektórych sprawozdawców sztuka ta mo miała powodzenia w teatrze lwowskim, o tyle przynajmniej, że parę organów miejscowych osądziło ją bardzo nieżyczliwie. W Warszawie przyjęto komedya daleko lepiej, a raczej oddano jej większą sprawiedliwość. Zakończy-



ła ona szereg sztuk oryginalnych, granych po raz pierwszy lub wznowionych w ubiegłym roku tak płodnym w szumne wróżby, i lubo zakończyła go pomyślnie, nikt już na jej uczczenie nie spalił kadzideł. Prędko straciły wziętość, bo zbyt jawnie zawiodły ufność ogółu, który doznawszy raz poraż niemiłych rozczarowań, zaprzestał wreszcie oczekiwać arcydzieł.

Nie wyszła na tém źle komedia p. Sarneckiego. Miła to rzecz wprawdzie stanąć na wyżynach, ale wtedy gdy ma się pod stopami mocną podstawę. Wzniesić się zaś lub być z cudzej grzeczności wzniesionym na to tylko, aby przez chwilę chwiać się rozpaczliwie i zaraz potem runąć, okoliczność to wcale nieprzyjemna. *Febris aurea* nie tén dźwignęła się na szczyty genialnego utworu, usypane rękami gorliwych przyjaciół, nie doznała więc przykrości upadku. Są w niej prawdy i piękne zalety, i na te zwrócono uwagę ceniąc je bez przesady; są i uchybienia, których także nie zaniedbano wytknąć.

Tém komedyi, jak to już widać z tytułu, jest *gorączka złota*. Chciwość, z przywary osób pojedynczych, według autora, przeszła społecznie w chorobę epidemiczną, zbiorową; przekształciła się w metodę życia i używania będącą na porządku dziennym. Postępujcie tylko aferzystę Krotą, jak on jest dumny ze swęj *gorączki*, jak uważa ją za najwyższą trzeźwość umysłu, po za którą panuje mrzonka lub niedołęztwo. Myt o Jazonie dopiero dzisiaj wybrańsi działacze odgadli. Krot za przykładem tradycyjnego rycerza sięga po złote runo odważnie, nie cofając się przed niczém, wyrzekając się wszystkiego. Wieszczom dzieje jego wypraw nie dostarczyłyby wątku do pieśni bohaterkiej, ale téż nie dba o nią nowy zapaśnik. On zdobędzie rozgłos jakiego sam pożąda, rozgłos w którym brzęczy kruszec, mieszają się okrzyki podziwu świadków jego wytrwałości i sprytu, z jękiem ofiar przez niego wydziedziczonych i pochlebstwem zgrai. Chcąc być sławnym, trzeba być potężnym, a złoto właśnie jest największą potęgą. W Krocie wykształconym, zręcznym, bywalcu, „gorączka złota“ objawia się jako świadomość praw rządzących światem. Nic mu nie staje na drodze w szeroko otwartym zawodzie. Nikogo on nie kocha, lubi użyć w miarę, potrafi odtrącić w potrzebie bez wielkiego wysiłku pokusę... Za Krotem trudno nawet gonić domysłami; dąży on szybko i stale w swym kierunku, dójdzie więc, kto wie, do czego...

Współzawodnik młodego aferzysty, Gałdziński, przedstawia niższy typ chorego na gorączkę złota. Był niegdyś biedakiem, służył i cierpiał niedostatek, aż wybił się na powierzchnię i władza dziś milionami. Przyszły one do niego z nieczystych źródeł; splamiła je krywdą bliźniego, obciążęło podejrzenie występku. Po tém co się dotychczas wykonało, dla Gałdzińskiego nie powinnyby już na przyszłość istnieć żadne przeszkody. A przecież jest ich sporo. Z góry można zawyrokować że Gałdziński w walce z Krotą zawsze przegrać musi, i że go pierwszy we wspólnym pochodzie do łask fortuny daleko za sobą zostawi. Nim przebył rozległą przestrzeń od nędzy do milionów,



Gałdziński zbrukał się w opinii sąsiedzkiej i nie bez obawy myśli czasem o kodeksie karnym; gdy przeciwnie Krot hardo nosi głowę, bo z literą ustaw obowiązujących żyje w ścisłej zgodzie i jest najpewniejszy, że skoro nie zasłużył na więzienie, zasługuje tém samém i na powszechny szacunek. Gałdziński, mimo chłopskiego pochodzenia, nie jest wolny od szlacheckich zachcianek, które Krot z dumą zalicza do śmiesznych przesądów i grosza złamanego dla dogodzenia im nie wyda. Ale najistotniejsza wyższość Krota nad Gałdzińskim polega na tém, że pierwszy, jak już powiedziałem, nie daje wstępu do swego serca żadnym uczuciom, drugi zaś płonie spóźnioną namiętnością ku przewrotnej guwernantce swój córki, i gorącym uczuciem ojcowskim kocha Leokadyą. To przywiązanie rozbraja go w stanowczej chwili. Dla szczęścia córki, powraca dobrowolnie na starość do ubóstwa.

Oba okazy „gorączki złota“ są znakomicie przez autora skreślone. Krot p. Sarnecki pojął głębiej i oryginalniej niż Gałdzińskiego, ale za to Gałdziński jest konsekwentniej przedstawiony. W wybornym sporze dwóch spółzawodników o to, kto z nich lepszy, Krot zbyt wyraźnie zaprzecza sam sobie; wypiera się chęci zdobycia posagu Leokadyi, na który czyhał; staje się nagle moralistą, gdy nim bynajmniej przedtém nie był; pozbywa się szczerości, jaką odznaczał się ciągle. Dobra jest również sylwetka hrabiny Skarbnickiej, damy arystokratycznej, zarażonej chorobą złota, niezmiernie chciwej ale przytém wielce ostrożnej. Udał się p. Sarneckiemu i księżę Lili, siostrzeniec hrabiny, rozpustny dzieciak, w którym ciotka widzi wzór niewinności młodzieńczej. Udał się i ekonom Szałwiński, zabobonny poplecznik Gałdzińskiego. Wdzięczna jest postać Leokadyi, zajmującą figura zalotnej guwernantki; zgoła prócz zbytecznej roli budowniczego Kostrzewy, który płacze się w sztuce po to jedynie, żeby słuchać zwierzeń i wzdychać napróżno do Leokadyi, wszystkie niemal osoby biorące udział w *Febrib aurea* są na swoim miejscu i zdobią sztukę.

Ale nie tylko zarysy charakterów powiodły się p. Sarneckiemu. W komedyi jego są sceny wysmienite, pełne humoru lub poezyi. Rozstanie się Leokadyi z Juliuszem, któremu opuszczona kochanka daje na pamiątkę skabiozę, jako kwiat *wdowi*, oddane zostało przeslicznie i rzuca urok poetyczny na cały przebieg wypadków. A jakże jest żywą i komiczną scena, gdy Krot usiłuje dowiedzieć się od pijanego Szałwińskiego o zamiarach jego pryncypała. Albo ustęp licytacji majątku, podczas której donoszą Gałdzińskiemu, że córce jego grozi niebezpieczeństwo: cóż to za przepyszna kolizya uczucia rodzicielskiego z namiętnością chciwa! Przypomnę jeszcze rozmowę między Juliuszem i Gałdzińskim, zdumienie bogacza, że człowiek biędzy nie chce przyjąć ręki posażnej panny, którą kocha i odrzucając ofiarowane sobie kapitały zapytuje: „kto cię rodzi... dukaciku?“ Przynajmniej w tym ustępie rysem trafnie ujętym, prawdziwym psychicznie i efektownym. Układy Gałdzińskiego z dwoma żydami, jego udana pobożność w celu za-

skarwienia sobie *husyta*, opowiadanie Szałwińskiego o duchu broniącym skarbu zakopanego, romans guwernantki z księciem Lili, podstępna jej czułość gdy całuje w rękę Gałdzińskiego: wszystko to jest wysoce charakterystyczne i zabawne. W budowie komedyi p. Sarnecki okazał mniej zręczności, ekspozycja ciągnie się zadługo, piąty akt rozwiązuje intrygę melodramatycznie. W obec zalet jednak nikną te wady, i zatarłyby się jeszcze bardziej, gdyby sztuka stosowniej była obsadzona w naszym teatrze.

Na zakończenie dodam, że wystawiono od marca zeszłego roku kilka jednoaktówek oryginalnych, a mianowicie: *Koneserowie* Jordana, *Kosę i Kamień* J. Kraszewskiego, *Jakoś to będzie* F. Żagowskiego, *W jesieni* Koziembrodzkiego. W rzędzie ich *Kosa i Kamień*, jedna tylko posiada warunki zapewniające jej trwałą pobyt na scenie: znać w niej pióro Kraszewskiego: to dosyć.

Nabytki zeszłoroczne repertuaru wykazują zwrot poważny w kierunku naszej sceny. Utwory oryginalne niegdyś więzione w bibliotece teatralnej po lat kilka, lub niedopuszczane całkiem do przybytku sztuki dramatycznej, zajęły teraz w nim miejsce wydadne. Wybór sztuk tłumaczonych uskuteczniany był także z troskliwszą niż dawniej bacznością na zadania sceny. Grano *Filibertę* Emila Augier w przekładzie K. Kaszewskiego, *Intrygę i miłość* Szyllera, *Falszywych poczcuców* Barriera, *Angelo* Wiktora Hugo. Fars mieliśmy względnie mało; jeszcze mniej utworów nieprzyzwoitych. Jakkolwiek *Spadochron* i *Nr. 13*, pogościwszy krótko na scenie znikły z niej niepowrotnie, właściwiej-tyby wszakże uczyniono, gdyby niewystawiano ich wcale. Dwie te lichoty były niedającym się niczem usprawiedliwić dźwiękiem fałszywym w zeszłorocznym nastroju sceny, która pod starannym przewodnictwem dyrektcyi terażniejszej znacznie wyszlachetniała. Świeżo reżyserem dramatu i komedyi został mianowany p. Władysław Bogusławki, literat. Kilkoletnia jego praca sumiennie i zdolnie prowadzona na polu krytyki teatralnej, daje rękojmią, że potrafi on godnie sprostać nowym swym obowiązkom. Ale nie sami tylko główni kierownicy teatru mogą postawić scenę na stanowisku odpowiedniem. Ze swęj strony prasa, publiczność i artyści przyczyniać się do jej dobra powinni. Zaliczamy ogólnie teatr do najwplywowszych instytucyj społecznych, czuwajmy więc wszyscy nad tem, aby wpływ jego był zawsze dodatni. A tej powinności nie spełnia sąd stronny, o jakim mówi Börne, ambicje zakulisowe mające nie pożytek sztuki lecz osobisty interes na widoku; nakoniec zapał publiczności tłoczący się gromadnie na rozmaite *Piękne Heleny*, *Życia Paryżkie* i t. p. obsypywane przez nią grzmotami oklasków i napełniające wciąż kassę teatralną. Tak jest, lubimy nasz teatr, może nawet posuwamy to zamiłowanie do przesady; ale zbyt jeszcze skąpo dokładaliśmy starań, aby pod strażą zbiorową poczucia moralnego i dobrego smaku, wzorowo odpowiedzieć swemu przeznaczeniu. Lubimy go zanadto, poważamy zamako. Sprobujmyż z kolei mniej

trochę nim się zachwycać, a natomiast pilniej poddawać rozumnej kontroli zarówno czynność sceny jak i naszą dla niej sympatyą. Płony niechybnie będą obfite, jeśli każdy w swoim zakresie, jako widz, krytyk, lub artysta zrobi to co do niego należy, i co wykonać przy roztropności, szczerzej woli ma zupełną możność. Pamiętajmy, że teatr który ma na nas oddziaływać, sam nawzajem ulega wpływowi ogółu, i że zwykle staje się takim, jakim go uczyniło przezorne współczucie lub szkodliwa nieogłędność społeczeństwa.

## PSYCHE

ANDRZEJA MORSZTYNA.

PRZEZ

*Władysława Nehringa.*

Pomiędzy wierszowanemi powieściami polskimi XVII wieku jest także Andrzej Morsztyna <sup>1)</sup> *Psyche*, nie bez talentu, lecz nieogładzonym napisana językiem w *stanzach*. Niesłusznie uchodzi ona za oryginalny utwór Andrzeja Morsztyna; w niniejszym artykule chcę wykazać, że jest owszem kopią jednego epizodu z włoskiego poematu, i że jak wszystkie wierszowane powieści (romanse) polskie XVII wieku, dowodnie lub bardzo prawdopodobnie są tłumaczone lub parafrazowane z zachodnio-europejskich poematów, powieść o Psysze przejęta była z włoskiego.

Poemat, o którym mam mówić, wyszedł po pierwszy raz (wedle Bentkowskiego) około r. 1689 pod następującym tytułem: *Psyche z Lucyana, Apulejusza, Marina; Cid albo Roderik, komedia hiszpańska; Hippolit, jedna z tragedji Seneki; Andromacha tragedia z francuzkiego przetłumaczona*. Wydanie obejmuje więc cztery utwory, o których „typograf do czytelnika“ na następnej karcie powiada: „Psychę i Roderika napisał JWiel. JMPan Andrzej Morstin Referendarz na ten czas a po tym Podskarbi W. Kor.; Hippolit y Andromacha są przetłumaczone przez synowca jego Jego M. Pana Kasztelana Czerskiego, Wojewodę potym Mazowieckiego;“ za przedmową typografa idzie piękny

<sup>1)</sup> O Andrzeju Morsztynie zobacz artykuł prof. A. Małeckiego w Piśmie zbiorowem Ohryzki Tom I 1859, do niego kilka razy się odwołuję.



wiersz Andrzeja Morsztyna: Do Jego Mości Pana Stanisława z Raciborska Morstina Kasztelana Czerskiego, zaczynający się od tych słów:

Nie mądry ci to Bracie sprawa głowy  
 Stać drwa do lasa y do Athen sowy  
 Y Wiersze do Ciebie.

Drugie wydanie *Psychy* jest zupełnie podług pierwszego ułożone z tym tylko wyjątkiem, że nie ma tu ani przedmowy ani wstępnego wiersza do Stanisława Morsztyna; tutaj na tytule tylko jeden autor wymieniony. Tytuł taki:

*Psyche z Lucyana, Apulejusza, Marina; Cid albo Roderik komedya Hiszpańska z francuzkiego przetłumaczone; Hippolit i Andromacha, tragedye z francuzkiego przetłumaczone przez JW. JP. Andrzejca na ten czas podskarbiego W. K. Teraz zaś na wielu instancją przedrukowana kosztem Stanisława Słowińskiego Bibl. J. K. M.; w Lipsku (wedle Bentkowskiego w Supraślu) 1752.* Tytuł ten bałamutny prostują poszczególne tytuły i dodatki takie same jak w pierwszym wydaniu, więc na str. 197: „Hippolit tragedia jedna z dziesięci, które wierszem łacińskim napisał Seneka, na polskie przetłumaczona,“ i na str. 272 wiersz do Konstancyi z Obor wojewodziny mazowieckiej, zaczynający się od słów: „Kochana Żono,“ a kończący się temi słowy:

„Ty przyjmij proszę, moję pracę z chęcią  
 A życzliwą mi nadgradzay pamięcią.“

Opuszczenie więc nazwiska Stanisława Morsztyna na tytule drugiego wydania jest tém bardziej niewytłumaczoną pomyłką, że wydanie drugie (oprócz tytułu i przedmowy) zupełnie podobne do pierwszego, strona po stronie; obydwie wydania mają po 860 str.

Na tytule wydania drugiego polegać więc nie można, ale i słowa wydawcy pierwszego wydania wprowadzić nie na tytule, lecz w wypełnieniu tytułu podane w przedmowie téż nie są bez ale; powiedziane tam jest, że „*Psychę i Rodrika* napisał JP. Andrzej Morstin referendarz na ten czas koronny.“ Otóż tu jest pomyłka: Andrzej Morsztyn został referendarzem r. 1658 (zob. A. Małeckiego artykuł), a *Psyche* napisana jest o wiele wcześniej; kiedy? na to wypada odpowiedź nie zupełnie stanowcza. W aluzjach do współczesnych wypadków, jakie się znajdują w samym poemacie, jest różnica lat wielu. Najwcześniejszy fakt polityczny wspomniany w owém miejscu, gdzie Wenus szuka Kupidyna (strofy XXIII do LIII) jest ścięcie Karola I króla Anglii (1649) najpóźniejszy jest przewidziany zgon królowej Maryi Ludwiki († 1667), a nawet i późniejsze są aluzye, bo o Markizance Maryi Kazimirze d'Arquien powiedziano (strofa XLVIII), że „jój zbytnia gładkość i króle pochwyta“ (po r. 1674). A znów w ostatniej zwrotce odzywa się poeta tak do Kupidyna:

A za pracę i podjęte roboty  
 Kiedyc wiadomy serca zapal cichy:

Włóż na me skronie myrtową koronę,  
Dokaż, nad Kasią niech nie darmo płonę.

Nierozwikłane sprzeczności! Ostatnia zwrotka napisana jest przed r. 1658, około tego czasu (zob. A. Małeckiego artykuł) poeta nasz zaślubił Katarzynę Gordon, do której przez dłuższy czas napróżno wdychał. Wtedy to, dobrze przed r. 1658, jak przypuszczam, pisał czyli raczej przekładał poemat o Psysze, i wtedy alluzyja do własnego serca zapałów była zarazem westchnieniem do „Kasi,“ i wtedy w ciężkiem rozłączeniu Psychy i Kupidyna upatrywał może i zastosowanie do własnych w miłości przeszkód. Pierwotnie, jakbym przypuszczał, po zwrotce 37 szła bezpośrednio strofa 47, a po niej strofa 49, tak że na pochwałę królowej i każdej z jej dam przypadła jedna zwrotka; strofy 38—46 i zwrotka 48 dodane są później, zapewne po r. 1674 i to z zastosowaniem treści do czasu pierwszego układania poematu, bo są w sposobie przepowiedni wypowiedziane; one też jedyne mają charakter polityczny, i w nich zachodzą wyrzuty Polakom czynione o ich nierozumie politycznym. W pierwszym wydaniu w wspomnianym wierszu do synowca Stanisława Morsztyna (pisanym po r. 1683, po obronie Wiednia) pisze Andrzej Morsztyn te słowa:

„Przyjm jednak wdzięcznie *młodości* méj czyny  
Dobyte szczęściem z prochu, z pajęczyny“

Że zaś te słowa odnoszą się szczególniej do „Psychy,“ widać ze słów: „Pomnij że to plotki.“ Pisał zatem w młodych latach i sądziłbym, że najpóźniej r. 1650 (urodził się wedle Małeckiego ok. r. 1620). „Psyche“ więc była jednym z pierwszych płodów poetycznych Andrzeja Morsztyna, i ztąd tłumaczą się wszystkie niedomagania i nieogładzony język poematu. Sam poeta tak mówi o nim w zacytowanym już posłaniu do synowca swego:

Może być żeć się moja Muza chuda  
Między wyborem Twoich wierszów uda,  
Ale jeśli się omylisz w swym braku,  
I znajdziesz słowa twarde, wiersz nie słodki,  
Pomnij że to plotki!

Jeszcze jedna rzecz na tytule zasługuje na uwagę. Położono tam te słowa: „Psyche z Lucjana, Apuleusza, Marina.“ Co do Lucjana, w tém jest pomyłka nie wiadomo czyja, Lucyan bowiem nigdzie o Psysze nie wspomina, może w ciągu naszego dochodzenia rzeczy nam się wyjaśni, z kąd pomyłka powstać mogła. Co się zaś tyczy Apuleusza i Marina, to tytuł nie zawodzi. Wypadnie to wykazać.

Apuleusz (zwykle z przydomkiem Platonius, imię Lucius zapewne tylko przez fałszywą kombinacją mu dodano) urodzony w Madaurze w Numidyi około r. 130 po Chr., wykształcony w Atenach przez dalekie kosztowne podróże, kwitnął za Antoninów w drugiej połowie

II wieku ery chrześcijańskiej, zastąpił w Rzymie jako adwokat; w Kartaginie i innych miastach Afryki, szczególnie w Oei, gdzie bogatą, choć starszą od siebie poślubił żonę, słynął z wymowy. W ciągu swych podróży i w Rzymie wtajemniczony był w kultury wschodnie, szczególnie misterya Izydy i Ozyrysa. Apulejusz napisał pomiędzy innemi arcyfantastyczną powieść p. t. *Metamorphoseon* lib. XI albo też *De Asino* (*au-reo*, jak dodawali późniejsi), bardzo obszerną, gdzie młody Lucyus z Koryntu, w Tessalii w gościnie u bogatego Milona, którego żona zna się na sztuce czarodziejskiej, za pomocą służącej Fotis, w skutek nie-szczęśnej pomyłki zamiast w ptaka, przemienionym był w osła, i zanim mógł odzyskać postać człowieka przez zjedzenie róż, które nie zawsze są na zawołaniu, musiał w postaci osła z ludzkim wprowadzić rozpoznanie, ale bez mowy ludzkiej, przechodzić przez różne przygody, które głównie są treścią całej powieści. Jest to jeden z najdawniejszych łacińskich romansów, zawiera szereg powieści o czarach, zbójcach, o nadzwyczajnych i miłosnych przygodach, w których fantastyczność ubiega się o lepsze ze swywołą słowa. Nierozstrzygniętą jest rzeczą, czy Apuleusz wziął treść z „Lukiosa albo Osła” Lucyana <sup>1)</sup>, czy z Lukiosa Patreńskiego „Metamorphoseon logoi diaphoroi” <sup>2)</sup>, na których daje niedość wystarczającą relacją znany patriarchy konstantynopolitański Focyusz (Phot. Bibl. ed. Bekker I, 96); czy też, co najprawdopodobniejsza, z jakiego dawniejszego zbioru powieści, z którego także i Lukios i Lucyan korzystali (nie kwestyonując przytém autorstwa obydwóch); tyle jest pewna, że Apuleusz z greckiego czerpał źródła (fabulam graecanicam incipimus powiada I.), i że on jest *pierszy* <sup>3)</sup>, który nam przechował powieść o Pysze i Amorze; stanowi ona najpiękniejszy epizod w szeregu powiastek jego *Przemian*.

1) Teuffel Röm. Liter. art. Appulcius. Rhein. Mus. XIX, 251: „Es ist also, umgekehrt zu sagen, dass die kürzere Fassung des Lukian die ältere ist, 253: Wohl aber können Apuleius und der Urheber dieses Sammelwerkes (Lukios) ihre Erzählungen aus den gleichen griechischen Quellen geschöpft haben.”

2) Hildebrand Comment, de vita et scriptis Appulcii epitome Hallis 1835 Oudendorp, Bähr, Rhode. Fenning De Metamorphos. L. Apulei 1867 p. IV: „Videtur igitur non Lucianum sed Lucium ipsum Patrensem compilasse (Apul.) usque ad titulum, nam ne pluralem quidem meret numerum una metamorphosis.”

3) W jakim stosunku była powieść Apuleusza do powieści o Pysze Arystofontesa (zapewne Arystofona) o której wspomina Fulgencyusz, nie wiadomo, bo cytat ten Fulgencyusza należy do bardzo problematycznych. Fulgencyusz Mythol. III. 6 pisze: „sed quia Apuleius.... et Aristophontes Athenacus in libris qui Disarestia nuncupantur, hanc fabulam (de Psyche) enormi verborum circuito... prodidit.”



Treść tej „babskiej powieści” <sup>1)</sup> (jak ją sam Apuleusz nazwał) jest taka: trzy były u pewnego króla córki, z tych najmłodsza Psyche, najpiękniejsza z ziemianek i przedmiot powszechnego uwielbienia, obudziła zazdrość najpiękniejszej z niebianek t. j. Wenery. Synowi swemu Kupidynowi, zniewoliwszy go pieścizotami, rozkazuje, aby pokrzywdzoną matkę pomścił i piękną Psychę z najbrzydszym i najnędnym śmiertelnikiem połączył; ale Kupido spostrzegłszy Psychę, sam poczuł w sobie zapał miłości, i zapomniawszy o matce, zapragnął osiąść najkształtniejszą z dziewic ziemskich. Wedle wyroczni i z rozkazu boga Milezyjskiego, rodzice Psychę do ślubu przybraną w licznym orszaku wywożą z miasta, i samotną zostawiają na odludnym przylądku, aby ją tam poślubił „potwór skrzydlaty, postrach bogów i ludzi.” Przepowiednia ziściła się: skrzydlatym wrogiem bogów i ziemian był Kupido, na którego rozkaz Zefir do samotnego, przepysznego pałacu przeniósł Psychę. Tu piękna dziewczica znalazła wygody, bogactwa, rozkosze, tu znalazła i męża, ale pod zaklęciem, że go nigdy nie zapragnie widzieć, pod osłoną bowiem nocy niewidzialny bożek przybywał do zamku zaczarowanego i do Psychy, a za pierwszymi dniami braskiem precz odlatywał. Ale niezadługo siostry pozazdrościły szczęścia najmłodszej Psysze, i po dwóch pierwszych odwiedzinach, na które Kupido tylko niechętnie zezwolił pod warunkiem, że żona nie da się uwieść pokuszeniu ciekawości, któraby ich oboje zgubiła, za trzecim widzeniem strwożyły biedną Psychę nowiną ułożoną złośliwie ze słów wyroczni, że mąż jej jest potworem i że powinna go zgubić, jeżeli sama nie chce paść ofiarą jego żarłoczności wraz z dziecięciem, które nosi w żywocie. Spełniają się skryte pragnienia złych siostr: Psyche za ich zgubną radą, w nocy kiedy Kupido w głębokim śnie pogrążony, bierze do rąk przygotowany sztylet, aby przy świetle ukrytej najprzód pod łóżkiem lampy, zabić mniemany potwór. Ale jakież było jej zdziwienie: boskie chłopię spoczywało na łóżku, obok porzucone leżały łuk, kołczan i strzały; doświadczyła Psyche ich skutku, bo skoro tylko dotknęła się ostrza jednej, poczuła w sobie zapały nieugaszonej miłości. Kiedy tak pałająca miłością, spogląda na boskiego swojego męża, kropla gorejącego oleju z lampy spada na ciało śpiącego Kupidyna, który boleśnie zbudzony ze snu, odbiega żonę wiarołomną. Kupido leczy się z rany u matki, która teraz mściwie ściga Psychę dręczoną wyrzutami serca i pragnieniem powrotu szczęścia. Napróżno udaje się pod opiekę Junony i Cerery; obydwie boginie odmawiają pomocy; opuszczona od wszystkich, oddaje się Wenerze, która na nią wywiera złość i zemstę okrutną, a błagającą o przebaczenie z szyderstwem zadaje ciężkie próby, niepodobne do spełnienia. Ale cudownym sposobem Psyche

<sup>1)</sup> Tak nazwał ją Apuleusz („fabula anilis”) dla tego, że stara baba opowiada ją dla rozrywki porwanej przez złodźców dziewczynie; zresztą cesarz Severus cały zbiór powieści Apuleusza nazwał „naeniac aniles.” (Udendorp w wyd. Apul. I str. 2).

spełnia zadane sobie roboty: za pomocą samego Kupidyna, Jowisz na radzie bogów przejednywa zagniewaną Wenere i wyniółszy Psyche do godności bóstwa, zniewala Wenere do tego, że daje pozwolenie na związek Kupidyna z Psychą. Wesele odbywa się w kole niebian. Psyche powiła córeczkę, której dała imię Rozkosz.

Zkąd Apuleusz wziął tę powieść? Zapewne ze Wschodu, zkąd pewnie pochodzi największa część jego powieści <sup>1)</sup>, ale słyszał ją lub czytał zapewne w Grecyi, w Atenach, i zachował od zatury jedną z najpiękniejszych ludowych powiastek starożytnego świata. Pomimo przekształcenia i szkody, jakich doznała na prokrustesowem łożu uczo-ności, pełno w niej odgłosów prawdziwie ludowej poezyi i przypomina ona nie jedną powiastkę nowożytnych narodów na podobnym temacie osnutą. Friedländer (*Darstellungen aus der Sittengeschichte Roms seit August bis Antoninen*, Lipsk 1869, 3-cie wydanie w I tomie w dodatku p. t. *Das Märchen vom Amor und Psyche*) wykazał że powieść Apulejusza o Kupidynie i Psysze osnuta jest na takichże samych motywach co niektóre niemieckie przypowiadki <sup>2)</sup>, że w konstrukcyi ogólnej i w motywach przypada do tej formuły przypowiadki, którą Hahn (*Albanesische Märchen*) nazywa *Frejaformel* <sup>3)</sup> i przytacza paralelle z powiastek niemieckich, któreby się pomnożyły daly z Bajarza Polskiego i Afanasiewa, z którego z biuru Skazek russkich z pewnością należy tu dotąd: „Zakoldowannaja korolewna” VIII 12 <sup>4)</sup>.

1) „*Sermone milesio varias fabulas conseram*” powiada na początku swoich *Przemian*.

Liebrecht dwukrotnie objawił zdanie, że powieść o Amorze i Psysze wziętą jest ze Wschodu, najpierw w tłumaczeniu Dunlopa, *Geschichte der Prosa-dichtungen* 1851 w uwadze 99, następnie w artykule o Benfeya *Panczatantra* w *Eberta Jahrbuch für romanische und englische Literatur* III, 81, gdzie odwołuje się do dawniejszego oświadczenia: „*ebenso findet sich das Märchen von Amor und Psyche auch in Indien.*”

2) P. 442: „*Schon allein mit Hilfe der deutschen Volksmärchen verwandten Inhalts liesse sich das von Apuleius verarbeitete Märchen herstellen.*”

3) Unter den von Hahn aufgestellten Märchenformeln ist es allerdings die *Frejaformel*, zu der das Märchen von Amor und Psyche seinem wesentlichen Inhalt nach gehört; denn die Grundzüge dieser Formel sind: a) die Braut oder Frau fehlt, und der Mann verlässt sie darum, b) sie wandert umher um ihn zu suchen, c) Wiederfinden und Versöhnung... ausserdem sind Züge und Motive aus anderen Formeln aufgenommen.“

4) Do przykładów przytoczonych przez Friedländera i Kuhna w wymienionej rozprawie doliczyć jeszcze można z Benares, umieszczoną w *Asiatic Journal* 1842 r. t. XXXVII str. 114, której krótką analizę podaje Landau: *Die Quellen der Decamerone* str. 152.

W decydującym nocnej scenie ma także uderzające podobieństwo do po-

Apuleusz przytaczając powieść o Psysze, chciał tylko zabawić jedną z powiastek w rodzaju milezyjskich, które podobnie jak sybaryjskie bardzo się podobały, ale już na schyłku starożytnego świata inaczej rozumiano o niej. Upatrywano w niej allegoryę: Psyche wedle tego symbolizującego tłumaczenia ma znaczyć duszę czystą z nieba poczętą, Kupido zaś wcielenie czystej ziemskiej miłości; Wenus, namiętność cielesna, psuje związek duszy z miłością, ale ta harmonia w skutek ekspiracyi znów się odnajduje i składa. Takie tłumaczenie znajdujemy po pierwszy raz w Mytologiach Fulgencjusza.

Fulgencjusz zapewne nauczyciel w Kartaginie w drugiej połowie V lub w pierwszej VI wieku po Chr. <sup>1)</sup>, napisał osiadłszy w zaciszu wiejskiem *Mythologicon* libri III, a w nich 47 mytycznych powieści umieścił i objaśnił w tym sposobie, że za krótką treścią mytu idzie wytłumaczenie w sensie moralnym lub fizykalno-filozoficznym. Siegbert de Gemblours z wielkiem podziwieniem mówi o tych niby głęboko filozoficznych interpretacyach Fulgencjusza i wynosi „bystrość jego w tém, że cały szereg powieści filozoficznie zastosował do porządku świata lub życia ludzkiego” (acumen ingenii ejus, qui totam fabularum seriem philosophice expositarum i t. d.). Zbytek pochwał! Fulgencjusz, jak afrykańscy pisarze w ogóle nie był filozofem, i swoje allegorye i moralne objaśnienia brał z drugiej ręki, z dzieł stoików, a co najprawdopodobniejsza z komentarzy i scholiów (tego dowodzi mnóstwo cytat nie ze wszystkim rzetelnych); cały zaś swój zbiór mytycznych powieści zaprawionych symboliką, natchnął intencją nawiązania mistycznego <sup>2)</sup> związku między religijnymi zapatrywaniami starożytnego świata i chrześcijaństwa.

Fulgencjusz był w średnich wiekach bardzo czytany, jak dowodzą np. pisma mytografa watykańskiego III, z IX albo X wieku, Siegberta de Gemblours, Jana z Salisbury, również jak i w epoce druków i w XVI wieku był ulubionym pisarzem, jak dowodzą częste wydania (5 z XVI wieku), dość że jego allegorye dostarczyły jeszcze w XVI wieku komentarzy do zrozumienia mytów starożytnych; one też ich dostarczyły do zrozumienia powieści o Psysze w włoskim poemacie *Mari-*

---

wieści o Psysze powiastka w Pentamerone p. t. *Lo turzo d' oro*; również ciekawe paralelle wykazywał Liebrecht w Kuhna Zeitschrift für Vergleichende Sprachforsch XVIII w artykule p. t. *Amor und Psyche. Zeus und Semelé, Pururavas und Urvaci*, gdzie w tytule już trzy główne powieści są wymienione, oprócz tego w ciągu rozprawy do porównania użyte i inne powieści, pomiędzy temi owa powiastka z Benares o Tulisie córce rębacza, o której powyżej wspomniano.

<sup>1)</sup> Wedle Żenka: Der Mythologe Fulgentius, Würzburg 1867, żył w drugiej połowie V wieku; wedle Reifferscheida Rhein. Mus. XXIII 136 w pierwszej połowie VI wieku.

<sup>2)</sup> W przedmowie do Mythol. mówi: quid mysticum in his sapero debeat cerebrum, agnoscamus.



na, o którym my następnie pomówimy. Poemat ten p. t. *L'Adone* był źródłem, z którego głównie czerpał Andrzej Morsztyn.

Jan Baptista Marino urodzony r. 1569 w Neapolu, spędziwszy młodość pełną niepokojów, zalecony przez kardynała Aldobrandiniego, który i w Polsce był znany, księciu Sabaudyi, przyszedł do znaczenia w Turynie, jeszcze bardziej w Paryżu, dokąd go na dwór Maryi Medicis powołał znany jój ulubieniec Concini; wróciwszy do ojczyzny umarł 1625 r. pod Neapolem w swoim Tuskulanum Posilippo, które sobie pobudował z wielkim komfortem. Napisał wielki poemat p. t. *L'Adone* o 5000 stanc, który mu dał wielki rozgłos i znaczny majątek, i który o 5000 stanc, który mu dał wielki rozgłos i znaczny majątek, i który jeszcze za życia poety przed kongregacją ksiązek zakazanych był silnie kwestyonowany, a po śmierci poety na indeksie umieszczony. Wyszedł ten poemat najpierw w Paryżu 1623 r. in folio, z przedmową Chapelaina, w tymże roku także w Wenecyi in 8-o, dalej w Amsterdamie 1651 r. i następnie 1678; dalej znane mi wydanie z r. 1784 londyńskie w 4 tomach w 8-ce. Czy wydanie, które przytacza Brunet „Manuel du libraire” z roku 1789 w Londynie (Livorno) w 4 tomach, w 12-ce, jest inném wydaniem aniżeli poprzednie, czy tu tylko pomyłka zaszła, nie jest mi wiadomo.

Marino żyje na samym schyłku rozkwitu poezyi włoskiej w XVI wieku, on rozpoczął epokę upadku, on dobry smak zepsuł <sup>1)</sup>. Nie wchodzimy w to czy do tego dał powód zepsuty styl hiszpański, jak pisał Reticelli (1773) i Tiraboschi (II, str. 26), czy to nastąpiło bez wpływu hiszpańskiego: jego styl affektowany retoryką i fałszywą ornamentyką zepsuty, stał się (jak wiadomo) wzorem i zachętą do naśladowania i w Polsce. Wtedy kiedy A. Morsztyn zabierał się do przekładania *Psychy*, imię Marina w Polsce już znane było.

Poemat *L'Adone* osnuty jest na znanj powieści o kochanku Wenery. Nie wiadomo mi, czy Marino miał przed sobą jakiegokolwiek opracowanie tój powieści dawniejsze, któreby należało przyoblec tylko w szaty poetyczne; to pewna że *czwarta pieśń* p. t. *La Novellata* jest poetyczną parafrazą wspomnianj powieści Apuleusza o Psysze i Kupidynie.

Do każdj pieśni dodana jest allegorya, która wedle praw natury lub etyki treść objaśnia. Alegorye te nie są pióra Marina, pisał je Wawrzyniec Scoto <sup>2)</sup> i tak jak Marino całą treść do pieśni o Psysze wziął z Apuleusza, tak Scoto allegorya do tój pieśni wziął gotową z Fulgencjusza <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Maffei: Storia della letteratura italiana III, 93 tak scharakteryzował Marina: „Giambattista Marini fu donato d'ingegno non minore del Chiabrera, ma avendone abusato divenne il più contagioso corrompitore del buon gusto in Italia.”

<sup>2)</sup> Wedle Bruneta Manuel du libraire pod wyrazem Marino.

<sup>3)</sup> Zestawiam tu allegoryą Fulgencjusza i allegoryą w Marinie. *Fulg.* zaczyna tak: Civitatem posuerant in modum mundi, in qua regem et reginam

Poznaliśmy powieść o Psysze i Amorze i jęj koleje aż do tęj chwili, kiedy po pierwszy raz była wierszem napisana w nowoczesnym poemacie. Zobaczmy teraz z kąd brał rzecz A. Morsztyn i jak jęj użył. Na tytule jego „Psychy,” który niewiadomo czy przez autora, czy przez wydawcę ułożony, stoi jak widzieliśmy: „Z Lucyana, Apuleusza, Marina.” W imieniu Lucyana jest pomyłka, Lucyan o Psysze nie pisał. Pomyłkę tłumaczyć można w dwojaki sposób. Na manuskrypcie mogło stać: z *Lucyusa Apuleusza* i Marina, imię zaś Apuleusza Lucius zamieniono na Lucyana. Albo tęż pomyłka powstać mogła przez fałszywą kombinacyą. Apuleusza *Przemiany* i Lucyana powieść p. t. „Lucyusz, czyli Osioł” są uderzająco do siebie podobne; w obydwóch główny bohater ma imię Lucyusza, w obydwóch idą powieści w tym samym porządku i równym sposobem są opowiedziane, tylko w tęp różnica główna, że ich więćej w Apuleuszu. Ten, który układał tytuł do Psychy Morsztyna, czy to autor sam, czy kto inny, rozumiał że i w Lucyanie powieść o Psysze także się znajduje.

Co się tyczy Apuleusza i Marina, to wypadnie zajrzeć do poematu Morsztyna i podjąc zmusną pracę porównania jego „Psychy” z powieścią wspomnianych dwóch autorów, mianowicie z Apul. *Metam.* IV, 28 VI, 24 i z IV-tą pieśnią poematu Marina *L'Adone* p. t. „La Novelleta.” Odrazu uderza nas podobieństwo pomiędzy Marinem a Morsztynem tak w treści, jako tęż w formie, bo obydwaj piszą stancami. Marino tak zaczyna swoję powieść o Psysze:

E'di dura battaglia aspro conflitto  
 Questa che vita ha uome, umana morte,  
 Dove oguor l'uom con mille mali afflitto  
 Vien combattuto da nemica sorte;  
 Ma fra l'ingiurie, e fra i contrasti invito,  
 Non però sbigottisce animo forte,  
 Anzi contro ogni assalto iniquo e crudo  
 S'arma e difende, e sua virtu gli è scudo.

U Morsztyna zwrotka I brzmi tak:

Bitwa nie pokój i śmierć to jest nie życie,  
 Co my niesłusznie zowiemy żywotem,  
 Gdzie się ból z żalem przez różne powicie,  
 Płac z krzywdą mięsza, nieszczęście z kłopotem ;

---

velut deum et materiam posuerunt. W *Mar.* gdzie allegorya zagajona jest temi słowy: La favola di Psiche rappresenta lo stato dell'uomo, powiedziano: La Città... dinota il mondo. Il re e la reina... significano Iddio e la Materia. *Fulg.* quibus tres filias addunt, id est carnem, ultroneitatem (libertatem arbitrii) et animam. *Mar.* questi hanno tre figliuole, civè la carne, la liberta dell'arbitrio e l'anima. Mogę na tęp wskazać poprzestać, dodam jeszcze, ponieważ tylko nawiasowo tego punktu się dotykam, że i gdzieindziej widać w allegoryach u Marina źródło Fulgencjusza, np. w allegoryi drugięj: „Il Giudizio di Parido,” z cęp porów. „Judicium Paridis” *Fulg. Myt.* II.

Lecz gdy fortuna srożeje sownice,  
 Serce się mężnie, chociaż z ciężkim potem  
 Stawia odporem y odwagą chyżą  
 W zbroi trwałości, za cnoty paizą.

W dalszych zwrotkach idzie Morsztyn za myślą włoskiego poety, że wszystkiego wartość dopiero pod razami losów się doświadcza; myśl tę Marino w sentencyonalnych zwrotach nie bez retoryki w różnym zastosowaniu ukazuje, Morsztyn zaś powtarza myśli, nawet słowa za wzorem swoim; w dwóch tylko miejscach przykłady zastosował do świata polskiego: zamiast winnej latorośli wziął jabłoń, a w miejsce słów:

Rotta la couca da mordace dente...

mówi o suknie w stępie; a gdzie Marino to zagajenie powieści kończy zwrotem, wprowadzając opowiadającego Kupidyna

Dell amica d'amor tel mostri Adone....

tam Morsztyn, który nie mógł powtórzyć takiego zwrotu, dopełnia waryacje na rozpoczęty temat.

Od strofy VII poczyna się u obudwóch poetów właściwa powieść. Marino idzie ustęp po ustępie za Apuleuszem, zostawiając sobie swobodę pójścia za własną fantazyą i rozszerzenia treści, miejscami powtarza Apuleusza, rzadko opuszcza drobniejszy szczegół; Morsztyn idzie śladem Marina parafrazując go, lub w dowolnym a czasem dosłownym tłumaczeniu przerabiając zwrotkę po zwrotce, a jeżeli znużony w tym pochodzie za obcą myślą skracał sobie czasem drogę i dwie strofy streszczał w jednej lub też opuszczał zwrotki, które treści naprzód nie posuwały, to tę powściągliwość wynagradzał tu i owdzie, przy swobodniejszej myśli i pióra zapędzie, wysnutemi z siebie dopełnieniami, tak że ostatecznie ilość strof u obudwóch poetów mniej więcej równa, u Morsztyna ogółem 296, u Marina 293. W kilku miejscach Morsztyn idzie za Apuleuszem.

W pierwszej części to prawda, nie widać wcale reminiscencyi z jego „Przemian.” W tej pierwszej części (Mar. I—CI, Mor. I—CXXII) opowiedziane są tryumfy nadziemskiej piękności Psychy, zażdrość Wenery, która postanawia upokorzyć ją przez związek z najędźniejszym z mężczyzn, miłość Kupidyna i szczęście Psychy, którego doznaje w czarodziejskim pałacu pod zaklęciem, że się nigdy nie pokusi o odkrycie rzeczywistej postaci męża swego. W całej tej części główna treść z Apuleusza; gdzie jego powieść niezupełnie zadawałniała, tam spotykamy u Marina i Morsztyna dość ciekawe odmiany i dodatki. Zobaczmy niektóre. Apuleusz nie opowiada, jakie wrażenie Psyche zrobiła na Kupidynie za pierwszym widzeniem, tymczasem Marino tę właśnie scenę i piękną Psyche postać wymownemi kreśli słowy; być może że chciał tém z własnego natchnienia zappełnić lukę w opowiadaniu Apuleusza, być też może że wziął osnowę ze słów



Fulgencjusza: ille ad matris ulcionem adventans, visam puellam adamavit. Morsztyn poszedł wprost za Marinem i uwielbia „piers pełną, ust róże, rumieńce do jabłka podobne, włosów sieci i oczów blaski,” które za przykładem Marina także „jatkami serc” nazywa (w strofie LXVII, porówn. Mar. „O macelli de'cori, occhi spietati” XLV); a jak Marino całym tym pięknym ustępem dopełnił niewystarczającą treść Apuleusza, tak znowu Morsztyn nie bez słuszności dopatrzył, że czegoś niedostawało w włoskim poemacie, bo dodał strofę LXVIII:

Dopuści matka, że nie wprzód jój zrzędzie,  
Niż serca mego zapałom wygodzę...  
Moja rzecz kochać, tak mi serce radzi... i t. d.

Tym sposobem następne wypadki w zupełności są umotywowane. Apuleusz opowiedziawszy w krótkich słowach potajemne Kupidyna z Psychą zaślubiny, dodaje z humorem, że nazajutrz niewidzialne sługi: „novam nuptam interfectae virginitatis curant.” Marino poszedł za tą wskazówką i dodaje że rano witają Psychę żartobliwe epitalamia śpiewane od niewidzialnych śpiewaków; tu jeszcze charakter starożytności zachowany, ale Morsztyn wołał uczyć młodzieżową drukami:

(Psyche) czyta mądrego ołowu  
Pracą: na swój ślub drukowane karty (strofa CXXII)

Można na ten anachronizm poety, właściwy już pisarzom XVII wieku, uśmiechnąć się i za dobre mu jeszcze poczytać, że tylko w kilku miejscach pozwoilił sobie podobnych humoru wybryków; natomiast trudno się zgodzić na inną zmianę, której sobie pozwoilił. Apuleusz mówiąc o nadzwyczajnej piękności Psychy i o powszechnych hołdach, które jój oddawano z ujmą dla Wenery, dodaje, że głos był powszechny, iż druga Wenera narodziła się nateraz nie z piany morza, ale z ziemi (fama-pervaserat regiones) ...certe rursum novo caelestium stillarum germinae non maria, sed *terras* Venerem aliam, virginali flore praeditam, pullulasse (IV, 29); podobnie Marino:

(strofa XIV) Crede ciascum  
...della *terra* e non dal mar s'avvisa  
Esser più degna e più gentile assai  
Pullulata altra Venere novella.

W tém miejscu Morsztyn zapomniał, że Marino wziął cały zwrot z Apuleusza i uchybiając myśli oryginału pisze:

(XIV) Lecz że ta Wenus z *nieba* się odzywa.

Dodajmy jeszcze, że tak Apuleusz, jak Marino mówią zgodnie, że od czasu jak Psyche zaślęgła, puste są Pafos, Knidos i Cytera, Morsztyn zaś dodał obok Cytery Amatunt, zapewne wedle pierwszej zwrotki pierwszej pieśni poematu *L'Adone*.

Najważniejsza nowość w poemacie Marina i Morsztyna jest ta, że obydwa poci wysyłają Wenerę na szukanie Kupidyna, czego nie

ma ani w Apuleuszu, ani w Fulgencjuszu. Ten ustęp jest w Marinie (strofy XXV—XXXII) dość oschłym rejestrem nazwisk pięknych miejsc we Włoszech i kończy się tęp, że Wenera znajduje Kupidyna nad Sebetem wśród pięknych nimf grona, w czém może biorą udział wspomnienia samego poety. Za tą wskazówką poszedł Morsztyn, który już raz wzięwszy z Marina motyw pogoni Wenery za Kupidynem, wiedziony trafnym poczuciem poetycznym, zamiast za wskazówką Marina, puścił się własną drogą i wysłał szukającą Wenerę do różnych krajów i narodów, których ciepło lub chłód w miłości chwali lub gani; wreszcie Wenus znajduje Kupidyna w Polsce.

Marino, jak powiedziano wyżej, rzecz Apuleusza miejscami rozszerza. Tak słowa Apuleusza o ojcu Psyche po odebraniu wyroczni: *rex olim beatus... pigens tristisque*, posłużyły snąc za punkt wyjścia do ustępu, w którym obszernie (LV—LX) wyrażony jest smutek i rozpacz ojca; w podobnych miejscach Morsztyn idzie śladem Marina, tak, że odliczywszy 8 zwr. Marina, a 32 strofy Morsztyna przypadających na podróż Wenery, wypada mniej więcej równa ilość zwrotek w pierwszej części właściwej powieści, w obudwóch utworach t. j. 93 u Marina, 91 u Morsztyna. Zdarza się że dwie zwrotki Marina ściągnięte są w jedną u Morsztyna (np. Mar. LVII—LVIII, Mor. LXXX; Mar. LXVII—LXVIII, Mor. LXXXIX); miejscami znów dodane zwrotki np. LXVIII i wrotka XCI, gdzie Morsztyn przypomina Niobę; zwykle brał Morsztyn jednostajnym trybem zwrotek po zwrotce i parafrazował lub tłumaczył, zdarza się tęp, że po dwie zwrotki razem wzięte co do treści i zasobu wypowiedzianych myśli sobie odpowiadają.

Szczęśliwie i piękne zwroty powtarza Morsztyn zwykle mniej lub więcej dosłownie:

- Mar. LVI. E là dove il destin crudo ti mena  
Reggia il lido tu sia, letto l'arena?
- Mor. LXXIX. I za wyrokiem bogów rozjątrzonych  
Piasek ci łóżkiem, skała będzie tronem?
- Mar. LXV. (pendice) Rigida si, che appena si assecura  
Di abitarvi l'orror con la paura.
- Mor. LXXXVII. Ze w takim miejscu i pod takim dachem  
Ledwie śmie mieszkać okropność z postrachem.
- Mar. LXIX. Altro già non parca, che scoglio in scoglio
- Mor. XC. że zda się wcale  
Obraz z marmuru i skała na skale.

Szczególniej na końcu zwrotek sposobem epigramatycznym występują retoryczne zwroty i zgoda dwóch poematów:

- Mar. LXXII. (Psyche do morza):  
Se non portino in tutto invidi i venti.  
Come fer le speranze, auco i lamenti.
- Mor. XCIV. ....Niech wiatr nie rozwieje  
Moich lamentów, jak rozwiał nadzieje.

- Mar. LXXXII. Tetto di fronde e pavimento d'erba.  
 Mor. CIX. Wonność ma za dach, zapach za podłogę.  
 Mar. LXXXIV. (Kupido patrzy na uśpioną Psyche).  
 Le belle luci, onde languisco e moro <sup>1)</sup>.  
 Legate eran da sonno, ed io da loro.  
 Mor. CVI. Oczy w namiotek powiek skryte mały  
 Sen wiązał, one Kupida wiązały.  
 Mar. LXXXV. Dirai ben tal sembianza assai conforme  
 Alla leggiadra vergine che dorme.  
 Mor. CVII. ....I tak pięknie w Rzymie  
 Nimfa z marmuru na rogoży drzymie.  
 Mar. CXV. (Psyche słyszy muzykę niewidzialnych mistrzów i instrumentów).  
 Benchè nè di cantor, nè di stromenti  
 Scorga immagine alcuna, ode gli accenti.  
 Mor. CXVII. I rękę chyżą, wyborne języki  
 Pochwała, ale nie widzi muzyki.

Poprzestaję na tych przykładach, dodając, że podobieństwo widoczne szczególnie w następujących zwrotkach: Mar. 56, Mor. 79; Mar. 63, Mor. 85; Mar. 65, Mor. 87; Mar. 94, Mor. 116; Mar. 97, Mor. 119; Mar. 98, Mor. 120. Czasami pochwycony jest tylko jakiś szczęśliwy wyraz, jak np. *secreto chiostro* (96) = uciszona komnata (118); czasami jakiś poetyczny sposób użyty samodzielnie: Marino (70) powiada że łyż opuszczonej na skale nadmorskiej Psyche rozplývają się w morzu, jéj westchnienia w jego wyziewach; ale że morze chciwe posiadania łyż tych, zamyka je w konchy i zamienia w perły (*cupido d'averle Le serba in conche e le trasforma in perle*); Morsztyn zaś (92):

Które (morze) chcąc swych wód ozdobić szafiry,  
 Łży mieni w perły, *westchnienia w zefiry*."

Na zwrotce CI u Marina i CXXIII u Morsztyna kończy się pierwsza część powieści; w drugiej części (Mar. CII—CLXXI, Mor. CXXIV do CLXXXVII) następuje interwencya siostr, owego źle intencyonowanego żywiołu w przypowieści, ich odwiedziny u Psyche, obudzona za zdróść i zguba Psyche, którą zdradzony mąż opuszcza i zostawia w rozpaczy. W téj części coraz widoczniej pokazuje się harmonia trzech opowiadań: Marino opiera się o powieść Apuleusza, biorąc ustęp po ustępie i przyoblekając w poetyczne szaty, Morsztyn zaś w znany nam już sposób powtarza rzecz za Marinem. W téj części pierwsze pojawiają się u niego ślady korzystania z Apuleusza.

W pierwszych strofach téj drugiej części nie widać tego wcale, nawet ten główny ustęp (wmieszanie się siostr) Morsztyn w swobodny

<sup>1)</sup> Przypomnieć należy, że u Marino całą powieść o Pyszo sam Kupido opowiada Adonowi.



sposób tylko parafrazuje za przewodem Marina, nawet go skracając, pominął np. te pieszczone Psyche słowa do męża: „Tu sei lo spirito mio,” które jakośkolwiek przypominają słowa Apuleusza: „te diligo ut spiritum meum nec ipsi Cupidini comparo,” które jak cała nocna rozmowa (Apul. Met. V, 6) dały jak się zdaje wątek Fulgencyzusowi do znanéj allegoryi. Ale od zwrotki 130 z małemi wyjątkami ściśle się nasz poeta opiera o tekst Marina, i tu także zaczynają się pojawiać reminiscencye z Apuleusza. Psyche ostrzeżona przez Kupidyna, że siostry ją chcą zgubić, zaklina się, że nie da się uwieść ich podbechtywaniom:

Mar. CVII. Per me per te per Giove stesso io giuro.

Mor. CXXIX. Przysięgam przez cię, przez mię, przez żywe  
Bogi, co karzą obietnice krzywe.

To straszne zakłęcie zaciekawia nas na spotkanie się z siostrami. Psyche przyjmuje siostry za pierwszą ich wizytą (Mar. CVIII, Mor. CXXX) uprzejmie i hojnie, ale wnet ich się pozbywa, o mężu w odpowiedzi na ciekawe pytania powiada tylko, że młody i myśliwy (Mar. CIX—CXI, Mor. CXXXI—CXXXIII). Ale to przyjęcie obudza jeszcze większą zazdrość i złość siostr; odtąd odpowiadają sobie zwrotka po zwrotce: Mar. CXII—CXXV, Mor. CXXXIV—CXLVII. Cupido znów ostrzega Psychę, przypomina jéj przysięgi, zaklina aby ich nie łamała przez zgubną ciekawość; jeżeli ich dotrzyma porodzi dziecię boskie, jeżeli złamie, sobie i dziecku zgubę zgotuje. Psyche ponownie przysięgła, ale pieszczotami wymogła zezwolenie na drugie odwiedziny (Mar. CXXVI—CXXVII, Mor. CXLVII—CXLVIII). Psyche serdecznie przyjmuje obłudne siostry, które

(CXXVIII) Sotto liete fronti  
Coprano il fiel, che il cor fellone asconde  
Ella con atti pur cortesi e pronti  
Alla mentita affezione risponde

(CXLIX). Zradny jad chętném pokrywają czołem  
(Psyche je przyjmuje)  
Nie myśląc o ich uwziętój obłudzie

ugaszcza je muzyką „niewidzialnych posługaczy” (ministri invisibili), ale prędyżby muzyka ubłagała piekielne jędze niż one (gli aspidi feroci). W siostrach wzmaga się zawiść (cresce l'invidia), dowiadują się o postać kochanka (dal vago suo la qualitate esprima), ona *różnie się* kręcąc zmyśla nowe baśnie (compon novelle e fole):

(CLII) Że mąż jest kupcem i już w podeszłym wieku  
I choć mu skronie już zimny wiek szedzi

(CXXXI) Che la neve della fredda etate  
Già già le tempie ad imbiancar gli scende.

Spostrzegły siostry, że im Psyche o mężu co innego niż pierwszy raz mówiła, i tak wracając, jedna do drugiej mówi:

- (CLIII) Cóż ci się moja miła (mówi jedna  
Do drugiej) zdadzą szalbierstwa tój głupiej?  
(CXXXII) Deh che ti par delle menzogne insane  
(L'una all'altra dicca) di questa sciocca?

Nazajutrz, skoro świt, do Psychy wracają

- (CLIV) Psyche u szyje  
Wisząc, przyjmuje nie siostry lecz źmije.  
(CXXXIII) Che gode pur d'accarezzar le due  
(Sorelle non dirò) vipere sue.

Teraz złe siostry trwożą Psychę podstępnie i obłudnie

A ona para od złości nie zdrowa  
Ze łzami, których ta pleć dosyć miewa,  
I które zawsze na dorędziu chowa  
(Mówią): już to pewnie wiemy  
Ze ten co go masz za swego kochanka...  
Smokiem jest straszny (strofa 155, 156).

Giunte esprimendo a forza in larghe vene  
Lagrima fuor degli umidetti rai  
Che sempre (e dir non so dove le tiene  
Quel sesso a voglia sua n'ha pure assai. (134).  
Sappi che quel che in sulla notte oscura  
Giacer teco si suole è un fier serpente,  
Un serpente crudele esser per certo  
Quel che teco si giace, abbiám scoperto (135)

Potém siostry straszną postać męża-smoka wystawiają równym sposobem u obydwóch poetów, przyszłość zaś która Psychę czeka, obfitszemi słowy u Marina (136—145) anizeli u Morsztyna (157—161). Rozumie się jednakże samo z siebie, że tu i tam góruje w tych podbehtywaniach argument, że smok-mąż czeka tylko na to, aby dziecko w żywocie matki dojrzało, aby je razem z matką pożreć, i wedle obydwóch poetów siostry odwołują się na dawną wyrocznię, że Psychę miała być potworowi przeznaczoną za żonę. Nie ma tu tylko wzmianki o tém, jakoby te straszne wiadomości, które przynoszą, były od pasterzy, co w opowiadaniu Apuleusza stanowi ciekawy ustęp.

Kiedy tak Psyche dostatecznie napełniona trwożą, wtedy siostry mówią:

Cóż pocniesz? jeśli nie dasz tego sobie  
W głowę wbić i chcesz sama siebie zdradzić?  
Myśmy już dosyć uczyniły obie  
Miłości naszcej: chciej o sobie radzić (162)

Che ferai dunque?  
Se in tal guisa nutrir piuttosto vuoi...  
Adempito abbiamo noi l'ufficio nostro. (146)

Im bardziej zbliża się katastrofa, tém więcej zgadzają się w opowiadaniu i w szczegółach Marino i Morsztyn. Psyche sprzecznemi miotana uczuciami, wyjawia że

„Mąż światła się chroni i lubi ciemnice” (165)

„Che fugge la luce e che si cela” (150)

i prosi w trwodze o radę: siostry radzą, aby bez litości zabiła potwornego męża, nóż i latarnią ma ukryć pod łóżkiem, latarnia ma jęj właściwą postać „cudotworu” ukazać, nożem ma w kark ugodzić.

Tu jest węzeł powieści! Psyche w złęj godzinie usłuchała podszeptów złych sióstr i przysposobiwszy światło i nóż, w nocy zabiera się do zabicia mniemanego potwora, ale w nieszczęsnej chwili, kiedy spostrzega błąd swój, rani męża kroplą wrzącego oleju i wiarołomna wnet widzi się opuszczoną przez Kupidyna. W całym tym ustępie Marino (155—174) z pewną swobodą odstepuje od Apuleusza, bo rzecz tego wymagała. Kupidyn bowiem o sobie tu sam opowiadając, nie mógł wszystkiego tak powiedzieć jak Apuleusz, Morsztyn zaś (170—190) zwrotka po zwrotce idzie za myślą, często i śladem słów Marina.

Mor. 172. (Kupido) do swęj Psychy opuszcza się lotem

Mar. 157. precipitando il volo

Mor. 174. I wyrok z nieba i przymus nie miły  
Przysparza ręce białogłowskięj siły.

Mar. 159. E la forza del fato all'atto fiero  
Arma d'audacia il femminil pensiero

Mor. 175. Na palcach stąpa i jak na zasadzce.  
Nie całe stopy stawia na posadzce.

Mar. 160. Sospende alto le piante, e poi leggiere  
Le posa in terra, e non l'appogia intere.

Mor. 176. Krew jęj wre w sercu, a w żyłach się ścina

Mor. 161. Bollon li spirti e gelano le vene.

Mor. 177. Nie wię czy to sen? bo rzuceniem oka  
Śliczne chłopiątko widzi miasto smoka.

Mar. 162. Non sa se è sogno, o ver, che quando crede  
Vedere un Drago, un garzonetto vede,

Mor. 180. . . . . bo dwojakie bóle  
Czuje z tęg rany i dwojaką mękę,  
Przyjemną w sercu, i bolesną w rękę.

Mar. 164. Mirasi punto incantemente il dito  
E si sente in un punto il cor ferito.

Mor. 181. Litość go z gniewem pomieszana zdjęła,

Mar. 167. Il mezzo all'ira la pietà mi prese,

Słowa Kupidyna do Psychy u Marina 168:

Tu dunque onda allo scoglio, io scoglio all'onda?

Io stabil tronco, e tu volubil fronda?

slabo przypominają przemówienie Kupidyna u Morsztyna 184:



- Tyś bardziej niż wiatr i niż woda płocha,  
A nie tak ma być, ach Psycho! kto kocha.
- Mor. 186. A ty zmiennico, mało o to dbając,  
Żeś mię twych oczu zraniła orężem...  
Chciałaś... dobić jakobym był wężem...
- Mar. 170. E tu steal, pur come fusse poco  
D'invisibil ferita il cor piagarmi  
Volesti me... Quasi serpe crudel... ferir.
- Mor. 187. Ale te twoje zdradne radne panie  
Zapłacą mi za to...
- Mar. 171. Ma quelle egregie consigliere tue  
La pena pagheran

Zresztą Morsztyn miejscami nieco od siebie przydaje, np. przypomnienie Salamandry w strofie 186; podobnie całą zwrotkę 178 dorobił gdzie piękność leżącego na łóżku Kupidyna opisuje:

„Nic tak pięknego nie widziały oczy” i t. d. Powód do téj zwrotki mógł wziąć z Apuleusza (V, 22): videt capitis aurei genialem caesariem etc. U Marina nie mógł Kupido tych pochwał sam o sobie wypowiadać... przez skromność!

Przez całą więc część drugą idzie równolegle opowiadanie Morsztyna z poematem Marina. Ale obok tego w kilku miejscach Morsztyn pokierował się wedle tekstu Apuleusza. Jedno takie miejsce dopiero co widzieliśmy, zobaczmy inne. Psyche chwali się przed siostrami, że jój mąż przystojny i miły, zaledwie mchem porasta; tak opowiada Apuleusz (V, 8): speciosum et commodum lanoso barbitio genas inumbrentem. Marino chwali tylko jego piękność bez wzmianki o młodzieńczym zarostie, ale Morsztyn *wedle Apuleusza* pisze (zwr. 132):

Mój mąż mchem (mówi) jeszcze nietykanym  
Porasta; ani pod brzytwą go traci.

Daléj jedna z sióstr do drugiéj mówi, kiedy się nawzajem fomentują przeciw Psysze, że Kupido żonę *może* boginią uczyni: „procedente consuetudine et affectione roborata deam... efficiet.” Marino wystawia tę rzecz jako pewną, ale Morsztyn podobnie jak Apuleusz, mówi warunkowo: Który *jeśli* z jój twarzy i nałogów kontent (= procedente consuetudine)!

Jeszcze w jedném miejscu w drugiéj części idzie Morsztynu za Apuleuszem (zwr. 141); siostra mówi do siostry:

Tajmy tylko jój fortunę przyjemną,  
Bo kto zazdroszcząc cudze szczęście chwali,  
Szczęścia przyczynia, sam się barziéj pali.

Téj ogólnéj myśli nie ma u Marina, ale jest u Apuleusza w tych słowach: nec sunt enim beati, quorum divitias nemo novit (Met. V 10).

Następuje trzecia część powieści: niedola, pokuta i ekspiacya Psychy, która ostatecznie za wdaniem się Jowisza, przez niego pomiędzy

bogów policzona, łączy się znowu z Kupidyndem. W części tej Marino najswobodniej poczyna sobie z powieścią Apuleusza, idąc tylko za wątkiem rzeczy i myśli; Morsztyn zaś opiera się w prawdzie o poemat Marina, ale coraz bardziej w szczegółach wyzwała się od jego tekstu, śmiałym pióram zamachem go skraca, jak pokazuje ilość zwrotek. (Mar. 172—293; Mor. 188—296) albo też miejscami amplifikuje, i to nie bez korzyści dla umotywowania całości.

Tak teraz w początku tej części dodał zwrotkę 192, w tém miejscu, gdzie Psyche z rozpaczcy życie chce sobie odebrać i rzuca się w wodę:

Wprzód jednak rzekła, patrz że sobie karę  
Zdradzony mężu... zadaję... i t. d.

Ale woda Psychę lekko na brzeg wyrzuca i wtedy spotyka satyra, którego Marino nazywa d'Arcadia il rozzo Dio i opisuje nie bez humoru. Morsztyn w strofie 194 upatruje w nim podobieństwo do chłopca,

W jakim więc stroju widzieć u nas żeńce,  
Gdy ostatniego dopędzają snopu i t. d.

Spotkanie z satyrem u Marina przypomina opowiadanie Apuleusza, Morsztyn zaś w tym epizodzie wiernie idzie za Marinem, jak dowodzi porównanie Apuleusza (V. 25) z Marinem (od 180) i Morsztynem (od 196). Radę, którą satyr daje Psysze, aby uniżoną prośbą i pokutą boga zagniewanego przebragała, powtarza Marino za Apuleuszem Morsztyn za Marinem. Tylko w poszczególnych argumentach, które na pociechę Psyche wypowiada, nie zgadzają się zupełnie trzej pisarze; albo te słowa pociechy w innémnieco następują porządku. Np. w strofie 199

(Twego miłego) który chociaż stroni,  
Téjże raz, co ty, czuje broni.

te słowa przypadająby na zwrotkę 198, która odpowiada zwrotce 182 u Marina. Tu stoją na końcu te słowa:

Non ti doler che sebbene or ti fugge,  
So che non men di te per te si strugge.

Zresztą wszystkie zwrotki odnoszące się do spotkania brzydkiego satyra z piękną Psychą zgodne są z sobą, opuszczona jest tylko strofa 178 Marina, która jest parafrazą słów Apuleusza: „Proxime ripam vago pastu lasciviunt comam fluvii tondentes capellae.”

Psyche opuszcza satyra, wedle Apuleusza „nullo sermone reddito”, wedle Marina zaś „ringrazia Psiche il satiro pietoso,” i podobnie u Morsztyna „dziękuje za zdrowe porady,” i tak zagaili obydwaj poeci ten ustęp w powieści o Psysze, gdzie obydwie jej siostry odnoszą zasłużoną karę; tu Marino amplifikuje Apuleusza, Morsztyn Marina skraca, mianowicie zwrotki 186—189 Marina, są u Morsztyna w 2 strofy ściągnięte (201—202), strofy 194—195 w jedną strofę (207). Jednakże

w tém skróceniu Morsztyn zawsze przypomina Marina, i tak opowiada Psyche starszej siostrze:

201. Obaczyłam rzecz niespodzianie nową,...  
Bo miasto dziwu, co miał gryźć me kości  
Dziwem znalazła, ale dziw gładkości.
187. che nu mostro (è vero) nu mostro scorsi,  
Ma mostro di bellà pur troppo bello.
202. Postrzegłam nędzna, widząc go bez suknie,  
Że to był bożek co w serca ugadza.
188. M'accorsi alfin che quel che ivi giacca  
Era il vero figliuol di Citerea
189. Al sounachioso Arcier che igundo in letto.
202. ...Czy mi tak miły widok chciał zepsować?  
Czy sam tak śliczne ciało pocałować?
189. Non so se invido pur del mio diletto  
O vago di baciàr tanta beltate.

Daléj odpowiada strofa 203 u Morsztyna strofic 190 u Marina, 204=191, 205=192 i strofa 206=193.

Psyche błąka się daléj; tymczasem Kupido na łóżku swéj matki cierpi bóle serca i rany, matce zaś jego donosi nurek, co zaszło między Kupidynem i Psychą. Wenus gani synowi wszystkie złe postęпки, zapowiada mu zemstę i wybiega w pogoń za Psychą (Mar. 196—215, Mor. 208—223). Marino w tym ustępie korzysta wprawdzie z Apuleusza, lecz z pewną swobodą (np. dodał dla uzupełnienia strofę 198: „Le prende a raccontar l'iniquo mergo” etc); Morsztyn idzie wprawdzie za powieścią Marina, ale bardzo swobodnie sobie z dostarczoną treścią poczyna, coraz bardziej widać emancypuje się od przewodnika swego; rzecz streszcza, po dwie zwrotki ściąga w jedną, czasami coś doda, ale te przydatki są wątpliwéj wartości, np. w strofie 217:

(Wenus do Kupidyna) A ciebie w grube ubiorę siermięgi,  
I bakałarzać tak wsadzę na karki,  
Że cię oduczy od panien włóczęgi,  
Obaczę jak się poprawisz do roku,  
Gdyć w cuchthauzie ujmą i obroku.

Zwrotki 208 i 209, które Marino osnuł na tekście Apuleusza, (Wenus chce iść do Wstrzemięźliwości) opuścił Morsztyn zupełnie, natomiast z własnej fantazyi wysnuł strofę 220, gdzie Junona i Ceres perswadują Wenerze, że powinna miłostki swego syna puścić płazem.

Dalszy ustęp (tu się zaczyna księga VI u Apulejusza) zawiera ucieczkę Psychy przed Wenerą i błędne jéj wędrówki za utraconym Kupidynem; błaga napróżno Junonę i Ceres o pomoc i opiekę (Mar. 216—232, Mor. 224—240). Marino wystawia znoje Psychy wedle własnego natchnienia, Morsztyn znów w niektórych szczegółach wplata w powieść rzeczy i zwroty własnego pomysłu, jednakże w ogóle i w tym



ustępie pilnuje tekstu włoskiego poety, tylko koślawi reminiscencye mytologiczne (234—235, porówn. Mar. 227).

Jeszcze słów kilka o ostatnim ustępie: o pokucie Psychy i o połączeniu się z Kupidynem. Wedle Apuleusza, Marina i Morsztyna Wenus poleca Merkuryuszowi: (strofa 242)

Zeby jako woźny

Wywołał Psychę spuściwszy się z góry. (sic)

Te osobliwe „rozporządzenie” z obietnicą osobliwszej jeszcze nagrody za znalezienie i dostawienie Psychy odebrało biédnej wygnance wszelką nadzieję ucieczki; idzie więc wprost oddać się w ręce Wenery, przyjmuje ją w progu bogini służebna, którą Apuleusz nazywa Consuetudo, Marino Usanza, Morsztyn niesłusznie Niestatkim, i sponiewierawszy prowadzi do Wenery, która oddaje na męczarnie Smutkowi i Trosce, sama się nad nią znęca, potem zadaje znaną z przypowieści ciężką robotę, aby kupę różnego ziarna rozebrała; mrówki téj pracy dokonywają (Mar. 237—252; Mor. 245—260). Marino parafrazuje swobodnie tekst Apuleusza, Morsztyn zaś Marina, w tém tylko rzecz odmienił, że do rozebrania ziarn mieszaniny wysłał Kupidyna w pomoc (257).

Lecz jój wnet chory Kupido w posiłku

Przybywa, już się nie szczerze z nią wadzi, i t. d.

czego nie ma w Apuleuszu i w Marinie, a do czego był powód w słowach Wenery do Psychy: „nie tyś dokonała tego, lecz Kupido” (Mar. 252). Oprócz tego odstąpił Morsztyn w tym ustępie od swojego wzoru więcej aniżeli gdzieindziej w sposobie przedstawienia rzeczy; język Morsztyna jest w ogóle nieogładzony, miejscami rubaszny i więcej zbliżony do dosadnych, trywialnych wyrażeń Apuleusza, aniżeli do lekkiego i elegancyj pełnego stylu Marina. Niestatek Psychę wita np. temi słowy: (247)

Witajcież (mówi) miłościwa Pani,  
Nakoniec myszka trafiła do łapki,  
Nagrodziemyż to, cośmy zmordowani  
Nabyli często, szukając cię, sapki.

Również Wenus zrzedzi i obelżywe słowa miota na Psychę, nazywa ją „jedną suką lichą” (251), fuka że „gaskowi serca i barków przy piekła” i t. d.

Natomiast piękne i zupełnie charakterowi powiastek odpowiednie jest miejsce: (strofa 258)

Wpadły w nasiona pracowite mrówki,  
Gromią te chwasty i wojują sobie:  
Ta ziarno niesie mniejsze od swój główki,  
Ta mężnie dźwiga ciężar równy sobie;

Ta z strączka, ta z źdźbła, ta z kłosa, z makówki  
 Na co napadnie, rozwozi w téj dobie;  
 Tak że gdzie przedtém mieszaniny były,  
 Podzielne nasion stanęły mogiły.

Wenus zadaje Psysze drugą robotę, aby z dzikich, złotém runem porośłych owiec przyniosła wełny; Psyche spełnia podobnie jak trzecie zadanie, aby stygijskiej zaczerpnęła wody, za radą cudownej trzciny i z pomocą orła; w tych dwóch ustępach tak Marino względem Apuleusza, jak Morsztyn względem Marina kierują się w głównych rzeczach dokładném naśladowaniem, w cieniowaniu szczegółów swobodą. Tak np. Morsztyn w strofie 272 z własnego natchnienia wysnuł powody, dla czego orzeł wyręczył Psyche (niepoetyczne zresztą robi wrażenie to miejsce, gdzie Morsztyn w zwr. 271 powiada: że orzeł „wydarł Psysze flaszkę w swe pazury”).

Wreszcie Wenus zadaje Psysze ostatnią robotę, aby do podziemnych poszła o tchłani wyprosić od Prozerpiny puszkę piękniadła. Psyche znękana rozpacza, idzie chętnie na pewną zgubę, ale wtém wieża przy drodze odzywa się do niej ludzkim głosem i daje radę, jak zadanie wykonać. Psyche tedy szczęśliwie odbywa piekielną podróż, ale niewieścią ciekawością zdjęta, zagląda w puszkę i natychmiast pada snem ujęta. Kupido ją ratuje. Ten ustęp Apuleusz obszernie opowiada VI, 16—21; Marino zaś (273—280) tutaj w najciekawszym miejscu powieść nadspodziewanie skraca, szczegółów wcale nie dotykając (strofa 277):

Lascio di raconar con quel consiglio  
 Scessa d'Abisso alle profonde conche,  
 Con quai tributu senz' alcun periglio  
 Passo di fluto all' intime spelonche etc.

Tu więc Morsztyn, opuszczony od swego przewodnika, ucieka się do pierwszego źródła i cały ten ustęp przedstawia wedle Apuleusza; szczegółniej strofa 275 dowodzi, że opowiada wedle niego:

(Głos wieży)  
 Wstrzymywa; wierne daje jój przestrogi,  
 Czego się ma strzedz, kędy płacić myto?  
 Czem się da uspić Trygłów czworonogi?  
 Jak się sprawować, gdzie Charon koryto  
 Steruje, jako czcić podziemne bogi?  
 Każe wziąć placków i groszy sowito,  
 Bo tak do piekła jako i do nieba  
 Bez pieniędzy wnijsć trudno i bez chleba.

Ostatnie słowa nie są jakby się zdawać mogło, satyrycznym dodatkiem Morsztyna, tylko ze słów Apuleusza wytłumaczone: „ergo et inter mortuos avaritia vivit, nec Charon ille Ditis pater, tantus Deus,

quicquid gratuito facit, se moriens pauper viaticum debet quaerere" (VI. 18). Szkoda tylko, że w tym ustępie nie naśladował więcej szczegółów Apuleusza, który tu trafia zupełnie w ton powiastki. Śpieszno mu było dążyć do końca. W ostatnim zaś ustępie zwolnił kroku i odłożywszy poemat Marina na stronę, kierując się jedynie podaniami z Apuleusza, opowiada w 10 końcowych zwrotkach, jak Kupido „opadł z Jowisza” (287), aby przejednać Wenerę i połączył go z Psychą. To też Jowisz przyrzeka, nie bez warunku, i dotrzymuje, bo w radzie „rzeszy niebieskiej,” wyprawia wesele kochankom (Marino tylko 5 zwrotek poświęcił zakończeniu, bo ostatnia strofa już do powieści nie należy). Treść przemówienia Jowisza do Kupidyna, niemniej przemówienie do rady bogów (dii conscripti) wzięte są z Apuleusza, jak również ton żartobliwy. Z Apuleusza wzięta jest także nazwa córeczki Rozkoszy, gdy tymczasem Marino mówi o synku Diletto. Moglibyśmy za dobre poczytać Morsztynowi, że w trakcie dobrego humoru i swywoli pominął zagrożenie sztrofu za niestawienie się którego z bogów na radę, gdyby nie był w tonie swywolnym prześcignął Apuleusza, dodając w strofie 291 nieprzyzwoite odezwanie się Momusa.

Jak to *konceptowe* zakończenie poematu Morsztyna nie zgadza się z początkiem, gdzie tyle poważnych myśli! Zkąd to poszło? oto ztąd, że początek wzięty jest z Marina, a koniec z Apuleusza. Dwaj ci pisarze całkiem innym powlekają kolorytem, osnowę powieści o Psy-sze; Apuleusz opowiada niby poważniej w tonie żartobliwym, Marino zaś czyli raczej Kupido, który tę historiją (w IV pieśni) Adonisowi opowiada w sposób poważny i sentencyonalny. Morsztyn w swoim poemacie szedł w treści głównie za Marinem, ale *ton* przejął od Apuleusza, szczególniej widać to od tego miejsca, gdzie i w treści kierował się jego tekstem.

## Dawna ziemia Łomżyńska.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Ziemi Łomżyńskiej jako całości nikt nie opisywał dotąd oddzielnie. Mamy tylko częściowe monografie jej okolic i miast, w których pierwszeństwo trzyma sumienna książka p. Rzeczniewskiego byłego prof. historyi w szkołach łomżyńskich p. n. *Stara i nowa Łomża* <sup>1)</sup> tudzież

<sup>1)</sup> Wykazując starożytność grodu i jego dawne znaczenie, pracę swoją w streszczeniu podał p. R. w „Encyklopedyi Powszechniej.”



rozprawa o dawniej Łomży p. St. Zielińskiego umieszczona w *Dawniej Polsce* Adr. Krzyżanowskiego; dalej są liczne opowiadania Połtujańskiego w jego *Wędrownkach po gubernii Augustowskiej*, także *Kilka uwag* o téjże gubernii B. Tykla, i inne pomniejszych.

Artykuł niniejszy nie wyczerpuje bynajmniej przedmiotu względnie do rozległych potrzeb dzisiejszych badań. Materiał gromadzony przez jego autora od lat kilku w formie kartkowego katalogu wszystkich siół krajowych z oznaczeniem przy tychże ważniejszych wiadomości ze źródeł dziejowych, archiwalnych, lub archeologicznych, nie pozwala tu na pomieszczenie wszystkiego, co się tyczy ziemi Łomżyńskiej, gdy tychże siół ziemia ta liczy dziś do 700. Zakres więc niniejszej monografii może dać tylko treściwy i ogólny obraz przedmiotu, podobny do tego jaki o ziemi Bielskiej podaliśmy w III tomie Biblioteki z roku zeszłego. Ale i taki obraz jest potrzebny gdy żadnego przed nim nie było, gdy np. nie masz w całej mapografii karty, która by podawała rzeczywiste granice ziemi Łomżyńskiej, a cóż dopiero jej powiatów.

Waga i Lelewel w swojej geografii dawniej Polski, oto co powie dzieli o téj ziemi: „Ziemia Łomżyńska dzieli się na cztery powiaty: Łomżyński, Kolniński, Zambrowski i Ostrołęcki; starostwo grodowe łomżyńskie, do którego téż należą grody Kolniński, Zambrowski i Ostrołęcki; za osobnym przywilejem królewskim chodzi leśnictwo łomżyńskie, do którego należą miasteczka Kolno, Nowogród i wiele innych przyległości; nie grodowe starostwo ostrołęckie, Miastków królewszczyzna. Sejmiki w Łomży, obiera 2 posłów, deputata zaś jednego co piąty rok. Powiat Zambrowski ma swoje osobne ziemstwo. Miasta: Łomża stołeczne ziemi, Zambrów, Kolno, Nowogród, Ostrołęka, Stawiski, Śniadowo etc.”

Województwo mazowieckie dzieliło się na dziesięć ziem, z których Łomżyńska i Wizka stanowiły część jego północno-wschodnią, wchodzącą nieco klinem między Prusy książęce (a mianowicie Mazowsze pruskie), a województwo podlaskie, którego ziemia Bielska ciągnąca się wązkim pasem z północy na południe, od Augustowa do Brańska odgraniczała te dwie ziemie Mazowsza od W. Ks. Litewskiego. Grajewo w ziemi Wizkiej było ostatniem na północy miasteczkiem mazowieckiego województwa. Za Grajewem rzeczka Łęg (przecinająca dziś poprzecznie na dwie połowy ową augustowską szyć Kongresowego Królestwa) odgraniczała Mazowsze od Podlasia, nie stanowiąc bynajmniej granicy polskiego dyalektu. Obejmował on bowiem dalej ziemię Bielską do rzeki Netty i za nią część województwa trockiego w okolicach Suwałk do Lipska i Sejn.

Rzetelnych granic ziemi Łomżyńskiej nieznalazłszy na żadnej z kart dawnych, wykreśliliśmy je na tegoczesnych stosując się do szczegółowego spisu wiosek z roku 1676, jaki był dokonany podług ziem, powiatów i parafij. Ziemia nasza graniczyła na północ w części z Prusami, a w części z ziemią Wizką i Bielską, na wschód także z ziemią

Wizką i Bielską, na południe z Nurską, a na zachód z Rożańską i Ciechanowską. Granica z Prusami w części sucha, w części z małą rzeczką Wincentą idąca, ustalona w r. 1343 układem Ziemowita księcia na Wiznie z wielkim mistrzem Braci szpitalnych Ludwikiem Königem, dotąd pozostaje nie zmieniona i dziś jest granicą Kongresówki od państwa pruskiego. Wschodnia granica z ziemią Wizką biegła suchym lądem, począwszy na północy od Prus i źródeł Wincenty, dalej śródkiem parafij: Grabowskiej, Romańskiej, Dobrzyjałowskiej i Piątnickiej aż do wsi Piątnicy leżącój nad Narwią naprzeciw stołecznej Łomży, która tym sposobem znajdowała się przy granicy ziemi Wizkiej położonój za Narwią w stronie Wizny i rzeki Biebrzy. Od Łomży do ujścia Biebrzy, Narew rozgraniczała te dwie ziemie, a od Biebrzy do ujścia rzeczki Śliny (w okolicy Tykocina) ziemię Łomżyńską od Bielskiej, dalej do wsi Zawad też granicę stanowiła wspomniana Ślina; od Zawad zaś granica sucha z ziemią Bielską biegła ku południo-zachodowi. W okolicy wsi Jabłonki między Zambrowem a Wysokiem-Mazowieckiem ziemia Łomżyńska dotykała północnego krańca Drohickej, wysuniętój aż dotąd wązkim klinem między Nurską a Bielską. Granica południowa z ziemią Nurską biegła koło Skarzyna i Drogoszewa z rzeczką Broczkiem, a od wsi Przeddziecka suchym lądem na zachód ku źródłom rzeki *Orz*, w dawnych dokumentach wszędzie pisanój *Horz*. *Orz* na całej swojej siedmio-milowój długości aż do ujścia w Narew (poniżej Różana) rozdzielał te dwie ziemie, a parafie: Goworowska, Czerwińska i Lubotyńska, które przecinał, po połowie do ziemi Łomżyńskiej i Nurskiej należały. Od zachodu Narew na przestrzeni mil kilku powyżej ujścia *Orzu* odgraniczała ziemię Łomżyńską od Różańskiej, a następnie granica z ziemią Różańską i Ciechanowską porzucała prawy brzeg *Narwi* biegnąc na północ w okolicę Myszynca ku Prusom.

Wątpliwość granic starostwa ostrołęckiego z ziemią Ciechanowską nie pozwoliła mi ściśle obliczyć powierzchni ziemi Łomżyńskiej. W każdym razie wynosiła ona do mil kwadratowych polskich 80-ciu, ale nie przechodziła téj liczby <sup>1)</sup>. Rozległość mil  $\square$  99 ziemi Łomżyńskiej i Ostrołęckiej (tak) podana w dziele *Historisch-geographische Darstellung Alt und Neupolens*, jest przesadzoną w każdym razie, czy będziemy liczyli na mile polskie lub niemieckie, czemu zresztą nie można się dziwić przez wzgląd na dawną niedokładność map i pomiarów geograficznych, o którój mówiłem.

Podział ziemi Łomżyńskiej na cztery powiaty istniał zdaje się bez żadnej zmiany od wieku XV do roku 1795 odpowiadając ówczesnym stosunkom. W czterech bowiem stronach ziemi były cztery miasta, które dały nazwisko czterem utworzonym z ich okolic powiatom. Jeden tylko Nowogród w tym podziale nie został powiatowym, leżał bowiem zblizko Łomży, a okolica jego za-narwiańska była

<sup>1)</sup> Wziąłem tu do pomiaru milę siedmiowiorstową, jakich 14,879 idzie na średni stopień południka.

w starożytności prawie bezludną księżęcą puszczą. Mogło się jednak tém pocieszać to miasto, że przed wzrostem Łomży, Kolna, Ostrołęki i Zambrowa nadawało nazwę powiatu (districtus) dość rozległej okolicy, było starostwem i miejscem nawiedzaném często przez książąt Mazowieckich. Kręta Narew płynąc od wschodu ku zachodowi dzieliła naszą ziemię na dwie nie równe części. W północnej mniejszej, między tą rzeką a Prusami położonej, leżał cały powiat Kolnieński, część Ostrołęckiego i Łomżyńskiego; w południowej większej wzdłuż Narwi kilkanaście mil ciągnącej się z pod Tykocina aż pod Różan, leżały powiaty: Zambrowski, Łomżyński i reszta Ostrołęckiego.

Wedle dawnych spisów wiosek, ziemia Łomżyńska liczyła tychże w wieku XVII około 550; dziś na téj przestrzeni znajduje się ich sześćset kilkadziesiąt, ale ten przyrost ogranicza się do borów nowogrodzkich i ostrołęckich, w których leśne osady nie zasługujące przed dwoma wieki na nazwę wiosek, później do rzędu takowych wrosły. Parafij w wieku XVII liczyło się 30 tak całkowitych jak i częściowo do ziemi Łomżyńskiej należących; od tego czasu przybyło tylko kilka także wśród owych borów, wszystkie zaś inne zachowały dotąd swoje granice z nader małemi zmianami od wieku XV-go, w którym większa ich część założoną została. Były atoli kościoły i parafie nierównie starożytniejsze jak np. w Szczepankowie w r. 1242 założona, w Staréj Łomży wedle podania sięgająca czasów Bolesława Chrobrego, a w każdym razie współczesna Szczepankowskiej i kilka innych. Żaden atoli z tych pierwotnych kościołów już nie istnieje, a przecież ciekawą byłoby rzeczą, gdyby badacze nasi zdołali kiedy zestawić daty założenia wszystkich kościołów i parafij w całym kraju, co mogłoby dorzucić światła do postępu zaludnienia i ówczesnej cywilizacji <sup>1)</sup>. Klasztorów w ziemi Łomżyńskiej było pięć: 1) Jezuita w Łomży od r. 1609 założyli później (r. 1654) missye w Myszyńcu dla ludu w puszczech mieszkającego; 2) panny Benedyktynki sprowadzone do Łomży z Torunia w 1628 roku; 3) Bernardyni w Ostrołęce od roku 1665; 4) Franciszkanie w Stawiskach od r. 1697; 5) i Kapucyni w Łomży od 1763 r. Nadmienić także wypada o Mansyonarzach, których 8-iu mieszkało przy farze łomżyńskiej od króla Zygmunta I-go, a w ostatnich czasach trzech; także, iż Szczepanków od r. 1169 do czasu rządów pruskich, czyli lat około 630 należał do Benedyktynów płockich, którzy parafią tutejszą przeszło pół-szosta wieku zawiadywali.

Spis wsi i miast z roku 1676 wylicza w ziemi Łomżyńskiej tylko pięć tych ostatnich, a mianowicie: Łomżę, Kolno, Zambrów, Ostrołękę

<sup>1)</sup> Kapica w swoim *Herbarzu* wspomina daty założenia następnych kościołów i parafij na Podlasiu i w Łomżyńskim: w Dobrzyjałowie r. 1425 (str. 86), w Domagowie r. 1460 (str. 276), w Tykocinie kościół murowany wznosił Gasztołd w r. 1437 (s. 244), ale niewiadomo czy pierwszy? w Sokolach roku 1471 (s. 383), w Kuleszuch r. 1493 (s. 196), w Kobylinie na początku w. XV, w Turośni r. 1515 (s. 134).



i Nowogród, które już w XV wieku do miast się liczyły. Dziś na tej przestrzeni jest miasteczek osiem, w ciągu zatem dwóch ostatnich wieków, trzy wsie do rzędu ich doszły, to jest Śniadów, Myszyniec i Stawiki. Nie wymieniałem tu wsi Szczepankowa, którą opaci benedyktynscy usiłowali podnieść do rzędu miasteczek i dla której nawet aż 12 jarmarków uzyskali, a która chyba wspaniałym kościołem (zmurowanym w latach 1540—1550) różni się dziś od innych parafialnych wiosek. Możeby się dało i inną jaką jeszcze wieś wynaleźć w ziemi Łomżyńskiej tytułowaną w dawnych aktach *oppidum*, ale czyż to miało oznaczać miasto w pojęciu dzisiejszém? Im dalej posuniemy się w przeszłość, tém wsie zobaczymy mniejsze, a prawdopodobnie każda większa wioska teraźniejsza nawet bez zamku zasługiwałaby cztery lub pięć wieków temu w ziemi naszej na nazwę miasta w stosunku do sió owoczesnych.

Mając mówić o rodowości mieszkańców, uważam za stosowne pominąć czasy przedhistoryczne, gdyż kroniki nader mało dostarczają materiału nawet dla domysłów; archeologia zaś, do której pracowników i piszący się zalicza, w skutek nie wielkiej liczby poszukiwań i odkryć na tej przestrzeni, równie podstawy do pewniejszych wniosków dać nie może. To pewna, że takie rzeki jak Narew były w czasach starożytnych traktami jezeli nie ludów, to rozmaitych druzyn i gromad. Po wielu takich wędrówkach nie zostało żadnych śladów i o nich nigdy się już nie dowiemy. Przypuszczać także nie można, aby w przedhistorycznych czasach (t. j. względnie do Mazowsza: pogańskich), gdy mazowieckie powiśle posiadało już mnóstwo osad, jako tylokrotne odkrycia archeologiczne w wieku bieżącym wykazały; brzegi rybniej Narwi uchodzącej do Wisty w tych właśnie jak na owe czasy ludnych stronach, miały być nie zamieszkałe i wcale nie znane owym pogańskim Mazurom. Rzeczywiście ludność, choć zapewne mało znaczna, ale była, bo mamy tego liczne dowody. Do tych należą znalezione przez nas groby pogańskie, a obok nich okrzoski, narzędzia i bełty krzemienne, tudzież ozdoby, czerepy z naczyń glinianych i w ogóle ślady osad starożytnych w pobliżu Narwi w Tykocińskim, na wschodnim krańcu ziemi Łomżyńskiej i pogranicznej Bielskiej. Do tych należy ciekawy grób kamienny rozkopany przez p. Budzińskiego pod Łomżą <sup>1)</sup>, dalej kamienne toporki znajdujące w torfowiskach i na polach, popielnice i grób z odległej epoki brązu znaleziony pod Dworakami, wreszcie zamki i miejscowości stron tutejszych wymienione przez kronikarzy i latopisów w pierwszych czasach mazowieckiego chrześcijaństwa.

W owych to wiekach które możnaby nazwać pogańsko-chrześcijańskimi, bo pogaństwo długi czas słabło i konało a później wiara Chrystusowa może dłużej jeszcze wydawała się wśród ciemnoty czemś obcém i narzuconém; w owych to czasach, zdaje nam się, iż między

<sup>1)</sup> Opis tego odkrycia podany był w Bibliotece Warszawskiej z roku 1871, tom I, str. 230.

Narwią i jej dopływami a ludem mazowieckim i jego dyalektem zachodził ważny związek, który tu będziemy próbowali wyjaśnić. Weźmy tylko kartę geograficzną i nakreślmy na niej dokładnie granice mowy mazowieckiej czyli polskiej od wschodu z rusińską i od północy z litewską <sup>1)</sup>. Cóż nam się wtedy przedstawi? Oto dyalekt ten od przeciętego Wisłą serca Mazowsza wybiega daleko na północo-wschód pod Białystok i Sokółkę w gubernii Grodzieńskiej, pod Lipsk, Sejny i za Suwałki w Augustowskim, pod Gołdap' i Angerburg w Prusiech książęcych. Właśnie z téjże samej przestrzeni podąża w to serce Mazowsza Narew od strony Białegostoku, a jej dopływy: Biebrza z pod Lipska, do Biebrzy Netta od Augustowa i Łęg od miasta pruskiego Ełku, do jezior augustowskich Rozpuda od Filipowa, do Narwi z Prus mazowieckich płynie Pissa, Skwa, Omulew i Orzyc. Jeżeli rzeki te z ich strumieniami i strumykami wyobrazimy sobie jako gałęziste drzewo, to wszystkie stare osady mazowieckie w tych stronach wydadzą się nam jako liście wyrosłe na jego konarach i gałązkach, posuwające się w tym przyrodzonym kierunku na północ nawet nieco wyżej nad źródła dopływów narwianych, gdzie nęciły pogańskiego Mazura bogate wody licznych jezior.

Inaczej rzecz się miała na wschodzie. Tu osady mazowieckie nie dosięgły źródeł rzek z téj strony płynących. Zatrzymały się nad Biebrzą koło Lipska, nad Supraślą koło Wasilkowa, nad Nurcem (dopływ Bugu) koło Brańska i Boćk, nad Narwią powyżej Suraża. Jaka być mogła tego przyczyna? bardzo prosta. Oto *Mazowszanie*, jak ich nazywa Nestor, prawdopodobnie posuwali się jako spokojni rybacy, łowcy i zarazem bartnicy w kierunku wód i puszczy albo zupełnie bezludnych, których nie potrzebowali zdobywać, albo z tak małą ludnością, że za nic ją uważali. W okolicach zaś źródeł czterech rzek powyższych rozciągały się legowiska Jaćwieży lub osady pobratymczej Rusi, których rugować osiedleńcy mazowieccy nie mieli ani siły ani potrzeby, tembardziej że posiadali dużo pustych okolic w innym kierunku.

Masław w XI wieku podobno władał wszystkiem Mazowszem, i tém które dziś w Prusiech się znajduje; późniejszej granicy księstwa z Prusami nie było wtedy zupełnie, a dopiero po ustaleniu chrześcijaństwa nad Wisłą i Narwią poczynają się owe ciągłe napady pogan pruskich krwi mazowieckiej i litewskiej na Mazowsze chrześcijańskie, co skłoniło Konrada mazowieckiego do sprowadzenia Krzyżactwa na ziemię polskie. Mazowsze płockie, ciechanowskie i zakroczymskie musiało tymczasem rosnąć w ludność i posiadać szlachty nierównie więcej od łomżyńskiego, wiskiego i nurskiego, skoro potem przez cały ciąg

<sup>1)</sup> Granice tych dyalektów nakreśliłem na mapce, jaką dołączyłem przy dziełku mojem: *Obchody weselne przez Pruskiego część I*, dołączyłem zaś z powodu, że podaję w niem między innemi wiele szczegółów z okolicy, w której dyalekt mazowiecki dotyka rusińskiego. Mapka licha została wykonana, bo drukując dzieło swoim kosztem nie stać mi było na lepszą.

trzech wieków panowania książąt, do tych ostatnich ziem tudzież do ziemi Bielskiej na Podlasiu tyle płynęło od zachodu tój szlachty bądź kupując ziemię od współbraci i książąt, bądź dostając ją także na dziedzictwo za dawne posługi i przyszły obowiązek obrony krajowej. Najwięcej przywilejów tych darowizn i kupna przechowało się w archiwach mazowieckich z początku XV stulecia, ale choćbyśmy ich nie mieli, to sam fakt tych przesiedleń uwydatnia się nader plastycznie w powtarzaniu się mnóstwa nazw siół i ludzi tych i tamtych okolic. Już w dawniejszym naszym artykule o ziemi Bielskiej wyliczyliśmy nazwy powtarzające się na Podlasiu i w ziemi Ciechanowskiej, obecnie przytaczamy z XV wieku a dotąd istniejące nazwy wiosek zarówno w ziemi Ciechanowskiej jak Łomżyńskiej: Brzozowo, Cieciorki, Cibory, Bagieniec, Cholewy, Chrzczony, Bogusze, Grądy, Grabowo, Goski, Górskie, Gardlino, Jałbrzyki, Kałęczyn, Kłoski, Konopki, Krajewo, Kołaki, Wiśniewo, Wierzbowo <sup>1)</sup>, Kąty, Leśniewo, Mieszki, Milewo, Mężenin, Modzele, Murawy, Skarżyno, Ossowiec, Ślasy, Truszki, Targonie, Zawady i Zakrzewo.

Liczna szlachta mazowiecka przemieniła w wieku XIV, XV i XVI, jak mamy tego liczne dowody, ziemię Łomżyńską z dzikiej i leśnej krainy na rolniczą, karczując bory powiększłej części własną ręką, choćby poddanych albo wcale nie miewała albo bardzo mało <sup>2)</sup>. Nie stosowało się to wprawdzie do powierzchni całej tój ziemi, bo różne okoliczności a między temi głównie mniejsza lub większa urodzajność gleby wpływała na karczunek jednych okolic a pozostawienie pod lasami drugich. Gdy drzewo nie przedstawiało żadnej wartości jako towar, to piaszczystych borów nikt ani kupować ani za nagrodę i służebności od księcia brać nie chciał, tembardziej jeżeli były inne przestrzenie lepszej natury. Ztąd gdy trzy żyzne powiaty: Kolnieński, Łomżyński i Zambrowski wcześniej podarły swą pierwotną leśną szatę, to w środku Mazowsza Ostrołęcki z ziemią najmniej urodzajną przechowywał ją najdłużej, obecnie pokryty jeszcze w dwóch trzecich borami. Zachodni ten powiat pozostawał długo prawie bezludny w porównaniu do trzech wschodnich. Dopiero gdy ziemi na korzystny karczunek w innych stronach Mazowsza zabrakło, gdy do rozdania już wiele nie było, lud mazowiecki bezrolny nęcony swobodą w puszczech pełnych zwierza, pszczoły i rzek rybnych, przybywał tam z sąsiednich okolic nietylko Polski ale podobno i Prus, coraz gęstsze zakładając osady. Posiadacze puszczy, biskupi płocey i starostowie chętnie widzieli rosnącą ludność a z nią nadzieję ekonomicznego dochodu z obszarów. Zachęcali więc

<sup>1)</sup> *Kołaki, Wiśniewo i Wierzbowo* tak w ziemi Łomżyńskiej jak Ciechanowskiej leżą w jednej okolicy.

<sup>2)</sup> Stary zwyczaj własnoręcznej pracy szlachty mniej zamożnej przechował się tu do lat ostatnich, nawet u tak zwanych półpanków czyli kilkownikowych ziemian, którzy pomimo że niekiedy szkoły kończyli i po łacinie rozprawiali, ale pospółu z czeladzią swoją podążali do pracy.



ją swobodami, zniesieniem robocizny (w r. 1652) i patrzeniem przez szpary na ludzi poddanych, którzy swych panów opuściwszy, biegli tu zażyć swobody. Lud ten mazowiecki, później nazwany od łyczanego obuwia t. j. kurpiów, kierpców *Kurpiami*, *Kurpikami*, odosobniony od świata w puszczech, przechował (jak to już gdzieindziej powiedzieliśmy) w swoim języku i obyczajach takie mnóstwo cech staropolszczyzny lub wyrobił nowe, że to stało się powodem pewnej odrębności od zapoźnych sąsiadów, jaka dała przyczynę niektórym piszącym do dziwacznych i śmiesznych rodowodów naszego leśnego Mazura. P. Haczewski np. powiada iż byli to potomkowie narodu z Wołoszczyzny do Sarmatów naciśniętego <sup>1)</sup>! Pan B. Tykel w swojej rozprawce statystyczno-etnograficznej o *Gubernii Augustowskiej* zestawił różne zdania jakie wypowiedziano o Kurpiach przed rokiem 1858 (w którym pisał). Najtrzeźwiej ze wszystkich zapatrywał się zawsze na Kurpiów p. K. Wł. Wójcicki, bo ich poznał na miejscu, umiał z nimi rozmawiać i mieszkał czas jakiś w ich sąsiedztwie. Naszém zdaniem, a sądzimy iż wielu znawców rzeczy krajowych zgodzi się na nie, zadatkiem całej tój ludowej formacyi było owo zawiązanie się w r. 1526 jednolitego bartniczego bractwa w tychże puszczech, tudzież pewną odrębność warunków życia. Nazwa *Kurpiów* występuje dopiero w dwóch ostatnich wiekach. Powstała ona w czasach, w których okoliczny lud mazowiecki zarzuciwszy łyczane obuwie (dotąd przez leśną Litwę i Ruś noszone) i zapomniawszy że sam chodził w *kurpiach*, zaczął niemi przezywać mieszkańców puszczy, którzy mając podostatkiem łyka, do ostatnich czasów zachowywali stary zwyczaj. Dostrzeżone przez niektórych pewne podobieństwo charakteru Kurpiów z mieszkańcami Karpat, jest w istocie niczém więcej jak psychologicznym wy wpływem swobody życia wśród gór Karpackich i borów Mazowsza. Swoboda ta wydawała owoce różnorodne, względnie do ustroju ducha ludzkiego. Wolny np. góral i wolny Kurp prędzej od innych poczuli potrzebę podniesienia swój dziatwy przez oświatę, posyłając ją chętnie do szkół gdy są w stanie. Z drugiej strony wśród swoich gór i puszczy będąc mniżej krepowani prawem społecznego porządku, jedni dostarczali słynnych opryszków, o drugich mówi uchwała z r. 1736 iż „do rebelii skłonni kurpikowie,“ czyli do wojen powiatowych i zajazdów szlacheckich, których oni jako stronnicy króla z krwi narodowej na partyi saskiej dopuszczali się.

Kraina Kurpiów nie przedstawiała jako tako zaokrąglonej przestrzeni, bo, względnie do konturów puszczy położonych aż w czterech ziemiach: Łomżyńskiej, Ciechanowskiej, Rożańskiej i Nurskiej, ciągnęła się szerszym, węższym lub przerywanym pasem z północy od granicy pruskiej na południe do rzeki Bugu, od Myszyńca do Wyszkowa i Broku. W ziemi Wizkiej (jak to mylnie napisał Tomasz Święcki), ani we wschodniej połowie Łomżyńskiej i Nurskiej Kurpiów nigdy nie by-

<sup>1)</sup> *Sylvan* t. XIV s. 390 i dalsze.

to. W powiecie Zambrowskim jest tylko mała i niezbyt dawna leśna osada *Kurpiki*, nazwana tak zapewne od kilku *Kurpików*, którzy tu mogli przypadkowo się zabłąkać.

Tak tedy w zeszłym stuleciu i bieżącym przypadło w udziale Kurpiom owo karczowanie długo nietkniętych borów ostrołęckich, co spełniła, już od kilku wieków w sąsiednich powiatach szlachta łomżyńska. Szlachta powyższa podobnie jak sąsiednia bielska założyła w swęj ziemi mnóstwo gniazd t. j. wsi i dworów które zamieszkawszy, bądź nadała im swoje nazwisko, bądź utworzyła z miejscowego własne z przymiotnikową końcówką. Kapica w swoim *herbarzu* wylicza mnóstwo tych gniazd, które podajemy tu poczęści ze względu że przy dziele jego niema żadnego skorowidza, dodając te których Kopica nie wymienia, tudzież wiek lub rok w którym nazwy znajdujemy w aktach zapisane: Bagienice (r. 1437), Bagienice v. Bagieńskie (r. 1612), gniazda Bagieńskich—Bacze (r. 1398): B. Mokre, B. Suche, B. Zbrzeźnica <sup>1)</sup>, gniazda Baczewskich—Barzykowo (1676), g. Barzykowskich—Białosuknie (r. 1432): B. Popki, B. Wrzącystok, g. Białosukniów—Białobrzeg (r. 1393), g. Białobrzeskich—Biedrzyce (r. 1461), g. Biedrzyckich—Boguszyce (r. 1407): B. Stare, B. Andrzejki, B. Kisiołki, B. Warchoły Pączkowizna, B. Zagroby, g. Boguskich—Borkowo (r. 1413), g. Borkowskich—Borowce Mierzejewo (r. 1483), g. Borowskich—Braciszewo (r. 1441) później Brajczewo Mały-stok, g. Braciszewskich—Brulino (r. 1676), g. Brulińskich v. Bruleńskich—Brzozowo (r. 1676), g. Brzozowskich—Brzoski (w XVII), g. Brzosek—Buczyno (r. 1422), g. Buczyńskich—Budziszki Gniazdowo (r. 1676), g. Budziszewskich—Cedry (r. 1496): C. Złotystok, C. Kupiski, g. Cedrowskich—Chłudnie (r. 1413): Ch. Waśki, Ch. Kupnina, Ch. Brzegietne, g. Chłudzińskich—Chumielewo (r. 1676), g. Chumielewskich—Chełsty (r. 1676), g. Chełstowskich—Chojny (w XV): Ch. Stare, Ch. Naroszczki, Ch. Śmieszce, g. Chojnowskich—Cholewy (1414), g. Cholewińskich—Chorzela Sulkwostok (r. 1476), g. Chorzelskich—Choromany (r. 1421): Ch. Lubicze, Ch. Witnica, g. Choromańskich—Chrostowo Sawały (r. 1477), g. Chrostowskich—Ciecioriki Dąb (r. 1432), g. Cieciorków i Ciecierskich—Ciborzy (r. 1456): C. Gateckie, C. Krupy, C. Chrzczony, C. Marki, C. Witki, C. Kołaczki, g. Ciborowskich—Czaplice (r. 1436): Cz. Wielkie, Cz. Osolne, g. Czaplickich—Ćwikły (r. 1565): C. Rupie, C. Dąb, g. Cwikłów—Czachy Kołaki (r. 1676), g. Czachowskich—Cwaliny (r. 1440): C. Wielkie v. Duże, C. Małe—Czartorya (r. 1459): Cz. Krzyki, Cz. Pękale, Cz. Wydźgi, g. Czartoryskich h. Lubicz—Czarnów (r. 1505), i Czarnowo (r. 1418): Cz. Dąb, Cz. Uńdy, g. Czarnowskich—Czochanie (r. 1423):

<sup>1)</sup> Nazwa *Bacze* pochodzi od starożytnego imienia osobowego *Bacz*, *Bac*. Już w przywileju Henryka ks. Sandomierskiego z r. 1153 many wymienione w Chrobacyi imie *Bac*. Tutaj zaś Baczami nazwano ziemię i wieś należące do szlachty mazowieckiej Baczów. W Krakowskiem jest także rzeczka Brzeźnica czyli z brzozowych lasów płynąca.

Cz. Stare v. Góra, Cz. Dabrochy, g. Czochońskich—Dąbek Milan <sup>1)</sup> (r. 1440), g. Dąbkowskich—Dłużniewo (r. 1421), g. Dłużniewskich—Długoborz (r. 1471), g. Długoborskich—Dobki (r. 1676): D. Stare, D. Nowe, g. Dobkowskich—Drożewo (r. 1415), g. Drożewskich—Drożęcín (r. 1411): D. Lubiejewo, D. Stary, g. Drożęckich—Drogoszewo (r. 1676), g. Drogoszewskich—Duchny (r. 1441), g. Duchnowskich—Dzbądzek (r. 1676), czy nie g. Zbąskich?—Dziegiciele (r. 1676), g. Dziegielewskich—Dzierzbia (r. 1416), g. Dzierzbickich—Dzierzgi (r. 1465), g. Dzierzgowskich—Filipki (r. 1676): F. wielkie Łowczewo, F. małe Łowczewo, g. Filipkowskich—Faszcze Jabłoń (r. 1676), g. Faszczewskich i Faszczów—Gać Sokola-łaka (r. 1438), g. Gackich <sup>2)</sup>—Gawki (r. 1563), g. Gawkowskich i Gaweckich—Glinki (r. 1676), g. Glinków—Głodowo Dąb (r. 1457), g. Głodowskich—Gorskie v. Wýkowo Gorskie (r. 1676) i Gorskie Ponikty-stok (w XV), g. Gorskich—Goski Witnica (r. 1676) i Goski (r. 1676): G. Boruty, G. Farnowo, g. Gosków—Gorki Szewkowo (r. 1676), g. Gorskich—Gosie (r. 1465): G. Leśnica, G. Sokola łaka, G. Otole, G. Wybrany, g. Gosiewskich—Grabowo, w różnych stronach ziemi Łomżyńskiej jest 7 wsi tego nazwiska a mianowicie: G. (r. 1439) Stare i Nowe, G. Małe i Duże, G. Wądołowo, G. Dobrzyca (r. 1612), Grabowo, g. Grabowskich jak również i Grabowskie (r. 1676)—Grochy pogorzal (r. 1676), g. Grochowskich—Grądy Woniecko (r. 1676) i drugie Grądy (r. 1676) g. Grądzkich znanych w Łomżyńskim od wieku XV <sup>3)</sup>—Grzymały (w XV): G. Zalesie (r. 1454), G. Bełczący-stok, g. Grzymałów—Gromadzyno (w. XVI): G. Stare, G. Nowe, g. Gromadzkich—Gronostaje Puszcza, dawniej Hronostaje (r. 1470), g. Gronostajskich—Gumowo Wielkie (w. XV), g. Gumowskich—Gumki (r. 1481) g. Gumkowskich—Guty (r. 1676): G. Podenki, G. Podleśne, g. Gutowskich—Jakać (r. 1552): J. Stara, J. Młoda, J. Borki, g. Jakackich—Janikowo (r. 1436), g. Janikowskich—Janowo (1443), g. Janowskich—Jarnuty dawniej Jarnoty v. Jarnuły (r. 1431), g. Jarnurowskich i Jarnurowskich—Jawory (r. 1474), g. Jaworów i Jaworowskich—Jemielite (w. XVI): J. Stare, J. Kolby, J. Wypychy—Kaczyńskie—Kaęczyn (w. XVI)—Kalinówka (w. XVI): K. Basie, K. Bystry. K. Wielobory, g. Kalinowskich—Karwowo Konotopa (w. XVI), g. Karwowskich—Kielce (w. XVI), podobno dawniej Kielce: K. Kopki,

<sup>1)</sup> Milan oznaczało niegdyś herb Ślepowron.

<sup>2)</sup> Pan Wojciechowski w wyborném swém dziele *Chrobacya*, między nazwami, których znaczenia nie doszedł wymienia *gać*. Otóż powiedzieć może, że *gać* znaczyło tu niegdyś groblę, grodzoną lub jaz, a *gacić*, *hacić* znaczy dotąd grodzień na rzece lub błocie, jaz zakładać.

<sup>3)</sup> *Grądy* przytoczone w uczoném dziele p. Wojciechowskiego jako wyraz niewytłumaczony, znaczą tutaj wszelkie łądy i łąki w śród trzęsawisk i odnóg rzecznych; wyraz będący na północném Mazowszu i Podlasiu w powszechnym dotąd użytku.



K. Stare, g. Kiełczewskich—Kleczkowo (r. 1422), g. Kleczkowskich—Klimasze Jabłoń (r. 1676), g. Klimaszewskich—Kisielnica (r. 1465), g. Kisielnickich—Kobyłino (w. XV), g. Kobylińskich—Kołaki (r. 1421), Kołaki Wietrzychowo v. Strumiłowo (w. XVI), g. Kołakowskich—Kołaczki Lemiesze (r. 1676), g. Kołaczkowskich—Kołomya (r. 1414), g. Kołomyjskich—Konopki (wsi tego nazwiska z rozmaitemi przydomkami w różnych okolicach ziemi Łomżyńskiej jest 10, a wszystkie są gniazdami Konopków z w. XV i XVI; niektóre są wcześniejsze—Koty (r. 1441) g. Kotowskich <sup>1)</sup>—Kossaki (w. XV): K. Borowe, K. Falki, K. Nadbielne, K. Ostatki, g. Kossakowskich—Korytki (r. 1676), g. Korytkowskich—Koskowo (w. XVI); g. Koskowskich—Korczaki (r. 1676); g. Korczakowskich—Kowalewo (w. XVI), g. Kowalewskich—Koziki (w. XVI), g. Kozikowskich—Krajewo (r. 1413): K. Białe, K. Borowe, K. Ćwikły, K. Korytki, K. Łętowo, K. Stare Gąsioro Padochy, K. Białabiel, gniazda Krajewskich równie rozrodzonych w z. Łomżyńskiej jak Konopkowie—Kruki (r. 1428), g. Krukowskich—Kruszewo (r. 1426), g. Kruszewskich—Krzewo (w. XV): K. Stare, K. Nowe, K. Plebanki, g. Krzewskich—Kumelsk (r. 1425), g. Kumelskich podobno już wygasłych—Kurpie (w. XV), g. Kurpiewskich <sup>2)</sup>—Kurzątki (r. 1411), g. Kurzątkowskich (dziś niema podobnej wsi w ziemi Łomżyńskiej)—Lachowo (r. 1437)—Leśniewo (r. 1466), g. Leśniewskich—Lutostań (r. 1473), g. Lutostańskich—Łady (w. XVI): Ł. Polne, Ł. Borowe, g. Ładów—Łaś Toczyłowo (r. 1428), g. Łaskich—Łętownica (w. XVI): Ł. Czartosy, Ł. Zagroby, Ł. Dąbki, Ł. Sasiny, Ł. Grochy, g. Łętowskich—Łętowo (r. 1444), g. Łętowskich—Łuby (w. XVI): Ł. Wielkie v. Kurki, Ł. Kiertany i trzecie Łuby, g. Łubów—Łubnica Krusze (r. 1426)—Maleszewo (r. 1430): M. Łynki, M. Porkusze, g. Maleszewskich—Meżenin (r. 1423), g. Meżeńskich, dwie są wsie tego nazwiska—Miastkowo (r. 1413), g. Miastkowskich—Mieczki (r. 1405): M. Ziemaki, M. Pozimaki (r. 1403), M. Abramy, M. Małyptock (r. 1676), gniazda Mieczkowskich—Mieszki g. Mieszkowskich—Mierzejewo (r. 1473): M. Zamość, M. Drwęcz, M. Zapieczne, M. Janki Stare, M. Janki Młode, M. Przeczki, M. Borawce, M. Wielgouchy, M. Jarnuty, M. Repki, M. Wojsze, M. Tomasze, M. Jancyki, M. Czamrowina, M. Bobine, g. Mierzejewskich—Milewo Białodwory (r. 1444), M. Sokola Łąka (r. 1454), M. Wielkie (w. XVI), gniazda Milewskich—Modzele (r. 1403): M. Starawieś, M. Skudosze, M. Wypychy, M. Górki, gniazda Mozelewskich—Murawy (r. 1676), g. Murawskich—Nagorki (w. XVI), g. Nagorskich, dwie są wsie tego nazwiska—Obidzino (r. 1416), g. Obidzińskich—Olszewo (w. XV): O. Borki, O. Gąbowizna, O. Przyborowo, g. g. Olsze-

<sup>1)</sup> Jest tu przysłowie. Lutostań, Koty, pierścień złoty,  
Gać, Gronostaje, chleba niestaje.

<sup>2)</sup> Nie jest to bynajmniej dowód, że lud Kurpie był już wtedy znany na Mazowszu, ale że wyraz *kurpie* oznaczający łyżcane obuwie dzisiaj, był już używany w dawniej polszczyźnie.

wskich—Ożary (w. XVI), g. Ożarowskich—Pesy (w. XV), g. Pęzów, dwie są wsie tego nazwiska i trzecia Penza—Piski (r. 1403), g. Piskowskich—Podosię (r. 1440), g. Podoskich—Poryte (r. 1375), g. Poryckich, było dwie wsie tego nazwiska w ziemi Łomżyńskiej, niewiadomo zaś do której data powyższa się stosuje.—Prószki v. Pruski (r. 1433): P. Jabłon, P. Wielkie, P. Małe, g. g. Prószkowskich i Pruszyńskich—Przeddziecko (w. XV): P. Drogoszewo, P. Jachy, g. Przeddzieckich i Drogoszewskich—Pstragi (r. 1465)—Puchaty (r. 1421), g. Puchalskich—Radgoszcz (r. 1459): R. Gędory, R. Niedźwieck, g. Radgowskich—Rakowo (r. 1433): R. Chmielewo, R. Podleśne, R. Zalesie, g. Rakowskich—Ratowo (r. 1415): R. Stare, R. Piotrowo—Rembiszewo (w. XV): R. Studzianki, R. Żegadły (r. 1472), R. Rzębiki, g. Rembiszewskich—Rogienice (r. 1436): R. Piaseczne, R. Wielkie, R. Wypychy—Rostki (w. XVI), g. Rostkowskich—Rudniki, g. Rudnickich—Rutki (w. XV), g. Rutkowskich—Rydzewo (w. XVI), g. Rydzewskich—Rykacze Sulkowstok (r. 1423), g. Rykaczewskich—Sanie Dąb (r. 1676), g. Saniewskich—Szczawin (w. XVI), g. Szczawińskich—Szczepanków (r. 1169)—Sędziwuje (r. 1437)—Siemień (r. 1431), g. Siemieńskich—Sierzputy (r. 1421): S. Stare Dąbrowa, S. Stare Marki, S. Młode, g. Sierzputowskich—Skarzyno (r. 1436): S. Starawieś, S. Nowawieś, S. Abramy, g. Skarzyńskich—Skroda (r. 1432): S. Mała, S. Wielka, g. Skrodzkich—Śledzie dawniej Śledziowe (r. 1393), g. Śledziewskich—Śliwowo Kopianite (r. 1474), g. Śliwowskich—Ślasy (r. 1462): Ś. Kopianite, Ś. Lipno, Ś. Mieszki, g. Śleszyńskich—Sławiec dawniej Sławc (r. 1466), g. Sławskich—Śmiarowo (r. 1676), g. Śmiarowskich—Stroiłowo (r. 1608), g. Stroiłowskich, czy nie Strumiłowo, gdyż dziś niema w ziemi Łomżyńskiej takiej wsi—Strękowo (r. 1443) zwane także dawniej Niebocząc czy Niemocząc, g. Strękowskich—Stylągi (r. 1483), g. Stylągowskich—Strzeszewo Witoszewo (w. XVI), g. Strzeszewskich—Suski (r. 1408), g. Suskich—Świętki Wertyce (w. XVII), g. Świecińskich—Szabły v. Szabłowo (r. 1438), g. Szabłowskich—Szumowo góry (r. 1676), g. Szumowskich—Tabędz Kałęczyn (r. 1454), g. Tabęckich—Tafiły (r. 1676), g. Tafiłowskich—Tarnowo (r. 1417), g. Tarnowskich—Targonie (r. 1413): T. Krytuły, T. Wielkie, T. Wity, g. Targońskich—Trzozyn (r. 1444)—Truszki (r. 1421), w powiecie Kolnieńskim i Łomżyńskim leżą: T. Patory, T. Zalesie, T. Kucze, T. Kruki, T. Pikule, T. Sapki, g. g. Truszkowskich—Trzaski (w. XVI), g. Trzasków—Tyszki (r. 1393), w powiecie Łomżyńskim i Kolnieńskim leżą: T. Pierogi Wądołowo, T. Łabno, T., Andrzejki, T. Ciągaczki, T. Pomiany, T. Filochy, T. Piotrowo, T. Gostery, g. g. Tyszków—Uszyńskie Tybory (r. 1493), g. Uszyńskich—Wagi (w. XVI), g. rodziny Wągów, która w wieku przeszłym i bieżącym kilku uczonych wydała—Walochy (r. 1437): W. Ciepłystok, W. Kałęczyn, W. Mońki, g. Waloarów—Wądołki (r. 1483), pięć wsi tego nazwiska z różnemi przydomkami znajduje się tu i owdzie w ziemi Łomżyńskiej, gniazda licznie rozrodzonych Wądołowskich i Wądołkowskich—Chlewiotki v. Chlebotki Wądołowo:

Stare i Nowe (r. 1421), g. Wądołowskich a niegdyś Chlewiotków—  
 Wieczorki, może g. Wieczorkowskich—Wierzbowo Zambrzyce (r. 1470),  
 i W. Kopańki (w. XVI), g. g. Wierzbowskich—Wilczewo, g. Wilcze-  
 wskich—Wiszowate (r. 1496), g. Wiszowatych—Wiśniewo Dąb (r. 1423):  
 W. Wielkie, Wiśniówko, Wiśniówek Wertyce (r. 1676), g. g. Wiśniewskich  
 —Włodki (w. XVI), g. Włodkowskich—Wróble Jaruszewo (r. 1676),  
 g. Wróblewskich—Wścieklice (w. XV), g. Wściekliców—Wszebory (r.  
 1468), g. Wszeborowskich—Wykowo (r. 1490)—Wyrzyki (r. 1457):  
 W. Sokolałaka, W. Nowawieś, g. Wyrzykowskich—Wysokie Wielkie  
 i Małe (r. 1676), g. Wysockich—Zaborowo (w. XVI), g. Zaborowskich—  
 Zakrzewo (r. 1423): Z. Stare, Z. Nowe, Z. Zagroby, g. Zakrzewskich—  
 Zalesie (r. 1400), g. Zaleskich, trzy są wsie tego nazwiska—Załuski  
 (r. 1493), g. Załusków—Zambrzyce (r. 1423): Z. Stare, Z. Nowe, Z.  
 Plewki, Z. Króle, Z. Kapusty, Z. Jankowo, g. Zambrzyckich—Zanie  
 Leśnica (w. XVI), g. Zanieskich—Zaręby (w. XVI): Z. Jartuzy, Z.  
 Stryjki, g. Zarębów—Zawady, nad Śliną (r. 1442), g. Zawadzkich—  
 Zabino (r. 1676), g. Żabińskich—Żarnowiec (r. 1421), g. Żarnowie-  
 ckich, dziś już nie istnieje ta nazwa—Żebry Wybranowo (r. 1403—1417),  
 g. Żebrowskich—Żmijewo, i Żmijewko (w. XVI), g. Żmijewskich—  
 Zochy (r. 1443), g. Zochowskich—Żyznowo (w. XVI), g. Żyznowskich.

Przypominamy, iż wsie powyżej wymienione są to tylko gniazd-  
 we, t. j. mające związek z nazwiskami domów szlacheckich, które mniej  
 lub więcej rozrodzone, zamożne lub ubogie, w liczbie około 300 zamie-  
 szkiwały ziemię Łomżyńską, (nie mówimy tu wcale o ilości rodzin).  
 Jeżelibyśmy jednak odcieśli z tej liczby takie, które w sąsiednich zie-  
 miach Mazowsza i Podlasia miały tej samej nazwy gniazda i tych sa-  
 mych nazwisk używały, to ilość domów, właściwych tylko naszej ziemi,  
 zmniejszy się blisko do połowy. Niektóre domy szlachty łomżyńskiej  
 miały dość rozległe posiadłości, inne rozrodziły się i zdrobniały nie-  
 miernie. Ztąd wiele wiosek powyżej wymienionych, należy dziś do  
 cząstkowej szlachty, inne znowu do włościan i dworów. Z ogólnej zaś  
 liczby dzisiejszych siół ziemi Łomżyńskiej (t. j. gniazdowych i niegna-  
 zdowych), mniejsza połowa jest własnością włościan, dworów i rządu,  
 a większa w liczbie trzystu kilkudziesięciu zostaje w posiadaniu tej  
 szlachty. Dokładnych cyfr postawić tu nie można, gdyż prawie każdy  
 rok przynosi jakieś zmiany, choć nieznaczne. I tak: w ostatnich paru  
 wiekach możniejsza szlachta skupując ziemię od uboższej i tworząc fol-  
 warki, zmniejszyła liczbę wsi cząstkowych o kilkadziesiąt<sup>1)</sup>. Przeci-  
 wny znowu prąd ustalony od lat kilkunastu, jako skutek zmiany społe-  
 cznych stosunków w kraju, zmniejsza z każdym rokiem liczbę folwar-  
 ków, rozkupywanych przez drobnych właścicieli. W ich bowiem rękę  
 znalazło się mnóstwo kapitałików, że zaś do żadnych papierów procen-  
 towych nie mają zaufania, więc najdrożej kupiona ziemia przynosi im  
 większy dochód niż martwa gotówka.

<sup>1)</sup> Folwark np. Grądy w pow. Zambrowskim należał dawniej do czą-  
 stkowych właścicieli.



Największa ilość drobnej szlachty stosunkowo do włościan i większych posiadaczy znajdowała się w powiecie Zambrowskim, który mniejszy od innych, bo obejmujący zaledwie około 12 mil □, stanowił południowo-wschodnią część ziemi Łomżyńskiej. Ciągnął się powiat ten pasem około dwie mile szerokim a pięć i pół długim z południozachodu od *Czerwonego boru* i rzeczki Broczku na północo-wschód ku Tykocinowi do ujścia rzeki Śliny w Narew, wchodząc tym sposobem klinem między ziemią Wizką i Bielską. Narew stanowiła północną granicę powiatu, którego część w tej stronie zajmowały błota zwane *bielami* (od błotnej rośliny z białym puchem) i łąki nadrzeczne, zwane *półwami* (od corocznych wiosennych zalewów czyli polewów) <sup>1)</sup>. Cztery parafie całkowite: Zambrowska, Kołakowska, Rutkowska i Zawadzka i części trzech innych: Puchalskiej, Wizkiej i Rosockiej składały się na ów powiat obejmujący 160 nomenklatur: siół, przysiółków lub folwarków. W tej liczbie było i jest obecnie 128 wsi zamieszkałych wyłącznie przez cząstkową szlachtę, reszta odchodzi bądź na wsie włościańskie rządowe i większych właścicieli, bądź mieszane czyli wspólnie przez włościan i drobną szlachtę osiedlone, tudzież na folwarki których tylko kilkanaście w całym powiecie istnieje. Według *Tabeli miast i wsi królestwa Polskiego* (czyli według ścisłego obliczenia ludności i dymów dokonanego przez wzorową administrację krajową przed pół wiekiem), w owych tylko 128 wsiach cząstkowej szlachty było przeszło 11,000, jęj pogłowia zamieszkałego pod 1735 strzechami. Dziś liczba tej szlachty licząc razem z mieszkającą we wsiach mieszanych lub zostającą w służbie u możniejszych wynosi na przestrzeni Zambrowskiego powiatu z górą 18,000, czyli przeszło półtora tysiąca na każdą milę □.

Jakkolwiek o liczbie ludności tych stron w czasach dawniejszych, nigdy się nie dowiemy dla braku źródeł statystycznych, mamy jednak ważne skazówki, że od kilku wieków była ona już dość znaczną, znaczniejsza jak się niektórym zdaje, czyli że procent przyrostu (z wyjątkiem ostatnich czasów) był stosunkowo słaby. Prace najznakomitszych statystyków wykazały, że pod wpływem cywilizacji i wzrastającej opieki nad człowiekiem zmniejsza się stosunek śmiertelności. Nie mówimy tu o wojnach, także nie znaczy to wcale, aby ludzie sędziwi dłużej dziś żyli, ale że większa liczba z urodzonych dosięga dojrzałych lat. Na słabszy przyrost ludności w minionych wiekach nie tylko wpływała owa większa śmiertelność dzieci i owe historyczne pomory całych miast i okolic, ale nadto na Mazowszu była przyczyna lokalna w prądzie emigracyjnym, który tak jak w średnich wiekach parł Mazurów w górę ich rzek, dopóki się nie zetknęli z Litwą i Jadźwingami, tak później rozprasał ich po wszystkich stronach byłej Rzeczypospolitej. Przypatrzmy się tylko szczegółowej karcie Inflant polskich i Białej-Rusi, a znajdziemy nad Dźwiną i za Dźwiną kilkanaście wiosek zwanych

<sup>1)</sup> Obiedwie te nazwy spotykamy już w wieku XV.

*Mazury*; przejrzymy nazwiska wszystkiej szlachty litewskiej a napotkamy wśród niej np. Zambrzyckich i wielu innych, których gniazda leżą w powiecie Zambrowskim; połowa szlachty ziemi Bielskiej na Podlasiu przybyła w wieku XV z ziemi Łomżyńskiej i Ciechanowskiej, jak o tém w opisie téj ziemi powiedzieliśmy dawniej. Emigracya mazowiecka, której setki dowodów mamy na każdym kroku, trwa nawet dotąd, gdy np. blisko połowa sług w Warszawie i oficyalistów w bliższych okolicach Litwy werbuje się z cząstkowej szlachty. Te wszystkie okoliczności wzięte razem nader wymownie dowodzą, że zaludnienie tych okolic przez pogłowie szlacheckie było już przed kilku wiekami znaczne, czego i faktyczne podamy dowody. Oto na granicy powiatu Zambrowskiego leżą w ziemi Bielskiej trzy wsie: Grodzkie Stare, Grodzkie Nowe i Grodzkie Szczepanowięta. Dziś liczą one razem około 60 dymów, w *tabeli* z r. 1827 widzimy w tych wsiach także dymów 60, a w *Taryfie* z r. 1775 znajdujemy nawet o jeden dym więcej, właścicieli zaś czterdziestu kilku. W r. 1569 z tychże wiosek stanęło do przysięgi w grodzie brańskim szlachty 28, których imiona osobiste i ojców podaje Kapica w *herbarzu* na str. 124. To było na Podlasiu, a teraz drugi dowód bardziej uderzający przytoczymy w samym powiecie Zambrowskim, w którym między innemi znajdują się trzy wioski *Konopki*, założone niegdyś przez Konopków na dzielnicy zwanéj Pokrzywnicą lub Koprzywnicą. Dziś jest w tych wsiach czterdziestu kilku właścicieli, przed pół wiekiem *tabela* wykazuje w nich dymów 43 i ludności całkowitéj głów 300. Że zaś przed półczwarta wiekiem ludność w Konopkach musiała być do dzisiejszój zbliżoną, dowodem tego jest, iż w r. 1521 staje w grodzie Zambrowskim cały tłum bo 58 panów Konopków współdziedziców z Koprzywnicy, których imiona tu podajemy: Augustyn, Piotr, Stefan, Józef, Zygmunt, Samson, Marek, Trojan synowie Mikołaja; Bogdan, Jakób, Maciej synowie Jana; Wacław, Stanisław, Mikołaj, Jan, Maciej synowie Piotra; Jan, Łukasz synowie niegdyś Adama; Dobrosław, Daćbóg, Wojciech synowie Stanisława; Klemens, Nadbor, Paweł synowie Nadbora; Mikołaj, Jan, Wojciech, Stefan synowie Wawrzyńca; Wojciech, Stanisław, Wit, Jan synowie Pawła; Piotr, Wojciech, Mateusz, Sandek, Stanisław, Jan, Andrzej synowie Wojciecha; Grzegórz, Maciej synowie Mikołaja; Mikołaj syn Wojciecha; Stanisław syn Stefana; Bartłomiej, Mikołaj, Maciej, Wojciech synowie Stefana, Wojciech, Maciej synowie Marcina; Wojciech, Maciej, Mikołaj, Jan synowie Piotra; Wojciech, Maciej, Jakób synowie Wojciecha, Stanisław syn Stefana, i Maciej syn Marka <sup>1)</sup>.

Już w opisie ziemi Bielskiej mówiłem o przyczynie, dla której każda wieś szlachecka ma dwie a niekiedy więcej nazw, co stosuje się zarówno do Podlasia jak Mazowsza. Czytelnik przypomni sobie, że zwykłym tego powodem było przybywanie coraz nowych siół na jednéj

<sup>1)</sup> Herbarz Ignacego Kapicy Milewskiego str. 193.

*dzielnicy*, której miano służyło wszystkim tym osadom, lecz przybierającym po drugiej szczegółowej nazwie, najczęściej od imienia osobowego swego założyciela lub posiadacza wziętą. Ponieważ pierwotne siedliska wszystkie zakładano tu nad strumieniami, więc prawie każda dzielnica miała swój ruczaj, od którego często, jeżeli nie od imienia osobowego, nadawano jej nazwę. Strumienie te musiano zwać *stokami*, gdy mamy dzielnice w ziemi Łomżyńskiej: *Wrzący-stok*, *Złoty-stok*, *Sulkow-stok*, (czyli stok Sulka, Sulisława), *Ponikły-stok* <sup>1)</sup>, *Belezący stok*, *Jałbrzyków-stok*, (t. j. stok Jałbrzyka, Alberta czyli Wojciecha) i *Ciepły-stok*. Na Podlasiu mamy *Biały-stok*, *Wysoki-stok*, *Stoczek*; w województwie Trockiem *Różany-stok* i t. d. Były to nazwy zarówno strumieni jak leżących nad nimi osad, które od tych strumieni wzięły miano. To samo stosowało się i do innych nazw stoków, np. w powiecie Zambrowskim płynie od wsi Jabłonki rzeczka Jabłoń a kilkanaście wsi nad nią założonych w XIV i XV wieku, nosiły oprócz nazw szczegółowych jedną ogólną *Jabłoń*; było więc: Poryte Jabłoń, Taszcze Jabłoni i t. d. Nad wpadającym do Jabłoni strumykiem *Dąb* leżały: Cieciorki Dąb, Gardlino Dąb, Ćwikły Dąb, Wiśniewo Dąb, Łętowo Dąb i Gałasze Dąb. W skutek wytrzebienia borów wiele strumieni wyschło, a tylko w archiwach i nazwach wiosek zostało ich świadectwo. Np. przez wieś Gałasze Dąb nie płynie już wcale Dąb a przez wieś Kołomyę nie płynie Kołomya, chyba gdy śniegi na wiosnę topnieją, a jednak pod r. 1414 czytamy: „50 mansos Kołomyia nuncupatos, super *rivulo Kolomyie*” i t. d. Nad Zambrzycą leżały wsie Zambrzyce, nad Leśnicą każda wieś miała przydomek Leśnicy. Strumienie Mazowieckie płynąc wśród borów, od drzew brały swą nazwę. Gdy słyszymy w tych stronach o: *Leśnicy*, *Zbrzeźnicy*, *Wiśnicy*, *Słiwówkach*, *Rokitnicy*, *Jabłoni*, *Dębie* i t. d., wyobrażamy sobie dziewicze gaje tych drzew, od których nadawali Mazurzy nazwy szemrzącym w ich wiecznym cieniu ruczajom, których brzegi sami osiadłszy, mogli się dzielić tak wtedy na strumienie, jak później na *trakty*, *okolice* i *parafie*.

Do późniejszych nazw należą uformowane ze szlacheckich nazwisk zakończonych na *ski*, *cki* użytych w liczbie mnogiej ze staroświecką końcówką *skie*, *ckie*, np. Górskie, Grabowskie, Uszyńskie, Gackie i t. d. Ma to znaczyć: Górscy, Grabowscy, Uszyńscy i Gaccy, tylko że końcówka *scy* i *cy* nie była znaną dawniej w mowie ludowej tych okolic ale *skie* i *ckie*. W dawnych aktach wszędzie tę formę napotykamy, a dotąd starzy ludzie często jej tu używają.

Gdy mowa o przechowanej stariej właściwości językowej, niechże mi wolno będzie wspomnieć tu i o jednej z obyczajowych tradycyjnie u cząstkowej szlachty przekazywanej. Oto gdy synowie dzielą się ojcowską *habendą*, brat najstarszy (należąc do równego z innymi podziału) bierze w polu, lesie, łące i ogrodzie dział od południa lub

<sup>1)</sup> W Krakowskim slyszalem w okolicy Lipowca jak lud nazywał każde źródło *ponikiem*.



wschodu, najmłodszy (jako najpóźniej na świat przybyły), od zachodu lub północy. Najmłodszy bierze w domu główną *izbę z alkierzem* czyli *bokówką* lub komorą, najstarszy zaś *światelkę* czyli maleńką izdebkę z oddzielnym wejściem z sieni. Było to prawo uświęcone obyczajem dla przecięcia sporów między braćmi.

W mowie mazowieckiej północo-wschodniej używanej po granicę dyalektu litewskiego i rusińskiego, na znacznej przestrzeni od Sejny i Suwałk aż po Bug, charakterystycznym jest brak nachylania brzmienia *a* w *o*, które słyszymy w południowym Mazowszu, Chrobacy i Wielkopolsce, gdzie prawie samo *o* w mowie ludowej wszędzie czuć się daje. Postępując z północy zaczyna się dopiero to nachylanie w dość słabym stopniu u Kurpiów, którzy z dziwną czystością przechowują wiele dźwięków nosowych, jakich zbadaniem na miejscu powinienby się zająć który z uprawiających mowę rodzinną <sup>1)</sup>. Lud mazowiecki, na północo-wschód od Kurpiów zamieszkały, mówi, pod względem braku nachylania *a*, językiem dzisiejszych ksiązek, z wyjątkiem kilku wyrazów do których należy przysłówek *własnie*—właśnie. Przechował on także mnóstwo polskich archaizmów (które mamy spisane). Co do dyalektu ludowego w ziemi Łomżyńskiej, to najprzód powiedzieć musimy, iż włościanie i cząstkowa szlachta w mowie swojej nie różnią się prawie od siebie z wyjątkiem tych, którzy, otarci w szkołach lub między ludźmi, ogładzili swój język. Na przestrzeni tej ziemi znajdujemy aż cztery dyalektowe odcienie nie ze względu różnic języka których tu nie ma, ale ze sposobu akcentowania wyrazów i wymawiania głosek. I tak: od granicy podlaskiej t. j. w powiecie Zambrowskim lud przeciąga po podlasku i prawie nie różni się w mowie od dyalektu polskiego w ziemi Bielskiej. Dalej na zachód w powiecie Łomżyńskim i Ostrołęckim na południe od Narwi, lud mniej przeciąga zbliżając się do akcentu mowy warszawskiej. Na północ zaś Narwi, między tą rzeką a granicą pruską mamy jeszcze dwa odcienie: Kurpie mają akcentowanie dziwnie odrębne, wybitnie mazowieckie, a ludność powiatu Kolnieńskiego mówi znowu tym samym akcentem co sąsiednia ziemia Wizka, podobnie jak dyalekt Kurpiów zbliżony jest do mowy przyległych Mazurów pruskich. Spółgłoski *m* i *n* mieszają się tu często, słyszymy więc *mić* zamiast *nić*, *nisa*—*misa* i t. p.; i miękczące spółgłoski przed samogłoskami wymawia się jak *j* np. *b'jedny*, *p'jes*, *w'joska*. To zmiękczenie do wysokiego stopnia, przemienia się aż w brzmienia syczące np. *b'ziedny*, *psies* i t. d. Mazowsze pruskie co do dyalektu i wiary stanowiło niegdyś jedną całość z łomżyńskim i wizkiem, dopiero wpływ niemiecki wyrobił pewne różnice w mowie i religii, którą zamieniono ludowi mazowieckiemu na protestancką, gdy duchowieństwo pruskie przeszło na to wyznanie.

<sup>1)</sup> Nie znam rozprawy p. Kryńskiego o dźwiękach nosowych w językach słowiańskich.

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Mowy Wiktora Hugo i Louis Blanc, na rzecz robotników wybierających się do Filadelfii. — Świat amerykański, podróż po Stanach Zjednoczonych p. Simoin. — Stany Zjednoczone pod względem obyczajów, instytucyi, wyobraźni, od końca wojny domowej, p. Claudio Jeanet. — Aleksander Stewart. — Wspomnienia z Barbison, przez p. Picdaquel. — Ludowy malarz Millet. — Towarzystwo Franklina: biblioteki ludowe. — Ksawery Thiviat. — Chemik Balard. — Podróż po wyższym Egipcie p. Karola Blanc. — Mowa Wiktora Hugo nad grobem pani Louis Blanc. — Prace kugwistyczne D-ra Rabinowicza: Gramatyka hebrajsko-niemiecka. — Nowe opery: Joanna d'Arc, Mermeta; Aida Verdego; Piccolino Wiktora Sardou, z muzyką p. Giraud. — P. Léger i publikacje warszawskie. — Dzieło dwóch Mandarynów o wojnie prusko-francuzkiej.

Francya oczyma i myślą zwrócona dziś ku Ameryce. Komitety krzątają się żywo; jedne organizują muzyczne zabawy i konferencye na pomnik nowoyorski, inne znów na podróż rzemieślników do Filadelfii. Na ten ostatni cel, rada municypalna paryzka zatwierdziła już 30,000 franków; do izby prawodawczej podano wniosek o zawotowanie 100,000; wszystko to jednak nie wystarcza. Po ścisłym obliczeniu pokazało się, że podróż i pobyt każdego robotnika w Filadelfii kosztować będzie do 1,800 fr.; że zaś Paryż posiada sześćdziesiąt korporacyi, licząc zatem z każdej po dwóch reprezentantów, potrzeba 200,000 fr. na drogę ich do Ameryki.

Ostatnią tę sprawę wzięli gorąco do serca dwaj koryfeusze idei demokratycznych, Wiktor Hugo i Louis Blanc. Urządzili oni poranek orficzny w teatrze *Chateau d'Eau*, każdy z nich miał mowę odpowiednią do okoliczności, dochód z poranku przeznaczono na zasilenie kassy rzemieślniczej, oprócz tego zbierano składki. Cel osiągnięty został, publiczność rozszarpała bilety; tłumy zaległy salę, ściany trzęsły się od oklasków na każde słowo Wiktora Hugo. Słowa te błyszczące jak race fajerwerku, jeśli upoiły wielką część słuchaczy dymem sypanych im kadzideł, wywołały za to silną protestacyą ludzi umiarkowanych. Dziś jeszcze walka toczy się po dziennikach, krytycy strzałami dowiecipu chłuszczą posiwiątego wieszca. Bolesnie nam patrzeć na takie poniewieranie największym geniuszem poetycznym, jaki w tym wieku wydała Francya; trudno jednak nie przyznać, że sam wieszcz podaje oręż w dłoni przeciwników.

„Wiktor Hugo — mówią krytycy — poszedł śladem braci swych w Apollinie: po wszystkie to czasy, zacząwszy od Horacego, poeci palili kadzidła na cześć wielkich. Dwieście lat temu Boileau, Racine, sam

nawet Moliere, korzyli się u stóp Ludwika XIV; tak samo Wiktor Hugo pochyła dziś głowę przed spadkobiercą wielkiego monarchy, przed ludem!“ I na dowód, rozjątrzeni krytycy wydobywają z arcydzieł poetów XVII wieku pojedyncze jakieś ustępy; przypominają jak Racine porównywał Ludwika XIV z Aleksandrem Wielkim, z powodu że niby bohater macedoński *przymusił ludy do milczenia*; przypominają, jak Moliere w przedmowie jednej dowodzi, że pożytecznym jest dla Francyi rozweselić króla choćby na chwilę, jak Boileau woła z udanym zachwytem:

Wielki królu, dość zwycięztw! lub... pisać przestane!

jak się wyraża z większą jeszcze przesadą:

Milczcie wichry, zwińcie skrzydła:  
O Ludwiku mówić mam!

Obok tych hyperbolicznych słów, złośliwy krytyk stawia dla porównania słowa Wiktora Hugo, wyrzeczone do króla XIX wieku: „Mężowie Paryża! niewiasty Paryża! dzieci Paryża! niech uczci chwałę waszą i złoży wam dzięki samotnik z białym włosem! Mężowie Paryża przemawiam do was głęboko poruszony. Wy jesteście inicjatorami postępu! wy jesteście ludem nad ludy! wy jesteście waleczną młodzieżą ludzkości nowiej! Starość ma prawo uczcić pokłonem młodzież. Pozwólcie mi oddać wam pokłon!“

Cała mowa wyrzeczona w tym duchu: „Idźcie pracownicy Francyi!—kończy poeta—idźcie robotnicy Paryża, którzy umiecie myśleć; idźcie robotnice Paryża, które umiecie walczyć! mężowie pożyteczni, niewiasty waleczne! idźcie gońce pomysłnej wieści! Powiedzcie nowemu światu, że stary świat krzepki dotąd i młody. Wy jesteście posłami braterstwa, przedstawicielami Guttemberga w kraju Franklina, Woltera w ojczyźnie Washingtona! Do sławnej Ameryki przybędziecie ze Wschodu, zorza sztandarem waszym!“

Ostatnim bukietem fajerwerku było gorące słowo na rzecz amnestyi komunardów, potwierdzone grzmiącym oklaskiem. Poeta dodał: „pokój ludziom!...“ czemuż przerwał w połowie sentencji ewangelicznej? czemuż nie dodał: „ludziom dobrej woli“? Ażaliiby powątpiewał o dobrej woli tych, dla których tak natarczywie woła o amnestyę?

I jakże ta ojczyzna Washingtona, która tyle zawdzięcza orężowi francuzkiemu, odpowiada na te oświadczenia braterstwa i miłości? Wprawdzie przyjęła okręt Labrador, pierwszy który przywiózł do Filadelfii płody geniuszu francuzkiego, salwą dział i grzmiącą Marsylian-ką, ale wierna zasadzie *Money ewery all* (pieniądz przedewszystkiemi!) nie opuściła ani jednego centa z bajecznego cła na towarach, wynoszącego przeszło połowę ich wartości. Co więcej, wbrew przyjętem wszędzie zwyczajom, podniosła cenę biletów na kolejach żelaznych. Po długich rokowaniach i to za wdaniem się Anglii, jedyne uczyniła



ustępstwo, że towary nie sprzedane przez wystawców, będą mogły wrócić do Europy, nie ulegając opłacie celnej. Tych szczegółów ekonomicznych dowiadujemy się z mowy p. Louis Blanc. Słowa jego mniej brzmiące od słów Wiktora Hugo, głębiej jeszcze wnikały do serca rzemieślniczego ludu, więcej zadowoliły miłość własną; gorący bowiem demokratą, pokazując konieczność podróży do Filadelfii, przesunął przed oczyma słuchaczy szereg wielkich dzieł, jakie świat zawdzięcza cichym pracownikom, których imiona nie przeszły nawet do potomności. „Musielibyśmy zapisać nie jedną księgę — rzekł Louis Blanc — aby wykazać, ile prace skromnych wyrobników przyczyniły bogactwa narodom. Oni to obmyślaniem licznych modyfikacyj potrafili zastosować maszynę parową do wszelkich gałęzi przemysłu: do popychania statków, mielenia ziarna, wyrobu żelaza, druku i t. p. Geniuszowi prostego robotnika z Kornwalii, Trewitika, zawdzięczamy cudowną maszynę, która udoskonalona przez Stephensona, stała się lokomotywą, co zmieni kiedyś postać świata. Lyonczyk Jacquart wynalazca maszyny tkackiej, syn robotnika, sam też był robotnikiem; Arkwright, zaczęł wynalazł ową przędzalnię bawełny, co się stała dla Anglii źródłem tak wielkich bogactw, ciężko zarabiał na chleb, gotąc brody w Bostonie.“

„Na czém polega wyższość jednego kraju nad drugim? — zapytuje dalej prelegent — czy na żyzności ziemi? czy na liczbie kopalni, rzek, albo przystani morskich? Są okolice szczydrze pod tym względem uposażone, a przecież lud tam wątpy, nędzny, zgłodniały! Widzimy tymczasem ludy, którym przyroda wszystkiego odmówiła, potężne jednak i bogate. „Niéma nic ani w powietrzu, ani na ziemi, mówił Macaulay, coby pozwalało Szkocyi zakwitnąć bujniej nad Egipt, Holandyi nad Sycylią. Cóż na to odpowiemy? Oto Szkocya uczynił Szkot, Holandya uczynił Holender!“

Louis Blanc pokazuje nareszcie Amerykę. „Dwa wieki temu — rzecze — ta ziemia na której wznoszą się dziś rękodzielnie, hotele, banki, kolegia, gmachy rządowe, gromadzące w sobie reprezentantów kwitnącego państwa, ta ziemia była koczowiskiem dzikich plemion: swobodnie się w niej legły pantery i niedźwiedzie. Zkądże dziś taka zmiana? ażali gleba stała się żyzniejszą, strumienie i rzeki obfitszemi? Ależ łąki kwitły tu zarówno przed najściem anglo-saksońskich pionierów, jak kwitną za dni naszych; ależ Ohio i Hudson toczyły tu wody swoje, jak toczą je dziś jeszcze. Ta cudowna przemiana byłaby następstwem wprowadzonych kapitałów? ależ ci osadnicy ubogą przynieśli zaledwie chudobę: rozum, wola, ręce, oto jedyne ich bogactwo! Niemi to przeistoczyli pustynię w urodzajne pola, niemi pobudowali miasta i wielkie floty!“

Słowa te nie przebrzmiały na próżno. Paryż gotów zawsze do wszelkich ofiar, szczydrze posypnął złotem. W chwili gdy to piszemy, reprezentanci sześćdziesięciu korporacji wybierają się w drogę do Filadelfii. Wybióra się tam niemniej komitet przysięgłych, złożony ze specjalistów w różnych gałęziach przemysłu i sztuk pięknych.

Jaki pożytek wyplynie z zetknięcia się dwóch społeczeństw zrodzonych w jednej kolébce, lecz wyrobionych na całkiem odrębną modłę, w skutek miejscowości i biegu historycznych zdarzeń, tego dziś nikt przewidzieć nie zdoła. Przemysł zyska na tém niewątpliwie, owoce postępu w tym kierunku pokażą się pewnie za lat dwa na wystawie paryzkiej. Gdyby wytrwała praca wszystkiém była na ziemi, Amerykę możnaby śmiało nazwać pierwszą mistrzynią ludów; ale któż nie wie, że więcej niż sama praca znaczą pobudki dające do niej popęd i cel przyświecający pracownikom. Jakie zaś są główne pobudki, jakie cele Jankesów, określa to dwa słowa: zapracować, „by użyć.”

Mnóstwo dzieł w tych czasach napisano we Francyi o Ameryce, t. j. o Stanach Zjednoczonych. Każdy autor kreśli obraz ze swego stanowiska: jeden uwydatnia jaśniejszą jego stronę, drugi pokazuje czarne plamy. Wszyscy jednak nie wyłączając najgorętszych apologistów tego dziwnego społeczeństwa, obok bogactwa materialnego, dają, poza to, radzi nie radzi, jego nędzę moralną. Mamy oto pod ręką *Świat Amerykański* pana Simonin, opis podróży po Stanach Zjednoczonych. Nie pierwsza to już, ale piąta czy szósta podróż autora za Atlantyk. Inżynier z powołania, p. Simonin długo przebywał w San Francisco, hojną ręką dobywał kruszce z kopalni kalifornijskich, na wszystko też patrzy przez złoty pryzmat. Według niego cały rozwój cywilizacyjny każdego społeczeństwa, można ocenić tylko miarą dobrobytu jednostek. Złoto jest duszą świata; kto go potrafił zdobyć, ten na zasadzie selekcji darwinowskiej, otrzymał prawo bytu; kto go niema, niechaj przepadnie i nie zabięra próżno miejsca pod słońcem! Słyszeliśmy sami jak p. Simonin w myśl tych realistycznych teorii, pochwalał ekonomistów nowego świata, którzy propagują wytępienie czerwono-skórych Indyan, uważając to za niezbędną konieczność. Zdanie takie głosił wobec Towarzystwa geograficznego, które protestowało silnie w imię ludzkości i pogwałconych praw moralnych.

Nie będziemy tu powtarzać panegiryków na cześć złotego cielca, któremi autor odpłaca się za skarby zdobyte w Kalifornii. Wśród dźwięku tych hymnów pochwalnych, uderza nas czasami jakaś szczególna nuta, malująca społeczeństwo ze strony wcale nie dodatniej. Zobaczmy tylko jeden rys, a ten powię nam bardzo wiele. „Ktokolwiek nie podróżował po Ameryce—mówi p. Simonin—nie może pojąć jak bajeczną ilość alkoholu konsumują mieszkańcy. Piją tam bezustanku, od rana do wieczora; nałóg to powszechny, wyjątki bardzo rzadkie. Spotykamy w stanie pijaństwa ludzi zkądinad najszanowniejszych. Gdziebądź się przedstawisz, z kimkolwiek spotkasz, natychmiast podaje ci kielich. *Will you take a drink?* to pierwsze słowo, jakie postyszysz wszędzie. Rad nie rad musisz przyjąć; odmowa byłaby obrazą. Im więcej kto może wypić, tém bardziej poważany. Kiedy powiedzą o kim: *a four bottle man* (człowiek cztero-butelkowy), to najzaszczytniejsze świadectwo, jakie mu oddać można. Dodajmy do tego,

że każdy z używanych trunków *brandy, wisky, gin, rum*, jakkolwiek go nazwiemy, to sfabrykowana jakaś mieszanka, istna trucizna prowadząca do szału i epilepsji.“

I takie to społeczeństwo pokazuje autor jako najwyższy wyraz cywilizacji, opartej na dobrobycie jednostek!

Inaczej patrzy na rzeczy p. Claudio Jeanet w dziele: *Stany Zjednoczone pod względem obyczajów, instytucyj i wyobrażeń, od czasu wojny domowej*. Ten właśnie olbrzymi rozwój ekonomiczny, tak świetnie błyszczący w oczach p. Simonin, przestrasza p. Jeaneta, który w tém szamotaniu się widzi tylko jakiś szal gorączkowy, nieuświęcony żadną wyższą ideą. Z trwogą pogląda on na ów potworny wzrost miast amerykańskich, wysysający z prowincyi wszystkie żywotne soki, na tę pogardę, z jaką Jankesy patrzą na pracę pochylonych nad zagonem rolników. Przypomina to zupełnie pogardę patrycyatu rzymskiego dla pracy, niegodnej ludzi wolnych. Ztąd też ludność wiejska sprzedaje ziemię, a przenosi się tłumnie do wielkich centrów, gdzie łatwiej się zbogacić, nie przebijając w środkach.

Te środki wzbogacenia wskazuje w dziele swoim p. Jeanet ze ścisłą dokładnością, popiera rzecz aktami urzędowemi, z raportu komissyi mianowanej przez kongres, dla kontroli urzędników celnych; przytacza najsmutniejsze świadectwo stanu moralności powszechnej. „Złodzieje zagnieździli się w każdym wydziale—mówi raport—istnie jak trychina w trzodzie chlewniej; przykład ich tak jest zaraźliwym, że uczciwość stała się wyjątkiem a nie regułą.“ Takie same nadużycia pokazuje autor na każdym kroku w sąsiedztwie, gdzie jak mówi Amerykanin Adams „prawo stało się maciuną wojenną na pożytek nikczemnych; w samej nawet izbie, tém targowisku, gdzie frymarczą prawami, pytając kto da więcej?“

Władza rządowa tak dziś sponiewierana, że ludzie prawdziwej zasługi lub wyższej inteligencji nie chcą brać w nią żadnego udziału. Wielu z nich opuszcza ojczyznę, szukając za morzami spokoju do literackiej lub artystycznej pracy. Washington Irving długo przebywał w Alhambrze, historyk Bankroft obrał Londyn za miejsce pobytu, Rich pracował w Paryżu, Hawtorne w Liwerpoolu, Motley w Hadze, rzeźbiarz Power osiadł we Florencyi; migracya taka powtarza się bez ustanku. W roku 1872 jeden z najbogatszych mieszkańców Nowego Yorku, Dodge, zrzekł się uroczystie praw obywatela Stanów Zjednoczonych, a zamieszkał w Kanadzie.

Zobaczmy teraz jak p. Claudio Jeanet przedstawia rodzinę: „Dawno—mówi on—minął wiek złoty, kiedy rodziny purytanów czytywały razem Biblią przy ognisku domowem po całodzienniej pracy; kiedy ojciec zapisywał w kalendarzu przyjście na świat dziecięcia, kiedy powaga rodzicielska wyższą była nad prawo. Jankeska dzisiejsza wcale też nie przypomina dawniej matrony. Niedgdy kobieta, lubo ściśnięta prawem cywilnem, głęboko była szanowaną; dziś przeciwnie, w miarę



wywalczonych na rzecz jej swobód, powstał antagonizm między nią a mężczyzną, złowrogi dla społeczeństwa. Liczba małżeństw zmniejsza się z każdym rokiem. Dramata domowe, morderstwa, słowem zbrodnie wszelkiego rodzaju, przepełniają kolumny dzienników. Rozwody upowszechniają się coraz bardziej. W Connecticut liczą jeden rozwód na ośm małżeństw, w innych stronach jeden na czternaście. Kilkomiesięczna nieobecność męża wystarcza, by rozwiązać małżeństwo. Specjaliści prawnicy ofiarują usługi swoje za pośrednictwem dzienników, nie żądając z góry żadnego zaliczenia.

P. Jeanet wdaje się w smutne szczegóły, których tu powtarzać nie będziemy. Na dowód rozprzegania się związków rodzinnych, stawia cyfry statystyczne, pokazujące ciągły ubytek ludności miejscowej, zastępowanej napływem obcych przybyszów.

Na ciemnym tle obrazu widzimy jednak połyskujące tu i owdzie światełko. Wśród tego zgorączkowanego społeczeństwa, goniącego chciwie za zyskiem, są w Stanach Zjednoczonych domy poważne pilnujące czystości obyczajów i dawnych rodzinnych tradycji. Nie jest to bynajmniej arystokracja rodowa w europejskim znaczeniu; całe jej wyróżnienie opiera się na wyższym stopniu inteligencji i zasługi. Domy te żyją cicho, w oderwaniu od świata. Nazwałby je można piastunami ideału wśród powodzi zepsucia, zalewającej dzisiejsze społeczeństwo.

Na pociechę ludzkości dodajmy tu jeszcze, że nawet w liczbie przedsiębiorczych Jankesów, napotkać można ludzi z wielkim sercem, którzy zdobyte z pracą złoto rozsięwiają pełnemi garściami na potrzeby ogółu. Do tych należał zmarły w tym roku Aleksander Stewart, jeden z najbogatszych obywateli Nowego Yorku.

Urodzony w Irlandyi, w dwudziestym roku życia popłynął do Stanów Zjednoczonych. Przez lat trzy był nauczycielem w szkole wiejskiej, zebrawszy małą kwotkę, rzucił się w handlowe przedsiębiorstwo; sprzedawał w Broadway jedwabne materye i koronki. Dzięki niesłychanej rzetelności z jaką prowadził interesa, w przeciągu lat dziesięciu, dom jego stał się najpięknym w Nowym Yorku. Przyszło do tego, że rokrocznie obracał siedmdziesięciu milionami dolarów. Trzy tysiące subjektów sprzedawało towary w olbrzymim jego magazynie.

Stewart zostawił 400,000,000 fr.; przedsiębiorstwa jego nie ograniczały się na samych tylko obrotach handlowych: dwa pierwsze teatry nowoyorskie były jego własnością. Jako filantrop pozostawił po sobie najpiękniejszą pamięć. Kiedy przed trzydziestą laty głód dotknął Irlandyę, posłał nieszczęśliwym współziomkom okręt ładowny zbożem. W czasie wojny domowej w Stanach Zjednoczonych ofiarował rządowi 50,000,000. Jego kosztem powstała część miasta przeznaczona dla rzemieślniczej ludności w Nowym Yorku. Francya doświadczyła także jego szcudrobliwiej opieki: gdy Paryż otworzył bramy po oblężeniu, pierwsza żywność jaką rozdawano mieszkańcom, pochodziła z wspania-

łego daru Stewarta. Wyprawiony przez niego okręt przywiózł do Hawru 40,000 beczek zboża, oprócz mnóstwa innych przedmiotów.

Zamiłowany w sztukach pięknych, posiadał w Nowym Yorku najpiękniejszą galerią rzeźb i obrazów szkoły francuzkiéj. On to w roku zeszłym nabył za 300,000 franków, wielki obraz Meissonniera *Dzień Friedlandu*.

Stewart umarł bezdzietny. Ogromny majątek zapisał żonie, wkładając na nią obowiązek licznych fundacyj dobroczynnych.

Pod tytułem *Wspomnienia z Barbison* ukazała się w druku bardzo ciekawa biografia malarza Milleta, zmarłego w roku zeszłym; autorem jéj Aleksander Piedaquel, sekretarz i biograf Juliusza Janin. Nowa książka podwójną ma dla nas wagę: najprzód że kreśli psychologią wielkiego i sympatycznego artysty; potem że pokazuje szczególny zwrot w estetycznych pojęciach Francuzów.

Wspominaliśmy już nieraz, oceniając czy to poezyą, czy rzeźbę, czy malarstwo, jak głęboko klassycyzm zapuścił korzenie we wszystkie działy sztuki francuzkiéj. Nic w tém dziwnego, zadługo Galia żyła pod wpływem rozsiadłych na południu kolonistów focejskich, zanadto ściśle zespoloną była z Rzymem, od którego przejęła język i prawa, aby te wpływy starożytne nie miały wrosnąć w szpik jéj kości, że tak się wyrazimy. Geniusze XVII wieku, które są po dziś dzień chwałą Francyi, a których wpływ oddziałał na cały świat ucywilizowany, tém bardziej ugruntowały klassyczne zasady w pojęciach i umysłach francuzkich. Ztąd nigdy romantyzm nie odniósł tu tak zupełnego tryumfu, jak w Anglii, w Niemczech i u nas. Estetycy francuzcy patrząc dziś trwożliwém okiem na powódź realistyczną, tak zabójczą dla sztuki, a zrodzoną z nadużycia romantyzmu, obwarowali się znowu murem klassycznych teoryj. Uważaliśmy to szczególniej w sprawozdaniach z obrazów, podczas kilku ostatnich wystaw, z medalów rozdawanych przez sąd przysięgłych, z ubolewania po dziennikach, że *wielki styl* tak mało dziś liczy kapłanów i zwolenników. A czémże jest ten wielki styl, jeśli nie czysto klassyczną modłą?

Co do nas nie przesądzamy, jakie drogi wyłłobi sztuka w przyszłym swoim pochodzie, przekouani jednak jesteśmy że idee poruszające społeczeństwo, muszą koniecznie oddziałać na jéj rozwój i nowemi popchnąć ją tory. Klassycyzm grecki pozostanie na wieki idealną formą piękną, lecz tę formę potrzeba nowém odrodzić życiem, dostroić do rodzimych pojęć, pogodzić ją z ziemską rzeczywistością, jak ją godzili mistrze greccy, który umieli dopatrzeć w rzeczywistości estetyczną t. j. nieskończoną jéj stronę. Weźmy naprzykład arkadyjskich pastuszków Teokryta, jak oni cudnie piękni! snąc poeta malował ich z natury; jakże znów przedstawiają się ckliwie w francuzkich lub naszych sielankach, gdzie są tylko odbiciem z drugiejj lub trzeciejj ręki. O ileż miłszy nam od nich Wiesław Brodzińskiego, a nawet każdy Stach i Janek z ludowych pieśni naszych!

Kilku malarzy francuzkich zrozumiało, iż życie ludu rolniczego jest dla sztuki nieprzebranym źródłem nowych natchnień. Na czele tej szkoły stanęło dwóch: Millet i Breton. Ostatni żyje dotąd i tworzy arcydzieła. Millet umarł rok temu: jego to życiorys mamy właśnie przed sobą.

Życiorys to nadzwyczaj ciekawy, nakreślony z prawdziwym uczuciem. Dowiadujemy się z niego, że Millet był synem wieśniaka, że się urodził w ubogiej chacie normandzkiej ponad morzem w 1814 roku. Geniusz jego malarski byłby może zmarniał jak zmarniało ich tyle, przez brak wykształcenia, gdyby nie opieka wuja plebana wiejskiego, który zajął się nim od lat dziecinnych. Mimo silnego oporu rodziców, wuj spostrzegłszy w chłopcu szczególną zdolność, oddał go do Cherburga na naukę rysunku. Postęp ucznia tak był znakomity, że rada miejska wyznaczyła mu roczny zasiłek. Millet udał się do Paryża, pracował przy Delarozu, zawiązał stosunki z Corotem i kilku innymi malarzami. Zrazu wziął się do historycznych obrazów: w r. 1845 wystawił *Edypa*, później *Żydów w Niewoli babilońskiej*. Słabe to były utwory, snąc malarz nie miał dobić się sławy na tej drodze. Spostrzegł to sam, jakoż wkrótce obrał rodzaj odpowiedniejszy swjej zdolności. Dał na wystawę *Koszykarza*, obraz prawdziwie oryginalny, później *Chłopka siejącego zboże na zagonie*, *Grupę żniwiarzy*, *Strzyżkę owiec*, *Wieśniaków niosących z łąki nowonarodzone cielętko*, wreszcie *Pasterkę wpośród trzody owiec*. Były to arcydzieła; publiczność jednak nieprzyzwyczajona do tego rodzaju utworów, mijając je z pogardą, krytycy sztydli z nich bez litości. Artysta nie zrażał się tym bynajmniej, walczył zawzięcie z niedostatkiem, pracował ile sił, w przekonaniu, że prędzej czy później dobieje się uznania.

W roku 1854 Millet opuścił Paryż, zamieszkał w Barbison pod Fontainebleau w bliskości lasu. Tam przeżył lat dwadzieścia w ciszy wiejskiej, otoczony liczną rodziną. Biograf odwiedzał go często w tej ustroni; pięknie też odmalował patryarchalne życie wielkiego artysty, o którym świat tak mało jeszcze wiedział. To go pokazuje przy skromnej wieczerzy obok żony, pięciu córek i jedynaka syna; to przy ognisku, jak bujając na ręku niemowlę, przyśpiewuje wesoło pieśń normandzką, to na polance leśnej, jak opowiada fantastyczne powieści, pilnie zasłuchanym dziateczkom.

Millet żył wyłącznie dla sztuki i rodziny. Pracował z niezmierną wytrwałością lecz pomału, dokładnie i sumiennie. Mimo to wykonał do osmdziesięciu obrazów i niezliczoną moc rysunków i pastel. W ostatnich dopiero latach życia odebrał zasłużoną nagrodę. Podczas wystawy 1867 roku przysądzono mu medal pierwszej klasy; w lat kilka później obraz jego *Widok wioski Greville* doszedł do sprzedaży publicznej 20,000 franków; za *Kobietę przy lampie* amator jakiś zapłacił do 40,000. Oba te obrazy wyszły z pracowni artysty za bardzo niską cenę. Opinia publiczna zwróciła się widocznie ku niemu, nieste-



ty zbyt późno! Śmierć wytrąciła mu pędzel w chwili, gdy imie jego zabrzmiało we wszystkich ustach.

Po śmierci Milleta dopiero ten zwrot opinii pokazał się w całej sile. Rysunki jego płacono po 12,000 franków, sprzedaż ich publiczna uczyniła 430,000. Obrazy olejne więcej jeszcze przyniosły. Rodzina, której los tak żywo go obchodził, żyje dziś otoczona dostatkiem. W dziejach sztuki francuzkiej, Millet mało znany za życia, otwiera nowe drogi na przyszłość.

Z pomiędzy licznych stowarzyszeń, które zbiorowemi siłami dochodzą do zadziwiających rezultatów, zasługuje na szczególną uwagę w Paryżu Towarzystwo *Franklin*, założone w celu propagandy księgozbiorów dla ludu i dla wojska. Towarzystwo to powstało w roku 1864. Celem jego, jak mówi prelegent, walczyć przeciwko ciemnocie, przeciw karczmie i gorszącym książkom, zastępując je dobrami. Nie będziemy tu pisać historii Towarzystwa; przytoczymy tylko kilka cyfr, które dadzą wymowne świadectwo, jak każda myśl pożyteczna znajduje we Francji ludzi gotowych do czynu i ofiary. Towarzystwo w zawiązku swoim liczyło dwustu członków, dziś liczba ich dochodzi tysiąca trzechset. Dzięki gorliwym staraniom tych członków, powstało już ze stałych składek, z widowisk i darów uzbieranych 17,966 ludowych bibliotek; oprócz tego Towarzystwo zasililo książkami 440 bibliotek wojskowych.

Kilka tygodni temu byliśmy obecni na doroczném zebraniu Towarzystwa w teatrze Porte St. Martin. Obchód ten ożywiła piękna konferencya Legouvégo o Lamartinie, jak niemniej deklamacye i chóry, wykonane przez pierwszorzędných artystów. Konferencya znana już była Paryżanom; akademik Legouvé wystąpił z nią poraz pierwszy na dochód pomnika dla wielkiego poety, mówiliśmy już o niej w inném miejscu. Wspomniemy dziś tylko o wyborném sprawozdaniu p. Feré jednego z prezydentów Towarzystwa. Było to małe arcydzieło w swoim rodzaju. Słuchając go podziwialiśmy ten dowcip francuzki, który umie ożywić najoschlejszy przedmiot. Mówca obrał dramatyczną formę, niby to sprzeczkę żartobliwą z przyjacielem, który dowodził, że zdanie sprawy z czynności, niezbędném jest na roczném posiedzeniu.

— Bądź zwięzłym—mówi przyjaciel—pamiętaj że publiczność przyjdzie tu by słyszyć Legouvégo, by nakarmić ucho muzyką i śpiewami, nie zaś dla twojej nudnej gadaniny. Powiedz poprostu, żeście rozдали przez ten rok 56,000 książek, a unikaj próżnych przechwałek! Mało uczyniliście dotąd, w obec tego co uczynić należy. Francya liczy 36,000 gmin, a liczba bibliotek mniejsza o połowę. Wojsko ma 532 bibliotek, a wyście jeszcze nie zapomogli wszystkich waszym ubogim datkiem!

— Nie przebić muru głową!—rzecze zagadniony. Zkąd wziąć tyle pieniędzy?

— Pieniędzy!—zawoła przyjaciel—alboż to publiczność ich nie ma? Trzeba tylko umieć złapać... nie pieniądze, ale publiczność.

Nie taka ona twarda i ona miłuje naukę, rozumie jej pożytek. Ofiara wcale jej nie ustraszy. Trzeba jej tylko pomódz.

Ten pan naprzykład postanowił zjeść dzisiaj dobry obiad, który przypłaciłby niezawodnie nowym napadem podagry. Piękna ręczka kwestarki podsunie mu zaraz aksamitny woreczek. Alboż to on nie zrozumie odrazu, że lepiej zjeść zły obiad, a wypełnić czyn dobry? Tamten ma iść do klubu, zasiąść za zielonym stolikiem i złoto z kieszeni swojej przesypać w cudzą kieszeń, bez nadziei powrotu. Kiedy słodki głosik zadzwoni: „proszę o datek na biblioteki wiejskie!” niech tylko porzuci garstkę złota, a oto zniknie mu z myśli klub zapowietrzony, ujrzy błękitne niebo i zielony las i wieś gdzie się urodził, gdzie pisał pacholęciem i współczesne mu dziatki, dziś jak on posiwiata starce! „Dobrze iż ich wnuczęta zabawią się książką! pomyśli sobie w duchu, mnie ta ofiara nie zuboży!”

Całe sprawozdanie wygłoszone w ten sposób wywołało grzmot oklasków, a co więcej poruszyło serca, rozwiązało jakby cudem woreczki i portmonetki. Brzęk złota hojną rzucającą ręką, miłej dzwonił niż akordy mistrzowskich chórów. To złoto przemienione na książkę miało nakarmić tysiące dusz, ułaknionych światła i nauki.

Posiedzenie zakończyło się rozdaniem szesnastu medali. Wymienione zasługi laureatów, pokazują jak zbawienne owoce wydała już nowa instytucja. Jedyne złoty medal przysądziło Towarzystwo Ksaweremu Thiriat. Osobistość to nadzwyczaj zajmująca; powiedzmy o niej słówko.

W chłodny dzień zimowy, w końcu grudnia 1845, szło parowem Wogezów pięcioro dzieci, dziesięcioletni chłopczyk i cztery dziewczynki, na naukę katechizmu z jednej wioski do drugiej. Przecinał drogę strumień, wezbrany jesiennymi deszczami. Na strumieniu leżała wązka kładka. Chłopiec przeszedł szczęśliwie, za nim puszca się dziewczynka, traci równowagę i z krzykiem wpada do wody. Chłopiec rzuca się bez namysłu, ocala towarzyszkę. Po katechizmie wraca do domu zinoczony, przeziębły do kości. Nastąpiła ciężka choroba, a w skutek jej ogólne sparaliżowanie. Biedny chłopiec nie mógł postąpić kroku; zmuszony był pełzać na czworakach. Syn ubogiego tkacza, kaléka, stał się ciężarem dla rodziny. Zrazu towarzysze odwiedzali go często, pomału zapomnieli o nim. Sam opuszczony, znalazł przeciw osłode w samotności: tą pociechą było czytanie!

Po zmarłym dziadku, pozostało w szafie kilka zużytych książek. Były tam Żywoty Świętych i Noce Junga, był Telemak i historia Maroko, był Psalterz Dawida i krótki zbiór wszystkich umiejętności.

Dziecię rzuca się na ten duchowy pokarm; im więcej czyta, tém więcej czytać pragnie. Głowa mu płonie, iskra poetyczna rozbudza się nagle w jego duszy. Patrzy z miłością na góry, bada pilnie każdą ich zmianę, coraz inny układ chmur na wierzchołkach; wyprowadza ztąd meteorologiczne wnioski, spostrzeżenia zapisuje w dzienniku. Z równą pilnością bada zioła rosnące na górach, rozpoznaje pokłady skał;

uczeni dowiadują się o nim, dostarczają mu książek, pomagają w badaniach. W roczniku Wogezów drukują meteorologiczne jego buletyny.

W takim to skupieniu ducha, w tak bezustanną pracę, przyszedł do lat młodzieńczych. Rzecz dziwna! ten męczennik nie trapił się swym losem, nie nudził, nie narzekał. Znalazł nawet słodycz wśród cierpień, świadczą o tém słowa nakreślone w książeczce, którą wydał pod tytułem. *Dzienniczek Samotnika*.

„Nie szukałem ja nigdy—mówi on—szczęścia w życiu, lecz samo przyszło do mnie, wyrosło i zakwitło pod stopy memi. Pocięchy jawiły się jak stokrotki ukryte pod murawą, nie spostrzegłem ich odrazu, czasem nawet nie dbałem o nie! Trudno mi było dopatrzeć ich okiem zalaném łzami!“

Nabywszy tyle wiadomości, młodzian pragnie rozdzielić je pomiędzy drugich: wykłada botanikę braciom, towarzyszom i sąsiadom. Wykład jego prosty, pełen życia, porywa uwagę słuchaczy, bawi ich i uczy zarazem. Wié on jak wiele zawdzięcza książkom, radby miłość ich przelać we wszystkie serca, pragnie być pożytecznym. Koło działania swego, zrazu szczupłe, siłą woli rozszerza coraz bardziej. Przyczynia się dzielnie do zakładu kilku wiejskich bibliotek, do szerzenia oświaty między ludem. Towarzystwo Franklin ma w nim jednego z najgorliwszych korespondentów. W nagrodę tylu zasług jedyny medal złoty, ofiarowało w tym roku Ksaweremu Thiriat.

Buletyny Towarzystwa wychodzące raz w miesiąc, zawierają mnóstwo szczegółów pocieszających dla każdego, kto kocha lud wiejski i rozumie wielką jego przyszłość. Biblioteki rozsiane po kraju pozostają w związku z Towarzystwem, wprost, lub za pośrednictwem filii związanych po miastach. W raporcie z Boulogne, znajdujemy powtórzone słowa prostego robotnika: „Nim byłem zaabonowany do biblioteki ludowej, opuszczałem co wieczór dom, grałem w bilard, marnowałem pieniądze. Dziś siedzę w domu z żoną i dziećmi, czytam zabawne książki, których mi panowie pożyczają.“

Niemniej pocieszającą wiadomość znajdujemy w sprawozdaniu z Wogezów. Tam za lasami, za górami leży ukryta osada Gerardmer, zamieszkała wyłącznie przez tkaczy i smolarzy. Ludność rozrzucona w wielkim parowie, przechodzi sześć tysięcy mieszkańców. Istnieje tam sześć bibliotek ludowych. „W każdą sobotę—mówi raport—dzieci zanoszą do domu pokarm duchowy dostateczny na tydzień. W długie wieczory zimowe, podczas gdy śnieg zawała progi chaty, ojciec wstaje od krosien tkackich, siada przy ognisku, matka zwija nici na motowidle. Wtedy jedno z dzieci otwiera książkę, czyta; każdy słucha z uwagą wyteżoną. Godzina zbiega w oka mgnieniu, następuje rozmowa o tém, co się dopiero przeczytało. I tak mija dzień za dniem, a w chacie coraz spokojniej, coraz ciszej; w karczmie zaś coraz to większe pustki.“

W Buletynach Towarzystwa znajdujemy wiadomości z dalekich nawet krajów. W ostatnim numerze cyfry statystyczne pokazują nam



niesłuchany postęp oświaty w Węgrzech. Ludność Węgier licząc w to i różne słowiańskie szczepy, wynosi 13,450,000 mieszkańców rozsiadłych w 11,352 gminach. Liczba szkółek wiejskich dochodzi 15,445; w ostatnim roku powstało 199 nowych. Bibliotek szkolnych istnieje w kraju 1,508.

Jakże wymownie świadczą te cyfry o stanie umysłowym naszych sąsiadów zakarpackich!

Towarzystwo Franklin zwraca myśl naszą ku jednemu z najznakomitszych jego fundatorów, którego opłakuje dziś świat naukowy. Mówimy o wielkim chemiku Balardzie. Imię to zapisała Francya, obok imion Lavoisiera, Laplaça i tylu innych, któremi śmiało odpiera pociski Niemców, szdyżących z jej *leichte Literatur*. Balard tém żywsze budzi zajęcie, że urodzony w prostej chacie wieśniaczej, siłą geniuszu, a obok tego wytrwałą, półwiekową przeszło pracą, nie tylko że sam stanął na świeczniku, ale stał się chwałą ziemi ojczystej.

Urodzony w Montpellier r. 1802, dzięki opiece chrzestnej matki, odbył nauki w kolegium, poczem otrzymał miejsce preparatora w szkole farmaceutycznej. Tam pracował z zapałem nad chemią i botaniką. W każdą niedzielę korzystając z chwili spoczynku, biegł nad brzegi morza, zbierał zioła, trawki i muszle. Kilka lat upłynęło w ten sposób; nadszedł rok 1826. Okolice morza Śródziemnego obfitują w solanki. Dnia jednego Balard czyniąc doświadczenia chemiczne odkrył w ługach solnych nowe ciało: nazwał je bromem. Jestto ostatni z pierwiastków odkrytych w grupie metaloid. Okoliczność ta rozślała imię młodziana; miał wtedy lat dwadzieścia cztery. Powołany na profesora chemii, szybkim krokiem wstępował na coraz wyższy szczebel. W lat kilka został professorem fakultetu w Sorbonie, członkiem rady uniwersyteckiej, inspektorem szkół; akademia nauk ofiarowała mu krzesło.

Odkrycie bromu niesłuchanie ważne tak w terapii, jak w sztuce farbiarskiej, wpłynęło stanowczo na postęp fotografii; ztąd Towarzystwo paryzkich fotografów uczciło wielkiego chemika, mianując go prezydentem swoim.

Balard nie odpoczywał; obarczony pracą obowiązkową, co rok latem opuszczał Paryż, przebiegał jak niegdyś brzegi morza, badał saliny, którym zawdzięczał już tyle, a które jeszcze miały przyczynić mu sławy w końcu mozolnego zawodu. Ludzie tymczasem, jak to często bywa, pomawiali go że zasnął na wawrzynach, zwali go szczęśliwym więcej niż zasłużonym; niektórzy nawet mówili żartobliwie: to nie Balard odkrył brom, a raczej brom odkrył Balarda! Chemik tymczasem pracował zawzięcie. Dnie całe spędzał w laboratorium, wakacjami w salinach. Owocem tych kilkudziesięcioletnich trudów było już nie nowe odkrycie, gdyż pierwotne ciała nie często się znachodzą, lecz wynalazek, który stał się dla Francji źródłem nieprzebranych bogactw. Balard doszedł sposobu jak wydobywać z ługów solnych, sodę, potaż

i magnezją, za pomocą słońca lub sztucznego zamrożenia. Pomysł ten zastosowany już został we Francji, Hiszpanii i Portugalii z nadzwyczajnym pożytkiem.

Piękna to była i prawdziwie sympatyczna osobistość. Przez lat pięć mieszkaliśmy z Balardem w jednym domu, a raczej w jednym ogrodzie; domki nasze rozdzielał niski parkan. Patrzyliśmy nieraz z upodobaniem, jak ten siwy już ale pełen życia Prowansalczyk, wyćwiczony w sztuce gimnastycznej, wdzierał się po ścianie na poddasze, gdzie miał małe domowe laboratorium. Progi jego otwarte były na oścież dla ubogiej rodziny; wychowywał kilkoro sierot. Niesłychana tu gościnność objawiła się w pełni podczas wystawy 1867 roku, wówczas to dom Balarda stał się gospodą dla niezliczonych rodzin prowansalskich: widok tych gości obozujących w każdym kącie przypominał nam ową gościnność staropolską, uwiecznioną przez Pola w pieśni „O ziemi naszej.” Obraz taki w Paryżu był dla nas prawdziwą niespodzianką.

W sławnym memoryale do akademii, Balard wyrzekł pamiętne słowa: „Według mnie celem nauki dla człowieka nie jest tylko uczynić zadosyć potrzebie poznania i zgruntowania wszystkiego, cechującej najszlachetniejszą stronę jego władz umysłowych; ma nauka cel inny, mniej może świetny, ale moralniejszy i świętszy, który nakazuje, spożytkowaniem sił przyrody, pomnożyć produkcją, a tęp samym przybliżyć ludzi do równości, upowszechniając między nimi dobrobyt.“

Piękna dusza Balarda maluje się w tych słowach; słusznie też powtórzono je ze czcią ponad otwartym jego grobem.

Prace podróżników stanowią ważny dział w tegorocznej literaturze francuskiej, na czele wszystkich pomieścić wypada dzieło Karola Blanc, członka akademii sztuk pięknych: *Podróż po wyższym Egipcie, uwagi nad sztuką egipską i arabską*. Wytrawny estetyk umiał ożywić erudycyjny przedmiot, stylem świetnym i dziwnie obrazowym. Są to wrażenia z podróży odbytej w roku 1869 podczas otwarcia kanału Suezkiego, z ogromem znakomitych gości zaproszonych przez kedywa na ową uroczystość.

Pan Blanc szerokimi rzutami pędzla maluje niebo i krajobrazy Egiptu, lud i jego obyczaje: zajmuje go szczególnie ów starożytny Egipt wydobyty w ostatnich czasach z wnętrza ziemi, pracą nowożytnych archeologów. Widzimy przesuające się przed oczyma naszymi sławne zwaliska Teb nad Nilem, pyszne szczątki Luksoru i Karnaku, olbrzymie piramidy, grobowce Faraonów ósmnastej dynastyi, złobne malowidłami, którym trzydzieści sześć wieków nie odebrało świeżego koloru; widzimy czarodziejską wyspę Filoe, grotty Beni-Hassan i świątynie Sfinksów, świeże odkrycie Mariette Beja.

Po cudach starożytnego Egiptu, autor opisuje cuda sztuki arabskiej: wspaniałe meczety i grobowce Kalifów; oprowadza nas po ulicach Kairu, pokazuje drogocenne kobierce i złotnicze wyroby, arcydzieła czasów dzisiejszych; kreśli charakterystykę muzyki i tańców arabskich.

Obok poważniejszych rozpraw, spotykamy co chwila jakąś fantastyczną opowieść, jakiś rys wzięty z życia. Ośmdziesiąt rycin wykonanych starannie rylcem p. Delangle, wraza w pamięć czytelnika opisane przedmioty i godnie dopełnia tę znakomitą publikacją.

Od czasu jak rozpoczęliśmy naszą kronikę, dwaj trybunowie ludu: Wiktor Hugo i Louis Blanc, spotkali się poraz drugi w obec tłumów, już nie w sali konferencyjnej, ale na cmentarzu nad trumną pani Blanc. Hugo przemówił na ten raz pod wpływem szczerego natchnienia. Świeża pamięć tyłu strat jakie sam przeżył, rozbudzona widokiem łez przyjaciela, dała mu prawdziwie twórczy polot. Słowa jego nacechowane prostotą i powagą płynęły z głębi duszy jak strumień wody żywej. Pięknie poeta określa stanowisko niewiasty. „Pani Blanc—mówi on—była skromną towarzyszką słynnego tułacza. Louis Blanc znalazł na wygnaniu tę duszę: Opatrzność przysposabia czasem takie spotkania ludziom sprawiedliwym; życie we dwoje łatwiejsze i szczęśliwsze. Postać pani Blanc spokojnie przyświeca wśród tych burzliwych błyskawic, które za dni naszych łączą się z wszelkim rozgłosem. Postać ta nikła w promienistej chwale małżonki; on był całą jej chlubą, ona radością jego. Spełniała wielkie a ciche powołanie kobiety: powołaniem tém kochać!

„Człowiek wysila się i tworzy, posiewa i zbiera, niszczy i buduje, rozmyśla i walczy: kobieta kocha! I cóż spełnia ta miłość? oto rozmiaga się w mężu. Pracownik potrzebuje otoczenia; większy pracownik, tém słodsza niech będzie towarzyszka.

„Kiedy Louis Blanc, ten apostoł ideału, ten zapaśnik prawdy, kończył swą dzienną pracę, obracał oczy ku tej skromnej a szlachetnej żonie i słodki pokój znajdował w jej uśmiechu!

„Ach! uszanujmy niewiastę!—ciągnie mówca—otoczmy ją chwałą! Niewiasta to ludzkość uważana ze strony spokojnej; niewiasta to dom, to tkliwa rada, słodkimi wyrzeczoną słowy, wśród tych burzliwych prądów co miotają nami, zapalają nas gniewem. Częstoć w około siebie samych widzimy wrogów, tylko niewiasta wierną nam przyjaciółką. Ach! wspierajmyż ją, dajmy co jej należy; dajmy jej w ustawach naszych miejsce, jakie jej daje prawo. Uczcijmy o bracia tę matkę, tę siostrę, tę małżonkę. W niewieście spoczywa zagadnienie społeczne i tajemnicza ludzkości. Ona napozór tak słaba, jest przecież wielką siłą!

„Mąż na którym opiera się lud, potrzebuje wsparcia niewiasty. W dniu kiedy nas opuszcza, wszystkiego nam brakuje; my to raczej umarli a ona wiecznie żywa! Pamięć jej panuje nad nami, a kiedy stojmy nad jej grobem, zda się jakby dusza nasza zstępowała z nią razem, a dusza jej wybiegła ku nam z pod trumny!

„Tyś sam przyjacielu! biędny tułacz, dziś zaczyna się rzeczywiste wygnanie twoje!“



Łatwo pojąć jak głęboko te słowa poruszyły słuchaczy. Pani Blanc była Angielką; przed jedenastu laty zaślubiła słynnego wygnańca przebywającego pod ten czas w Anglii.

Mamy przed sobą kilka publikacyj D-ra Rabinowicza: uderzyła nas szczególnie gramatyka języka polskiego napisana po niemiecku. Powinnaby ta praca zwrócić uwagę uczonych naszych, już dlatego samego, że p. Rabinowicz wielkim jest erudytą: różnostronność jego badań naukowych prawdziwie zadziwiająca. Otrzymał on dyplom doktora medycyny fakultetu paryzkiego; obok specjalnych prac w tym wydziale, zajmował się pilnie filologią i badaniem talmudu. Długi szereg dzieł tego litewskiego Izraelity, świadczy o jego nadzwyczajnej działalności umysłowej. Z prac lingwistycznych wymienimy tu gramatykę łacińską, wyrozumowaną i uproszczoną, z zastosowaniem do reguł języka francuzkiego; gramatykę grecką ułożoną w tenże sam sposób, dotąd nieogłoszoną drukiem; gramatykę hebrajską, drukowaną najprzód u Brockhousa w Lipsku, tłumaczoną na francuzki język przez Muleta; nowe porównawcze zasady wymawiania angielskiego. Z badań talmudycznych Dr. Rabinowicz wydał dotąd dwa dzieła: *Legislation civile* i *Legislation criminelle du Talmud*, ostatnie wydane z polecenia rządu francuzkiego w drukarni narodowej. Oprócz tego autor ukończył obszerną pięciotomową pracę o Cywilnym prawodawstwie Talmudu.

Ze wszystkich prac podjętych przez autora, gramatyka polska najwięcej przedstawiała mu trudności: przytaczamy własne jego wyrazy.

„Urodzony w miasteczku Horodczu (w powiecie Kobryńskim, gubernii Grodzieńskiej), nie umiałem ani słowa po polsku. Wiadomo że większość izraelitów w Polsce i na Litwie zna tylko język hebrajski i niemiecki, lecz polski zupełnie jęj obcy<sup>1)</sup>. Łatwo zrozumieć złą stronę takiego stanu rzeczy. Słusznie tóż chrześciance w Polsce wyrzucają współziomkom swoim izraelitom, że się nie uczą języka miejscowego, że nawet uczeni żydowscy pisali wyłącznie po hebrajsku i niemiecku, a nie uczynili nigdy nic na korzyść literatury polskiej. Pragnąłem powetować błąd moich współrodaków i zapobiedz o ile można złemu. Czując usposobienie do badań gramatycznych, powziąłem myśl ułożenia gramatyki polskiej, w porównaniu z językiem hebrajskim i niemieckim. Nim jednak przystąpiłem do tej pracy, trzeba mi było samemu nauczyć się po polsku. Rozpocząłem tę naukę przed trzema laty, najprzód z gramatyki polsko-francuzkiej, a następnie czytając Biblię przy pomocy dykeyonarza i porównyując dosłownie tekst polski z hebrajskim.“

<sup>1)</sup> Autor ma zapewne na myśli gruntowną znajomość języka polskiego, bo wszakże Izraelici nasi w Królestwie, mówią wszyscy jakąśkolwiek, choć łamaną polszczyzną. Ależ i co do ich niemczyzny, nie przyznają się wcale Niemcy.

Owocem téj trzyletniej pracy jest owa gramatyka polsko-niemiecka, której część pierwsza obejmująca piętnaście arkuszy ukazała się niedawno w druku <sup>1)</sup>. W gramatyce pana Rabinowicza, kilka nowych spostrzeżeń lingwistycznych zasługuje na szczególną uwagę. Autor rozbiegając pisownią polską, podziwia nadzwyczajną jej loiczność i protestuje silnie przeciwko sądom panów: Małeckiego, Malinowskiego i innych, którzy utrzymują, jakoby pisownia czeska loiczniejszą była od polskiej. Uderzyło nas także podobieństwo w języku polskim i hebrajskim liczebników zbiorowych: *dwoje, troje, czworo, pięcioro*; jak niemniej analogia w czasowaniu słów dokonanych, niedokonanych, jednolitych i częstotliwych.

Druga część gramatyki czeka dotychczas na wydawcę. Smutno pomyśleć że usiłowania człowieka tak wielkiej nauki, rozbijają się o brak kilkuset franków!

Nie czujemy się wcale kompetentni do ocenienia całej doniosłości prac uczonego filologa, a témbardziej talmudzisty. Uważamy jednak za obowiązek zwrócić na nie uwagę ziomków, opierając się na świadectwach ludzi najwyższego znaczenia w świecie naukowym. Co do gramatyki hebrajskiej czytamy raport profesora Munka, zdany w roku 1864, na posiedzeniu instytutu francuzkiego. Sławny ten hebraista, zachwalając jasność i treściwość wykładu, mówi, że autor umiał być jeszcze oryginalnym po pięciuset gramatykach, które poprzedziły jego pracę. Na przedstawienie Munka, akademія napisów zaszczyliła to dzieło chlubną wzmianką. Co do gramatyki łacińskiej, ta na zalecenie pierwszych filologów jak Alfred Maury, Hippeau, Dottain, wydana z pomocą rządu, rozesłana została przez ministra oświecenia do bibliotek wszystkich liceów francuzkich. Zasady porównawcze wymawiania angielskiego, przedstawione były akademii napisów, przez profesora Egger z najwyższą pochwałą. Dzieło nakoniec o cywilnem prawodawstwie Talmudu zwróciło uwagę profesora Franka, który w *Journal des Savants*, ogłosił o niem bardzo zaszczytne sprawozdanie.

Doktor Rabinowicz obok tak wysokich zasług i tak powszechnego uznania, zachował prostotę właściwą prawdziwie uczonym. Na pierwszej stronnicy Talmudu czytamy wymowną dedykacyą: „Ojcu memu rabinowi w Antopolu i matce Miriam, w hołdzie pełnym uszanowania.“

Trzy teatra paryzkie wystąpiły w kilku ostatnich tygodniach z nowemi utworami muzycznymi: Wielka opera z niesłychanym przepychem wystawiła *Joannę d'Arc* Mermeta, Opera komiczna *Piccolina* p. Sardou, z muzyką Ernesta Giraud; Opera włoska ukazała *Aidę* nieznaną dotąd Paryżanom. Sam Verdi obecny w Paryżu dyryguje orkiestrą.

O Joannie d'Arc nie wiele powiedzieć można. Muzyka w ogólności nie zadowoliła nikogo. Trudne to w rzeczy saméj zadanie dla malarza jak dla poety, dla rzeźbiarza jak dla kompozytora mieć przed

<sup>1)</sup> Wyszła w księgarni luksemburskiej, przy ulicy Tournou.

sobą tak cudowny, tak nieścigniony myślą ludzką ideał, jakim była dziewica Orleańska. Potrzeba było geniuszu Szyllera, aby stworzyć poetyczne arcydzieło godne nieśmiertelnej bohaterki; żaden mistrz francuzki, na żadnym polu sztuki nie potrafił mu sprostać. Zdaje nam się nawet, że i arcydzieło Szyllerowskie większe ma znaczenie w Niemczech i u nas, jak w ojczyźnie Joanny, gdzie idealny typ żyje w sercu wszystkich i przyświeca pięknnością niezrównaną.

Muzyka Mermeta nie odpowiedziała ogólnemu oczekiwaniu. Libreto układu samego kompozytora, ma wszystkie warunki jakich można wymagać od tego rodzaju poematów; lecz ani libreto, ani wystawa nie nadadzą wartości operze. Gdyby ją mógł nadać przepych dekoracyi, nowy utwór nie pozostawiłby nic do życzenia. Dzięki też wspaniałej wystawie, Joanna d'Arc nie upadła i długo zapewne przyciągać będzie widzów.

Pierwszy akt przedstawia Dom Remy. Tłumy wieśniaków zapętniają i ożywiają scenę. Drugi akt odbywa się w Chinon wśród przepychu dworu królewskiego; trzeci w obozie pod Blois. Dyrekcyja dla podniesienia sztuki z nadzwyczajnym przepychem wystawiła biesiadę obozową. Żołnierze w malowniczych kostiumach, zataczają koło rycerskie poszczekując w puhary; grupy rybaków i cyganów krążą pomiędzy wojskiem. Trąba bojowa przerywa nagle ucztę; rycerstwo spieszy na odsiecz Orleanu pod sztandarem Joanny, śpiewając chórem *Veni Creator*. Czwarty akt ukazuje obleżony Orlean. Piąty przechodzi wszystkie niezrównaną świetnością. Rzecz odbywa się w Reims; scena przedstawia wnętrze katedry. Karol VII otoczony dworem i rycerstwem, przysięga na Ewangelię, gdy tymczasem chór dziewic śpiewa hymn Salomona. Tryumf powszechny: sama tylko bohaterka nie podziela ogólnej radości. Zadanie jej skończone: nie słyszy już cudownych głosów! Utkwiła oczy w górę i oto nagle rozstępują się mury katedry, widać płonący stos, otoczony chmurą Anglików: kat prowadzi ofiarę.

Widzenie znikło: Joanna przystępuje do króla. Okrzyk Hozanna zakończy widowisko. W wielkiej pięcioaktowej kompozycyi nie brak pięknych i wzniosłych ustępów, całość jednak daleka od doskonałości.

O Aidzie mówiliśmy obszernie cztery lata temu, kiedy po raz pierwszy przedstawiono ją w Kairze. Dodamy tylko że Paryż prawdziwie nią zachwycony, jednomyślnie zowie tę operę najpiękniejszą perłą w artystycznej koronie Verdiego.

Zobaczymy wreszcie *Piccolino* operę komiczną pana Giraud. Młody ten kompozytor, uczeń szkoły rzymskiej wywiązał się wybornie z zadania. Sztuka jego wywołała sympatyczne oklaski, wszyscy jej wróżą długi szereg przedstawień.

Wiktor Sardou wysnuł libreto z własnej komedyi, przedstawionej przed laty piętnastu w teatrze Giannese, lecz je zupełnie przeistoczył. Oto treść w kilku słowach: rzecz odbywa się w Szwajcaryi, w domu



pastora Tidmanna, w wigilią Bożego Narodzenia. W pośrodku izby stoi drzewko przybrane wstążkami, owocami i mnóstwem zabawek. Działwa przybiega tłumnie. Rozpoczyna się tradycyjne widowisko: najprzód defilują trzej królowie z latarnią w kształcie gwiazdy; dalej idzie grono śpiewaków i grajków ze skrzypcami, dwaj wieśniacy niosą ogromną głównię, chór włościan, niewiast i dzieci śpiewa pieśń kolen-dową. Wśród tłumu widać dwóch podróżnych; to młodzi artyści, rzeźbiarz Annibal i kompozytor Musareigne; idą do Rzymu, zamieć zaskoczy-ła ich w górach. Gospodarz zaprasza ich gościnnie w progi swoje.

Wszyscy się weselą, smutna tylko Marta, młoda sierota, wycho-wanka pastora. Dziewuszka ta przed kilku miesiącami, przebywając w górach, poznała malarza francuzkiego Fryderyka. Młodzian znie-wolił sobie jęj serce, obiecał ją poślubić, a oto mija szósty miesiąc, jego niema jak niema!

Pastor Tidmann boleje nad wychowanką, korzystając z obecności dwóch artystów, postanawia iść z nimi do Rzymu, gdzie przebywa Fryderyk. Marta przyjmuje z razu ofiarę opiekuna, po krótkim jednak namyśle, pisze do niego list, zarzuca na ramiona płaszcz góralski i za-lana łzami puszcza się sama w drogę.

Drugi akt prowadzi nas do pięknej gospody pod Rzymem. Z dała błyszczą kopuła św. Piotra, bliżej widać w gruzach starożytną świąty-nię Sybilli. Zebracy leżą pod cieniem skał, czekają na przechodnia. Turyści amerykańscy, w zielonych wualach z parasolami, rozczytują się w przewodnikach podróży, nie patrząc wcale na miejscowość.

W tej gospodzie przebywa od tygodnia Fryderyk zmęczony wdziękami Elleny, która z bratem zamieszkała pobliską willę. Liczne grupy przechadzają się tu i tam; nagle staje przed gospodą Marta prze-brana za wieśniaka włoskiego; niesie na ramieniu figurki gipsowe. Artyści otaczają chłopca, zowią go *Piccolino*, maleńki. Chłopiec pra-gnie, jak mówi, uczyć się malarstwa. Fryderyk przyrzeka być jego mistrzem. W chwili gdy mają odejść, rzecz komplikuje się w skutek niespodziewanego wypadku. Włoch jakiś zakochany w pięknej Ellenie, godzi sztyletem w pierś Fryderyka. Marta zasłania go, sama odbiera pocisk. Niewiasty opatrują ranę, podstęp nie uszedł ich oczu.

W akcie trzecim odkrywa się tajemnica. Fryderyk poznaje Martę w uczniu swym *Piccolino*. Wdzięczny za ocalone życie, za-wstydzony własną lekkomyślnością, błaga przebaczenia. Marta zapo-mina obrazy, oddaje mu rękę; ślub nastąpi niebawem.

Opera pełna życia podobała się powszechnie. Krytycy zarzucają tylko autorowi brak pomysłu twórczego. Według nich rzecz wzięta z idylli Horyanowskiej Klaudyny. Ci którzy czynią ten zarzut, nie czytali znać komedyi hiszpańskiej Egilasa *Una adventura de Tirso*. Przed laty czterema daliśmy treść tej sztuki w jednej kronice naszój. Pan Sardou przerobił komedyą najwidoczniej. Taka pożyczka byłaby według nas niewinną, gdyby autor przyznał się był do rzeczy. Nie pierwszy to raz hiszpański repertuar dodaje natchnienia francuzkim

dramaturgom. Nikt nie posądzał Kornela o plagiat, chociaż poprostu przerobił Cyda z Guilena de Castro, ale Kornel wypowiedział to z całą otwartością, godną wielkiego poety.

Biblioteka Warszawska w zeszytcie styczniowym zapisała w Wiadomościach Literackich, że zmniejszyła się w Polsce liczba prenumeratorów na francuzkie przeglądy, z korzyścią dla publikacji warszawskich. P. Léger gorliwy sławista pochwyił ten szczegół i powtórzył go we florenckiej *Revista Europea*. Byłoby to naturalnem ze strony sprawozdawcy rzeczy słowiańskich, ale wyrazy jego mają ton dziwnie jakoś sarkastyczny. Zachwalając rozwój literatury polskiej, czego dowód widzi w 200,000 rozrzuconych prospektach i znakomitej liczbie tegorocznych kalendarzy warszawskich, sprawozdawca dodaje, że ta *interesująca* literatura miała w biegu swoim  *pewne chwile*, w których stała na czele innych literatur słowiańskich. Prosiłibyśmy p. Léger, aby wskazał nam chwile kiedy było inaczej? Wprawdzie wszechnica pragska dawniejsza od krakowskiej, ależ w XIV wieku ani czeska, ani polska literatura nie wyzwoliły się jeszcze z łaćnińskich powijaków. W epoce odrodzenia, Raguza błyska nad Adryatykiem, ale w téjże epoce, zorza Zygmunowska jaśniejszą łuną świeciła w oczy światu, a i sam Gundulicz uderzony tym blaskiem, w sławnym swym poemacie opiewa chwałę Polski. Świetna ta zorza, przyćmiła się wprawdzie w w. XVII; literatura upadła, język postradał dawną czystość; niech nam jednak p. Léger wskaże w świecie słowiańskim aby jeden kraj, któryby w owych czasach wydał dzieła odpowiednie *Wojnie Chocimskiej* albo *Pieśniom Drużbackiej*. Cóż tu powiedzieć o epoce Mickiewicza, Krasieńskiego, Fredry i tylu innych; ale jakiegoż ocenienia spodziewać się od krytyka, który w swoich *Studiach słowiańskich* zaliczył dwóch pierwszych do rzędu Byronistów; ostatniego zaś porównał nie z Moliere, ale z nudno-ckliwym Marivaux!

Z nowych publikacji warszawskich wylicza p. Léger dzieła Szajnochy i Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Autorkę naszą zowie najpopularniejszym i *najuczciwszym* romansopisarzem *współczesnym*. Pomiedzy dziełami jój wymienia *Pamiętkę po dobrej matce*, *Amelię*, *Powiastrki dla dzieci* i t. p. Jakież to chaos! Jeśli Hofmanowa była tylko *romansopisarzem*, czemuż wyliczone tylko pedagogiczne jój prace? Nie zwrócilibyśmy nawet uwagi na tę pobieżną wzmiankę, gdyby wyszła w piśmie włoskiem, z pod pióra innego sprawozdawcy, ale p. Léger badacz światła słowiańskiego powinien przecież wiedzieć, jak przeważną rolę Hofmanowa odegrała w polskiej literaturze, przedewszystkiem jako zacna piastunka trzech pokoleń, które wyniańczyła na pożytek społeczeństwa!

Londyńskie British muzeum otrzymało w darze ciekawe dzieło w ośmiu wielkich tomach. Jestto historia ostatniej wojny prusko-francuzkiej, napisana po chińsku przez dwóch mandarynów: Wang-Thou

i Chang-Tsung-Leang. Autorowie czerpali rzecz z dzienników i przeglądów. Opisują wszystko z drobiazgową dokładnością, w śmieszny tylko sposób przekręcają nazwiska, nadając im chiński charakter. Mówią np. o spotkaniu w Ems króla pruskiego z ministrem *Peen-Ni-Tehte* (Benedetti), o klęsce *Sze-tan* (Sedanu), o wyborach marszałka Mac-Ma-Hon na prezydenta rzeszypospolitėj. W konkluzji porównują obecny stan Europy z położeniem Chin, na pięćset lat przed erą chrześcijańską.

## PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Synteza dwóch światów*, szkic filozoficzny napisał Henryk Struve. Z dodaniem dwóch urywków: I. Poezya, Religia i Filozofia. II. Przeszłość, Przyszłość i Teraźniejszość. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolfia. 1876.

Miła to niespodzianka, śród tak powszechnego jak jest dzisiaj zajmowania się światem zewnętrznym, praktyką życia, spotkać się z pismem, które się zwraca zarazem i do tajemnych stron bytu, do stron duchowych; miłsze to jest tém więcej, jeżeli charakterem tego zwrotu jest nie ironia, przeczenie, ale twierdzenie; — a jakoż tém bardziej, jeżeli myśl, która kierowała tém pismem, jest to myśl niepoczynająca lub błędna, ale znana już i z zasług i z krytycznej znajomości swego przedmiotu.

Przypadek ten jest właśnie z pismem powyższém.

Pióro Dra Struve znaném jest czytelnikom Biblioteki, i owszem, znane jest dzisiaj ono ze swėj czynności a czynności dodatniej, na polu nie tylko naszėj literatury.

Nim o piśmie tém z punktu naszego widzenia wyrazimy kilka uwag bliższych, mamy za obowiązek przytoczyć tu najprzód treść dziełka: bez tego szczegółu, uwagi, o daném piśmie, zdaniem naszym, nie mogą nigdy być jasne, a zapoznanie się nadto, jak w obecnym przypadku, z treścią myśli przeważnie dodatnich, nie może téż być bez korzyści dla czytelnika.

Najogólniejszą treścią pisma Dra Struve jest, jak to objaśnia sam napis: *Synteza dwóch światów*. Jakież to jednak są te dwa światy,



o których tu mowa, objaśnić wypada. Wnieśćby można najprędzej, iż mowa tu jest o świecie *Ducha* i świecie *Materyj*, i że autor jeden z tych pierwiastków Bytu, uważając za tezę, drugi za anti-tezę, mówi o skojarzeniu ich. Tak jednak nie jest. Dwa światy, o których mówi dziełko, są to tylko, jak to sam autor z góry objaśnia, świat *uczuc* i świat *myśli* człowieka; właściwie więc nietylko to są dwa światy, jak raczej dwie krainy jednego świata (ducha ludzkiego). Świat *Przyrody*, świat *Dziejów*, świat *Ducha-Przyczynny*, uważane w sobie, pozostają tu zewnątrz; gdy jednak to, co wypełnia świat uczuc i myśli ludzkich, są to właśnie te różne szczegóły Bytu, przeto i cała powyższa treść weszła w zawarcie dziełka, z różnicą, iż jest oceniana nie tyle w sobie, ile głównie pod względem swego stosunku już do uczuc, już do myśli człowieka.

Treść dziełka, dla zaznajomienia czytelnika nietylko z myślą, ale i sposobem wykładu, będziemy się tu starali przytaczać najwięcej własnymi słowy autora.

W krótkim *słówku wstępnem* do czytelnika, autor objaśnia treść i charakter swego utworu. Wspomniawszy tu o łączności niegdyś poezji i filozofii (Platon) i o rozdzieleniu się tych dwóch pierwiastków na dwie oddzielne i nieprzyjazne sobie drogi *uczucia* i *myślenia*; zwraca uwagę, iż w obu tych drogach jednak jest cel jeden, t. j. „utworzenie spólnego domu piękna, dobra i prawdy“—i dodaje: „Szkic niniejszy pragnie być właśnie bezpośrednim wyrazem téj łączności.“ Autor (szkicu) kreśląc go, nie był ani *abstrakcyjnym* myślicielem, ani *fantastycznym* poetą, ale *człowiekiem*. „Refleksya filozoficzna w szacie świątecznej (poetycznej) oto treść i forma tego szkicu“.

Sama treść rozwiniętą następnie została w 3ch oddziałach, z których pierwszy określa główny przedmiot, drugi mówi o głównych kwestiach w piśmie dotkniętych, trzeci wreszcie schodzi do wniosków, czyli na pole praktyki.

Oddział I ma napis: *Ludzkość na rozdrożu dwóch światów*.

Niegdyś, w pierwiastkach wszechstnienia, zjawiona na ziemi Ludzkość, ujrzawszy co ją otacza, olśniona, wymówiła wyraz: Bóg, Przyroda, Duch wiekuisty, Świat nieskończony, a głosy sfer stworzenia wtórowały w tém jéj słowom zachwytu. „Śród tych westchnień głębokich i téj harmonii sfer, mówi autor, ujrzały światło dzienne pierworodne dzieci ducha Ludzkości, dnia jednego zrodzone i zaledwo o kilka godzin wiekiem od siebie różne“, starszém była córka: *Uzucie*, które się wyraziło dalej jako Wiara, Poezja; młodszém syn, *Umysł*, który wydał wiedzę badania. Matka z wielką miłością spojrziała na dwoje tych dzieci. „Córceczkę, mówi autor, ubrałaś (Ludzkość!) w promienie słońca, a za siedzibę dała jéj niebo; dla synka zbudowałaś kolebkę skromną, i marzyłaś o szczęściu rodzinném, wzajemnej miłości tych dzieci.“ „Siostra, myślałaś, weźmie nieraz do siebie braciszka, pokaże mu złą światłość niebiańskiej ojczyzny i obudzi w nim tęsknotę do sprowadzenia

nieba na ziemię. A brat znowu, sądziłaś, wéźmie nieraz pod rękę siostrę i poprowadzi po polach i ogrodach ziemi... Jakże się pięknie dopełniają te moje dzieci! wołałaś, jakaż doskonałość przeniknie całe istnienie gdy dorosną, dojrzeją. Niebo i ziemia zbratają się wtedy i spłyną w jedno objęcie.“ — Pod opieką tych marzeń matki, dorosły dzieci, lecz cóż się stało, że marzenia jój tak zawiedzione zostały? że zamiast nieśmiertelnéj miłości, nieśmiertelna nienawiść wzajemna, stała się ich udziałem? Córka niebios zakochana w widoku ich nazbyt, wzgardziła ziemią. Brat wołany przez siostrę, szedł ku niej, lecz pożałował ziemi: z drabiny, po którój piął się do niebios, spadł, a chociaż głowa i członki mu pozostały, chociaż podrosły, zmężniały, ujrzał się panem świata, ale mu pękło *serce*.“ I na taki to los tych dzieci i walki ich, dzisiaj patrzemy. „Filozofia pękła dziś od nadmiaru treści. Poezyi zdjęto z głowy koronę złotą, a na jój miejscu błyszczy korona papierowa.“ „I w życiu społeczném wszystko się chwiać zaczyna: Giełda, świątynia Plutusa, staje się najwyższym wyrazem życia, skupia w sobie system nerwowy narodów... Gorączka zaczyna trawić cały ustrój... Żołądek napchany... papierami wszelkiego rodzaju... nic już więcej przyjąć nie chce: wyrzuca wszystko.“ „Religia i moralność, to dźwięki przebrzmiałe... Prorocy nowych światów wołają, że to fantazye: świat oto Bóg, to Bóg prawdziwy i żywy.“ I wyglądają nowéj ery i nowéj wiary, a każdy ją inaczej pojmuje! — „Cóż teraz, matko! po którójże stronie staniesz? czyliż możesz uwierzyć, iż nowa era świata, era jój szczęścia zawisła od gwałtownej śmierci jednego z twych dzieci?“ Jeśli syn twój, pan ziemi, zwycięży siostrę, królowę niebios, ach, wtedy słońce i gwiazdy zgasną na niebie, a syn twój na zmarzłej ziemi samobójstwem zakończy. Jeżeli córka, tedy nałoży kajdany na nogi syna i ziemia cała zamieni się w jeden stos gorejący.“ Ludzkości biędna! ty rzeczywiście stoisz dziś na ponurém rozdrożu dwóch światów“ — ale „ja znam twe serce: ty nie chcesz rozstroju, niezgody; nie wydrzesz ze serca swego, ani córki posłanki niebios, ani syna pana ziemi.“

Oddział II-gi ma napis: *Niebo i Ziemia, Duch i Materya, Bóg i Świat*.

Co jest ziemia, co niebo, w ogólnym przestworze wszechbytu? czy jest jaka między nimi różnica?“ — Żadnej. — „Tam gdzie te gwiazdy dziś się znajdują, tam dokąd dziś wdychamy, tam, na tém samym miejscu będziemy jutro, będziemy rzeczywiście, w dosłowném znaczeniu, bez żadnej poetycznej przenośni. Te gwiazdy niby dalekie, niedoścignione, to nasi towarzysze we wspólnéj podróży, po wspólném niebie... sam Bóg nie dał nam nieba bez ziemi, lecz ziemię śród nieba“... „Wy, którzy nie wierzyacie w żadne niebo a tylko w ziemię, podobni jesteście do owych teohórów na okręcie, którzy lękając się oceanu, kryją się w głąb kajuty... Wystąpcie tylko na pokład, a technienie nieba na nowo was ożywi; zobaczycie wszystko w co teraz wierzyć nie chcecie“ str. 29. (Wtrąćmy tu uwagę, iż nieodróżnienie w tém miejscu przez autora znaczeń *nieba* i *firmanentu*, czyni nie jasną myśl syntezy i téj lekcyi, do materyalistów

zwróconej). Czémże jest teraz właściwie *duch*, czóm *materya*? „Duchem jest wszystko co czuje, myśli, działa.“ Miłość, radość, nadzieje, to nie abstrakcye. Gdzie nie ma czucia, myśli, działania, tam mów o wszystkim, tylko nie o duchu.“ „Wymysłów abstrakcyjnych, cieniów fantazyi, które w tobie tylko żyją, a same w sobie nie czują, nie myślą, nie działają, nie nazywaj duchem“ s. 32 (Nie jasne także: między *cieniami* fantazyi i blaskiem fantazyi, między *wymysłami* a myślą, jakaż jest pod względem duchowości różnica?) Cóż jest materya? „Czy materya jest to wszystko co nie czuje, nie myśli, nie działa.“ Lecz takie określenie musiałoby pozostać bez odpowiedzi. „Czyż w stanie jesteś wyskoczyć ze siebie i przenieść się w serce innej obcej istoty, aby wyrokować o jej stanach wewnętrznych?“ „Spójrz na kryształ... czyż w jego symetrycznym układzie, w jego pięknych formach nie przejawiają się ślady *myśli*, porządku, poczucia poetycznego?... i czyż dlatego mamy ich zaprzeczyć, iż utwór ten nie ma mowy nam znanej?... Palec u twój ręki czy posiada sam w sobie czucie, myśl, a tém więcéj duszę?... a jednak w łączności z ręką i całym twém ciałem czy palec nie żyje?... Dlaczegoż więc nie miałbym równie powiedzieć, że wszystkie kryształy ziemi wraz z niebotycznymi wierzchołkami jej gór, są palcami jednej olbrzymiej prawicy, w której się przejawiają czucie, myśl i wola?“... „Rozbiór kilku atomów istnienia oderwanych sztucznie od związku z całością, nie daje ci żadnego prawa zaprzeczać istnieniu życia wewnętrznego, ducha, odmawiać mu czucia, myśli i woli“ s. 37. Czémże więc jest materya? „Materyą nie to jest co nie czuje, nie myśli, nie działa, co jest pozbawioném życia wewnętrznego; lecz tylko co nam opór stawia.“ „Wszystko co obce, co nie ja, przedstawia mi się w formie materyi... nawet sam Duch najczystszy, Bóg.“ Między twoim duchem a Bożym, między twoją myślą a myślą Bożą, nie ma próżni wypełnionej jakąś grubą materyą, nazwaną światem; nie! gdzie twoje istnienie, twój duch się kończy, tam zaczyna się istnienie, duch samego Boga“ s. 42. Niech ci tedy prorocy materyi co chcą powiedzą o początku i rozwoju świata, niech ci wykażą, że świat cały powstał z jednej chmurki eteru, życie na nim z jednej komórki, będzie to tylko zawsze wykład powierzchowny szaty świata, nie jego treści wewnętrznej ducha. „Powiedz może że to panteizm, ale tak nie jest: wszakże myśląc o Bogu, odróżniasz Go od siebie... świat nie jest Bogiem, lecz tylko objawem Jego ducha, Jego życia wewnętrznego... Wszecobecność ducha Bożego... nie narusza bynajmniej ani istnienia Jego odwiecznej świadomości, ani też bytu istot samodzielnych i wolnych.“ Lecz w ten sposób, mówią materyaliści, istnieje *Konieczność*, a w obec konieczności jakoż może istnieć Bóg wolny i ludzie wolni“. — Dla objaśnienia tego przedmiotu, autor rozdziela Konieczność na realną i abstrakcyjną, i w duchu obu, wyraża między innymi następujące uwagi: „Zkądże tobie przysła myśl o Konieczności? Oto wyłącznie tylko z doświadczenia, że doznajesz bezpośrednio swój zależności od wyższych sił, *od pewnego porządku* wewnętrznego i zewnętrznego.“ „Lecz ta potęga, która mnie ogranicza, czy ulega także jakiej trzeciej potędze?“



„Po za istnieniem i nad istnieniem, jest nic, a nicość nie jest żadną potęgą.“ „Konieczność w prawach natury (właściwie więc) to niekonieczność, to tylko *stałość, niezmiennosc, porządek*, które wcale nie wyłączają wolności, swobody, samodzielności; czyż bowiem istota wolna nie może być stałą w swych postanowieniach i przejawiać swą wolę niezmiennie w porządku?“ s. 51. Im więcej się przyglądamy potędze istnienia, tém więcej rozróżniamy w niem: Rozum, Porządek, Myśl. „Czyż więc można się dziwić, że Istota wszechbytu jako Rozum Najwyższy nie odstępował od porządku raz w życiu wprowadzonego.“ „Konieczność przeto istnieje, lecz nie koniecznie ślepa, ale wynik jasnej, rozumnej Myśli.“

W oddziale tym, widzimy, brak jest wzmianki o *nieporządku*, stronach ujemnych w stworzeniu. Przedmiotu tego dotyka jednak właśnie autor przy zwrocie myśli do praktyki, t. j. w rozdziale 3-m, który ma napis:

(III) *Rozwój Ludzkości*. — W całym świecie, który jest zewnątrz człowieka, widna jest dziwna harmonia: rozstroju nie ma. Dlaczegoż jednak człowiek jest dziś w kolizji z naturą, ze światem zwierząt, z sobą? „Istotną przyczyną tego jest rozstrój wewnętrzny, który duchem ludzkim oświadczył podczas procesu jego dojrzewania“ s. 58. Zkądże pochodzi ten rozstrój? „Dziecko rośnie szczęśliwe, o samobójstwie nie myśli... ale duch w swym procesie dojrzewania, skupił się i wydał samowiedzę; ta wzrosła dumnie, i stawszy się królową, podbiła i potrafiła wszystkie inne pierwiastki ducha ludzkiego... Zaprzeczyła istnienia wszelkiego nad siebie wyższego... i korzyła się tylko (czas jakiś) z musu przed światem zewnętrznym“. Cóż ztąd wynikło? oto rozstrój w samym jej duchu. Uznawszy siebie za cel ostateczny istnienia, wzgardziła resztą bytów i tym kierunkiem odznaczyły się jej uczucia, jej myśl, jej dążności. Gdy z uczuć zniknęła *miłość*, rozdzieliła się na narody, a w sercach zapanowały zazdrość, nienawiść. *Myśl* rozwija tylko abstrakcyę „bez znaczenia i treści rzeczywistej“. *Wyobraźnia* zmalęła, a umysł lituje się nad nią. *Wola* powstała i uzbroiła się przeciw wszystkiemu, nawet prawu. *Samowiedza* (egoizm) pobiwszy wszystko, straciwszy do wszystkiego szacunek, nawet do wszystkich sobie podobnych, więc z kolei dla samej siebie, wpada w szal i prowadzi walkę z ziemią i niebem. s. 64. Dzieje Ludzkości, to obraz strasznej tragedji. „Spójrz na to wszystko co w nich największe, na mędrców i bohaterów, samych religijnych wyznawców: wszędzie jęki boleści, krwi, śmierci.“ s. 86. Dobitnie kreślą to pesymiści i przynajmniej (uważa autor) nazywają złem, nieuginając kolan przed prawem walki o byt.“ Wadą ich tylko, że stracili wiarę w Ducha kierującego dziejami, i przerażeni widokiem dwóch pierwszych aktów, nie czekają ani na kulminacyę, ani na rozwiązanie tragedji... zaprzeczają, iżby ostatni akt mógł się skończyć oczyszczeniem bohatera, apoteozą.“ s. 68. Widzą oni we wszystkim wyraz tylko *nierozumu*, złej woli, zapominając, że samo to potępienie przez nich świata, sama ich rozpacz z powodu rozstroju ludzkości, jest bezpośred-

nim objawem wyższego sądu, wyższego rozumu, działającego w ich duchu.“ Wadą ich „branie momentów przejściowych za całość. „Poprawcie własny swój rozstrój, a stopniowie zmniejszać się będzie rozstrój ogólny, a urzeczywistniać na ziemi prawo porządku.“ s. 70. Ale owo prawo porządku, owa apoteza, to utopia! wołają realisci; — odpowiadając odwołuje się autor „do uniwersalnego prawa Harmonii.“ „Czyż chcecie, mówi, abym zadał kłam niebu nieskończonemu w odwiecznej harmonii nad ziemią królującemu, dla tego tylko, że na najmniejszym zakątku tego nieba zdarza się szereg zbroczeń, które w porównaniu z nieskończonością tego świata, w rachubę wchodzić nie mogą.“ s. 77. Prawo realnego rozwoju i ciągłego postępu, faktami jest dowiedzione.“ „Znamy dopiero kilka tysięcy lat ludzkiego rozwoju, a mogą ich być jeszcze miliony... Jeżeli więc zestawienie rozwoju ludzkości z rozwojem pojedynczego człowieka jest dozwolonem... to ze wszystkich cech psychicznych jakie dotąd przejawiała ludzkość, wnieść potrzeba, że się dopiero znajduje w swym wieku *chłopięcym* (t. j. młodzieńczym).“ Świat dawny był to świat dzieciństwa, zabaw i fantazyi. Chrześcijaństwo (jak Rodzice) nauczyło ludzkość (dziecinną) moralności, a dzisiaj oddaną została do szkoły. Trudno jeszcze (zdaniem autora) dopatrzeć się w niej cech wieku dojrzałego; jestże w niej to poczucie, iż razem z ziemią swoją jest częścią wielkiego nieskończonego społeczeństwa światów niebieskich?... Jest ona jak młodzieniec, który uległość dla wyższej potęgi ma za ubliżenie swój osobistej godności... Nie zna jeszcze swego zadania w przyszłości, a myśli tylko o tém, aby wyrwawszy się z czasem z pod władzy rodziców i nauczycieli, nikomu nie ulegać i nic nie robić.“ „Lecz z tego, co poznaliśmy dotąd z dziejów, wnieść już możemy, iż rozwój ludzki zmierza jak najwyraźniej do coraz większego usunięcia wewnętrznego rozstroju ducha ludzkiego, a tém samém do pojednania człowieka z światem zewnętrznym, z powszechną Istotą wszechbytu. *Taki jest cel ostateczny dziejowego rozwoju* uczucia, myśli i woli całego ducha Ludzkości; taki cel zasadniczych przejawów tego ducha: Religii i Sztuki, Filozofii i Nauk, Prawa i Społeczności.“ s. 84. (Tu następuje krótkie objaśnienie każdego z tych twierdzeń).

„*Religia* zawsze była najgłębszym pośrednikiem między niebem a ziemią... W najwyższym swoim przejawie, *Chrześcijaństwie*, wystawiła przed duchowe oko ludzkości najwyższy ideał powszechnej harmonii i porządku, pojednania człowieka z Bogiem, światem i samym sobą. Syn Boży staje się człowiekiem, wszyscy braćmi i siostrami, dziećmi jednego Ojca. Jego Duch (pokoju i miłości), Duch Święty zstępuje na Ludzkość, i pracując w głębi jéj ducha, sprowadza spełnienie czasów, niebo na ziemię.“ s. 85. Jest to rozwój wprawdzie powolny bardzo, ale niemniej przeto wyraźny i stanowczy... i nie mamy powodu powątpiewać że z czasem powstaną we wszystkim pośród ludzkości formy odpowiadające ideałom Chrześcijaństwa“ s. 86.

*Poczya i Sztuka* mają toż samo zadanie: pojednanie nieba i ziemi, ducha i materyi. „*Religia* sprowadza niebo na ziemię, *Sztuka* podnosi



ziemię ku niebu. Daleki to jeszcze czas, w którym sztuka tém stanie się dla ludzkości, czém jest teraz dla niektórych jednostek; lecz gdy nadejdzie, połączą się świat nadziemski i ziemski, boski i ludzki, realny i idealny. Miłość Boga, świata, ludzkości, pojedna je na wieki“ str. 88.

Czego dokonywa Religia i Sztuka w obrębie uczucia, tego *Filozofia* z siostrami swemi (Nauki) w obrębie myśli. Filozofie były zbiorem dotąd samych antytez, ale duch czasu i naturalny rozwój myśli ludzkich domagają się podania im syntezy. Filozofia zaczawszy od idei, rozum, przez sam ten rozum doszła w końcu do realizmu; nauki specjalne (przeciwnie) od tego ostatniego (realizmu) zaczęły, ale pod badawczém okiem genialnych przyrodników, tak zwana gruba materya ulatniała się coraz, aż przyjęła formę teoretycznej abstrakcyi, która nie ma nic spólnego z rzeczywistością (realnością), str. 91. I wreszcie (na zakończenie tego oddziału i książki), autor rzuca spojrzenie na fakta objawu *woli* czyli dziejowy los społeczności ludzkiej, uważany w stosunku syntez, i powtórzmy tu myśli główne.

„Czém jest sumienie dla jednostkowego człowieka, tém jest prawo dla narodów i ludzkości.“ „Jak dziewica nigdy nie zapomni serdecznych marzeń pierwszej czystej miłości, tak Ludzkość nie porzuci nigdy wiary w Chrystusa.“ „Lecz między ideałem i jego urzeczywistnieniem, między pierwszą miłością i ołtarzem, leży długi czas wyczekiwania i powolnych przygotowań. Serce nieraz powątpiewa, nieraz swe ideały porzuca, nieraz zawiązuje nowe, mniej idealne stosunki.. Oto stan dzisiejszego społeczeństwa Ludzkości. Ideały zjednoczenia, braterstwa, pracują w głębi serca, znajdują nawet pewien wyraz w dążnościach ku uniwersalnemu zespoleniu ludzkości... ale wszystkie te dążenia, nacechowane są jeszcze wielką niedojrzałością.“ „Kierownicy tych dziejów zbyt często podobni są jeszcze do swawolnych chłopiąt, co siedząc na przedzie wózka, poganiają rumaki do śpiesznego biegu wykrzykami szaleństwa lub nawet wyraźnemi razami bicza. Nie ma pod tym względem, uważa autor, żadnej różnicy między *czarnymi* (inkwizycya) i *czerwonymi* (gilotyna), i dodaje: „Biedna ludzkości! jeszcześ daleka, bardzo daleka, od spełnienia swych najwznioślejszych ideałów, ale nie trać nadziei... przypatrz się tylko owemu stopniowemu udoskonalaniu prawa i form społecznych, które ci dzieje wykazują. „Idea słuszności, szacunku, wzajemnej pomocy, zaczyna kiełkować w rozdrobnioném ciele ludzkości i znajduje coraz dobitniejszy wyraz w prawie międzynarodowém, w idei kongresów; pierwszy to krok, ale przewidzieć łatwo, że ludzkość dojdzie z czasem do tego, że patrzeć będzie na wewnętrzne krwotoki nazwane wojnami, jako na objawy patologiczne, i więcęć ich nie dopuści.

Jak prawo, tak téż (od niedawna upowszechnione) formy społeczne, dążą do coraz szerszego zjednoczenia ludzkości.

Na polu dążności *religijnych*, uczuciowych, taż sama syntetyczna, uniwersalna tendencya przejawia się w idei *jednego powszechnego kościoła*. str. 103.



Na polu życia praktycznego, ta syntetyczna dążność przejawia się coraz dobitniej w stowarzyszeniach dobroczynnych, wzajemnej pomocy, w assocyacjach różnego rodzaju... w rozwijającej się coraz wybitniej opinii publicznej i jej organie: *prassie*“. „Wszystkie te formy wprawdzie są jeszcze w kolebce, ale idea istnieje. Idea to życie ludzkości, to twórcza potęga, która w historii wyradza coraz doskonalsze, zupełniejsze organizmy, aż w końcu całą Ludzkość obejmie jedną formą społeczną, ożywioną jednym spólnym duchem“ str. 88.

W takich ramach i szczegółach rozwiniętą jest synteza dwóch światów Dra Struve. Czytelnik nie może zaprzeczyć, iż w swym charakterze przeważnym, treść ta jest istotnie syntezą. Stojąc na stanowisku umysłów, do których głos dziełka głównie jest zwróconym, t. j. materialistów i pesymistów, sądzimy, iż ci (jeżeli tylko pierwsi zechcą rozumieć i przyjąć wykład przez allegorye) nie będą mogli nie uznać trafności wielu spostrzeżeń, jak to np. że dwa światy *uczuc* i *mysli*, to dzieci jednej matki (ducha ludzkości), a ztąd równe prawo mają do bytu, równe do jej miłości, równą są prawdą; że zwrócenie myśli do wszech przestrzeni, wszech związków, zmusza do uznania praw pewnych wewnętrznych, tkwiących w materji, a więc powszechnej spójni materji i ducha, do bytu ducha; że wadą pesymistów dzisiejszych jest, iż momenta bytu przejściowe uważają za wypadkowe, za stałe; iż wychodząc z uznania widnych wśród świata nieporządku i nierozumu, tém samém uznają sami tkwiące w umyśle swoim (a więc w treści wszechbytu) pierwiastki porządku i rozumu; i że wreszcie samo przypatrzenie się faktom bytu ludzkiego, wskazuje na stopniowe urzeczywistnianie się w nich, pewnych praw dodatnich.

Jeżeli jednak materyaliści i pesymiści, którzy uznają z zasady byt *materji* i *zła*, mogą podzielić wnioski autora i zgodzić się z nim na możliwość bytu wiecznego dobra, wiecznego ducha, i tym sposobem przyznać, iż doszli do pewnej syntezy; to znowu wątpić można, czy zanedbani trochę przez autora skrajni przeciwnicy ich zasad, t. j. idealiści, dla których materya jest tylko marą, i optymiści, zdaniem których „wszystko jest tu najlepsze, na najlepszym ze światów, po śmierci i po śmierci“—po odczytaniu książki, dojdą równie do uznań swoim przeciwnych, a więc do syntezy; przyczyną zaś tego nie to jest, iżby traktat obecny nie miał ostatecznie na celu i tej syntezy, lecz że autor tego traktatu, mimo nieraz twierdzenia brzmiące przeciwnie, sam jest z gruntu i czystym idealistą i optymistą.

Iż Dr. Struve mimo czynione w dawnych swych pismach wyznania jawne, iż jest stronnikiem i wyznawcą szkoły filozoficznej, zwanęj w Niemczech *idealno-realną*, w istocie jest czystym idealistą, dowodem tego jest już sam napis książki, według którego obie strony wszechbytu: zewnętrzna i wewnętrzna, to tylko świat naszych *uczuc* i *mysli*, a więc *duch* tylko; bliżej zaś jeszcze objaśniają to określenia, które według autora mają odznaczać istotę ducha, istotę materji. Autor np. jak to widzieliśmy, mówi tu literalnie: „Między twoim duchem a Bożym, mię-

dzy twoją myślą a Bożą, *nie ma* próżni wypełnionej *realną materią*, nazywaną światem. Nie, gdzie twoje istnienie, twój duch się kończy, tam zaczyna się istnienie, *duch* samego Boga;“ i dalej: „ten świat materialny to tylko linia *matematyczna* (więc nie fizyczna nawet) oddzielająca ciebie od Boga“ str. 42. W zasadach więc autora, w gruncie, jest jednostronność, a następstwa ujemne tych jednostronnych uznań, znane już są w rozwoju filozofii i powtórzyłyby się musiały na nowo. Lecz oto obok tych zasad jawnych, wyrażają się też równie jawnie w dziełku i zasady przeciwnie, a ztąd znaleźć się też musiał w wykładzie, szereg nauk i twierdzeń sprzecznych, niejasnych, dwuznacznych, które tém samém za syntetyczne wnioski uznać się nie mogą. Możemyz np. z określić przez autora istoty ducha i istoty materji, rozróżnić co jest duchem a co materją? kiedy autor, jak to widzieliśmy, twierdzi że i myśl, jeśli się wdaje w *wymysły* i fantazyja jeśli daje *ciemne* obrazy stają się materją, (str. 32,) albo też, iż materją jest wszystko to co nam sprawia opór, (s. 38), a więc np. i nienawiść, gniew, złość, przeciwnika mojego czyli *uczucia* <sup>1)</sup>. Albo też kiedy raz twierdzi, że „*wszystko* wśród wszechbytu jest *spójnią* materji i ducha“ (str. 31), a w inném miejscu, iż Bóg jest, „*duchem najczystszy*“ (str. 41). Możemyz z wykładu Syntezy ukształcić sobie wyobrażenie jasne co jest właściwie niebem, kiedy raz autor zarzuca mistykom, iż „szukają nieba *bez ziemi*“ (str. 27,) i znowu zarzuca materjalistom, iż odrzucają niebo „*nad ziemią* królujące“ (str. 77.)—Możemyz zrozumieć jasno jaki jest według autora stosunek człowieka do Boga i do spółtworów? kiedy na str. 41 znajdujemy naukę taką: „gdzie twoje istnienie, twój *duch* się kończy, tam się zaczyna istnienie, *duch* samego Boga.“ Czy to ma znaczyć, że w jednej tylko istocie ludzkiej wśród świata nie spoczywa *duch* Boży? czy nawet, że Bóg istnieje dopiero tam, gdzie się kończy świat *uczuc* i *myśl* ludzkich czyli ducha ludzkiego? Jedno i drugie nie przypada do wykładów rozwijanych w innych częściach syntezy. Za skutek nierozróżnienia jasnego zasad realno-idealnych i czysto idealnych, poczytujemy także i to, iż autor w teorii ducha okazawszy się tak czystym idealistą, w ostatnim oddziale mówi tak dobitnie i szczerogółowo już o wyrażnie *realnej* apoteozie.

Nie my zapewne zaprzeczać będziemy twierdzeniom autora książki o istnieniu Harmonii, o podobieństwie rozwoju Ludzkości do rozwoju jednostki, o nadziei i konieczności nadejścia ery dla świata nowej, wyrazem dobra będącej, a także i temu twierdzeniu, że „z tego co poznaliśmy dotąd z dziejów, *wnieść już możemy*, że rozwój ludzkości“ etc. (str. 84). Jakże jednak z tem zgodzić ten w inném miejscu protest autora, iż „dotychczasowego rozwoju ludzkości, dotychczasowych objawów jój życia, nie

1) Autor może zapewne wskazać współników podobnych zdań, wszakże i Libelt w jednym z swych traktatów czynił obszerny wywód, że *materja* to *myśl*, lecz zdaniem naszym nadawać, według upodobania jednostkowego, nazwiska przedmiotom, o które idzie, nie jest to wcale przyspieszać syntezę czyli wykład *rzeczywistości*.



można żadną miarą wziąć za podstawę dla wyprowadzenia ogólnych praw rozwoju człowieka i jego dziejów“ (str. 79), lub też ironię z tych, którzy „wierzą głęboko, że po czczych marzeniach musi nastać era działań, czynu i urzeczywistnienia się Królestwa niebieskiego na ziemi.“ (str. 6). Że zaś autor jest optymistą, o tém świadczy każda nieledwie karta jego książki. Istotnie, gdyby zkądinąd na każdój z tych kart, nie było widać wyrazu pewnej powagi, pewnej wytrawnej myśli, wnieśćby można, iż słowa ich kreślił jakiś szczęśliwy chłopiec, któremu się uśmiechają (i tylko uśmiechają) niebo i ziemia, i przyroda wewnętrzna. Autor mówi poezją, nie wierzy w istnienie zła, o nędzy, cierpieniach, śmierci, nie chce i słyszeć,—cała społeczność ludzka według autora to *niebo* („ludzkość jest członkiem wielkiego nieskończonego społeczeństwa, które niebem nazywamy“ str. 81);—wielki dramat Ludzkości zowie wprawdzie tragedją, wszakże według autora i tragedia nie kończy się śmiercią bohatera ale apoteozą. Optymizm ten wpłynąć też musiał głównie a wpłynąć ujemnie na wykład rozwoju dziejów, a mianowicie na wykład głównego z praw tego rozwoju, t. j. stosunku *Woli do Konieczności*.

Kwestyę tę *Konieczności* rozwinął Dr Struve, przypominamy, przed parą laty w oddzielnym traktacie w języku niemieckim napisanym p. n. *Analiza pojęcia konieczności*. W traktacie tym, który był zamieszczonym na czele 1-go Nru z r. 1874 czasopisma *Philosophische Monatshefte*, autor z całym tém bogactwem dyssekcji myśli, jaka jest właściwością metod niemieckich, rozbiegając owo pojęcie ze stanowiska psychologii i metafizyki, i oceniając Konieczność już jako loiczną, już jako empiryczną, już jako metafizyczną; doszedł do tego wniosku: iż gdy z wyłożonych zasad wynikło, że wszechświatem rządzą prawa rozumu; przeto „rozum w świecie jest *koniecznością*“ (dosłownie: dass im Sein an sich nur Vernunftgesetze wirken, und dass alle Nothwendigkeit, ihrem metaphysischen Wesen nach, von uns als *Vernunft Nothwendigkeit* erkannt werden muss“.) Ten piękny wniosek, dla traktatu którego zadaniem było tylko wykazać *być* konieczności, naturalnie był dostatecznym, ale *być* konieczności to *teza*, zaś *być* śród wszechświata i swobody woli to *anti-teza*. W piśmie więc, którego zadaniem była Synteza, musiała być mowa i o tym drugim pierwiastku i o pogodzeniu ich z sobą. Pogodzenie to nie jest zapewne rzecz łatwa, ale dla optymizmu autora była najlżejszą. Konieczność, mówi autor (jak to widziliśmy) to *stałość* „a czyż istota wolna nie może być stałą w swych postanowieniach i przejawiać swą wolę niezmiennie *w porządku?*“ (str. 51). Autor ominął tu tylko, widzimy, rzecz małą, t. j. jeżeli ta wola przejawiać się zeche (jak to jednak bywa najczęściej) i w *nieporządku?* Kwestya ta dotkniętą wprawdzie następnie została bliżej w oddziale III-m, lecz i tu rozstrzygnięciem jęj jest tylko optymizm. Autor najprzód nie widzi nieporządku, rozstroju, zła, nigdzie więcej jak w świecie ludzkim („w całym istnieniu, mówi, niezależnym od ciebie, rozstroju nie ma“); zaś nędze, cierpienia, jęki i t. p., które widziane są w świecie ludzkim, „są to tylko, według autora, *małe zboczenia*, które w porównaniu do nieskończoności tego świata *w rachubę wchodzić nie mogą*“ (str. 77). Niemówiąc już



jednak o sferach nieznanych nam, a patrząc tylko na ziemię, czyli los wszystkich istot jój organicznych, czucie mających, nie jest to widok wzajemnego ich czyhania na siebie, ich wzajemnego żarcia się, więc przeważnie boleści tylko i śmierci? A świat ludzki czyliż to równie nie szereg wzajemnych bojów, ucisków, nędzy, cierpień i śmierci? a obraz ten, którego ramami są dzieje od najpierwszych ich czasów do naszych, a przedmiotem miliony jednostek, czyliż się może nazwać tylko *zbożeniem malém*, które nie wchodziło nawet w rachuby Rozumu wszechzręczącego? Autor objaśnia wprawdzie, iż rozstrój ten w świecie ludzkim, jest nie skutkiem tego Rozumu, ale *procesu rozwoju*; — Rozum jednak, który wydał Ludzkość i rozwój jój, czyliż nie był zarazem Stwórcą i praw procesu?

Nie mamy zapewne prawa wymagać od książki *pisanéj* siłami człowieka, wykładu praw, które wydało i urządziło pojęcie zbyt wyższe nad pojęcie człowieka; lecz też nie możemy uważać za syntezę, za rozjaśnienie tego, w czém nie znajdujemy rozjaśnienia. Każdy rodzący się człowiek, przychodzi już na świat z płaczem, ale optymizm autora zamiast szukania przyczyn tego faktu, woli zaprzeczyć faktowi. „Nie obawiaj się, mówi autor, odpowiedzialności za czyny zgastłych pokoleń, Sprawiedliwość odwieczna nie karze dzieci za zbrojenia ojców“ (str. 57). — Żadna jednak z jednostek ludzkich nie wyrasta z ziemi oddzielnie, i mając na względzie nieudolność sił naszych do ostatecznych rozjaśnień, zbyt loicznie już jest przyjąć wykład, który nam podają religie pierwotne, iż wśród pierwiastków Bytu w krainie Dobra, znalazł się też z czasem w taki lub inny sposób pierwiasek Złości, iż ten stał się przyczyną winy pierwszego człowieka, a następnie śmierci człowieka, iż ta wina ściągnęła karę i na potomstwo ludzkie i na spólistność człowieka (utwory ziemskie). W wykładzie tym jest przynajmniej możliwa jasność i prosta loika. Jeżeli nad rodem ludzkim zawisła kara, tedy ta kara musi być skutkiem winy. Z dwóch rzeczy jedna: albo ten obraz cierpień, który przedstawia nam ziemia, jest cierpieniem bez winy, lub w treści tego Rozumu, który wydaje wszystko, nie istnieje sprawiedliwość. Jeżeli, jak autor twierdzi, jest Konieczność Sprawiedliwości, tedy tém samym jest i Konieczność Winy.

Autor w wykładzie Syntezy nie dopuszcza pierwotnej winy człowieka, upadku, dziedzictwa winy, istnienia złości, zbawienia w czynie, nie mówiąc o śmierci, nie dotyka też przedmiotów pośmiertnych, stosunku jednostek do czasów i t. p. Autor nie czyni tego zapewne między innymi i dla tego, iżby w swém piśmie filozoficzném jako filozoficzném nie zbroczyć od filozofii do teologii. Lecz oto zdaniem naszym, jeżeli treść filozofii w rozwoju swoim ma się stawać istotnie postępną, tedy nastąpi to tylko wtedy, kiedy w osnowę swoją zamiast wciągania, jak było to dotąd, jednej tylko gałęzi myśli (dyalektyki), wciągając i wcielając będzie wszystkie po kolei gałęzie. Jeżeli filozofia nam spółczesna powiększyła swój obszar przez to, iż w całość swą wcieliła, a przynajmniej wcieliła zaczyna głębsze wnikiwanie w obszar *natury zewnętrznej* i jój *tradycyi* od pierw-

szych czasów (paleontologii), tedy tém więcej wzbogaci się i do zupełności zbliży, jeżeli też z drugiej strony wciągnie w siebie i głębsze wnikiwienie w treść *natury wewnętrznej* i jej *tradycji* od pierwszych czasów (religii).

Autor książki niezupełnie zdaje się być tej zasadzie przeciwnym; sam bowiem zauważywszy, iż „najwyższym przejawem w gałęzi religijnej jest chrześcijaństwo“ dodaje: „że Ludzkość nie opuści nigdy tego swego ideału z lat młodych.“

A jeżeli są różne drogi w wyborze religii Ludzkości od czystego Deizmu do Chrześcijaństwa, tedy są też i różne drogi przy wychodzeniu z Chrześcijaństwa, a mianowicie te wielkie dwie: iż zwolennicy jednej wychodzą tylko teoretycznie z uznania, iż wszystkie nauki w Ewangeliu zawarte, są prawdą; postępujący zaś drugą, przyjmują i uznają za prawdę i wszystkie ich następstwa praktyczne (jak to np. o trzykroć zaleconém pasterstwie, charakterze tego pasterstwa itp.), czyli, iż jedni (t. j. ci ostatni) wychodzą z całości pierwotnych podań i nauk, drudzy zaś odrzucając to co niejasne, wychodzą tylko z tego co jasne, co zgodne z granicami pojęć i objęć sądzącej jednostki. Tu jednak musimy wtrącić uwagę.

Przed kilku laty głośny w literaturze niemieckiej eks-teolog i eks-heglista Dawid Strauss, w swym śpiewie łabędzim, wydanym pod napisem: *Dawna i nowa wiara*, rozwinął myśl, iż stara wiara (t. j. w bóstwo Jezusa Chrystusa), już się skończyła, a jej miejsce zajmuje i winna zająć nowa wiara (w bóstwo Przyrody). Jednym z głównych charakterów tej książki jest wprawdzie pierwiastek kłamstwa; autor bowiem wychodzi w niej z założenia, że „Chrześcian już nie ma“, a jego *nowa wiara*, jak trafnie zauważył jeden z niemieckich jego krytyków (Ulrici) nie jest ani *nową* ani *wiarą*; wszakże w wykładzie tym starego obserwatora nie jedna się też znajduje uwaga wytrawna, i między innymi wyraził tu taką: „*Tajemniczość* zdaje się być dziwactwem, a jednak to wszystko co jest głębszém: życie, sztuka, państwo, mają swoją stronę tajemną. Jedes Mysterium erscheint absurd, und doch ist nicht Tieferes, weder Leben, noch Kunst, noch Staat, *ohne Mysterium*“, *Der neue und der alte Glaube*, wyd. 1872, str. 266.) Prawda to więc, której nawet pozytywista tak skrajny jak Strauss nie mógł zaprzeczyć a musiał wyznać, iż śród świata jest jego strona tajemna, i że ta strona jest warunkiem wszystkiego co jest głębsze;—jeżeli zaś tą głębszością jest państwo, jest sztuka, tedy tém więcej przedmiot tej treści jak mówiący o stosunku stworzenia do Stwórcy, t. j. *Religia*.—Religia więc, zdaniem samego Straussa, musi mieć swoje misteryum, to zaś co jest misteryum (przez to samo iż jest misteryum) nie może być przedmiotem jasnego, dobitnego poznania. Filozofia jest dociekaniem prawdy, a Prawda ta dociekana, taka lub inna istnieje, i *niezależnie od tego* czy jest docieczoną lub nie, istnieje, i nie przestaje rozwijać się i objawiać, w tém nawet co jest misteryum. Ta też tylko droga jest z prawdy, ta jest żywotna, która czerpie z jej treści, a zgodność tę wykazuje i sprawdza właśnie rząd następstw. Albowiem w świecie ducha jest prawo, które w rozwiciu duchowych

szczegółów przemaga i zwycięża, a które w świecie materji nazywają naturalisci walką o byt. Hegel wysilił swój umysł aby zgodnie z nauką chrześcijańską systematycznie dowieść, iż Bóg jest *Duchem*, i że jest *Jeden* we trzech (spółistnych i równych sobie) *Osobach* (Duch Podmiotowy, Duch Przedmiotowy, Duch Bezwzględny=Absolut) i ztąd też system jego stał się powszechniejszym nad inne, ale w innych szczegółach swego systemu nie wyszedł z téjże nauki, z téjże całości, i to zabiło system. I w literaturze naszój, w gałęzi o którój tu mowa, uważać można, iż umysły, które otrzymały były od Ducha odznaczenie szczególne, były to te, które też otrzymały były zarazem gorliwość w wychodzeniu z całości chrześcijańskiej drogi (Libelt, Kremer, Gołuchowski i in.).

Autor *Syntezy* należy pod tym względem do téj linii, do którój autor *Myslińi*; a droga ta, zdaniem naszém, jako wychodząca z ciaśniejszego pierwiastku, na ciaśniejszym też skutku zakończyć musi, — droga ta nie filozofią złączy z religią, podniesie ją do wagi religii, ale Religiją chrześcijańską cofnie do dróg poprzednich, co najmniej do Stoicyzmu. A tymczasem w rzeczy téj nader trafną wyraził uwagę sam autor *Syntezy*, w jednym z dołączonych do niej *Dodatków*, mówiącym o znaczeniu i wadze pierwiastków takich jak „*Poezya, Religia i Filozofia*“ a uwagę tą zakończymy i nasze: „Usunmy jeden z tych trzech Filarów, a cała Ludzkość runie od razu w chaotyczny odmet materji i zbrata się na dobre z otaczającymi ją istotami niższego rzędu.“

(8) 20 Kwietnia 1876 r.

X.

### *Monumenta Medii Aevi Historica Res Gestas Poloniae Illustrantia.* (Cracoviae 1874).

Jako czwarta część wydawnictw komissyi historycznej Akademii umiejtności w Krakowie, wyszedł pierwszy tom wspomnianego zbioru, mający drugi polski tytuł: „Pomniki dziejowe wieków średnich do objaśnienia rzeczy polskich służące.” Tom niniejszy (pierwszy tego gatunku wydawnictw akademickich) wydany i przypisami objaśniony przez dra. Piekosińskiego, zawiera dokumenty zostające w zachowaniu archiwum kapituły katedralnej krakowskiej, i nosi nazwę „kodeksu dyplomatycznego katedry krakowskiej Ś-go Wacława” (część pierwsza obejmująca rzeczy od r. 1166—1366).

Wydawca dr. Piekosiński już w komissyi historycznej b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk krakowskiego, r. 1870 zawiązanój, wniósł był myśl ogłoszenia drukiem bogatych zbiorów kapitulnych świątyni, którój pierwszy patron (Św. Wacław czeski książę i męczennik) symbolem jest ziemi, z kąd Polsce zawitała „dobra nowina,” a drugi (Św. Stanisław) stał się niejako promotorem największych przywilei duchowieństwa swój dyccezyi (por. akty 1255 r.). Myśl wnioskodawcy wstępującego swym projektem w ślady ks. Mateusza Gładyszewicza, który część tych zabytków przepisał 190 n-rów po 1385, a część ogłosił był 1845 w do-



datkach do swego „Żywota bł. Prandoty z Białawcza biskupa krakowskiego,” oraz Helcla, który już był przeszło 150 n-rów po r. 1506 z kopiarzy zebrał; zyskał chętnie poparcie członków komissyi, professorów: Szujskiego, Janoty i Jana Szlachtowskiego, oraz u prokuratora ówczesnego kapituły ks. Pietrzykowskiego. Zaledwo jednak przystąpiono do zajęć przygotowawczych, wnet oderwały od nich inne zatrudnienia Szujskiego, nominacya do wszechnicy lwowskiej Janotę, śmierć Szlachtowskiego. „Tak, wykonanie podniesionej niegdy przezemnie myśli, (mówi sam wydawca w przedmowie), zaciążyło znowu na mnie samym. Nie będąc z zawodu historykiem, lecz prawnikiem, nie było mi tajno, iż nie podołam pracy, która mając gotowy wzór w starannie i gruntownie opracowanym tomie pierwszym kodeksu dyplomatycznego, wydanego za staraniem Ryszczewskiego, Muczkowskiego i Helcla, nie powinna była za nim w tyle pozostać, choćby już dla téj przyczyny, iż od czasu owéj publikacyi, zasób materyałów historycznych znakomicie się pomnożył, przez co krytyczne wydanie dyplomatarjusza znacznie ułatwioném zostało.” Z tych słów już widać, iż dr. Piekosiński główny nacisk kładł na komentarz. Potwierdza to jego wyznanie, iż wahał się długo, ażali nie będzie lepiej poczekać na specjalistę historyka, któryby „ów cenny materyał krytycznie opracować i wyczerpującemi uwagami objaśnić zdołał.” Przeważył wzgląd *bis dat, qui cito dat*, i zgoła ze względu na objaśnienia, nie na szkodę wydawnictwa. Pomimo różnic, jaka w żądaniach co do najlepszego sposobu oddawania tekstu, zachodzi między szkołą badaczy historycznych krakowską i lwowską, z jednej strony postulaty prof. Bobrzyńskiego z Krakowa, zdały się być wzorem częściowym dla niniejszego tomu, a z drugiej, recenzya prof. Liskiego ze Lwowa przyznała d-rowsi Piekosińskiemu, iż „perłami tego cennego i znakomitego” zbioru są objaśnienia geograficzne i rzeczowe.

Mówiąc o ważnych uwagach dwu tych uczonych recenzentów, jakie pomieścił w swych ramach *Przewodnik Naukowy i Literacki* (1874 lipiec i sierpień, 1875 marzec) i to uwagach ściśle wiążących się, tak z ogólną kwestyą metody wydawnictw dyplomatycznych, jako też specjalnie z samém wydawnictwem dra Piekosińskiego, nie powinniśmy zamilczeć o antagonizmie, jaki wnosząc się z *nizin* życiowych zamącił podniosłe sfery naukowe historii, jaskrawym dyssonansem właśnie z racyi niniejszych Monumentów (Przewod. r. 1874, str. 80, 82, r. 1875 str. 295). Zaściankowe to współzawodnictwo dobrych owoców przynieść nie może w epoce, gdy od czasów Wojciecha Bogusławskiego i jego trupy polskich komedyantów, koczującój po trzech kordonach: pruskim, rosyjskim i austriackim; literatura stała się na długo jedynym międzynarodowym objawem życia utajonego i ocalałym godłem zniweczonej całości. Pomnąc na to podniosłe stanowisko piśmiennictwa, nie godzi się wnosić w nią niezdrowej atmosfery małodusznych słabostek. Protestujemy tém energiczniej, odwołujemy się tém śluszniej do wzgardzonego *liberum veto* naszego, że już i tak z zakatów prassy peryodycznej wnoszące się niezdrowe opary, zanadto silnie rozpanowały się w opi-

nii.... Niechże przynajmniej umiejętność nie zstępuje ze swych wyżyn w te bagna lernejskie, chyba pod warunkiem, że będzie Herkulesem tę hydrę niszczącym. Niech naucza raczej swym przykładem, że słowo i pióro to kord husarza, faszces konsula, laska proroka, to dźwignia i kordyał nie maczuga i trucizna, to rosa i słońce, nie topiel i pożoga.

Podjazdy i utarczki osobiste tém mniej są na miejscu w sferze tak poważnych rozbiórów i studyów, że w przeciwieństwie do trefnisio-stwa i blagi jednych, do nihilistycznego rozczarowania lub samobój-czych, bo jednostronnych komplacency i kontemplacyi drugich, powoli ale wytrwale z *zatechłych* papierzyków, z *opylonych* pergaminów, i nie doniszczonych foliantów, dzięki *niepraktycznym mólom*: wznosi się dotąd tajemnicza, dotąd zagadkowa postać Izydy-Rzeczypospolitej, z obston wyswobodzona, w wewnętrznym swym ustroju coraz lepiej poznawana. W przeciwieństwie do dotychczas przeważnie znanych prze-wag wojennych lub klęsk dyplomatycznych, więc tryumfu ciała a upadku ducha, więc przypadkowości indywidualnej nie konsekwencyi ogó-łowej; zaczyna się coraz jaśniej uwidamiać regularna działalność pe-wnego organizmu społecznego, coraz dobitniej rysować wzorzysta a sworna, wieloramienna a jednoduszna budowa narodowa, może więcęj zdolna zawstydić sąsiady i wzory konstytucjonalizmu, aniżeli być przez nie zaćmiona.

W liczbie dzieł, może niezbyt ponętnych językiem, nie wszy-stkim przystępnych dla swój formy, ale nieocenionych ze względu na treść swą, dobytą już w przypisach, lub jeszcze mogącą być wykrytą, należy się bez zaprzeczenia poczesne miejsce naszemu dyplomatarju-szowi, aczkolwiek ma pewne niedokładności, już w samym planie tkwiące i przez wykonanie tylko uwydatnione. Nie wyczerpuje on najprzód całego materiału dyplomatycznego w zakresie miejsca i czasu, jaki miał objąć wedle zapowiedzi nagłówek. Nie można bowiem po-wiedzieć, by to był zbiór wszystkich dokumentów odnoszących się do katedry Św. Wacława. Jak sam wydawca przyznaje się, opuścić on akty, których oryginałów nie miał w ręku, a były już wydrukowane gdzieindziej; natomiast zaś powtórzył inne, mniej poprawnie ogłoszone, lub potrzebujące objaśnień (zwłaszcza Gładyszewicza), oraz pomieścił i takie, które bez związku wewnętrznego z dziejami kapituły, zostają z jój archiwum w związku przypadkowym: znajdowania się w niem. Sy-stematycznym więc zgoła nie jest, a nawet w tym braku przewodniej myśli jeszcze odstąpił bardziej od swego wzoru (Rzyszcz. Mucz. Hel-cla) zaniechawszy podać jak on w porządku chronologicznym, przynaj-mniej zwięzłej treści i dzieła, gdzieby żądany akt odnaleźć można by-ło. Trzeba być niezmiernie odczytanym w źródłach, by módz zaradzić w użyciu temu ważnemu brakowi Św. Wacławowego dyplomatarjusza. Że zaś nie każdemu użytkującemu z tego dyplomatarjusza jest odrazu już teraz możliwém takie samodzielne uzupełnienie, widoczném jest z uwag recenzenta Liskiego w rzeczy metody wydania uczynionych, a uwzględ-niających przy stawianiu zasad wydawania dyplomatów *nietylko* tych,



którzy mają znaczną wprawę w czytaniu dokumentów, ale nawet i *nowicjuszków* (Przewod. r. 1875 str. 281). Niedawna recenzja V-go tomu Aktów grodzkich i ziemskich, świeżo zmarłego Feliksa Zielińskiego, podobnie zwróciła uwagę ich wydawcy na konieczność zaspakajania potrzeby *poczynających* zawód historyczny. Tém śmiej i my zabieramy głos w téj saméj materii baczenia i w kodeksie Św. Wacława na tych, którzy w samym zbiorze uwiedzeni jego tytułem, kompletność zapowiadającym, szukać będą nadaremnie pożądaných dla się wskazówek, co do tych dokumentów, jakie się obecnie nie znajdują w odnośném archiwum, już gdzieindziej ogłoszonymi zostały, a do dziejów katedry i jéj kapituły odnoszą się. W obec pięknych podobizn, stanowiących istotną a rzadką ozdobę tego rodzaju naszych wydawnictw, wzgląd na pomnożenie z innéj strony kosztu przez dołączenie takiego inwentarza z pewnością nic nie ważył. Zgoła zaś nie przemawia do naszego przekonania uwaga wydawcy, że dzieła zawierające dokumenty w jego Dyplomatarjuszu niepomieszczone, *powinny się znajdować* w rękę każdego uczonego badacza dziejów naszych, i że z tego powodu widział się uwolnionym od ich przedruku. Wydawca zapomniał wyraźnie, że nie zawsze kto powinien, ten może mieć wszystkie źródła, a nawet, że mogą nabyć lub chcą poznać, bez wskazówki żądanej nie będąc w stanie szukać i znaleźć, bo niektóre wydania są rzadkościami, nie w każdej nawet bibliotece publicznej się znajdują, i często nawet niczém nie zdradzają, by co odnośnego do naszój kwestyi zawierały.

Zbiór niniejszy dokumentów zawiera 241 numerów: z tych wydawca wymienia 174 jako po raz pierwszy drukiem ogłoszonych; 5 ma pochodzić z wieku XII, 99 z XIII, reszta 137 z wieku XIV do r. 1366 to jest do śmierci biskupa Bodzanty. Pewna część jedynie wzięta została z dotąd zachowanych pierwowzorów; inne wypisane zostały z kopiaryuszy, w liczbie sześciu, których opis wydawca podał w przedmowie. Niektóre akty zostały powtórzone przez wydawcę, bez wzmianki dla czego to czyni, oraz że to jest powtórzeniem np. nr. 156 (str. 199) otwacza akt znany u Rzyszczewskiego i Muczkowskiego nr. 262 (t. II, str. 256). Nie wszystkie są autentyczne, albowiem dr. Piekosiński naśladując wydawców kodeksu dyplomatycznego polskiego, pomieścił w swym zbiorze także dokumenty krytyki historycznej niewytrzymujące, a to dlatego aby szerszemu kołu uczonych dać możność badania ich (np. dokument 1250, 1309 r. str. 87, 157). Bardzo wiele numerów posiada oprócz krótkiego streszczenia położonego w nagłówek, obszernie dopiski wyłuszczające na zasadzie źródeł ciemniejsze miejsca dokumentu. Wydawca, jak z własnych słów jego widać, głównie nacisk położył na dokumenty już znane ze zbioru Gładyszewicza. Należy znać, że podobne ekskursy należało się uczynić i przy innych dokumentach, zwłaszcza że napotykały tu pewne ważne wątpliwości. W nadpisie np. streszczającym akt nr. 228 (str. 293) spostrzeżliśmy wyrażenie *decretum... de seruitute quadam teczestwo dicta litem dirimens*. W tekście samego aktu mamy wskazówkę, że wydawca mniej



uważnie takowy czytając, służebnością po terażniejszemu (?) nazwał to, co akt mianuje wolnością (licentia) po dawnemu. Widać zresztą z innych źródeł <sup>1)</sup>, że ta *libertas alias lecciónstwo* dotykać się zdaje specjalnie użytkowania z produktów leśnych, bo obejmuje cięcie budulcu i paliwa, pasienie trzody chlewniej, wypalanie węgla (a domyślnie smoły i t. d.). Z drugiej za to strony, bliskość fonetyczna licentia (dicta polonice) lecciónstwo nasuwa podejrzenie pożyczki, a więc ogólniejszego znaczenia. Wydawca zaniechał nie tylko poszczególnić tych kwestyi, ale nawet nieostrożną redakcją nagłówka mógłby wznieść pewną niejasność w umyśle czytelnika, co do dawnego charakteru stosunków rolno-ekonomicznych. Tekst aktu wyrozumiany wedle innych źródeł mówi o nadaniach z góry pewnych dobrodziejstw, a streszczenie wydawcy używając na określenie tegoż samego faktu wyrazu służebność, nasuwa myśl praw z dołu, ciężących wyższe stany (por. w indeksie IV, str. 375 lecciónstwo servitus). Wydawca twierdzi też np. (s. 133), że rok śmierci biskupa Prokopa, mówiąc nawiasem „krewnego (cognati) Leszka Czarnego (str. 119), nie zapisały roczniki. Tymczasem z Monumentów Bielowskiego okazuje się, że roczniki Sędziwoja i Tratki (t. II, str. 879, 853) zgodnie rok tej śmierci 1295 podają. Data ta bardzoby poparła poprawkę wydawcy w oznaczeniu daty aktu nr. 99, aczkolwiek prof. Liske takową krytykuje opierając się na metodzie wydawcy objawionej przy rozwiązywaniu daty aktu nr. 1.

W akcie z 1274 r. (str. 105) mamy znowu przypisek, który swą szczupłością przykro kontrastuje z obszernymi wywodami kar opłacanych w futrze (str. 77, nota do aktu nr. 60 z r. 1259) lub znaczenia decymów i setników (str. 81, nota 22 do aktu nr. 61 z r. 1260). Przypisek ów do aktu z 1274 r. powiada: „*vosnej* oznaczać ma woźny, toż samo co *camerarius*, a później *ministerialis*.” Nie ulega kwestyi, że w akcie z 1272 r. (str. 95) czytamy „*camerarium vosnej* qui dicitur Nossec;” co upozorowywać się zdaje identyczność dwu tych wyrazów *camerarius* i woźny. Tymczasem w akcie z 1322 r. *ministerialis* zwany jest woźny (str. 162), 1330 *ministerialis* łączony jest z *officialis* (str. 212), a 1322 *officialis* jest tłumaczony przez woźny (str. 166). Nadto *camerarius* lub *subcamerarius* noszą tytuł komesów, woźni bez niego obchodzą się stale, i nie zdają się należeć do dostojników, choć z drugiej strony i tytuł *camerarii* ma inne, nie tylko dla urzędników wysokich odpowiednie znaczenie, gdyż jest nazwą pewnego działu ludności służebnej. Nareszcie w spisach kodeksu nie mamy między urzędnikami pomieszczonych owego Noska i innych woźnych. Z różnych tych względów wnoszę zatem, że wydawca mógł tylko w swém objaśnieniu mieć na myśli komorników służebnych, o których zupełnie w spisach urzędników nie wspomina się, a zna ich i nasz dyplomatarysz

<sup>1)</sup> Star. Pom. Pr. Polsk. Helcel t. II str. 520, nr. 343, str. 553 nr. 3258 i t. d. pro libertate alias lycensthwo cisure lignorum pascuis scrophitarum et eciam cisure edificiorum..... zecz węgle str. 553, n. 3258.

(str. 109 nr. 81 z 1279 r.), jako ludzi przeznaczonych do posług kasztelana i zamku krakowskiego. Wypadało więc może wyraźniej w objaśnieniu zwrócić uwagę na tę niedbałą terminologią aktu, mieszającą dwa odrębne stany i różne funkcje.

Wydawca w dalszej umiejętniej rozprawce zbija (str. 33) dowody Bartoszewicza, odnoszącego zgon biskupa Wisława i wstąpienie po nim na dyecezyą, Prandoty do roku 1239. Dr. Piekosiński wykazuje, że akt z tą datą, podstawę argumentacji Bartoszewicza stanowiący, może mieć tylko datę 1264, a to ze względu na datę życia świadków w owym akcie wymienionych. Za datę zaś zmiany biskupów przyjmuje wydawca naszego kodeksu rok 1242. Godna uwagi, że sam Prandota w akcie z 1253 r. (Nr. 36 str. 46) rok ten uważa za 12 swych rządów biskupów, tak że ich początek przypadłby na rok 1241.

W objaśnieniu (na str. 158) aktu z 1320 r. spostrzegamy twierdzenie, że Łokietek dopiero w 1307 r. zaczął używać tytułu *heres regni Poloniae*. Jednakże z tym tytułem ów książę występuje w roku 1306 (Rzyszcz. II 175) a czasem go nie używa i w 1307 roku (Bartoszew. III 170).

Ośmielilibyśmy się też zrobić uwagę szanownemu wydawcy, że nota jego do dokumentu Gładyszewiczowskiego (Nr. 12 str. 17), mówiąca o różnych „wiecech” zdaje się zbyt stanowczo przesądzać ówczesne użycie tego wyrazu na oznaczenie *colloquium*. Obyczaj narodowy musiał wyraźnie scharakteryzować treść i formę tak zwanych wieców i sejmów, gdy takowych odrębność odbiła się w języku. Czy należy ją, przed rozstrzygnięciem wszech wątpliwości, jednostronnie zacierać? Mniemamy też, że póki stanowczo nie wykryje się powód wymieniania lub przemilczania tego wyrazu *colloquium* w aktach napozór w jednych okolicznościach spisywanych, nie należało stawiać na równi aktu żarnowskiego z 1221 (Rzyszcz. I str. 23) i innych tym podobnych nie-używających wspomnionego terminu technicznego z aktami, kędy *colloquium* wyraźnie wspomniano.

Wiele z objaśnień podanych przez wydawcę, nawet dla niespecjalisty, dla nieobeznanego z językiem, w którym akty były redagowane, czyni ich treść przystępną: obznajamia i daje miarę przybliżoną choć w części bogactwa niniejszego dyplomatarjusza. Większa jednak ilość ciekawych szczegółów kryje się w samych aktach, nietknięta ręką uczonego wydawcy. Choć kilkoma słowami zwrócimy uwagę ogółu na wybitniejsze punkta naszej przeszłości, rozświecone lub przynajmniej do światła zbliżone przez kodeks trudem dr. Piekosińskiego zebrany. Te wzmianki tém będą więcej na miejscu w naszym sprawozdaniu, że posłużą tu i owdzie zarazem za sprostowanie indeksów nie wszędzie może zupełnie ścisłych: zwłaszcza gdzie idzie o osoby.

Zwracamy przedewszystkiem uwagę ogółu czytelników na dwa ważne dla naszego konstytucjonalizmu dokumenty. Jednym jest już dawniej znany przywilej Władysława Łaskonogiego, z 1228 r. co do daty i miejsca mylnie dotąd objaśniany (Nr. 19, str. 27), a który słu-

sznie przez wydawcę został nazwany pierwszym pomnikiem poręczenia praw i swobód przez obejmującego rządy księcia, wzorem późniejszych paktów konwentów. Treść téż tego dokumentu porównana z objaśnieniami Peribacha aktu Konrada mazowieckiego w 1228 r., w Becu (Bee-se) koło Opatowa wydanego, z gruntu wywraca teorią Bogułałowej kroniki o opiece Konrada nad małoletnim Wstydlwym, przed epoką objęcia władzy nad Krakowem przez Brodatego; wreszcie mnogie punkta tych paktów Władysławowych rzucają ciekawe światło na stosunek różnych warstw społeczeństwa do panującego, wskazując na mniej lub więcej czynny udział onych w zarządzie krajem. Żałować przychodzi, że wydawca nie użytkował w swém objaśnieniu z kroniki hipaciejowskiej, uzupełniającej i wyjaśniającej szczupłe wieści o Laskonogim, zawarte w dokumentach i kronikach polskich.

Drugim aktem, téj saméj doniosłości co przywilój księcia Wielkopolskiego, co do wewnętrznej swój wartości, a może jeszcze ważniejszym ze względu na przewrót, jaki musi wywołać w poglądzie na charakter rządów czeskich w Polsce na schyłku XIII wieku, jest wyliczenie swobód i praw posiadanych przez społeczeństwo chrobackie, a potwierdzonych przez Wacława czeskiego w r. 1291 (Nr. 94 str. 1301). Już sam fakt istnienia takich paktów konwentów ma niepomierną doniosłość. Rozpatrując go w świetle innych dokumentów *in extenso* ogłoszonych przez Fiedlera lub z kądinąd znanych a charakteryzujących coraz dokładniej stosunek do siebie owoczesnych spółzrądców Polski, nie możemy się oprzeć wątpliwości, czy istotnie tak niekonstytucyjna, jak dotąd ją przedstawiono, jest władza czeskiego monarchy, i czy istotnie tak należy lekceważyć epokę jego rządów, jak rutyna podręczników w to wierzyć nam każe. Treść bowiem Wacławowego dokumentu wylicza r. 1291 takie warunki jako rzeczy z dawien dawna (*antiquitus*), wedle starego obycaju (*iuxta antiquam consuetudinem*) zachowywane, że dotychczasowe teorye o zdobyczach konstytucyjnych epoki Jagiellonów lub Ludwika węgierskiego, jeżeli nie obalone to silnie zachwiane będą. Oprócz tych dwóch punktów, wydawca pomieścił trzecie, już znane z Bandtkego *Jus polonicum*, a wydane przez Ludwika węgierskiego w 1355 r. (Nr. 201 str. 256).

Prócz tych i in. danych, dotyczących ogólnego ustroju byłéj Rzeczypospolitéj, znajdujemy w naszym dyplomatarjuszu i wiadomości, jeżeli nie wprost odnoszące się do dziejów jój politycznych, to przynajmniej ubocznie mogące prostować dane innych źródeł w tym względzie. Tak np. szereg lubelskich wojewodów, w tym kodeksie, zaczynający się z Sygniewem w r. 1252 (str. 56) wymownie świadczy przeciw twierdzeniu kroniki hipaciejowskiej, że Lublin dopiero 1302 r. (6812 a cr. mun.) został przez Lachów odebrany Rusi, w której władaniu przez lat 57 miał zostawać (Połn. sobr. II 217). Według tych obliczeń, Lublin popadłby w ręce Rusi około r. 1245, i rzeczywiście polskie roczniki mówią w latach 1243, 44 lub 46 o *spaleniu przedmieści* lubelskich przez ruskie oddziały (Mon. Biel. II 804, 838).



Może najciekawsze przyczynki do swego przedmiotu znajdzie tu przyszedły badacz ciemnego dotąd rozwoju i początku historycznej części naszego narodu, a mianowicie polskiej szlachty.

Spójrzmy oto na akt oznaczony Nr. 4. Pochodzi on z roku 1189. Występują na nim *nobiles* z imionami *patronymicznymi* jak n. Przeclaw Erantowic, Piotrko Wilkowic, Sulisław Bernartowic. Akty NN. 13, 14 z 1224 r. toż samo zjawisko powtarzają, z objaśnieniem nieulegającym wątpliwości. Oto np. Benek Polaninowic jednego aktu zwany jest w drugim Benek syn Polana, Przybysław Rapałowicz jest Przybysławem synem Rapała drugiego aktu. I spójrzmy teraz na podpisy aktów np. z 1279 r. Nr. 81, 82. Dwaj bracia tytułujący się *comites* Sulko i Imram piszą się de Medueg, inny Imram pisze się de Vitow, niegdy (1272) wojski krakowski; są dalej comes Swenon de Glow, Godfryd ze wsi Boczne kąty (?Bocnakaty), z 1279, comes Grzegorz dziedzic z Balic zwany Żegocicz z 1286 r. (Nr. 86), 1306 jest Wojciech z Żmigroda wojewoda sandomierski, Klemens z Mirzina, Andrzej z Balic, Piotr kasztelan małagoski jest z Mokrska (Nr. 114). Obok tego są też ludzie takich nazw np. jak „Świętosław zwany Kopyto” (Nr. 115 z 1307 r.), rycerz Wojciech „zwany Nozdrach” stolnik krakowski (Nr. 118 r. 1314); Jarosław z Bogorya (Nr. 126 r. 1322); Mikołaj „zwany Pampek” ze Strzelec (Nr. 129 r. 1332), comes Wojciech „zwany Poraj” stolnik królowej (Nr. 135, r. 1325), Piotr „zwany Nossal” chorąży krakowski (Nr. 37 r. 1325 et Nr. 169 z r. 1340), Piotr „zwany Jelito” kasztelan sandom.; Mścigniew rycerz zwany Czelen? (Nr. 147 r. 1328); Pasko de Ulina, Dominik zwany gil (Nr. 200 r. 1354); Jan z Rudna dziedzic zwany Plaza (Nr. 221 r. 1360 i t. d. Nie chcemy twierdzić, by przezywanie się synów od imienia ojca zakończonego na *icz* naraz znikło po wieku XII, i po początku XIII wieku, jak to naprzykład z powyższego zestawienia wynikaćby się zdawało. Owszem widzimy, że np. Grzegorz z Balic zapewne po ojcu Żegocie „nazywa się” Żegocicz. W każdym razie najmniej uważny czytelnik spostrzeże tę rzadkość patronymików w aktach późniejszych, o ile są one zawarte w naszym dyplomatarjuszu, i obfitą ich reprezentację w NN. 4, 13, 14, najwcześniejszych z licznym poczem świadków. Drugą rzeczą uderzającą jego uwagę będzie zastąpienie tego patronymiku nazwą miejscowości z dodatkiem *z* (*de*), pojawienie się dodatku „zwany.” Wielekroć zauważymy, że i akt z 1224 r. ma tego rodzaju imiona Pawlik de Melcho Marcinec de Lantkowic, Wieclawiec de Pobrołowic, Mścisław de Grożków i t. d. na podobieństwo późniejszych nazw takich. Wszakże w roku 1189 patronymiki są same, w r. 1224 mieszają się z owemi *de*, później występują najczęściej oba łącznie, często z dodatkiem *heres*. Jest np. Spitko syn Dirzka dziedzic ze Szreniawy 1360 r. (*heres de*) albo np. Stefan zwany Zapłaczek dziedzic z Brezu a potem z Dziaduszyc (1358 i przed 1365 r. NN. 212 i 238). Oczywiście przeto, w tej różnicy nazw musi tkwić pewna różnica historyczna społeczna i t. p., bo czyż można przypuszczać, by tylko przypadek to sprawił, że jedni się piszą

po ojcach a drudzy z miejsc 1224 roku? Jeśli pierwsi są ludzie prości, a drudzy szlachta, z kąd tylko pierwsi i to z dodatkiem *nobiles* biorą się w 1189 r? Z kąd 1224 r. są obie kategorie? Jeżeli ci i tamci są szlachtą, z kąd ta różnica 1224? Zauważyć też warto, że często nazwy miejsc z kąd się piszą, są teraz nazwą herbu; np. de Bogoria, de Ulina, de Szreniawa, Szeliga ze wsi Szeligi (Mon. Bielow. II 941). Przydomki np. Jelito Poraj, téjże saméj uległy zmianie; drogę na jakiejś śnąc z tytułu osoby stały się godłem rodu wskazuje np. przezwisko Nozdrat, które potém zastępuje imię chrzestne ojca przy imieniu syna, (1325 Nr. 134 komes Bożey syn ś. p. Nozdrata). Mamy też ślad w naszym dyplomatarjuszu, jak przydomek wypierał samo imię z użycia, i prawie że rozdawał jedną osobę na dwie: zagadkową nową i dawną znaną. Szczególniej to stwierdzać się zdaje na przydomku Czeley.

Cytowany już Mścigniew rycerz z Fwra, przezwiskiem Czelen, być może ma przezwisko źle odczytane: Czelen za Czeli (na ś. Trójcę 1328 r. MM. Aewi Nr. 147). On to pewno jako Mszczug sędzia krakowski, na ś. Jerzy 1328 r. przeniósł się najpóźniej w połowie 1331 r. na województwo sandomierskie (MMAewi nota wydawcy do Nr. 129 na str. 165 Miechovia str. 157) i wówczas pisze się z Chrzelowa, która to nazwa może jest źródłem pomyłonego Fwra, z kąd pochodzi Mścigniew dictus Czeleii. W r. 1334 poznajemy Mystwoja wojewodę sandomierskiego (A. G. Z. III, 1). Zapewne ten sam w 1335 r. Mystwoj Lis wojewoda sandomierski ręczy za Kaźmierza W. (Mosbach Wiadom. do dziej Pol. str. 74). Nie inny pewno Mszczug wojewoda sandomierski 1337 r. posiada Pałecznicę (Pelczniciam MM. Aewi Nr. 161). Wedle Janka z Czarnkowa jakiś Czeley wojewoda sandomierski ginie w 1341 r. „rycerz wielce dzielny,” który „sam jeden” poległ z wojska Kaźmierza W. przy obronie przejścia Wisły przed Tatarami, przesyty strzałą pohańską (Monum. Bielow. II 622). W spisie jednym wydawcy MM. Aewi (str. 3) mamy sprzecznie z treścią aktu a nawet z innym spisem (por. str. 303 i 317 voce Jachna) położony zgon wojewody sandomierskiego Czeli na rok 1365, gdy istotnie w tym roku żyje tylko jego wdowa Jachna. W obec takiej ciągłości imienia wojewody sandomierskiego Mstiwoja, Mszczuga do r. 1341 musimy przypuścić, że Mystwoj Lis z 1335 r., Czeley poległy pono 1341 r. i Czeli wspomniany 1365 r., na tém samém dostojenstwie są jedną i tąż samą osobą. Gdy wiemy że on pochodził z Chrzelowa nasuwałby się domysł już wyżej podany co do tożsamości Czeleja, Mstiwoja Lisa wojewody sandomierskiego z sędzią krakowskim 1328 r., a później od 1331 r. wojewodą sandomierskim. Najpowaźniejszym zdaje się zarzutem byłoby urzędowanie jakiegoś Mszczuga jeszcze 1344 r. jako wojewody sandomierskiego, nawet być może do czasów Nehery (już 1346 r. woj. sand. Rzyszczew. II 275, 703). W takim jednakże razie należałoby przypuszczać że od 1331 do 1344 r. było trzech wojewodów sandomierskich zarówno Mszczugów, ale z których jeden jest Lis, drugi Czeley, a trzeci bliżej

nieznany, Lis jest 1335, (Czeley ginie 1341 r.) a później jeszcze jest Mszczug.

Obok tego znamy z 1335 r. Czeleya dominus in Radomiss (Morbach, l. c. de Radomsk wedle Naruszewicza Hist. n. p. IX, str. 22, n. 5), zdaje się kasztelana, bo podobnie Wilczko „kasztelan” sandomirski tytułował się „dominus” (A. G. Z. III, str. 17; Bartosz. III, str. 251). Jest potem Mstigneus kasztelanem radomskim r. 1337 (Rzyszcz. I, 190), w r. 1338 (M. M. Aevi n. 164) oraz wojewodą krakowskim w r. 1340 (Bart. III, 209, M. M. Aevi n. 169), gdy Andrzej został kasztelanem radomskim t. s. r. Zachodzi i tu pytanie czy to są dwie osoby ów Czeley i Mszczug, czyli też jedna. Imię Czeleya jeszcze raz powtarza się jako ojca Jana kanonika krakowskiego (M. M. Aevi n. 216), i w ogóle przedstawia się jako zagadka przyczepiona do rodu Lisów, których jakby przydomkiem być się zdaje.

Ród ten godzien i ztąd uwagi, że zawołanie jego herbu dotąd znane w formie Mzura lub nawet Bzura (Paprocki, Herby ed Tur. str. 186), obecnie w wcześniejszym źródle bierze postać Orzi (Helcel, Star. P. P. P., II, str. 265, n. 1831), a lubo Helcel wskazywał w rozprawie o klasztorze Jędrzejowskim bardzo dawnych przodków tego rodu w krakowskim w osobie Pakosława ze Mstyczowa, zmarłego w 1319 r. kasztelanem krakowskim, herbu Lis, przecie w 1314 znamy Waclawa „zwanego Lis” starostą sieradzkim (Rzyszcz., I, 184).

Pewne światło na genezę przydomków niektórych rzucają tytuły pewnego Stefana, który w 1339 r. pisze się de Placzkowic, w 1358 r. de Breze „zwanym Zapleczek,” a przed śmiercią swą zaszłą przed 1365 rokiem był dziedzicem Dziadusicz i zwał się Zaplaczek (M. M. Aevi nn. 166, 213, 238). Tu, bardzo łatwo nasuwa się domysł, że nazwa mienia z czasem zmieniła się w przydomek (za-placzek zamiast ze Placzkowicz).

Inny przydomek pewnego Piotra zwanego miles (n. 126 z 1322 roku) przypomina, że Jakusz dziedzic z Radomycz „zwał się szlachta” w 1378 r. (Rzyszcz. II, 761), co znaczy z pewnością toż samo, co ów miles. Co to znaczy? Miałżeby dopiero w XIV wieku wyraz ten szlachta wchodzić w użycie, i to w formie przydomku indywidualnego, nie zaś stanowi całemu służącego? W każdym razie wyrażenie to „*dictus szlachta*” wraz z przekładem Statutu Wiślickiego *militi famoso* szlachcie (t. j. 3 przyp. licz. poj.) uczy nas przekonywająco, że zgodnie ze wskazówkami etymologicznymi, forma szlachcie jest późniejszą, pochodną od szlachta. Ten zaś wyraz jak okazuje wyrażenie *miles famosus* raczej łączy się ze słową *fama* jak z Lechem <sup>1)</sup>! Być może zgodnie z tym znaczeniem szlachty, jako sławnój, Bolesław wielkopolski zwał ich w 1261 r. *incliti* (Raczyński, C. Maj. Pol. 58).

<sup>1)</sup> Bandtke Hist. w. pol. str. 101 n. 1, „utworzył się mógł sławcio, sławczyo i przemienił się potem na szlachcie” (por. sławetny).



Wspomniane już raz dwa akta (nn. 13, 14) z 1224 r. jeszcze jedną szczegółowo przedstawiają, którą, że wydawca tak troskliwy o wyjaśnienia, nie poruszył przynajmniej kilku słowy, godzi się żałować. Szczegółowość ta zaś stoi się zdaje w dość blizkim związku z tablicami dostojników pomieszczonemi na końcu tomu.

Dr. Piekosiński znalazłszy Strezka „cześnika księcia,” w tych aktach, zamieścił go później w spisie cześników krakowskich. Nic nie mamy przeciw użytkowaniu w ten sposób z treści aktów tych; wypadło może jednak zwrócić uwagę na fakt następny, mogący wielce zmodyfikować użyteczność pomieszczenia w tych spisach owego jednego Strezka. Jest bowiem prócz Strezka znaczny poczet urzędników, jakby przywiązanych do osoby kasztelanów. I tak jest: Budiwoj komornik, Aleksy stolnik, Stefan, Bec i Piotr kapelani Pakosława kasztelana krakowskiego, że już pominę jego rycerzy (milites). Są potem wymienieni kapelani biskupa, oczywiście krakowskiego, i po słówku: „item” (w akcie n. 13) następują imiona urzędników: Otto komornik, Paweł cześnik, Bogusław podczaszy, Bruz podstoli i nakoniec Das prokurator z Tarsku, a akt N. 14 objaśnił to dobitniej: Otto komornik biskupa, Paweł Górka cześnik jego... Ponieważ zaś wiemy zaraz z aktu n. 17, że do biskupa krakowskiego należała kasztelania tarska (Tarczek), należy się przeto domyślać, że wszyscy ci urzędnicy biskupa, są urzędnikami jego kasztelanii tarskiej, jak na to i określenie miejscowe urzędu Dasa wskazywać się też zdaje. Do nich przybywa Andrzej koniuszy Pełki biskupa, oraz Iwona zapewne urzędnicy Marcin komornik, Miślibor stolnik, Paweł koniuszy... Marcin podczaszy, Marcin podłowczy...

Wniosek ten zastosowany i do urzędników Pakosława, okaże nam zaraz kilku urzędników sandomierskich w r. 1224. Czytając dalej, że jest Poujrzon komornik Ostaza kasztelana wiślickiego, Sulisław łowczy tegoż, Detmar, Mateusz podkomorzowie tegoż a może i rycerze mieszkający koło Pełczysk... nasuwa się myśl, czy nie mamy tu przed sobą urzędników wiślickich.

Są obok tego jacyś inni niedający się jasno zdefiniować co do miejsca urzędniczy. Wreszcie jest „Cesuta podłowczy laurinchovic”.... Z powodu, że P(i)tasek raz zwany synem Wawrzyńca (Laurencii) drugi raz zowie się Wawrzyńczewic (Laurinchewic) ciężko na pewno tu twierdzić o istnieniu kasztelanii wawrzyńceckiej z bytu Cesuty podłowczego wawrzyńceckiego, aczkolwiek jest i wieś Wawrzeńczyce. (Wydawca jego zwie krakowskim). Przecie niewątpliwe wskazówki bytu urzędników krakowskich, wiślickich i tarskich kazałyby innych pomieścić pono w spisach odnośnych. Nie ma ich tam jednak, choć jest Strezko. Czemu? Równe prawo mieliby wszyscy.

Wydawca podaje wprawdzie niektórych, jak Fala sędziego krakowskiego. Jest też Polan zapisany jako podstoli krakowski i Klemens jako takiż podkoniuszy, bo następują w akcie (str. 21) po Ostazym kasztelanie krakowskim. Za to opuszczono w spisie, w téjże ko-

lei idącego po Ostazym Mateusza podkanclerzego; nie podano też że Fal w 1222 r. był podkomorzym (succamerarius, jakim?). O komornikach (camerarii) z lat 1222, 1224 głucho w spisie, który też bez względu na wskazówki aktów owych mieści np. podkomorzych przed komornikami i t. d. Nie są to rzeczy błahe, bo hierarchia urzędów jest często wskazówką pewnych, zkadinał nieznanymi wypadków dziejowych. Zacierając ją narażamy bez potrzeby pracę następnych badaczy, którzyby chcieli od razu opierać swe wnioski na spisach wydawcy i onych nie sprawdzać.

Że spisy są niewierne i dla późniejszych aktów, niestety aż nadto łatwo okazać. Pomijamy już Czeleya wojewodę sandomierskiego, którego bądź mylną datą opatrzone, przy wzniacze jego wdowy, bądź wręcz opuszczono. Nie ma rubryki na komorników i podkomorzych księżnej, jakimi byli np. komes Piotr wice-komorzy (73) komornicy Stresław (str. 95) Wawrzyniec (110—114) i t. d., nie znajdujemy w spisach stolnika królowej Alberta Poraja z 1325 r. (str. 173). Nie spostrzegliśmy też rubryki osobnej na skarbnika księżnej np. komesa Jana zwanego Licho (106). Próżnobyśmy też szukali między kasztelanami połanieckimi Dzierżykrają zmarłego przed 1288 r. (str. 123), a który wspomniany w 1261 r., (str. 85) występuje czynnie w 1262 r. (str. 85), albo też Dzierzka kasztelana czechowskiego (r. 1361, str. 284).

W roku 1258 współcześnie (str. 73—74) Mikołaj był sędzią krakowskim, a Jan sandomierskim. Ten ostatni opuszczony w spisie, podobnie jak Smil sędzia sandomierski z r. 1306 (str. 149) współczesny z Pakostawem krakowskim podanym w spisie. Opuszczono w spisach Klemensa miecznika i Mstunga łowczego krakowskich (str. 263). Aczkolwiek data niepewna ich była, godziło się choćby ze znakiem wątpliwości w spisach obu pomieścić. Nie ma rubryki monetaryuszów, a jednak poborca taki jest np. wspomniany roku 1279 (str. 112); opuszczono wójtów, oraz zaniechawszy odróżnień między urzędnikami panującego i jego żony, dowolnie połączono w spisie imiennym Wawrzyńca komornika księżnej, z Wawrzyńcem Strzeskowiczem, którego tylko wykazano od r. 1270, choć już był komornikiem w 1261 r. (str. 85).

Dla zapobieżenia stracie czasu, jaka pomimo wykazu III zawsze mieć będzie miejsce, gdy wypadnie wedle niego i innych spisów listy dostojników układać, wypadłoby może jako ogólną zasadę przyjąć robienie uwagi, czy dostojnik podany żyje jeszcze dłużej, czyli też umarł. Zwłaszcza tam, gdzie jest potemu sposobność: podobna uwaga wielu daremnym poszukiwaniom stosownieby zapobiegła. Oto np. i z aktu nr. 155 naszego dyplomatarjusza, dowiadujemy się, że już 1334 r. 27 sierpnia, Goworek kasztelan radomski, brat Jana syna Grota biskupa krakowskiego już nie żył. Bez przerwania aktów, które o Goworku tym wspominają, nie na pewno z gołej daty 1333 r. w wykazie III przy jego imieniu położonej, nie dowiadujemy się, jest-li to ostatni rok życia, czy który inny z urzędowania tylko. Zaznaczanie też w spisach urzędników byłych (quondam) jak np. monetaryusza Marka (1302 str.

141), Bronisza quondam kujawskiego wojewody, Chebdy quondam kasztelana kruświckiego z 1307 r. (str. 151) w obec funkcjonującego np. Stanisława wojewody kujawskiego (str. 150), byłoby pożądanem z tych samych powodów.

W obec obfitych dopisów do innych wyrazów porobionych, żałujemy że wydawca suchém objaśnieniem ordinator, zbył ciekawe a pono pierwszy raz w tym dyplomatarjuszu zjawiające się wyrażenie Wilczko qui fuit *prawidłnik* eiusdem causae (str. 166).

Nieraz ten wyraz ordinator i mediator w aktach naszych się pojawia, np. 1224 r. mediatorami w sprawie o ziemię są wojewoda i cześnik (str. 18, 21, 22) 1278 r. podkomorzy extitit ordinator w sprawie zwrotu dochodu z żup bocheńskich tamtejszemu kościołowi (str. 107), innym razem 1279 r. kanclerz ordinatora gra rolę (str. 108); w sprawie ziemskiej między duchownym a świeckim 1255 r. są mediatorzy między Bolesławem V a kapitułą krakowską w sprawie udzielenia przywilei ostatniej przez pierwszego (str. 61). Przy potwierdzeniu przywilei Jędrzejowskiemu opactwu, w roku 1270 przez Bolesława Wstydliwego, występuje Lasota proboszcz sandomierski, huius rei ordinator apud nos et promotor (Bart. III, 95). Znowu przy wyjednywaniu dla Zagóścia przywilejów 1257 r. jest procurator huius negotii Warsz stolnik sandomirski (ibid 77). Osadzenia wsi Wierzbiety Klimuntowicza wojewodzica krakowskiego na prawie niemieckim ordinatorem był Jan zwany Trojanów (dictus Trojani) administrator kościoła w Górze (str. 113). Przy zamianie dóbr jaka zaszła między Bolesławem Wstydliwym a Abrahamem Sulkowiczem kasztelanem krakowskim w 1278 ordinatorem był Żegota sędzia sandomirski (str. 19). Przy sprzedaży mienia prywatnego w wiślickiej kasztelanii extitit procurator et ordinator Imram wojski krakowski r. 1278 (str. 124). Z aktu 1287 okazuje się, że gdy był spór między Tyńcem a ludźmi z Kurozwek o las pewien i użytkowanie z niego, na mediatora został wysłany Wawrzyniec podkomorzy, aby na zasadzie skargi przez jedną stronę podanej „granicie” wyznaczył. Gdy jednak strona druga i pokrzywdzona na rozgraniczenie nie przystała, mediator in augmentum iusticie dalej nie dzielił i odesłał prawujących się przed sąd księcia (str. 151), który włością nom przyznał rację.

Z tych przykładów okazuje się: 1) że stan owego mediatora czy ordinatora czy wreszcie procuratora jest zupełnie nie zawisły od stanu osób prawujących się oraz przedmiotu spornego. 2) Przykłady cytowane okazują, że mediator nietylko sprawdza jaką okoliczność na miejscu w zastępstwie całego sądu, lub wyjaśnia punkta sprawy incydentalne (Hube, Prawo polskie str. 236), ale bierze udział w sprawie nierównie bezpośredniości.

Zdawałoby się nieraz, że ów mediator „prawidłnik” datuje z czasów Bolesława I-go, kiedy ten książę wedle powieści Gallusa (I, 9 Mon., Bielowski I, 405) mając przed siebie zaniesioną skargę



przez biédnego wieśniaka lub jaką kobiecinę na duka lub komesa, lubo zajęty ważnemi sprawami, nie wprzód z miejsca ruszył aż sprawy w porządku powodów wysłuchał (donec causam ex ordine conquerentis auscultaret) i póki po obżałowanego komornika posłał. Tymczasem powoda powierzał któremu ze swych poufałych, aby onemu służył za opiekuna (qui conquerentem procuraret) i przypomniał księciu sprawę, za przybyciem obżałowanego. Obok tego upominał o wieśniaku jak ojciec syna, aby nieobecnego bez przyczyny nie oskarżał, i żaląc się niesłusznie nie ściągnął na się gniewu, który na innego wywoływał".... To przypomina że 1278 r. za włościanami ujmuje się niejako podkomorzy już wykonywający rozgraniczenie na zasadzie skargi powoda, bo rzecz objaśnioną drugostronnie zwraca do forum książęcego. Ten mediator wyjednywa prawdzie uznanie, nadaje bieg prawidłowy sprawie, oba elementa powództwo i obżałowanych spókrzedniając. W innych razach mediator popiera interes jednej strony w obec księcia, lub téż dopełnia sam interesu obie strony obchodzącego. Chętniebyśmy w takim „prawidniku” dopatrywali urzędnika każdorazowie naznaczanego, któryby przestrzegał przy nawale zajęć bieżących, aby sprawy zarówno w porządku wniesienia ich przed forum panującego, ex ordine conquerentis były rozstrzygane, jako téż tém samém aby wszystkim wedle prawa się stało (prawidnik jak gubernator opieka-dnik, Helcel Pt. P. P. P. II, 356 n. 2357, gramatycznie utworzone). W każdym razie wyraz łaciński mediator, pośrednik, doskonale odpowiada sposobowi pojmowania urzędu sędziego wyrażonemu w jednym akcie Leszka Czarnego (1288 str. 127 M. M. Aevi I): „Urząd sędziego na to jest postanowiony, aby niezgodnych do zgody nakłaniać (Officium iudicis est discordantes partes ad concordiam invitore).

Obok zaraz podany akt n. 229 jest drugim dowodem jak w nadpisie niedokładnie wyluszczano treść niezmiernie ciekawą. Mówi bowiem nadpis, że Bodzanta świadczy o przyjęciu 60 grzywien posagu (dotalicii) za żoną, i że w zastaw daje jęć część wsi Szreniawy. Tymczasem Bodzanta wprawdzie przyjął ów posag, lecz część Szreniawy świeżo kupioną tejże żonie oddaje w zastaw zapisanych jęć grzywien, które mają jęć być wynagrodzeniem, gdyby umarł bezdzietnie. Ta zaś *nawet* w razie zawarcia powtórnych ślubów, ma zostać w posiadaniu majątku póty, pókiiby summą owych 114 grzywien krewni nieboszczyka jęć nieskupili.

Z tego dyplomatarjusza zaznaczamy jeszcze akty n. 126 (s. 162) i 261 (ostatni str. 308), z których pierwszy wyróżnia dziesięciny post araturam od innęć składanęć trybem szlacheckim, obyczajem ojczystym, a prawem rycerskiém, a drugi podaje nam polską nazwę pierwszjęć dotąd jeszcze w przeciwieństwie drugięć (in gonitwam) nieznaną, Illibera decima post araturam vulgariter *przyorkowa* jest ową nazwą chłopskięć dziesięciny. Dalęć widzimy, że 1325 r. zwyczaj trójpolowego gospodarstwa nazywano (triplex divisio agrorum) chłopskim (stron. 170 nr. 134) i t. d.

Kończymy ten niedostateczny dla zbyt wielkiego bogactwa treści dyplomatarjusza przegląd nasz zwróceniem uwagi na liczne wskazówki genealogiczne, zawarte w aktach zbioru niniejszego.

Najciekawsze są stosunki familijne biskupa Jana Grotowicza. Pomijamy fakt, że miał trzech braci, Goworka kasztelana radomskiego (umarł między 8/8 1333—27/8 1334 nra. 153, 154) który był ojcem Mikołaja kanonika († 1376 r. kustoszem, n. 155 i Biel. II, 919); Jakóba kasztelana żarnowskiego w 1337, 1343 r. (M. M. Aevi nra. 161, 175) i trzeciego Sangniewa (nr. 160). Nas szczególnie obchodzi fakt, że biskup zowie nepos kanonika krakowskiego Dzierżysława czyli Dirzka syna Pakosława ze Strożyszc (n. 161, str. 207 r. 1337, n. 180 str. 231 r. 1346). Zapewne nepos znaczy tu siostrzeńca, tym sposobem poznajemy przodków i krewnych Jana syna Pakosława ze Strożyszc, który był przedmiotem zmuśnych badań Helcla (klasztor Jędrzejów.). Wspomniony badacz uczynił go hypotetycznie synem Pakosława z Mstyczowa Lisa zmarłego w 1319 r. jako kasztelan krakowski. Dalsze losy owego Pakosławicza już z liczniejszych źródeł nam znane, pozwalają nam rozplątać i ich wątek zamacony u Szajnochy i Paprockiego (Herby ed. Turow. 240, Szkice III, 65) a nawet i w części u samego Helcla.

W roku 1324 obdarowany za poselstwo do Tatarów przez Kazimierza W. miasteczkiem Rzeszów wraz olbrzymim obwodem od Dąbrowy granicznika sandomirskiego po Leżajsko, granicznik Jarostawskiego i ku Rusi po zamek Czudec (Rzyszcz. I, 209), w roku 1362 pisał się dziedzicem może świeżo przez się założonego Jurkowa, należy bowiem ów Jan do kolonizatorów Czerwonej Rnsi, w czém miał licznych towarzyszy. Brat jego zapewne, Michał ze Strożyszc 1365 zakładał wieś w lesie Zdżar, Jan mu świadkował. Jana téż nazwisko prawie przy wszystkich kupnach Rafała Tarnowskiego, innego zdobywcy lemieszowego téj Ukrainy tatarskiej, spotykamy (por. 1364, 65, 66, Bart. III, 292, 293, 295, A. G. Z. V, n. 5). Już w 1374 r. (A. G. Z. V, n. 9) nie żyje, a mienie jego przez Paprockiego i Szajnochę błędnie przelane na jakiegoś Stanisława <sup>1)</sup> całkowicie przechodzi na najbliższych spadkobierców jego, jako trzy włości: Jurków, Rzeszów i Brnik. Ci spadkobiercy są: Jan Feliks, Jan Proboszcz Ś. Michała na zamku krakowskim, brat młodszy i ich matka (siostra Pakosławiczów)? Sprzedażą od nich przeszło sołectwo w Brniku <sup>2)</sup> w 1388 do Jana Ligeży wojewody łączyckiego, który (?) 1422 dzierży już i Jurków. Nie poruszając matni błędów u Paprockiego, pokrótce zaznaczamy, że ów dziedzic Pakosławicza z Rzeszowa Jan proboszcz Ś. Michała, jest pierwszym arcybiskupem lwowskim (wedle Paprockiego i synem Stanisława hr. Doliwa! str. 240, 248) i jest znany jako Półkożic z Rzeszowa (Mon. Biel. II, 928,

<sup>1)</sup> Powstał zapewne za Stanisława Ligeży z Gorzyo kasztelana małogoskiego (A. G. Z. n. 96), który 1434 kupił Stropiszyn od jakiegoś Henryka z Jurkowa (A. G. Z. V, Paprocki 250 zwie go z czeska Indicus za Indrych.

<sup>2)</sup> Akta odnośne A. G. Z. V. 17, 21, 34, 47, 59, 83.

930). Taki herb dziedzica Pakosławicza ze Strozyszcz kazałby sądzić, że albo on sam był herbu Półkoczic i z Lisami Mstyczowskiemi nic nie ma wspólnego mimo hipotezy Helcla; albo też siostra Pakosławicza Jana z Rzeszowa wniosła jego mienie w dom Ligezów. Jaśka z Rzeszowa spotykamy jeszcze 1399 r., Jana w 1415 i 1444 r. (A. G. Z. III, 143, 207, IV, 8), jako towarzysza wyprawy Warneńczyka.

Pokrewieństwo Pawła z Przemankowa wykryte przez akty nrów 67, 99 i 112, prowadzi nas do wątpliwości sfragistyczno-heraldycznych.

Paweł biskup, jak wiadomo syn Jazdona (Mon. Biel. II, 809) miał bratem komesa Wisława, którego syn także Paweł dziedzic Przemankowa, wbrew testamentowi stryja zagarnął Dobronowicze zapisane kapitule krakowskiej. Sprawa jest podjęta, na skutek klątwy, przez Prandotę syna Warsza kasztelana krakowskiego, w imieniu Pawła. Przebieg sprawy wykazuje słuszność praw synowca biskupiego; Prandota ów mianuje go swoim nepos. Ztąd się węzeł taki zadzięga. Jestli nepos siostrzeniec, czy synowiec? Wedle n. 89, str. 123 neptis ma patrum. Więc Przemankowa panowie będą klejnotu Warsza, będą nie Półkoczicami, ale Rawiczami? Wszakże pieczęć Warsza (n. 81) jest pierścieniem, z którego cztery krzyże się rozpromieniają. Jestże to pieczęć Warsza osobista czyli też rodu? Lelewel (Herby z 1856 r. str. 357. 350) dość wskazał dowodów zmienności pieczęci, która nawet jak pisze Wacław Potocki w „Poczcie herbów” była nakazaną przez prawo i ktoby co cztery pokolenia nie zmieniał herbu, miał tracić szlachectwo (Ber. Kalicki Zarysy historycz. Lwów 1869 r. str. 43—45).

Wszystko złe czy dobre, skończyć się musi i my choć z żalem rozstajemy się z dyplomaturysem, którego zawartość jeszcze tyle i tyle ciekawych mieści wiadomości!

J—d.

Biblioteka Ordynacji Krasieńskich. *Muzeum Konstantego Świdzińskiego*. Tom 2. Warszawa. Nakładem Świdzińskich, 1876 r. (w 8-ce wielkiej str. 424). Materiały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku, poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Jana Ostroroga wojewody poznańskiego, zebrał i opracował Wł. Chomętowski.

W badaniach przeszłości życia narodu wydatne ukazywały się zawsze szczyby, gdy przyszło przedstawić domowy, społeczny żywot praocjów. Ta strona właśnie najmniej jest znajomą, a cóż mówić o ustroju ekonomicznym, głównie też zawodu ziemiańsko-rolniczego, któremu jedynie oddawała się cała szlachta polska od zagonowego w zaścianku herbownika, aż do możnowładcy i dygnitarza w Rzeczypospolitej. Na tém tle, na roli, przy pługu i kądzieli rodziły się i rozwijały wszyst-



kie pokolenia zarówno szlachty jak i ludu. Matka-ziemia hodowała je, żywiła, dawała dostatek i bogactwo. Polska wyłącznie przez tyle wieków była krajem rolniczym i w tych właśnie stuleciach, które dotyka *muzeum* K. Świdzińskiego, niedaremnie pozyskała nazwę *spichrza Europy*. Niebraknie zaprawdę obfitych materyałów dla skrzętnego badacza rolniej przeszłości, ale te głównie ukryte są dotąd w rękopismach. Strona dziejowa troskliwiej była pielęgnowana, społeczna odłogiem leżała, a tymczasem nieraz marniały drogocenne zabytki, któreby nie małą pomoc stanowiły. W ostatnich dopiero latach gorliwie wzięto się do poszukiwań ekonomicznych stosunków i ludności rolniczej, w czym nie mało położyli zasługi W. A. Maciejowski, Józef Łukasiewicz, J. T. Lubomirski i Edward Stawiski. Prace dwóch ostatnich Biblioteka Warszawska w latach 1851 i 1855 podała.

Materyały do dziejów gospodarstwa rolnego w Polsce, w r. 1849 pierwszy zaczął ogłaszać K. Wł. Wójcicki. W piśmie zbiorowem, które redagował p. n. *Album literackie*, poświęcone dziejom i literaturze krajowej, w tomie drugim wydrukował: „*Intercyzę czyli kontrakt dzierżawny* pomiędzy I. A. Próchnickim arcybiskupem lwowskim, a Jerzym Chłopeckim o dzierżawę dóbr Piechaczew z roku 1629“ i „*Inwentarz klucza Ossolińskiego* z roku 1755.“ Obadwa te pomniki są nie małej dla każdego badacza wartości.

Wydawnictwa Długosza *Liber beneficiorum*, Z. A. Helcla *Pomniki dawnego prawodawstwa polskiego*, wniosły ogromny zasób nowych szczegółów do dziejów rolniczej ludności i ekonomicznych w Polsce: obecnie wydany tom *Muzeum K. Świdzińskiego* drogocenne przynosi bogactwo, w tym właśnie pożądanym kierunku. O nim tu zamierzamy złożyć krótkie sprawozdanie.

Po wstępie wydawcy Wł. Chomętowskiego następuje tegoż autora obszerna „Wiadomość o życiu i pismach Jana Ostroroga wojewody poznańskiego.“ Rzecz sumiennie opracowana, a wzbogacona nieznanymi dotąd szczegółami, które uwydatniają charakterystykę znakomitego męża.

Żałujemy że szanowny autor przy dziele Ostroroga „*Mysłistwo z Ogary*“ przypisanego królewiczowi Władysławowi (IV), nie zwrócił uwagi na to właśnie przypisanie, w którym *myslistwo* czyli *łowiectwo* uważa Ostroróg jako najpiękniejszy przywilej stanu szlacheckiego. Rys to godny uwagi, patrzącego głębiej w pojęcia przeszłości.

Następują z rękopismu Ostroroga pierwszy raz drukowane trzy jego rozprawy: „*Kalendarz Gospodarski*,” „*Chowanie Żrebców*” i „*Zwierzyniec*,” które na własnym doświadczeniu osnowały.

Kalendarz gospodarski zaczyna od października, przepisuje prace rolnika w każdym miesiącu i tłumaczy jego nazwę. Pod „februarius—luty“ dodaje: „tego miesiąca nazwiska wywieść nie umiem.“ Widać że starożytnego polskiego wyrazu luty, srogi, Ostroróg nie znał, chociaż w tém znaczeniu przechował się u naszego ludu. Konkluzya tego kalendarza zasługuje na pilniejsze zastanowienie.

„To—mówi Ostroróg—co się tu napisało pilno pamiętać. Trafi li się co, czego tu nie masz, niezamiedbywać tego, ani na to składać, że tu tego nienapisano. Przypadki różne, różnych rad potrzebują; czasy i okazy odmieniają siła, których jako nikt wiedzieć nie może póki nie-przypadną, tak i upatrywać ich trudno z daleka; na to trzeba rozumu i rady prędkiój, kiedy co przypadnie. A ten nie mieszka chyba w trzeź-wój, a nie zabawnój głowie. Pijaństwa, towarzystwa, goście, handlów, zabawek wszelkich, krom samych gospodarskich, nie ma sobie czynić ten, kto gospodarstwo ma w poruczeniu: bo te i czas biorą (a ono pilny gospodarz ledwie ma czas jeść, a spać i to pod miarę) i rozum albo zaléwają (a trzeba go spełna), albo rozrywają (a trzeba całego). Cnoty tedy, rozumu trzeba. Rozum ukaże co czynić, a cnota go upilnuje, żeby nie omieszkał, ani go na co inszego nie rozrywał.“

W dalszym ciągu opisuje powinności dobrego sługi, ale zarazem i obowiązki pana. „Niepodobna to, żeby kto mógł sobie służyć i panu służyć. Jedno z tego dwojga robić trzeba. I Pan Jezus dekret swój na to uczynił, że nikt nie może dwiema panom służyć, nikt Bogu, to jest panu, i mamonie, to jest własnemu pożytkowi. Nie ma tedy cnotliwy sługa nic o swych rzeczach myśleć, ale wszystek zmysłowy i czas na pańską posługę obrócić. A pan *in conscientia* obowiązany jest takiemu słudze, kiedy z niego tę służbę zdejmować będzie, *tylki* ratunek w nagrodę służb jego dać, żeby z wysługi, na którą samę opuściwszy swe rzeczy, robił, mógł uczciwie żyć do swój śmierci i potomkom swym po sobie wysługę ostawić; jeśli długo i uczciwie służył i na służbie lata styrał. Bo suche dni, suknia i insze rzeczy nie są nagrodą służby, ale tylko podpory nagości wczasu i na to ukazować nie godzi się, chyba takiemu słudze co nic nie robił. Gdzie taki sposób między panem a sługą będzie, oba za błogosławieństwem Bożem wskorają i będą z siebie kontenci.“

Ojcowska pamięć panów względem sług dobrych, wydawała pożądanę owoce. Kto zapamięta stare sługi płci obojój, co od lat najmłodszych aż do zgonu wiernie służyli swemu państwu, tak po dworach ziemiańskich jako i po miastach, ten więc, jaka to była *generacya*. W jednym domu przebywając długie lata, uważali się więcej za członków rodziny a nie za obcego przybysza; ztąd troskliwość o dobro pańskie, ztąd rada i zapobiegliwość pocziwa. Dziś podobne postacie już tylko do wspomnień dalekich należą.

W „Chowaniu Żrebców“ Ostroróg podaje przepisy szczegółowe oparte na własnem doświadczeniu, ażeby żrebię odchowac na dobrego wierzchowca lub konia do pociągu; z doświadczenia też własnego daje rady co do zakładania zwierzyńca.

Rzecz godna uwagi, że chociaż w wielkich lasach i borach, jak i ogromnych puszczech z zapadłemi kniejami XVI stulecia nie brakło grubój zwierzyzny, ziemianie ówczesni zamożniejsi z równą troskliwością urządzali zwierzyńce dla ich hodowli, jak dbali o rybne stawy, obfite pasieki w ogrodach przy dworach swoich, jako też i dzikie barcie

pszczoł lepszych, bo miód wówczas zastępując mniej rozpowszechniony cukier, zaspakajał wszystkie domowe potrzeby.

Po pismach Ostroroga mamy jedenaście inwentarzy różnych dóbr prywatnych zaczynając od 1553 do 1726 roku. Prócz tego oddzielnie obszerny *Inwentarz starostwa knyszyńskiego* wraz z miasteczkiem Knyszyn z lat 1561 i 1564, oraz dwie *Lustracje* starostwa zatorskiego i oświęcimskiego z r. 1564 i starostwa halickiego z 1566 r.

Przeglądając je skrzątnie, widzimy, jak mało utrzymywano bydła rogatego; wołów ledwie gdzie dopatrzyć, bo uprawę spełniali włościanie, jak wywózkę drzewa z lasów i nawozu w szczupłej zapewne ilości, bo nie było z czego go przymnażać i mniej go potrzebowano w trójpolowym gospodarstwie. Za to chów trzody chlewniej był troskliwiej pielęgnowany we wszystkich dworach, a o mięso wołowe mniej dbano, przy obfitości grubego zwierza, dzikiego ptastwa i ryb po stawach, rzekach i jeziorach. Starano się na domowe potrzebę o nabiał i baraninę. W jednym tylko starostwie knyszyńskim chowano trzysta wołów na opas dla sprzedaży. Że je karmiono dostatnio, wykazuje spis zużytej karmi. Wyszło bowiem „żyta kóp 50, jarzyny kóp 196, owsa kóp 808, siana brogów 30, stogów 42 i do tego 600 wozów. A z tej trzody zdechło 30 wołów.“ Sprzęt domowy wszędzie skromny i ubogi, zarówno jak i same dwory ziemiańskie. Największy z nich dworzec w starostwie knyszyńskim, nie mógłby wytrzymać porównania z dzisiejszą siedzibą zamożniejszego właściciela ziemskiego. Wszędzie widnieje dbałość o zarybione stawy, bo posty zachowywane ściśle w owych czasach, wymagały nie małego zasobu rybnego. Prócz tego znajdujemy nawet i porządniejsze rachunki gospodarskie, jak np. przy opisie starostwa halickiego. Tu też znajdujemy, że na rzekach „które w tém starostwie są wielkie, czasem poławiają się *bobry*, ale osobiwie na rzece Lipie, których w niniejszym roku (1566) z Bolszowa kmięć rzeczony Fedor Deramianka ułowił ośm, każdy *valoris* za złotych dwa; to uczyni złotych szesnaście.“ W tych tylko dobrach znajdujemy jedyne wspomnienie o przerzedzonych już w XVI stuleciu bobrach.

Jedyną także wzmiankę mamy o starożytniej łaźni w Modlnicach (str. 178), a łaźnie wiadomo jak były rozpowszechnione w Polsce i na Rusi w XV i XVI wieku i dotrwały do panowania Zygmunta III.

W *Dodatkach* załączono Mikołaja Sieniawskiego starosty stryjskiego: „Ustawę dla włościan Stynawy 1568 r.“ w której opisuje powinności włościan, zgodnie z niemi ułożone. Dalej: „Ustawę Jana Kazimierza Firleja Konarskiego z r. 1679 dla wójta dóbr Gumienic i Strasniowa, któremu nadaje rozległą władzę, upoważnia go do sądzienia spraw wraz z *sąsiadami* „bez apelacyi do pana.“

Ta ustawa obejmująca powinności włościan zastrzega, ażeby jego następcą nowych na nich ciężarów nieważył się nakładać, a jeżeliby się do tego posunął, upoważnia wójta z gromadą, ażeby „o krzywdę swą i gwałt prawu swemu do pasterza swego JM. księdza plebana uciekli się, aby z władzy swój pasterskiej napomniał pana natenczas zostające-



go jako parafiana swego, żeby im gwałtu prawu ich nie czynił, a kontentował się tą powinnością, z dawnych czasów postanowioną“ (s. 411).

Kończą się dodatki: „Ustawą gromady majątności Suskiej (w Galicyi w obwodzie Wadowickim) przez Annę z Lubomirza Wielopolską, kanclerzycową koronną, w r. 1696 napisaną.“

Znać tu pełną miłości chrześcijańskiej rękę, dbającą o moralność ludu. Nadto zostawiając wolność sprzedaży każdemu włościaninowi własności swój tak ruchomój jak nieruchomój, gdy z tego powodu zapisy jedne poginęły, drugie zniszczono i ztąd zatargi i niesnaski: postanawia, że sprzedaż i zapisy nie gdzieindziej jak w zamku miejscowym, w jednej księdze przy obecności wójta, przysiężnych, woźnego i namiestnika jój wykonywane być mają. „Ta księga w skrzyni zamknięta zawsze być powinna pod dwoma kluczami, klucze zaś u przysiężnych dwóch tak być powinny, aby jeden bez drugiego do niej nie otwierał. Sądom wójtowskim i przysiężniczym, osobliwie dzień piątkowy w każdy tydzień naznacza się, na którym zasiadać nie może mniej, jak sześciu przysiężnych.“

Wspomnieć tu musimy, że w zbiorze tym mieszczą się trzy dokumenta w narzeczu biało-ruskiem: mniej znane wyrazy są wyjaśnione w słowniczku, zamykającym tę ważną i zajmującą publikacyą. Przynosi ona nam cenny materyał do przedmiotu mało znanego, a tak wielką mającego przewagę w ustroju społeczności naszej upłynionych wieków, jakim był zawód ziemiański i stosunki rolnicze; składa dowody *sądów gminnych*, przynosi nam nadto wiele szczegółów do życia domowego zagastój przeszłości, które nie ujdą uwagi pilnego jój badacza.

Zamykamy nasze sprawozdanie pod wływem bolesnego uczucia, bo ten, który tę księgę do druku przygotował, już zakończył dni swoje. Zaczny, gorliwy i sumienny badacz, tą pracą zamknął szlachetny swój zawód. Piszemy w dniu jego pogrzebu.

R.

Warszawa, dnia 24 maja 1876 r.



Dnia 18 marca r. b. w Krakowie, po długich cierpieniach zakończył życie *Aleksander Kurtz*, jeden z pierwszych założycieli naszego pisma. Urodził się w Warszawie d. 1 stycznia 1814 r. Szkoły ukończył w liceum warszawskim, a dla wyższego naukowego wykształcenia udał się do uniwersytetu berlińskiego, gdzie niedawno zmarły Hegel, w całym gronie profesorów pozostawił tradycje szczerzenia gruntownej wiedzy. Tu na wspólnych studiach zawiązał przyjacielskie stosunki z mężami wysokiej obywatelskiej zasługi, Augustem Cieszkowskim i Adamem hr. Potockim.

Po ukończeniu kursów uniwersyteckich dla gruntownego oznajomienia się z agronomią, udał się na naukę do słynnego wówczas agronoma Thaera w Möglinie, gdzie lat kilka tę naukę studyował.

Chciwy wiedzy, dla jęj uzupełnienia w r. 1837 poświęcił się pracy na uniwersytecie paryzkim.

Dobrze więc przygotowany wrócił do kraju, ażeby stanąć gotowym do jego usług w gronie gorliwych obywateli.

W głuchęj ciszy na polu literackim, zrozumiał potrzebę obudzenia umysłów z letargu; chętnie więc przystąpił do grona tych, którzy powzięli myśl utworzenia poważnego pisma peryodycznego.

W końcu roku 1840 należał do ułożenia programu „Biblioteki Warszawskiej;“ na jego głównie wniosek, jako dział główny przyjęto przemysł krajowy i od tęj chwili stał się tego organu najczynniejszym współpracownikiem.

Zaraz w pierwszym tomie drukował obszerną a gruntownie napisaną rozprawę: *O przemyśle, jęgo historycznym postępie i wpływie na bieg cywilizacyi* (Bibl. Warsz. 1841. T. I.). W roku następnym: *O kasach oszczędności* (tom I, 1842) i *O domach ochrony w Stanach Zjednoczonych Ameryki* (1843, t. 2). Razem z Augustem Cieszkowskim Kurtz popierał najczynniej wydawnictwo *Biblioteki literatury zagranicznej*, która wychodziła pod redakcyą naszego pisma, a lubo następnie już piórem nie zasilał Biblioteki Warsz., radą i pomocą materyalną gorliwie wspierał i zachęcał do wytrwania nieraz wśród chwil grożących jęj upadkiem.

W roku 1848 nabywszy obszerny majątek ziemski, zabrał się z wrodzoną sobie energią do podniesienia upadłego gospodarstwa, a użytkując z nabytęj wiedzy pod Thaerem, po kilku latach doprowadził go do najpiękniej urządzonych w całej okolicy.

W roku 1855 zachęcony przez sąsiada swęgo ś. p. generała Smolikowskiego, miłośnika jedwabnictwa, dla zaszczepienia tego rodzaju przemysłu, który tyle milionów obcym narodom przynosi i dobrobyt wśród najuboższych warstw społecznych pomnaża, wystarał się o zawiązanie *spółki jedwabniczęj*, aby ten wdzięczny a łatwy nowy przemysł rozpowszechnić w kraju. Wybrany na jęj dyrektora, energicznie go rozwijał i dałby mu niewątpliwie świetny rozwój, gdyby dłużej wśród nas pozostawał. Gdy się od pomienionęj usunął spółki, gdy i generał Smolikowski zakończył życie, rzecz w niedołężne ręce oddana, musiała upaść nieumiejąc nawet śladów utrzymać pracy i gorliwości pierwszego jęj kierownika.

Powołany do zajęcia miejsca w zaprowadzonęj Najwyższym Ukazem radzie stanu Królestwa, zajął miejsce w wydziale skarbowym; tu miał sposobność przy nie jednem wówczas rozbieranem prawie, zdolności ekonomiczne spożytkować.

Brał czynny udział, co do zawiązku współdzielczych stowarzyszeń między klasami pracującymi naszęj ludności. Za jego tęż staraniem jednocześnie zawiązaną została spółka budowy domów, o tanich a zdrowych mieszkaniach dla robotników.

Opuściwszy Warszawę, bawił lat kilka w Brukselli, badając nakowo ten kraj przemysłu. W roku 1868 przeniósł się na stałe miesz-

kanie do Krakowa, gdzie przy pomocy starego przyjaciela swego ś. p. Adama hr. Potockiego założył *bank galicyjski dla handlu i przemysłu*, którego do końca życia był najczynniejszym dyrektorem. Świetny stan tej instytucji głównie nauce i pracy Aleksandra Kurtza zawdzięczyć należy.

Jakkolwiek oddalony od naszej redakcji, czuł zawsze ognia braterskie, które go wiązały z „Biblioteką Warszawską,” jako w znacznej części dziełem jego ręki.

Jeżeli kraj stracił w nim jednego z najgorliwszych obywateli, który rozumną radą i energiczną pracą oddał mu niemałe usługi; to pozostali towarzysze dawnego grona, najboleśniej uczuli zgon tego, co szczerą przyjaźnią, słodkiem a serdecznem słowem umiał zachęcać zwątpiałych i własnym przykładem wskazywać potrzebę wytrwania i poświęcenia na twardej i ciernistej drodze, tej ziemskiej pielgrzymki.

† W licznym szeregu mężów niepospolitej zasługi, zgasyłych w tym roku, przychodzi nam znowu wspomnieć o nowej bolesnej stracie, którą podobało się Opatrzności nawiedzić krainę naszą, piśmienniczej koło, zaczął rodzinę i liczny przyjaciół poczet. W dniu bowiem 22 maja r. b. oddał Bogu ducha w Warszawie ś. p. **Władysław Chomełowski**.

Urodzony w d. 29 kwietnia 1829 r. w majątku dziedzicznym rodziców Ussarzewie w Sandomierskiem, z ś. p. Franciszka b. posła na sejmie Kr. Polskiego i radcy ówczesnego wojew. sandomierskiego i żyjącej Konstancyi z Orłowskich; odbył nauki pierwotnie w Sandomierzu, gdzie był na pensji u przyjaciela rodziców, dzisiejszego biskupa Juszynskiego, podówczas prefekta szkół sandomierskich. Następnie je kończył w Warszawie w gimnazjum na Lesznie.

Niele dwie od dzieciństwa książka była nieodstępny i jedynym prawie towarzyszem jego życia, poezya, a zwłaszcza też dzieje ojczyzno-kraju, ulubioną niwą, którą bezustannie uprawiał, którą całą duszą ukochał. Ś. p. Władysław potrafił też sobie zaszczytne w piśmiennictwie krajowem zdobyć stanowisko, a to dzięki temu, że obok wielkiej i niezmordowanej pracowitości był przedewszystkiem czystego i podniosłego ducha, wielkiej cnoty, niezwyklej umysłu dojrzałości, a zacnego i wytrawnego charakteru człowiekiem. Podjął on ciężkie brzemię literackiego zawodu nieskalanemi rękoma, bo powołanie to uważał za kapłaństwo, którego lekceważyć się nie godzi, do którego przeto należy przystępować z jasnym bez skazy sumieniem, a gruntowną przedmiotem swojego znajomością. Do badania dziejów swojego kraju zabrał się, jako wierny syn tej ziemi, która martwe jego teraz przyjęła zwłoki. Umiał on, oddając hołd prawdzie historycznej wy dobyć z przeszłości to, co w niej było pięknego i dla obecnego pokolenia budującego i nauczającego.

Do powołania badacza dziejów, które stało się głównym jego prac zadaniem, przygotowywała go Opatrzność życiem cierniowym, pełnym ciężkich i bolesnych ciosów. Wśród nich umysł jego dojrzcował, chara-



ktę potężniał, oko badacza minionych czasów nabierało bystrości i jasności poglądów. I zaiste trzeba przejść chrzest ciężkiej i twardej szkoły życia, aby mózg zrozumieć i należycie ocenić ogólne społeczne położenia, nie zawsze zasłane kwiatami powodzenia... Trzeba poznać krzyżowe drogi żywota, aby umieć obrazować, czyli to ogólne przygody narodu, czyli też różnej wartości i różnych odcieni, przejawiające się wśród niego postacie. Ś. p. Władysław, zanim na jasne w zawodzie swym literackim wyszedł drogi, różne przebywał koleje. Jak wielu jego rówieśników szukał z książką w ręku przez szereg lat młodzieńczych właściwego, a trudnego wówczas do znalezienia dla siebie stanowiska, na któreby działalność swoją należycie mógł rozwinąć. W tych właśnie czasach dotknięty został ciężką niemocą, która pełnego życia młodzieńca pozbawiła przez lat szereg władzy chodzenia i przykuła do łoża boleści. Stopniowo wszelako, jakby cudem, bo sam już wątpić o sobie poczynał, do sił przychodził z radością rodziny i przyjaciół. Nieledwie równocześnie z powrotem do zdrowia znalazł się on opatrnościowo w właściwej dopiero dla siebie roli, bo zajął w r. 1861 posadę bibliotekarza księgozbioru ordynacyi hr. Krasińskich i połączonych z niemi biblioteki i muzeum Świdzińskich. Tutaj, jak wprawy i dzielny górnik wśród bogatych kopalnych pokładów, zagłębił się we wnętrza przeszłości ojczyźnej. Rozkoszowała się jego dusza wśród zapyłonych ksiąg i drogocennych rękopisów, stawiających mu żywo przed oczy przeszłość społeczeństwa naszego. Z kopalni tej czerpał pracowicie i czerpać umiał, czerpać też i drugim pozwalał, a różne jego pisma i wydawnictwa, przez niego dokonane, chlubnym są pomnikiem jego pracy i świadczą, że straż i uporządkowanie bogatego onego zbioru nie mogło w godniejsze być powierzone ręce.

Z chwilą zajęcia tego stanowiska zdawało się, że i jego życie smętne dotąd, rozjaśniać się poczyna. Ale inaczej podobało się Bogu. Narzeczona ś. p. Władysława, pełna życia i zdrowia, z którą niedługo małżeńskie miały go połączyć śluby, nagle chorobą serca dotknięta, kona w jego oczach. Siostra jej niezadługo staje z Władysławem u stopni ołtarza. I znowu przez lat kilka uroczę szczęście domowe otcza zacnego pracownika. Żona, istny obraz ewangelicznej niewiasty, dwoje pięknych i zdrowych dzieci, okalają kwiatami pociechy pracowite jego życie. Ale szczęście to było przelotne, jak krótkotrwały meteor. Dzieci swe pochował niedługo, a za niemi i nieocenionych przymiotów małżonkę Helenę z Niewiarowskich. Osierocony zniósł te ciosy dotkliwie z mężstwem niezrównanem i z pokorą poddał się woli Wszchemocnego. Ciężka boleść, jaka na duszy jego zawisła, nie prze-rwała mu na chwilę pracy jego. Złożony od kilku miesięcy śmiertelną chorobą, niedługo dopiero przed zgonem złożył pióro, którym zacnie i pożytecznie dla ziomeków swych długi lat szereg wadał, a nigdy niko-gu niem nie zgorszył, nigdy niczém wierze i prawdzie nie ubliżył.

Prace ś. p. Władysława są bardzo liczne. Już w r. 17-ym życia wydał pierwszą broszurkę p. n. *Trzy myśli*, pod pseudonimem Włady-

ślawa Kwiryna. W niój gładkim wierszem opiewa wydarzenia dziejowe. Później pisał wiele artykułów do *Rozrywek dla młodocianego wieku* Pruszkowój, do *Kółka domowego* i *Biblioteki Warszawskiej*. Miał udział w wydawnictwie *Zabaw przyjemnych i pożytecznych*. W Bibliotece Warszawskiej zasługuje na szczególną uwagę tłumaczenie jego wierszem słynnych poezji laureata poety angielskiego *Tennysona*. Należał następnie do redakcyi „Wieków“ i „Kroniki Rodzinnój.“ Zamieszczał różne prace swoje: poezyc, krytyki, recenzyc i t. d. w „Więcu,“ „Kłosach,“ „Tygodniku Ilustrowanym,“ „Ognisku Domowém“ i „Gazecie Polskiej.“ W tej ostatniej drukował wydany następnie oddzielnie *Pamiętnik hetmana Jabłonowskiego*. Tłumaczył z angielskiego „powieść o dwóch miastach“ Dieckensa i inne prace tego autora. Wydał nadto oddzielnie powieść historyczną *Władysław Biały* książe gniewkowski, *Legandy Polskie* (Kraków, 1862), obszerne studyum *Krzysztof Zbarawski* (Warszawa, 1866 r.), *Przygody księcia Marcina Lubomirskiego*, opowiadanie historyczne z drzeworytami (Warszawa, 1867 r.). Ta ostatnia praca w handlu księgarskim jest zupełnie wyczerpana. Pożądaném byłoby dlatego, aby pomyślano o drugiem tego dziełka wydaniu. Następnie ogłosił *Dzieje teatru polskiego od najdawniejszych czasów do r. 1750* (Warszawa, 1872 r.), *Dziennik Jana Stanisława Jabłonowskiego* (Warsz., 1865 r.), *Stanowisko praktyczne dawnych niewiast* (Warszawa, 1872), *Pamiętniki Feliksa hr. Łubieńskiego* (Warszawa, 1874 r.). Praca ta wszędzie w Warszawie, we Lwowie, Krakowie i Poznaniu nadzwyczaj pochlebnie przyjętą została, jako rzucająca nowe, a nieznanne dotąd światło na dzieje księstwa Warszawskiego. W „Bibliotece Warszawskiej“ drukuje się obecnie obszerne opowiadanie historyczne p. t. *Synowie hetmańscy*. Pod redakcyą ś. p. Władysława wyszły pomnikowe dzieła: *Pięć tomów* materiałów historycznych, jako *Biblioteka Ordynaryi Krasieńskich* (od r. 1868 do 1871) i 2 tomy p. t. *Muzeum Konstantego Świdzińskiego* (1876 r.). W tym ostatnim jest nowa rozprawa historyczna, którą korygował już na łożu śmiertelném na kilka tygodni przed zgonem.

Z tego pobieżnego wspomnienia widzimy, jak niezmordowanym był zmarły pracownikiem i jak liczne a chlubne pozostawił wytrwałej swój pracy owoce.

Liczne koło krewnych, przyjaciół i braci po piórze odprowadziło zwłoki na wieczysty spoczynek. Pokój niech będzie tej pięknej duszy, która umiała wśród cierni, głogów i pracy żyć pożytecznie na tej ziemi, a pokój i miłość dokoła siebie rozpromieniać.

A. G.

# WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

## WARSZAWA.

*Warszawa, maj 1876.* — Dnia 15 maja r. b. przypadał jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy literackiej K. Wł. Wójcickiego; o obchodzie tym w następującym zeszycie podamy obszerniejszą wiadomość.

— Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej w r. b. pomieściła: 1) *Katedrę Najświętszej Panny Paryżkiej*, przez Wiktora Hugo, w tłumaczeniu I. T. Hodie'go. 2) *Charaktery rozumów ludzkich Michała Wiszniewskiego*. 3) *Bakona metoda tłumaczenia natury*, tegoż. Obecnie rozpoczęła przedruk słynnego romansu H. Rzewuskiego: *Listopad* i przekład mistrzowski Lucyana Siemieńskiego *Odyssei* Homera. Pierwsze wydanie *Odyssei* przez tłumacza ogłoszone, w ozdobnej i kosztownej edycji drukowane w 600 egzemplarzach już wyczerpane, mało jest ogółowi dostępne, niniejsze, tak tanie, rozpowszechni to arcydzieło starłej Hellady.

— Ogłoszono *prospekt* na dzieło w czterech zeszytach p. n. „*Nauka buchalterji teoretycznie wyłożona* przez Erazma Nowickiego b. głównego buchaltera i członka banku polskiego.“ Autor, wychowaniec wydziału nauk matematycznych b. Uniwersytetu Warszawskiego, i przez lata długie główny kierownik buchalterji w Banku Polskim, daje zupełną rękojmnię wartości dzieła. Dzieło powyższe obejmie trzy główne działy: 1) *Teoryą buchalterji*, 2) *Zastosowanie teoryi buchalterji*, czyli o prowadzeniu ksiąg w szczególności. 3) *O zastosowaniu buchalterji wedle różnego stanu i obszerności majątków*, nadto o buchalterji pojedynczej.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszedł szkic biograficzno-literacki przez Fr. Henryka Lewestama p. n. *Aleksander Fredro*: praca ta drukowaną była w *Kłosach* przed ośmiu laty (tomy szósty i siódmy z r. 1868), wydana w oddzielnj książce, przypomni czytelnikom tę dostojną postać „*Ojca komedyi polskiej*“, o którego utworach podajemy właśnie studjum Stanisława hr. Tarnowskiego.

— *Dzieł Wincentego Pola* w pierwszym zbiorowém wydaniu ukazał się w naszych księgarniach tom piąty, (czwarty dopiero jest pod pressą). Obejmuje zbiór drobnych utworów poetycznych: *Z podróży po burzy; Wiele, mało, przeboleło; Cierpienia bez ceny i treny, nie treny; Z klasztoru i z boru; Ze dworu; Drobne poezye, i pieśń o Ziemi.*

— Otrzymaliśmy od wydawcy *Podręcznika dla sądów gminnych* Królestwa Polskiego następną odezwę: „Dla przyspieszenia wydania *Podręcznika*, współcześnie z drukiem tomu I, w którym zamierzamy zakończyć wyciągi z ustawy postępowania cywilnego, przystąpi-



my do druku tomu II, w którym pomieścimy: wyciągi z Ustawy postępowania kryminalnego, Ustawę o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju, formularze dla sędziów gminnych i zjazdów sędziów pokoju, skorowidze, przedmowę i okładkę. Jeśli przed ukończeniem wydawnictwa będą ogłoszone przepisy dodatkowe lub instrukcye, obowiązujące sądy gminne, nie pominiemy ich z uwagi i zamieścimy w tomie II. Zeszyty II tomu *Podręcznika* będą oznaczone cyframi 1, 2, 3 i t. d. Zeszyt pierwszy tomu II wyjdzie w końcu maja.“

— Pan Michał Girdwojń, przyrodnik, zaszczytnie znany w świecie naukowym zagranicznym, jako autor najlepszej anatomii pszczoły, pracuje obecnie nad pisykulturą. W tym celu po kilkoletnich studiach w najpierwszych zakładach rybnych w Europie przygotowała obszerną pracę o *sztucznej i ochronnej hodowli ryb należących do rodziny lososiowatych*, gdzie będą wyjaśnione dla hodowców wszystkie zjawiska ze stanowiska naukowego. Samych rysunków anatomicznych i konstrukcyjnych będzie w tém dziele około *pięćset*. Ogromny koszt wydania a zarazem gotowość kilku nakładców w Paryżu i Londynie do łożenia na takowe, jest powodem że całe dzieło nie wyjdzie najpierw w języku polskim. Aby jednak przysłużyć się piśmiennictwu ojczystemu, pan Girdwojń drukuje w *Pamiętniku* Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu ważną część pomienionej pracy traktującą o *chorobach ryb należących do rodziny lososiowatych (salmonoidei)*. Część tę przyszedł do dzieła autor podzielił na trzy główne rozdziały: 1) *Choroby ryb w stanie jaja*, tu są opisane choroby powstałe w łonie matki i po zniesieniu ikry; 2) *Choroby ryb w stanie pęcherzyka żółtkowego* i 3) *Choroby ryb w stanie doskonałym*. We właściwych miejscach podane są środki zaradcze dla hodowców i ciekawe a pierwsze co do bogactwa szczegółów opisanie licznych *dzwolągów* czyli potworów rybich; wreszcie objaśnienie *stu dwudziestu* rysunków, których koszt chętnie podjęła redakcja *Pamiętnika*, jako najpoważniejszego wydawnictwa specjalnego w języku polskim. Rysunki wykonane są przez samego Girdwojnia z okazów zachowanych w spirytusie, których liczny zbiór zgromadzony pracą naszego badacza przyrody wypożyczony jest obecnie częściowo do wykładów uniwersyteckich w Londynie, Paryżu i Krakowie.

Pan Michał Girdwojń rodem ze Żmujdzi, który był także słuchaczem w szkole głównej warszawskiej i uczniem instytutu rolniczego w Żabikowie, gdzie postępową pasiekę założył, ostatnie swoje studia dopełniał w Londynie w najznakomitszym w świecie muzeum przemysłowo-przyrodniczym znanym pod nazwą *South Kensington*. W muzeum powyższym znajduje się jedyny prawie w swoim rodzaju oddział przemysłu rybackiego, ułożony przez uczonego Franka Bucklanda, obecnie naczelnego inspektora rybactwa w Anglii, który przyjaźnią i protekcją swoją otoczył naszego ziomka.

Nie potrzebujemy tu dowodzić jak pożądanym nabytkiem byłby p. Girdwojń dla naszego muzeum przemysłowo-rolniczego w Warszawie, co témbardziej dałoby się uskutecznić, że o ile wiemy znakomity

nasz przyrodnik powrócił już na stały pobyt do kraju i zamierza osiąść na Żmujdzi lub w Warszawie. Obecnie bawi w Szawlach, gdzie przygotowuje na tamtejszą wrześniewą wystawę rolniczą próby sztucznego wylęgania i hodowli ryb łososiowatych, o czém nie omieszkamy we właściwym czasie czytelnikom Biblioteki udzielić sprawozdanie.

— Pan Michał J. W. Modzelewski z Radomia, ciekawe nam podaje szczegóły o ostatnich latach Antoniego Malczeskiego i wydaniu jego *Maryi*.

W numerze 93 „Wieku,” w nowinach bieżących krajowych zamieszczono, że Antoni Malczeski zamieszkiwał w domu Kossowskich (obecnie Zawiszy) przy ulicy Bielańskiej. Nie podnosiłbym tego, gdyby nie zamiar wmurowaniu tablicy marmurowej ku jego pamiętce. Malczeski przybywszy z krewną swoją z Wołynia, zamieszkiwał na Lesznie w pałacu Gurzyńskich, potem Skarzyńskiego kapitana G. s. k. i w domu tym na 1-szém piętrze zajmował apartament narożny, złożony z salonu obszernego i kilku pokojów. Że tam do 1823/4 roku zamieszkiwał, przekonać się łatwo z samych ksiąg ludności, utrzymywanych przez właścicieli domów i w ratuszu. Malczeski nigdy nie mieszkał w domu Kossowskich przy ulicy Bielańskiej, ale wprost przeniósł się z krewną swoją do domu Brzostowskich, potem Lewity, na drugie piętro, (w tych samych apartamentach stał potem chwilowo Kajetan Suffczyński (Bodzantowicz). Co zaś do drukowania *Maryi*— i to potrzebuje objaśnienia. Nie mieszkając w domu Kossowskich, nie mógł ztamtąd *Maryi* drukować. Rzecz była nierównie prostsza: ułożył się z księgarzem i wydawcą Glücksbergiem, mieszkającym wtedy w domu Sołtyka (teraz Dyzymańskiego) przy ulicy Miodowej, ażeby mu za umówioną cenę *Maryę* wydrukował. Razu pewnego byłem u wód mineralnych w ogrodzie Dekerta, spacerowałem z siostrą moją i Malczeskim, i gdy już po skończonej porcy należało wychodzić z ogrodu, prosił mnie Malczeski, abym zaraz pojechał do księcia Stanisława Jabłonowskiego, wziął od niego 1,000 złp., i takowe zawiózł Glücksbergowi za druk poematu *Maryja*, a pokwitowanie doręczył Malczeskiemu. Jak pragnął tak uczyniłem. Książę Stanisław Jabłonowski mieszkał wtedy naprzeciw kościoła Ś-go Krzyża w domu Staniszewskiego. Ile pomnę, zastałem go, i powiedziałem mu życzenie Malczeskiego. Nie znałem wtedy wcale księcia, mógł mi odmówić jako nieznanemu i z ustnóm żądaniem przybyłemu od trzeciój osoby; odmowa byłaby wcale naturalna i nieubliżająca: książę Stanisław przecież wysłuchawszy o co idzie, wręczył mi natychmiast 1,000 złp., nie żądając nawet pokwitowania. Wziąłem pieniądze i natychmiast zawiózłem Glücksbergowi, ten mnie z odebrania pokwitował, i pismo to doręczyłem zaraz Malczeskiemu. Wszystko to w kilka godzin zostało skutecznie. Księgi kassowe po Glücksbergu powinny mieć wmieszczone owe 1,000 złp. Książę Stanisław Jabłonowski, dziś starzec, żyje i mieszka w Galicyi; może jeżeli pamięta, sam ten szczegół życia poety objaśnić.

Co zaś do domu Kossowskich, to mogło w błąd wprowadzić piszącego w „Wieku,” że były wtedy dwa pałace Kossowskich: jeden na Bielańskiej zamieniony w rodzaj hotelu, drugi narożny przy ulicy Mazowieckiej i Wareckiej, który należał do Karola Kossowskiego znanego w owe czasy w Warszawie jako „mauvais sujet.” Znał się z nim Malczeski, bo któż go wtedy nie znał? Bywał u niego; ktoś go tam często widując, mógł sądzić, iż mieszka w domu jego: ztąd błąd. Kiedyś pisałem, że ten Karol Kossowski po śmierci Malczeskiego, robiąc doń niejaki pretensye o należytość pieniężną, ile mniemam bardzo wątpliwą, wziął u niego papiery, zaraz po jego śmierci pozostałe. Były one w puzdrze długim a wązkiem; ile mi się zdaje, były tam inne poezye Malczeskiego, mianowicie poemat p. t.: *Samuel Zborowski*, w guście „Pieśni Ostatniego Minstrela” Walter-Scotta. Załuję, iż tój szkatułki nie odebrałem od Kossowskiego; nie byłyby pewnie papiery zaginęły. A jeżeli po tym jakie pozostały, to może między niemi odszukałoby się co z cudownych poezyi Malczeskiego. Kossowski umarł; Kozłowski rządcą domu Brzostowskich, który także zabrał część papierów Malczeskiego, umarł; mało kto ze znajomych poety żyje: może ja tylko i książe Stanisław Jabłonowski.

— Pod przewodnictwem Ludwika hr. Krasieńskiego, już w dniu 28 kwietnia r. b. czytaliśmy ogłoszenie komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa, że pracownia chemiczna Muzeum urządzona przy ulicy Miodowej w domu pod Nr. 4, rozpocznie swe czynności z dniem 1 maja r. b. Osoby życzące sobie za pomocą rozbiórów chemicznych poznać skład ziemi ornój, margli, wapieni, ocenić wartość naturalnych i sztucznych nawozów, jako to: fosforanów, superfosfatów, guana, pudrety; przekonać się o własnościach wody, dobroci torfu, węgla kamiennych rud metalicznych, soli chemicznych: nakoniec przeprowadzić poszukiwania chemiczne co do jakości różnych spławów metalowych, farb mineralnych i wszelkich substancyi organicznych i t. p., zechcą się zwracać do zawiadującego pracownią chemiczną Muzeum p. N. Milicera, magistra b. Szkoły Głównej, w lokalu pracowni, w godzinach od 1ej do 4ej po południu. Opłaty za dokonywane w pracowni Muzeum rozbiory chemiczne, według cennika przy pismach peryodycznych rozestanego, wnoszą się przy oddawaniu przedmiotów do rozbioru, za pokwitowaniem, w którym oznaczony będzie czas zgłoszenia się po odbiór wypadków dokonanej analizy chemicznej.

Wkrótce do pism codziennych dołączony został: „Cennik tymczasowy pracowni chemicznej” tegoż Muzeum, a w dniu 20 maja r. b. pomieniony komitet ogłosił:

Podaje do wiadomości publicznej, iż na mocy § 20 Ustawy Muzeum, w roku bieżącym urządzone zostaną w Muzeum dwie wystawy czasowe.

Pierwsza czasowa wystawa w Muzeum będzie rolnicza i obejmować ma: nasiona zbóż, traw, warzyw, owoców i narzędzia ogrodnicze.

Drugą wystawę z zakresu przemysłu, stanowić będą:



1). Wyroby krajowe metalowe, wchodzące w zakres kowalstwa, ślusarstwa, blacharstwa, nożownictwa, bronzownictwa; przedmioty z drutów i różnych metalowych spławów, pokrywanych srebrem lub złotem; metalowe narzędzia mechaniczne, fizyczne i t. p.

2). Różne rodzaje garbarstwa i wszelkie rękodzieła, zajmujące się wyrobami ze skóry, jako to: szewctwo, rękawicznictwo, rymarstwo, przedmioty galanteryjne ze skóry i t. p.

Wystawa rolnicza rozpocznie się około 1 października, przemysłowa zaś w początku listopada bieżącego roku.

Uprzedzając o tém pp. fabrykantów i rękodzielników, Komitet Muzeum zawiadamia jednocześnie, iż przy tych czasowych wystawach w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, przestrzegane będą następujące przepisy:

1. Fabrykant lub rękodzielnik życzący przyjąć udział w wystawie, w podaniu zrobioném do Muzeum oświadczyć winien, jakie mianowicie zamierza przedstawić przedmioty i ile miejsca na nie potrzebować będzie.

2. Przyjmowane będą tylko takie wyroby, które odznaczać się będą dokładnością roboty, taniością lub nowością pomysłu.

3. Wystawa każda trwać będzie tylko przez dni 8.

4. Wystawcy poprzestać winni na miejscach w salach Muzeum przez Administracją wskazanych; życzący sobie zająć osobne miejsca zewnątrz szaf lub stołów, ponosić będą wszelkie koszta ubrania i urządzenia wystawy ich przedmiotów.

5. Dozwoloném będzie wystawcom rozdawanie katalogów, cenników, adresów i t. p. Wolno będzie sprzedawać wystawione przedmioty, lecz zabieranie wystawionych wyrobów nastąpić będzie mogło dopiero po zamknięciu wystawy. Przedmioty dostarczone na wystawę z zamiarem sprzedania, powinny mieć oznaczoną cenę sprzedaży; przy innych przedmiotach, jakkolwiek oznaczanie cen nie jest obowiązkowe, pożądaném jest jednak by takowa dla każdego przedmiotu przez wystawcę ustanowioną była.

6. Kopiowanie wystawionych przedmiotów, robienie z nich fotografii, branie miar i t. d., bez pozwolenia wystawców, nie będzie dozwoloném w Muzeum.

7. Przedmioty przeznaczone na wystawę, przesłane być winny na dni 10 przed terminem otwarcia wystawy.

8. Wszelkie koszta przywieszenia i odwiezienia przedmiotów na wystawę do Muzeum, należeć będą do wystawców.

9. Przedmioty, wystawione w Muzeum, najdłużej przez dni 15 po zamknięciu wystawy pozostawione być mogą w lokalu Muzeum. Po upływie tego czasu uważane będą jako oddane na własność Muzeum.

10. Wszyscy wystawcy będą mieli bilety wolnego wejścia na wystawę w Muzeum, przez czas trwania wystawy.

11. Za przedmioty, odznaczające się dobrocią, starannem odrobieniem, nowością pomysłu i t. p., Muzeum udzielać będzie: pieniężne nagrody, tak samym wystawcom, jako téż i osobom, które pracowały przy wyrobie nagradzanych przedmiotów, i listy uznania. Nazwiska wystawców nagrodzonych przez Muzeum zostaną ogłoszone w pismach publicznych.

Blizsza wiadomość o dniu otwarcia każdej wystawy i miejscu na nie przeznaczonem, później ogłoszoną zostanie.

Komitet Muzeum ma nadzieję, iż pp. fabrykanci i rękodzielnicy zechcą przyjąć udział w tych publicznych popisach, tak pożytecznych dla krajowego przemysłu i rolnictwa.

Prezes Komitetu Muzeum, *Krasiński*.

Dyrektor Muzeum, *Przystański*.

— Komissya konkursowa przy Dyrekcyi rządowej teatrów warszawskich, na ostatniem posiedzeniu odbytem w dniu 23 maja r. b., zajmowała się przysądzeniem dwóch premii wyznaczonych w d. 5 kwietnia 1876 r., dla dwóch najlepszych utworów dramatycznych.

Z czternastu sztuk, wyznaczonych do głośnego czytania wobec wszystkich członków komissyi, cztery ostatecznie współubiegały się o nagrody, a mianowicie: tragedia w 5-ciu aktach „Świętosław Igorowicz,” komedia w 4-ch aktach „Pojedynek szlachejnych,” sztuka w 5-ciu aktach „Dworacy niedoli,” i komedia w 1-ym akcie „Fałszywe blaski.”

Komissya nie przyznała żadnemu z tych czterech utworów pierwszej nagrody, dla powodów, które wyluszczone będą w obszernem motywowanem sprawozdaniu; drugą nagrodę otrzymała komedia „Pojedynek szlachejnych.”

„Świętosław Igorowicz,” „Dworacy niedoli” i „Fałszywe blaski,” zalecone zostały do grania, również jak i komedia w trzech aktach pod tytułem: „Błaga.”

Po otwarciu kopert z nazwiskami okazało się, że autorem sztuki „Pojedynek szlachejnych,” która otrzymała drugą nagrodę, jest pseudonim Sewer, autorem „Świętosława Igorowicza” Paulin Stachurski, „Dworaków niedoli” Zygmunt Sarnecki, „Fałszywe blaski” Zofia Mellerowa, „Błaga” Jan Jordan, autor „Wędrowek delegata.”

Komissya zawiadamia niniejszém autora komedyi preniowanej i osobę mającą upoważnienie do odbioru pieniędzy, że nagroda rs. 300, przypadająca na komedję „Pojedynek szlachejnych,” jest do odebrania w biurze Dyrekcyi teatrów.

Kwota rs. 600, to jest nieprzyznana pierwsza nagroda, pozostaje do dalszego rozporządzenia.

Prezydujący w Komissyi: *Sergiusz Muchanow*.

Sekretarz Komissyi: *Władysław Bogustawski*.

— Tom drugi dzieł Teod. Tom. Jeża, w pierwszym zbiorowém wydaniu, ukazał się i obejmuje powieść *Ofiary*. (Lwów, nakładem A. Z. O. Rogosza. 1876 r.).

— W dalszym ciągu wydawnictwa redakcyi „Bluszczu” tłumaczonych powieści, wyszło tomów sześć; zbiór ogólny obejmie XX tomów.

— *Ognisko domowe*, w dodatku swoim rozpoczęło druk „Dziennika podróży naokoło świata” Samuela Smiles'a, z odpowiedniami ilustracyami.

— Z drukarni Instytutu głuchoniemych i ociemniałych wyszła książeczka p. n.: „Wiadomości z nauk przyrodzonych, ułożone przez radę pedagogiczną Warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych i zatwierdzone przez JW. kuratora okręgu naukowego warszawskiego, senatora de Witte.” (W 18-ce, str. 68). Dany numer I na okładkach zwiastuje dalsze wydawnictwo: książeczka pomieniona obejmuje tylko „Wiadomości ze świata roślinnego.”

— Towarzystwo Lekarskie Płockie. Dnia 26 kwietnia odbyło się doroczne posiedzenie Towarzystwa Lekarskiego Płockiego; zagał je prezes, doktor Władysław Ostrowski, sprawozdaniem z działań instytucyi; wymienił prace członków dokonane w ubiegłym czwartym roku życia Towarzystwa, które w zeszłym roku powiększyło się do liczby 86 członków, zyskało poważnych i znanych w nauce współpracowników i zawiązało stosunki z innemi naukowemi ogniskami. Kierunek prac instytucyi odnosił się do sfery ogólnej higieny, medycyny praktycznej i rozwoju czysto naukowego. Na zewnątrz specjalnego ruchu, działalność korporacyi ujawniała się między innemi urządzeniem publicznych odczytów, które obok żywego zainteresowania się niemi miejscowej publiczności, dały stosunkowo znaczny grosz na korzyść biednych. Odczyty mieli członkowie-doktorowie: Jędrzejewicz, Ostrowski, Stępniewski i Wokulski. W ciągu minionego roku uorganizowana została biblioteka Towarzystwa, utworzona między innemi z darów Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego, z ofiarowanych dzieł i atlasów przez nowo przybyłych członków, a mianowicie: profesora Krassowskiego z Petersburga, prof. Seifmana z Kazania, prof. Korczyńskiego z Krakowa, doktora Chomętowskiego z Warszawy, dr. Talki z Lublina i t. d. Poważna ilość prenumerowanych pism peryodycznych lekarskich, powiększa ów księgozbiór; dla dalszego rozwoju którego Towarzystwo postanowiło assygnować corocznie pewny fundusz w celu nabywania dzieł nowych: na pierwszy raz przeznaczono w tym celu rs. 250. Oddzielny komitet wybrany na posiedzeniu 26 kwietnia, zajmuje się wyborem dzieł i uorganizowaniem biblioteki. Następnie jeden z członków odczytał sprawozdanie z obrotu funduszu. Do wyboru osób zarządu przystąpiono drogą ballotowania. Na prezesa Towarzystwa jednoznacznie wybrany został dr. Ostrowski, wice-prezesem został obrany dr. Stępniewski, sekretarzem dr. Hene, bibliotekarzem dr. Wyczalkowski, członkiem kasyerem Szymański. Prezes oznajmił, iż do składu Towarzystwa w charakterze członka popierającego wszedł hrabia Władysław Chotomski, którego dar pieniężny do ogólnych funduszuw włączono. Posiedzenie zamknięte zostało odczytaniem przez nowo wybranego wice-



prezesa J. Stępniewskiego, opracowanego przez niego studyum p. t.: „Goethe, jego prace na polu biologii i filozofii przyrody.“

W odczycie prelegent śledził poważną postać wielkiego poety w przejściu jej przez czas półwiekowy, zakreślony ostatnią ćwiercią zeszłego i pierwszą bieżącego stulecia. Goethe to prawie jedyna indywidualność, której serce snuło pieśń, a głowa nie tylko dorastała współczesnemu poziomowi pozytywnej wiedzy, ale nawet w niektórych kierunkach wyprzedzała takowy. Twórca arcydzieł poetycznego talentu, będących własnością literatury całego świata: *Fausta*, *Ifigenii*, *Clawig'a* i t. d., dziwna rzecz, lekko ceniony bywa na polu ścisłych badań naukowych, na których wszakże w olbrzymich stawia się zarysach. Pchnął on kardynalne zasady nowego kierunku w biologii i filozofii natury i dożył nawet tryumfu idei piastowanej przez niego, wygłaszanej później i dalej rozwijanej przez Kilmayer'ów, Oken'ów i t. d. Pogląd unitarny Geoffroy St. Hilaire'a, wyznawany i przez Goethe'go w Niemczech, odbył przy pośrednictwie działalności tego poety pierwszy publiczny chrzest, stał się zawiązkiem nowych hipotez, rozwijanych w następstwie przez Kant'a, Lamarck'a, Huxley'a, K. Darwin'a i t. d. Następnie prelegent rozbierał krytycznie prace Goethe'go w dziedzinie optyki, zootomii i w ogóle biologii. Wedle dr. Stępniewskiego, studia nad optyką stanowią słabą stronę prac Goethe'go; za to w dziedzinie zootomii, a przezważnie osteologii, w kwestyi teoryi kręgowej czaszki i t. d., okazał się Goethe niepospolitym i niewyczerpanym, prawodawcą niemal. Studyum swoje zamknął prelegent poglądem na charakter ówczesnego umysłowego ruchu, w którym zaznaczyły się świetne imiona Erazma Darwin'a (dziadka), Diderot'a, Lamarck'a, Kant'a, Sniadeckiego i t. d. Chorągiew postępu wiedzy nieśli oni naprzód, a Goethe towarzyszył pochodowi pieśnią i słowem rozumu.

— W jednej z najstarszych świątyń, znajdującej się we wsi Tumie pod Łęczycą, zachował się dotąd, starodawny zwyczaj strzeżenia przez trzy ostatnie dni Wielkiego tygodnia grobu Chrystusa przez młodych parobczaków, przebranych za żołnierzy. Co godzina zmienia się warta, złożona z takich żołnierzy, ustrojonych w papierowe hełmy i wstążki. Na komendę *oficera* różniącego się od innych wiszącą przy boku szablicą z drzewa, występuje dwóch z orszaku i staje przy grobie Chrystusa, reszta zaś wychodzi, aby za godzinę zluzować wartę. Pozostali zaś, ze skrzyżowanymi w rękę pikami stoją jak mumie, najmniejszym gestem, mrugnięciem oka, nie zdradzając że są żywymi istotami. Zwyczaj ten, jak mówią na miejscu, sięga bardzo odległych czasów, a miejscowi parafianie pomimo niejednokrotnych przełożeń i namów, za żadną cenę odstąpić od niego nie chcą.

Zwyczaj ten i w kościołach Warszawy zachowywał się w pierwszych latach naszego wieku; miejsce tylko żywych zastępowali malowani rycerze naturalnej wielkości co strzegli grobu Zbawiciela. W rozebranym już kościółku Ś-go Jerzego na Ś-to Jurskiej ulicy (gdzie dziś fabryka wyrobów żelaznych po Ewansach) olbrzymich postaci tacy strażnicy stali z halabardami w rękach, będąc podziwem ludu i dzieci.

— Współredaktora naszego pisma ś. p. Aleksandra Przędzińskiego „Zupełne wydanie dzieł Długosza“ obejmować ma tomów 14; z tych wyszło dotąd tomów 11 a mianowicie: 5 tomów *Dziejów* polskiego przekładu, dokonanego przez d-ra Karola Mecherzyńskiego, 3 tomy *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis*, oraz 3 tomy tekstu łacińskiego *Dziejów*, poprawnego wedle rękopisów współczesnych przez Żegotę Paulego. Obecnie pozostają do wydania jeszcze 2 tomy tekstu *Dziejów*, oraz tom rozpoczynający edycję, w którym się pomieszczą Żywoty ŚŚ., Biskupów, Clenodia, Banderia, listy, mowy i żywot Długosza. Wydanie całości ukończonóm zostanie w r. 1878. Tomy XIII i XIV wyjdą w roku 1877. Tomy zawierają w przecięciu po 620 str. wielkiej ósemki. Do chwili ukończenia druku, sprzedaje się każdy po 5 złr. Cena księgarska jest wyższą, gdyż wydawnictwo z tój ceny tomów nie ustępuje rabatu. Zarówno tekst łaciński jako i polski, można nabywać osobno. Egzemplarze na papierze zwykłym, których odbito tylko 25, sprzedają się całe wydanie po 140 złr. Indeks do tekstu łacińskiego *Dziejów*, zrobiony przez d-ra Teofila Zebrawskiego dołączonym będzie do tomu V.

Druk także *Jagiellonek* tomu piątego, a który zamknie całość tój zajmującej publikacji już się kończy; obecnie opracowują się skrowidnie tak do tego tomu, jak i poprzednich.

— Po zgonie Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie, przejrzano jego spuściznę literacką. Oprócz licznych pamiątek osobistych nieobszczyka znaleziono także pamiątki i listy odnoszące się do stosunku z Mickiewiczem, Towiańskim i t. d., jakoteż liczne fragmenta literackie, notatki, pamiętnik autobiograficzny z roku 1872 i 1875 a wreszcie oprócz fragmentów obszernego utworu poetyckiego p. t. *Kościelisko*, którego integralną część tylko stanowi ogłoszona drukiem *Sobótka*, także tom niedrukowanych dotąd wcale poezji, co na okładce odnośnego zeszytu autor zaznaczył własnoręcznie. Wszystkie wymienione pisma jako téż wiele innych, przejrzenie których choćby pobieżne wymaga dłuższego czasu, nie mniej i liczne pamiątki, z któremi wiąże się często wzniośle, z życia zgasłego poety chwile i przejścia, znaleziono uporządkowane zupełnie.

— Zapoznajemy się z coraz szerszém gronem prof. Uniwersytetu Lwowskiego, którzy oprócz wykładów z katedry, wielu już pracami z bogacili literaturę krajową. Oprócz wspomnianych już nieraz w naszym piśmie Zygmunta Węclewskiego i Bilińskiego, występują dostojne imiona historyka Szaraniewicza, chemika Radziszewskiego, a z wydziału prawnego Źródłowskiego, Piętaka, Pilatego i w. i.; pomiędzy najczynniejszymi badaczami dziejów odznacza się dr. Ksawery Liske zwyczajny prof., członek Akademii Umiejętności w Krakowie. Dość tu namienić wydawnictwo które ogłosił w pięciu tomach „Aktów Grodzkich i Ziemskich,“ opracowane krytycznie: obszerną rozprawę „Zjazd w Poznaniu 1510;“ oprócz pomniejszych historycznych monografii, ogłasza prace swoje w języku niemieckim, drukowane w publi-



kacyach akademii wiedeńskiej i bawarskiej. Obecnie nowa praca tego prof. wychodzi w Sztokolmie w języku szwedzkim, której treścią stosunki Polski ze Szwecją.

— W d. 17 maja r. b. odbyło się w Toruniu posiedzenie wydziału historyczno-archeologicznego tamtejszego Towarzystwa naukowego, które niedawno powstało, we własnym lokalu. Posiedzenie zagaik wiceprezes Towarzystwa ksiądz Kujot, obradom przewodniczył prezes Towarzystwa p. Łyskowski z Miliszen, poseł na sejm pruski. Członków na posiedzenie zebrało się 28. Po załatwieniu zwykłych formalności, złożył członek pan Ossowski kilka dokumentów historycznych dla Towarzystwa, poczem p. Gustaw Zieliński, pracujący oddawna nad historią usadowienia się Krzyżaków na ziemi Dobrzyńskiej i Chełmińskiej, podał treść dalszego ciągu swęj pracy, która dotąd jeszcze drukiem ogłoszoną nie została. Po krótkiej z tego powodu dyskusyi, odczytał ks. Kujot zebrane przez siebie wiadomości o ósmym tomie aktów konsystorza Kamieńskiego. Kilku członków odezwało się z propozycjami, co do najpraktyczniejszych sposobów zachowania porządku w historycznych pracach wydziału i zgodzono się przedewszystkiem na to, aby zajmować się historią i geografją Prus Zachodnich. Ks. Kujot poruszył potrzebę zbierania wiadomości o dokumentach historycznych, czy to w posiadaniu członków, czy téż w innych rękach przechowujących się; na jego propozycję uradzono wygotować odpowiedni szemat do opisania tych dokumentów, który ma być członkom rozestany ku wypełnieniu. W dziedzinie archeologii zwrócono się ku okazom będącym już w posiadaniu Towarzystwa. Mianowicie p. Karol Beyer z Warszawy, przedstawił *urnę warszawą*, która w bardzo pięknym okazie, znajduje się w zbiorach Towarzystwa. Równocześnie oglądano fotografie sporządzone z téj urny przez p. Jacobiego z Torunia. P. Beyer przedstawił niektóre przedmioty bronzowe i żelazne znajdowane w urnach, a w końcu przemawiał za potrzebą sporządzenia i uzupełnienia mapy archeologicznej Prus Zachodnich, dając wskazówki dla konserwatora i dla transportujących wykopaliska. Pan Zieliński przedstawił mapę i przedmioty z wykopaliska w Dubieńskim; p. Ossowski odczytał informacye dla przedsiębiorających wykopaliska i przedstawił piękną kolekcję paciorków wykopaliskowych z gliny, kamienia, bursztynu i srebra. Po złożeniu jeszcze kilku przedmiotów muzealnych, postanowiono skomunikować się z innymi towarzystwami, a przyszłe posiedzenie wydziału odbyć w listopadzie.

— Towarzystwo łowieckie w ostatnich czasach założone zostało we Lwowie. Celem jego jest podniesienie stanu zwierzyny w kraju i popieranie władz w czuwaniu nad wykonaniem przepisów o polowaniu i w dochodzeniu wykroczeń przeciw ustawie łowieckiej z r. 1871. Siedzibą główną Towarzystwa jest Lwów, rozszerzy ono jednak swoje organizacyą na całą Galicyą. Walne zgromadzenia odbywać się mają co rok, naprzemiany we Lwowie i w Krakowie. Statut określa obszernie cele i środki działania. Podobne stowarzyszenia w Niemczech



działały, iż dzisiaj kraj ten, pomimo wielkiego zaludnienia, posiada więcej zwierzyny niż Galicja.

— Ze Lwowa donoszą: Wypracowanie planu gmachu sejmowego na podstawie planów, premiiowanych na konkursie, stosownie do uchwał sejmu krajowego, powierzone zostało przez Wydział krajowy p. Hochbergerowi dyrektorowi urzędu budowniczego miejskiego.

Marsz żałobny poświęcony pamięci Seweryna Goszczyńskiego, kompozycy J. Czubskiego, opuścił właśnie prasę. Wydanie tego utworu, z którego rozprzedaży dochód przeznaczony jest na fundusz pomnikowy dla zmarłego poety, jest bardzo ujmujące i ozdobne udatnym wizerunkiem Goszczyńskiego w winiecie.

— Praga Czeska dnia 23 kwietnia r. b. była świadkiem wspaniałego obchodu, o którym podaje nam szczegóły korespondent „Gazety Warszawskiej” ze stolicy Czech. „W środku Wełtawy, na której lewym brzegu wznosi się malownicza, stroma góra Wawrzyńca, a na prawym wspaniały gmach teatru narodowego, znajduje się mała wysepka Zofii *Ostrow Zofijski*. Potężne stare jodły otaczają zewsząd wysepkę i pokrywają gęstą zielenią jednopiętrowy pałacyk, w którym odbył się dzisiejszy bankiet na cześć Palackiego.

W salce przyozdobionej bogato kwiatami, stoły były poustawiane rzędami. W pierwszym rzędzie w środku było wyznaczone miejsce dla sędziwego dziejopisarza, po prawej jego stronie dla przyjaciela młodości i patrioty czeskiego proboszcza Marka, po lewej dla hr. Jarosława Clam-Martynica prezesa Towarzystwa muzeum czeskiego, najważniejszego literackiego Zakładu narodowego. Na rogach pierwszego stołu zasiedli pp. Skrejszovsky i Zeithammer, z których pierwszy miał wygłosić mowę w imieniu klubu czeskiego, drugi jako wice-burmistrz w imieniu rady miejskiej.

Z obcych gości przybyli pp. dr. Kusy, Kożanek, Skopalik i inni z Morawii, redaktor Miskatowicz z Zagrzebia, p. Smolarz z Budziszyna, p. Pierot Słowak z Tharocz, St. Miskolcz. Trzej zaproszeni Polacy, pp. Grochoiski, Czartoryski i Smolka, z powodu trwania obrad sejmiku lwowskiego, nie mogli wziąć udziału w bankiecie.

Z tutejszych znakomości politycznych, oprócz wspomnianych już wzięli udział w bankiecie książęta Jerzy i Ferdynand Lobkovic, Karol Szwarzenberg, hrabiowie Ryszard Clam Martinic, Franciszek Waldstein, Spork, Veith, Harrach i inni z arystokracji, postowie dr. Klauudy, dr. Brauner, dr. Prachensky, w ogóle wszyscy postowie do rady państwa i wszyscy postowie do sejmu krajowego, burmistrz Hulesz i kilku reprezentantów rady miekiej, ogółem 350 osób; albowiem z powodu braku miejsca nie można było rozdać więcej biletów.

O godzinie 2½ sędziwy historyograf Palacki został wprowadzony przez pana Skrejszowskiego i zajął wyznaczone sobie miejsce.

Pierwszą mowę na cześć męża, który głównie przyczynił się do rozbudzenia ducha narodowego, do odrodzenia ludu czeskiego po długim letargu, wniósł pan Skrejszovsky, wykazując potrzebę uznania

takich powag jak Palacky. „Z dziejopisarza, rzekł p. Skrejszovsky w imieniu klubu czeskiego, Palacky stał się mężem politycznym, bo odzwierciadlając narodowi upadtemu i nieszczęśliwemu wielką przeszłość, obudził go do nowego życia, jak prorok wiódł go do ziemi obiecanej świeżego poczucia swojej godności. Oświeceniem, rozumem, pracą, dosłużył się Palacky wśród narodu swego pierwszego miejsca. Uznanie powagi takiej, powagi opartej nie na zewnętrznych stopniach i honorach, lecz na zasłudze, przynosi zaszczyt narodowi, ale też jest konieczne potrzebne w tak trudnych, w jakich się znajdujemy, okolicznościach.”

Hr. Jarosław Clam-Martinić, jako prezes muzeum czeskiego wnosi zdrowie Palackiego, jako najgłówniejszego twórcy tego Zakładu. Zakład ten mieści w sobie najdroższe zabytki sławniej przeszłości narodu. Założony i utrzymywany dotąd składkami dobrowolnemi, obudza on uczucia patryotyczne: Palackiego możemy nazwać duchowym twórcą, ojcem Zakładu tego.

Były minister oświecenia p. Jireczek wniósł zdrowie Palackiego, jako uczonego. Kiedy przed 34 laty osiadł Palacky w Pradze, nie było tu życia literackiego. Wkrótce po jego przybyciu nowy ruch świeży na jaw występuje. On ożywia stowarzyszenia literackie, on stanom czeskim poddaje myśl napisania dziejów narodu czeskiego, wówczas gdy przedtem prace na tém polu ograniczały się na subtelnych krytykach pojedynczych faktów. Palacky dziejopisarstwo wzniosł w Czechach na najwyższy szczebel piśmiennictwa, grono młodych, uzdatnionych mężów pobudził do wspólnej pracy. „Gdy spoglądamy na 50-letnią literacką czynność Palackiego, pojmujemy tę cześć szczerą i głęboką, z jaką wielbi go naród nasz. Wnoszę więc zdrowie dziejopisarza Palackiego.“

Następnie przemawiał hr. Clam-Martinić, pomiędzy licznymi zasługami Palackiego stawiając pracę jego około muzeum czeskiego, które pod jego ożywiającém tchnieniem stało się pierwszorzędném ogniskiem literackiego życia narodu.

Wice-burmistrz i redaktor *Pokroku* p. Zeithamer wykazał, jak Praga, ta królowa miast czeskich i serce słynnego Królestwa przed 50-u laty była prawie miastem niemieckim, i jak Palacky przybywszy do niej z Morawy, patryotyczną swą pracą głównie przyczynił się do przywrócenia miastu charakteru czeskiego; przykład jego powinien młodzież dzisiejszą skłaniać do naśladownictwa w patryotycznym usposobieniu, aby i nadal Praga została ogniskiem życia narodowego. Klasa mieszczańska tak ważną dzisiaj w świecie politycznym odgrywa rolę, tak stoi na świeczniku, że powinna coraz dalej postępować naprzód w wykształceniu i przodować innym warstwom społecznym.

Powstał następnie sędziwy jubilat, 70-letni, zgarbiony pracą i wiekiem, ale zawsze jeszcze czerstwy i pełny uniesienia.

W guście Deaka bez patosu krasomówczego, odezwał się kilku serdecznemi słowami podziękli za niespodziewane i niezastuzone hołdy,

jakie mu zgotowano. „W czasach husyckich, rzekł, naród czeski oparł się napadom sprzymierzonych potęg, ponieważ górował oświata. Oświata jest tą tarczą, która broni narody od upadku; w oświacie więc postępując naprzód, naród czeski i nadal obroni się od zguby.“

Żięć Palackiego, dr. Rieger, najlepszy mówca czeski, przyjęty przeciągłemi oklaskami licznego zgromadzenia, wygłosił mowę za solidarnością słowiańską. Już było po szampanie, już uniesienie owładnęło umysły. Tém tłumaczyć sobie należy, że p. Rieger oświadczył, iż z pomiędzy ludów słowiańskich, czeski przedewszystkiem położył zasługi około oświaty. Sądząc rzecz tę przedmiotowo, nie możemy nie przyznać, aby inne narody słowiańskie nie miały stać w tej mierze na równi z czeskim, bo w miejsce Husa, mamy np. Kopernika, Sobieskiego, Mickiewicza i Libelta. Ale też mowy takie bankietowe nie mają na względzie ścisłej prawdy historycznej, lecz oddziaływanie bezpośrednie na umysły słuchaczy, a w tym względzie nie można mówcy wziąć za złe, iż pofolgował nieco dumie narodowej.

Poseł morawski p. Kozanek wyłuszczał jedność i solidarność Czechów z Morawianami i podniósł, że sędziwy solenizant, który tak wielkie położył zasługi około rozwoju narodowego, z urodzenia jest Morawianin.

Redaktor *Narodnich Novin* z Thurocza słowackiego p. Pierot, dziękując Czechom za poparcie, jakiego od lat tylu uciśnionym przez Madziarów Słowakom dostarczają, zapewnił, że Słowacy żywo czują pokrewieństwo swe z bratnim narodem czeskim.

Następnie odczytano kilkaset telegramów nadeszłych z rozmaitych stron słowiańskich; wszystkich nie można było odczytać, bo wciąż jeszcze nadchodziły nowe, a około ósmej godziny było ich już przeszło 1000.

W końcu przemówił jeszcze p. Smolarz, redaktor dwóch łużyckich czasopism, wychodzących w Budyszynie, a dawniej wydawca znanych *Slavische Jahrbücher*. Wykazał on, że słowiański ruch na Łużycach głównie obudził się za poparciem Czechów, i wyraził za to serdeczną wdzięczność swych współrodaków.

Pomiędzy mowami kapela wykonywała kompozycje słowiańskie, a uczniowie znanego kompozytora pana Pivody odśpiewali wiersz, skomponowany na tę uroczystość przez p. Riegera.

Cała uroczystość odznaczała się powagą i niekłamaném uniesieniem. Dla patrioty taki hołd, jakiego dostąpił dziś Palacki w tém zebraniu koryfeuszów narodu swego, jest słodszą nagrodą aniżeli wszelkie skarby świata. Z drugiej strony, uroczystości podobne nie mogą nie oddziałać silnie na wszystkie wnioslejsze umysły, muszą budzić w nich pragnienie, aby szczerą pracą i poświęceniem w usługę kraju, dostąpić kiedyś od późniejszych generacji takiegoż zaszczytnego uznania.”

— Naczelnik cyganów węgierskich, zwany przez nich „pierwszym wojewodą,” Marko Szigali, zmarł niedawno w Temeszwarze, a zwłoki



jego w blaszanej trumnie odwiezione zostały, stosownie do ostatniej jego woli do Bolgaris w Serbii, gdzie mają być pochowane obok zwłok małżonki jego, przed kilkoma laty zmarłej. Osobliwsze wrażenie robił pogrzeb tego pierwszego wojewody band cygańskich. Na trumnie złożonej na prostym wozie, leżała mosiężna maczuga i kuczma nieboszczyka. Znaczną drogę z Temeszwaru do Bolgaris odbywał kondukt pogrzebowy w ten sposób, że jedna banda cygańska odprowadzała go do drugiej, ta znów do następnej i t. d. formalnym etapem aż na miejsce przeznaczenia. Z równą uroczystością na Litwie był pochowany *król cygański*, o którym ciekawe podaje nam szczegóły Teodor Narbutt w swęj pięknej a obszernęj monografii o *Cyganach*.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójciokł.

Wydawca *Józef Berger.*

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1876.

stron.

## *Filozofia.*

Doświadczenie jako kryterium prawdy. Przez A. Tyszyńskiego. . . . . 36

## *Ekonomia.*

O dobrowolnych umowach właścicieli folwarcznych z włościanami, w celu zniesienia służebności pastwiskowych i leśnych w Królestwie Polskiem. Przez Ludwika Górskiego. . . . . 132

## *Historya i opowiadania historyczne.*

Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka. . . . . 17

Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia. Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . . 60

Przyczynek do elekcyi Zygmunta I-go w Litwie i w Polsce. Przez Kazimierza Pułaskiego. . . . . 305

Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Wł. Chomętowskiego. . . . . 278

Dawna ziemia Łomżyńska. Przez Zygmunta Glogera. . . . . 579

## *Literatura.*

Przegląd literatury hiszpańskiej. Przez Sewerynę z Żochowskich Duchyńska. . . . . 1, 269, 477

Listy Słowackiego do matki (1830—1835). Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . . 93

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

- „Les origines de la France contemporaine,” dzieło p. Taine, profesora estetyki w szkole sztuk pięknych.—Uroczystość akademicka: mowy panów: John Lemoine i Cuvillier Fleury.—Apoteoza dziennikarstwa.—Pięciu zmarłych członków Instytutu: matematyk Brogniart, botanik Seguier, filolog Ambroży Firmin Didot, historyk hr. Carné, stały sekretarz akademii francuskiej Patin.—Nowa sztuka Aleksandra Dumas'a, odegrana w teatrze francuzkim p. t. „Cudzoziemka.”—Komedia „Czarodziej” p. Leroi, przedstawiona w Gymnase.—Zmarła hr. d'Agoult (Daniel Stern).—Spór o zwłoki Krzysztofa Kolumba.—Kollekcya kart do grania, wydana przez British Muzeum, ze wstępem historycznym.—Literatura plakatowa: Odezwa do wyborców. . . . . 171
- Czarnogórze współczesne, przez pp. Frilley i Wlahovity; obyczaje i obrzędy Czarnogórców.—Akademy Littre i Caro.—Zagadnienia moralności społecznej, przez prof. Caro.—Historya skrócona głównych literatur, w Europie starożytnej i nowoczesnej, przez prof. Buron:—Francya i jój kolonie, dzieło prof. Levasseur.—Kajet Sainte Beuve'a.—Starożytności Moabickie, nabyte do muzeum berlińskiego. Teatr Wagnera w Bejreuth.—Tetralogia: „Pierścień Nibelungów.”—Koncerta w Paryżu, pana Sowińskiego i panny Amelii Majdrowicz. . . . . 356
- Mowy Wiktora Hugo i Louis Blanc, na rzecz robotników wybierających się do Filadelfii.—Świat amerykański, podróż po Stanach Zjednoczonych p. Simonin.—Stany Zjednoczone pod względem obyczajów, instytucyi, wyobraźni, od końca wojny domowej, p. Claudio Jeanet.—Aleksander Stewart.—Wspomnienia z Barbison, przez p. Piedaquel.—Ludowy malarz Millet.—Towarzystwo Franklin: biblioteki ludowe.—Ksawery Thiviat.—Chemik Balard.—Podróż po wyższym Egipcie p. Karola Blanc.—Mowa Wiktora Hugo nad grobem pani Louis Blanc.—Prace lingwistyczne dra. Rabinowicza: Gramatyka hebrajsko-niemiecka.—Nowe opery: Joanna d'Arc, Mermeta; Aida Verdiego; Piccolino Wiktora Sardou, z muzyką p. Giraud.—P. Léger i publikacje warszawskie.—Dzieło dwóch Mandarynów o wojnie prusko-francuzkiej. . . . . 396
- Komedy Aleksandra hr. Fredry. (Odczyt publiczny Stanisława hr. Tarnowskiego dnia 30 marca r. b. w wielkiej sali Ratuszowej w Warszawie). . . . . 249
- Odczyt drugi dnia 2 kwietnia r. b. . . . . 437
- Psyche Andrzeja Morsztyna. Przez Władysława Nehringa. . . . . 558

*Geografia—podróże i odkrycia.*

- Podróże i odkrycia geograficzne (1874—1875). Przez F. Jezierskiego. . . . . 266



Podole. Przez Fryderyka Krauzego (Podolanina). . . . . 337

### *Etnografia.*

Zabobony rolnicze. Napisał Zygmunt Gloger. . . . . 376

### *Nauki Społeczne.*

O zjazdach, czyli kongresach naukowych i ich działaniu w ostatnich kilku latach. Przez Edmunda Stawiskiego. . . . . 455

### *Życiorysy.*

Franciszek Deak. . . . . 77

### *Przemysł i handel.*

Drogi żelazne w Królestwie Polskiem, prawa i obowiązki podróżujących. Przez Antoniego Wrotnowskiego. . . . . 500

### *Bibliografia.*

Wiadomość o wynalezieniu najobszerniejszego dzieła Ignacego Krasickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Przez Aleksandra Wejnerta. . . . . 114

### *Sztuki piękne.*

Przegląd teatralny (od 1 marca 1875 do 1 marca 1876 r.). Przez Dyonizego Henkiel'a. . . . . 543

### *Korrespondencya.*

Kronika lwowska. . . . . 317

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez Lucyana Woyniłłowicza. 379

### *Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, von Dr. Roepffel (Gotha 1876). Przez J—d. (Ernesta Świeżawskiego). . . . . 189

Biblioteka podań ludowych Sycylijskich Józefa Pietre. (Biblioteca delle Tradizioni Popolari Siciliane. Vol. 4. Palermo 1875). Przez F. J.	199
Album widoków gubernii Grodzieńskiej, Wileńskiej, Mińskiej, Kowieńskiej, Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej. W dwóch serjach zawierających osmdziesiąt widoków, przedstawiających miejsca historyczne z czasów wojen tureckich, tatarskich, krzyżackich i kozackich, oraz przedhistoryczne, jako to: Mogiła Perypiatyohy, Zamku Mamaja w Bukach i t. d., również stare ruiny zamków obronnych i piękne rezydencye, świadczące o przeszłości i cywilizacji tego kraju, zrysowane z natury przez Napoleona Orde. Warszawa. Litografia Maksymiliana Fajansa. 1875 r. Przez K. Wl. W.	201
Luď. Agassiza. „Plan Stworzenia. Odczyty o zasadach przyrodzonych pokrewieństwa zwierząt.”	205
Wiadomość historyczno-statystyczna o znakomitszych bibliotekach i archiwach publicznych i prywatnych, tak niegdyś byłych jako i obecnie istniejących w krajach dawną Polskę składających, a mianowicie: w Królestwie Polskiem, Galicyi, W. Ks. Poznańskiem i Zachodnich guberniach Państwa Rossyjskiego. Porządkiem abecadlowym miejsca ułożone, przez Franciszka Radziszewskiego. Kraków. Nakładem autora. W Drukarni Wl. L. Anczyca i spółki. 1875 r. (W 8-ce str. 124). Przez R.	207
Dziennik podróży po Afryce południowej. (Notes of Travel in South Africa). P. K. Johu Andersona. Londyn 1875).	211
Trzy nauki gospodarskie napisane dla włościańskich gospodarzy, przez Ignacego Łyskowskiego dziedzica Muleszew, w powiecie Brodnickim (Nowe wydanie). W Poznaniu nakładem M. Leitgebena i Spółki 1876 r. (w 16-ce str. 95). Przez W.	212
Dziwolaği. Szkice i Obrazki przez Józefa Bliźnińskiego, illustrował Franciszek Kostrzewski. Warszawa. Nakładem i drukiem Józefa Ungra 1876 r. (w 8-ce str. 153). Przez T. W.	214
Ruchy zwierzące, czyli chodzenie, lataanie i pływanie, wraz z rozprawą o aeronautyce, przez J. Bell Pettigrew'a. Przekład z angielskiego, o profesora dra. Nawrockiego. Z wyboru Biblioteki międzynarodowej. Warszawa, 1875, str. 340. Nakładem Spółki wydawniczej księgarzy. Przez T. Skomorowskiego.	222
Jan Śniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce. Rzecz napisana przez dra. Maurycego Straszewskiego docenta filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez F. J.	381
Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1875. We Lwowie, 1876 (w 8-ce str. 220). Przez W.	394
Pamiętnik damy Polskiej z XVII wieku, (Urszuli z Ustrzyckich Tarnowskiej). Wydał W. T. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1876 r. z drukarni K. Pillera w 8-ce str. 139). Przez R.	397

Umysł i ciało. Mniemania o ich wzajemnym stosunku. Przez Aleksandra Bain, profesora logiki przy uniwersytecie w Aberdeen. Z wyboru Biblioteki Naukowej Międzynarodowej. Tłumaczone z angielskiego. Warszawa. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy. 1874 r. str. XVIII i 206. Przez T. Skomorowskiego.	398
Książd Jakób Falkowski założyciel Instytutu Głuchoniemych. Przyczynek do dziejów dobroczynności. Napisał Władysław Nowicki Magister Nauk Hist. Fil. b. Szkoły Główniej. W stuletnią rocznicę jego urodzin. (Z trzema drzeworytami). Warszawa 1876. (W 8-ce str. 81). Przez R. . . . .	405
Sylwetki, przez Kazimierza Chłędowskiego. We Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta, 1876. Przez Br. Z. . . . .	406
Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień, dotyczących działań Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego od chwili zawiązania tegoż, to jest od r. 1826 do 1869 włącznie. Warszawa. W drukarni Jana Jaworskiego. 1875. (W 4-ce str. 381). Przez W. . . . .	409
Słów kilka o księdze Ewangelii pisanej złotemi literami na pergaminie, a znajdującej się w kościele metropolitalnym Gnieźnieńskim i zwanęj powszechnie mszałem św. Wojciecha. Przez księdza Ignacego Polkowskiego. . . . .	410
Synteza dwóch światów, szkic filozoficzny, napisał Henryk Struve. Z dodaniem dwóch urywków: I. Poezya, Religia i Filozofia. II. Przeszłość, Przyszłość i Terazniejszość. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa, 1876. Przez X. . . . .	615
Monumenta Medii Aevi Historica Res Gestas Poloniae Illustrantia. (Cracoviae 1874). Przez J—d. . . . .	627
Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom II, Warszawa. Nakładem Świdzińskich, 1876 (w 8-ce wielkiej str. 424). Materyały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku, poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Jana Ostroroga wojewody poznańskiego, zebrał i opracował Wł. Chomętowski. Przez R. . . . .	642
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, LITERACKIE, NAUKOWE I ARTYSTYCZNE. . . . .	228, 417, 651
NEKROLOGIA. . . . .	244, 436, 646
Sprostowanie. . . . .	248
Bibliografia na okładce każdego zeszytu.	